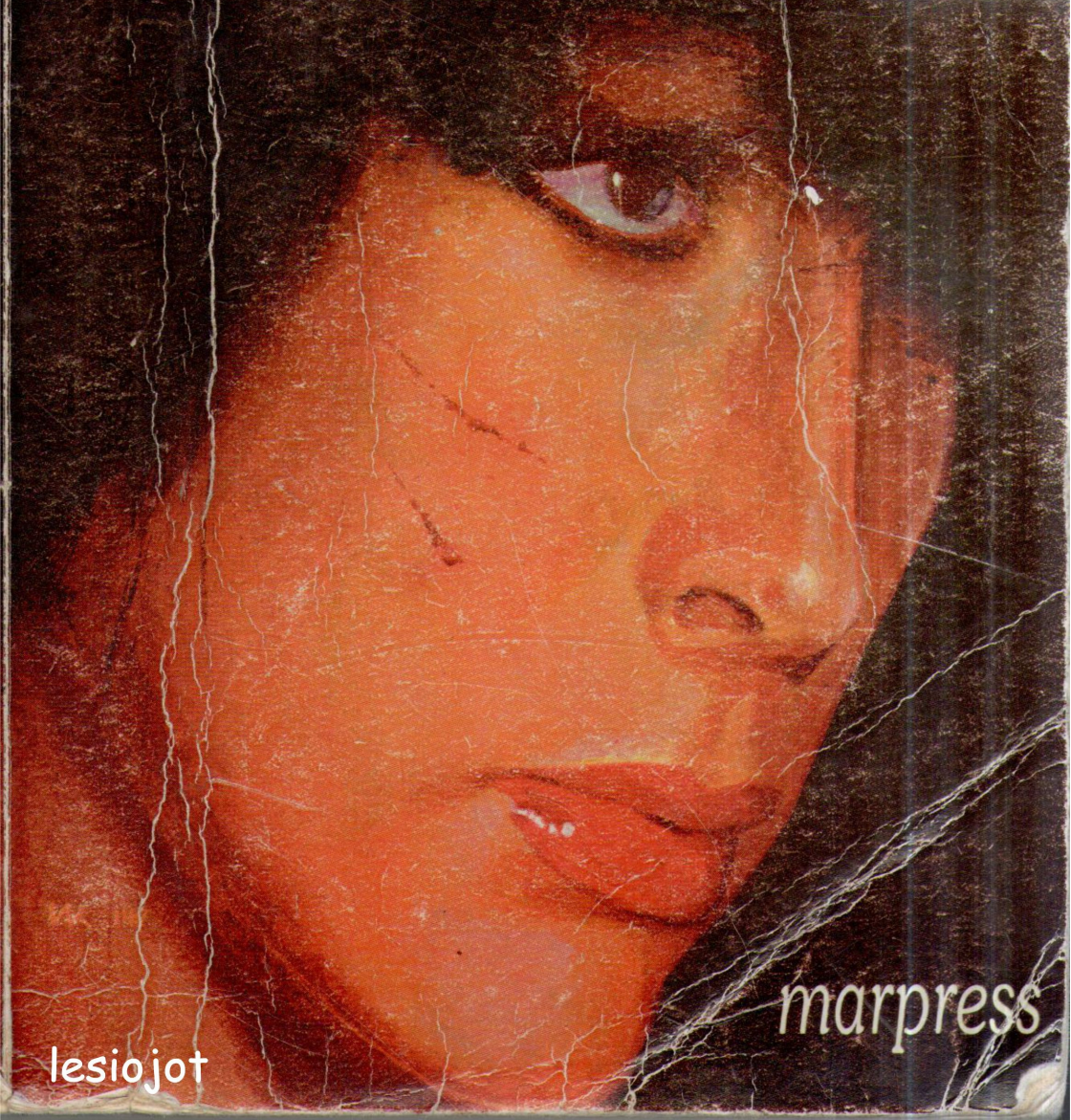


Zaginęła Betty Kane



lesiojot

marpress

Josephine Tey

**Zaginęła
Betty Kane**

przełożył WOJSŁAW BRYDAK

Wydawnictwo „Marpres” Gdańsk 1992

Była czwarta, miało wiosenne popołudnie; Robert Blair zastanawiał się, czy nie iść do domu.

Rzecz jasna, kancelarii nie należało zamykać przed piątą. Jeżeli jednak ktoś jest Blairem (dodajmy: jedynym) ze spółki Blair, Hayward i Bennet, to może iść do domu kiedy uzna za stosowne. Jeżeli zaś interesy polegają głównie na spisywaniu testamentów, aktów własności i obsłudze lokat, to późnym popołudniem zapotrzebowanie na usługi firmy staje się raczej skąpe. A jeżeli ktoś mieszka w Milford, skąd ostatnią pocztę zabiera się trzy kwadransy po trzeciej, to widzi, że dzień traci rumieńce już na długo przed czwartą. Jeżeli w ogóle je miał.

Nawet nie należało spodziewać się telefonu. Partnerzy do golfa prawdopodobnie byli już gdzieś między czternastym a szesnastym dołkiem. Zapewne nikt też nie zadzwoni z zaproszeniem na kolację; w Milford takie zaproszenia wciąż jeszcze pisywano ręcznie i wysyłano pocztą. A ciotka Lin nie zadzwoni i nie poprosi, by po drodze do domu postarał się o rybę, ponieważ wypadło akurat to popołudnie, które ciotka raz na dwa tygodnie spędza w kinie. Ujmując rzecz ozdobnie: właśnie dwadzieścia minut przeminęło z filmem.

Siedział więc wydany na pastwę leniwej atmosfery, w miasteczku, któremu musi wystarczyć przymiotnik „targowe”, wpatrywał się w ostatnią na biurku płamę popołudniowego, wiosennego słońca (inkrystowane mosiądzem, mahoniowe biurko dziadek ku zgorszeniu rodziny sprowadził z Paryża) i zastanawiał się, czy nie iść do domu. Słońce oświetlało tacę; spółkę Blair, Hayward i Bennet charakteryzowało właśnie to, że picie herbaty nie miało tutaj związku z jakąś tacą emaliowaną, ani z pierwszym lepszym naczyniem porwanym z

kuchni. Codziennie (rzecz jasna mowa o dniach roboczych) punktualnie o trzeciej pięćdziesiąt panna Tuff wносиła do pokoju tacę z laki, nakrytą nieskazitelnie białą serwetką, na której stała napełniona herbatą porcelanowa filiżanka ozdobiona błękitnym wzorem, a na talerzyku należącym do kompletu leżały dwa herbatniki; w poniedziałki, środy i piątki były to petit-beurres, we wtorki i czwartki alberty.

Robert, tępo wpatrując się w tacę, pomyślał jak dalece zestaw przedmiotów odzwierciedla ciągłość spółki Blair, Hayward i Bennet. Porcelana była w domu zawsze, od kiedy pamiętał. Kiedy był mały, tacy używała kucharka, chodziła z nią po chleb do piekarza; wyratowała tę tacę matka Roberta, wówczas młoda, i przyniosła do kancelarii właśnie po to, by stawiać na niej porcelanowe filiżanki ozdobione błękitnym wzorem. O lata później, wraz z nastaniem panny Tuff, pojawiła się serweta. Panna Tuff, produkt lat wojennych, była pierwszą kobietą, która w Milford zasiadła za biurkiem szanowanej kancelarii adwokackiej. Cały przewrót spowodowany przez pannę Tuff polegał, zdaje się, na tym, że była osobą samotną, wyzbytą wdzięku, poważną i chudą. W każdym razie firma zniosła przewrót niemal bez wstrząsu i teraz, prawie w ćwierć wieku później, wydawało się niepojęte, że siwa, szczupła, pełna godności panna Tuff kiedykolwiek mogła budzić sensację. W gruncie rzeczy jedyną nowością, którą panna Tuff wprowadziła do tutejszych odwiecznych zwyczajów było umieszczenie serwetki na tacy. W domu panny Tuff żaden posiłek nie mógłby zostać podany w naczyniu stojącym wprost na tacy, a jeżeli chodzi o ścisłość również ciastko nie mogłoby leżeć wprost na talerzyku; użycie serwety, a przynajmniej małej serwetki, stanowiło konieczność. Nic dziwnego więc, że panna Tuff na obnażoną tacę patrzyła krzywo. Poza tym uważała, że wzór wyzierający spod laki rozprasza, odbiera apetyt i w ogóle jest „dziwny”. Pewnego dnia przyniosła więc z domu serwetkę, skromną, gładką i białą, odpowiednią do sytuacji, w której coś się je. Ojciec Roberta przyjrzał się serwetce; lakową tacę lubił, a również ujęło go to, że młoda panna Tuff identyfikuje się z interesami

firmy, wobec tego biała serwetka została zaakceptowana i stała się częścią firmy w tym samym stopniu co skrytki na akta, co mosiężna inkrustacja na biurku oraz doroczne przeziębienie pana Heseltine'a.

To stało się w chwili, w której patrzył na białobłękitny talerzyk z herbatnikami; właśnie wtedy Robert znów poczuł w piersiach dziwne ukłucie. Sensacja nie miała nic wspólnego z dwoma ciasteczkami, w każdym razie nie miała z nimi nic wspólnego fizycznie. Raczej wiązała się z nieuchronnością podwieczorkowej rutyny, z łagodną pewnością, że w czwartek będą alberty, a petit-beurres w poniedziałek. Jeszcze mniej więcej rok temu nie dostrzegał niczego złego ani w pewności, ani w łagodności. Zawsze chciał żyć w ten sposób: spokojnie, przyjaźnie, w miejscu, w którym kiedyś dorastał i dojrzewał. Nadal nie chciał niczego innego. Ale ostatnio, raz czy dwa razy, przemknęła mu przez głowę dziwna i obca myśl, nie należąca do porządku rzeczy i nieproszona. Gdyby próbował ją ująć w słowa, brzmiałaby mniej więcej tak: „I to już wszystko, co cię czeka”. A wraz z myślą pojawiało się ukłucie. Właściwie to był paniczny skurcz, podobny do tego, który w dzieciństwie ścisnął jego chłopiące serce podczas wizyty u dentysty.

Drażniło to Roberta i wprowadzało w zakłopotanie. Uważał się za człowieka szczęśliwego, obdarzonego życzliwością losu; żył w tym przekonaniu. Z jakiej racji napiera na niego obca myśl i powoduje ten ucisk pod żebrami, budzący lęk? Czego takiego, za czym mógłby tęsknić mężczyzna, brakowało w jego życiu?

Żony?

Może się ożenić, jeżeli tylko zechce. W każdym razie uważa, że może; w okolicy znajduje się mnóstwo osób rodzaju żeńskiego, wolnych, które nie okazują mu żadnych oznak niechęci.

Oddanej matki?

Więszego oddania niż to, którym darzy go kochana, zwariowana na jego punkcie ciotka Lin nie mógłby oczekiwać nawet od matki.

Bogactwa?

A czy kiedykolwiek pragnął czegoś, na co nie było by, go

stać? Jeżeli to nie jest bogactwo, to w takim razie co?

Przygód?

Nigdy nie pociągały go emocje. W każdym razie nie większe niż te, które zapewnia dzień spędzony na polowaniu, bądź sytuacja, kiedy na polu golfowym przy szesnastym dołku partnerzy wciąż idą łeb w łeb.

Więc czego?

I skąd myśli: „I to już wszystko, co cię czeka”?

Być może chodzi po prostu o to, myślał, wpatrzony w białobłękitny talerzyk, na którym leżały herbatniki, że dziecięce oczekiwanie „jutro-zdarzy-się-coś-cudownego” tak długo jak może się jeszcze spełnić żyje w podświadomości człowieka i dopiero po czterdziestce, kiedy spełnienie wydaje się już mało prawdopodobne, wpycha się między myśli świadome, jako zapomniany okruch dzieciństwa i z płaczem doprasza się o uwagę.

Tak; on, Robert Blair, z całym spokojem i całą pewnością oczekiwał, że jego życie tak będzie się toczyć, jak się toczy, do końca. Od czasów szkoły wiedział, że trafi do firmy, gdzie pewnego dnia zastąpi ojca; z dobrodusznym współczuciem patrzył na chłopców, którzy nie mieli jakiegoś wcześniej przygotowanego miejsca; na których nie czekało żadne Milford, pełne przyjaciół i wspomnień, na których nie czekała żadna cząstka angielskiej ciągłości, na przykład spółka Blair, Hayward i Bennet.

Haywarda w tych czasach w firmie już nie było: Haywardów zabrakło po 1843 roku, ale jeżeli chodzi o Bennetów, to młoda latorośl właśnie przebywała w tylnym pokoju. Słowo „przebywać” wydawało się najbardziej odpowiednie, bo należało wątpić, czy ów młody człowiek poświęca się jakiegokolwiek pracy; głównym jego zainteresowaniem było pisanie wierszy, nacechowanych do tego stopnia niczym nieskażoną oryginalnością, że mógł je zrozumieć tylko sam Nevil. Robert ubolewał z powodu wierszy, ale do próżniactwa odnosił się wyrozumiale; dobrze pamiętał, że kiedy on sam zajmował ów tylny pokój, spędzał czas na ćwiczeniu uderzeń golfowych, z kijem w rękę, jednak nie podnosząc się przy tym

ze skórzanego fotela.

Światło słoneczne ześlizgnęło się z krawędzi tacy i Robert uznał, że czas iść. Teraz mógłby wracać do domu spacerem, w dół High Street, której wschodnia strona wciąż pławiła się w słońcu, a taki spacer wciąż należał do przyjemności, na którą Robert cieszył się z góry. Nie dlatego, że Milford było jakąś miejscowością, w której przyjemnie jest pokazać się. Przeciwnie, na południe od Trent repliki tego miasteczka można by liczyć na setki. Milford jednak w nienatrzętny sposób ucieleśniało zalety życia w Anglii w ciągu ostatnich trzystu lat. Począwszy od starego domu mieszkalnego, który sięgał aż do krawędzi chodnika, stanowiącego siedzibę spółki Blair, Hayward i Bennet, a wzniesionego w ostatnich latach panowania Karola II, High Street łagodnie opadała na południe, oprawiona w georgiańską cegłę, elżbietańskie mury ryglowe¹, wiktoriański piaskowiec, stiuki z czasów regencji, aż po edwardiańskie wille, ukryte w cieniu wiązów na przeciwległym końcu ulicy. Tu i ówdzie, między róż, czerwień, biel i brąz, wepchnęły się fasady wyłożone taflami czarnej glazury i kłuły w oczy, jak dorobkiewicz, który na przyjęciu popisuje się przesadną elegancją; jednak dobre maniery sąsiednich budynków wskazywały tym popisom właściwe miejsce. Nawet świat wielkich interesów obszedł się z miasteczkiem łagodnie. To prawda, że na dole, na południowym krańcu ulicy szkarłat i złoto amerykańskiego domu towarowego roztaczały promienne obietnice i codziennie drażniły od nowa pannę Truelove, która po drugiej stronie ulicy, wspierana ciastkami wypiekаныmi przez siostrę oraz nazwiskiem Anna Boleyn umieszczonym na szyldzie, prowadziła iście elżbietański zabytek, mianowicie sklepik herbaciany. Jednak Westminster Bank, który przystosował do swych potrzeb Weavers' Hall, ograniczył się — z pokorą raczej niecodzienną w tych łupieskich czasach — do delikatnej tylko wzmianki o istnieniu marmuru; Soles zaś, hurtownicy-farmaceuci, którzy usadowili się w starej rezydencji Wisdom,

1 Nazwa częściiej używana w Polsce — „pruski mur”. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

pozostawili fasadę nietkniętą, a więc smukłą, wysoką i jakby wyrażającą zdziwienie.

Była to piękna, ruchliwa, wesoła uliczka, ozdobiona rzędem strzyżonych lip, jakby wyrastających prosto z chodnika. Robert Blair naprawdę ją lubił.

Właśnie wstawał z fotela, kiedy zadzwonił telefon. Jak wiadomo telefony instalowane są po to, by odzywały się w sekretariatach, gdzie podnosi słuchawkę panienka, wypytuje o co chodzi, prosi by uprzejmie poczekać aż „połączy”, potem łączy, i po tym wszystkim można wreszcie porozmawiać z człowiekiem, z którym chciałoby się zamienić parę słów. Tak dzieje się wszędzie, lecz nie w Milford. Coś podobnego w Milford nie byłoby tolerowane. W Milford, jeżeli człowiek wykręca numer Johna Smitha, lub prosi o takie połączenie na pocztę, może liczyć na to, że John Smith odezwie się do niego osobiście. Tak więc kiedy owego wiosennego popołudnia w kancelarii spółki Blair, Hayward i Bennet zadzwonił telefon, to zadzwonił na mahoniowo-mosiężnym biurku Roberta.

Już potem, po wszystkim, Robert często zastanawiał się, co by było, gdyby telefon odezwał się minutę później. W ciągu minuty, w ciągu sześćdziesięciu pozbawionych znaczenia sekund, Robert zdjąłby płaszcz z wieszaka stojącego w hallu, przez uchylone drzwi wetknąłby głowę do pokoju znajdującego się po przeciwległej stronie, powiedziałby panu Heseltine, że wychodzi do domu, potem zaś znalazłby się na dworze w ciepłym, popołudniowym słońcu i ruszyłby w dół ulicy. Telefon odebrałby pan Heseltine i powiedziałby, że Roberta nie ma. Kobieta, która zatelefonowała, odłożyłaby słuchawkę i spróbowałaby dodzwonić się do kogo innego. I wszystko co wydarzyło się później byłoby dla Roberta najwyżej tematem akademickich rozważań.

Telefon zadzwonił jednak w porę; Robert podniósł słuchawkę.

— Pan Blair? — pytanie zostało zadane kontraltem. Robert pomyślał, że ten głos powinien w normalnej sytuacji wyrażać pewność siebie, ale teraz słyhać w nim było pośpiech, a może brak tchu. Och, tak się cieszę, że pana zastałam. Bałam się, że

już pan wyszedł. Pan mnie nie zna. Nazywam się Marion Sharpe. Mieszkam z matką we Franchise, w tym domu przy drodze do Larborough. Wie pan gdzie?

Wiem odpowiedział Blair. Marion Sharpe znał z widzenia, jak wszystkich ludzi z Milford lub z okolicy. Była to szczupła, wysoka, ciemnowłosa kobieta około czterdziestki, nosząca z zamięłowaniem jasne chustki, które podkreślały jej smagłą, cygańską cerę. Jeździła starym, poobijanym autem; pojawiała się w mieście z rana, robiła zakupy, a z tyłu wozu siedziała jej matka, z włosami jak mleko, wyprostowana, delikatna, w jakiś sposób niedopasowana do sytuacji, jakby protestowała w milczeniu. Z profilu stara pani Sharpe wyglądała jak matka z obrazów Whistlera, a kiedy spoglądała na kogoś wprost, kiedy utkwiała w kimś spojrzenie ptasich, zimnych, bladych oczu, wyglądała jak czarownica. Słowem: starsza, nieprzyjemna osoba.

— Pan mnie nie zna — kontynuował głos — ale ja widziałam pana w Milford; pan wydaje się sympatycznym człowiekiem, a ja potrzebuję prawnika. To znaczy potrzebuję zaraz, w tej chwili. Jedyne prawo, z którym miałyśmy do czynienia jest w Londynie, to właściwie jest londyńska kancelaria i w tej chwili to już nie są nasi prawnicy, po prostu odziedziczyłyśmy ich razem ze sprawą spadkową. A teraz znalazłam się w trudnym położeniu, potrzebuję oparcia prawnego i przypomniałam sobie pana; pomyślałam, że może pan...

— Jeżeli chodzi o samochód... — zaczął Robert. W Milford „trudne położenie” oznaczało albo sprawę o ustalenie ojcostwa, albo naruszenie kodeksu drogowego. Ponieważ pierwsza możliwość nie mogła dotyczyć Marion Sharpe, wobec tego chodziło o drugą; zresztą wszystko jedno, ponieważ żadna z tych spraw nie mogła zainteresować spółki Blair, Hayward i Bennet. Pannę Sharpe należało odesłać do Carley’a; był to bystry facet, który urzędował na drugim końcu ulicy. Podczas rozprawy potrafił dać prawdziwy koncert i powszechnie uważany był za adwokata, który mógłby samego diabła z piekła zwolnić za kaucją. („—Zwolnić

za kaucją! ktoś wykrzyknął »Pod Różą i Koroną« pewnego wieczoru. - Stać go na dużo więcej. Pod świadectwem moralności dla Kusego potrafiłby zebrać nasze podpisy, wszystkich, jak tu jesteśmy.”).

— Jeżeli chodzi o samochód...

— Samochód? — była zbita z tropu, jakby w świecie, w którym przebywała, słowo „samochód” należało do ledwie pamiętanych. Ach tak, rozumiem. Nie. Nie. To nie jest sprawa tego rodzaju. To coś znacznie poważniejszego. Tu chodzi o Scotland Yard.

— Scotland Yard!

Dla zrównoważonego prawnika z prowincji, przy tym gentlemana, Scotland Yard był czymś równie egzotycznym jak Xanadu², Hollywood lub spadochroniarstwo. Robert Blair, jako dobry obywatel, pozostawał w doskonałych stosunkach z miejscową policją i na tym kończyły się jego związki ze światem zbrodni. Najściślejszy kontakt, jaki do tej pory udało się Blairowi nawiązać ze Scotland Yardem, polegał na pograniu sobie w golfa z miejscowym inspektorem; był to przyzwoity facet, grający bardzo solidnie, który pewnego razu przy dziewiętnastym dołku pozwolił sobie na delikatną niedyskrecję dotyczącą zawodu.

— Nikogo nie zamordowałam, jeżeli nad tym pan się zastanawia dodała pośpiesznie.

— Ująłbym to inaczej: czy pani nie jest podejrzana o morderstwo? — O co by nie była podejrzana, sprawa należy do Carley’a. Tę kobietę trzeba koniecznie odesłać do Carley’a.

— Nie, to nie ma nic wspólnego z morderstwem. Jestem podejrzana o uprowadzenie. Porwanie, czy coś w tym rodzaju. Nie mogę panu tego wyjaśnić przez telefon.

I w ogóle potrzebuję kogoś natychmiast, więc...

—Widzi pani, sędzę, że nie jestem akurat tym, o kogo pani chodzi — powiedział Robert. — Właściwie nie mam do czynienia z prawem karnym. Moja firma nie jest przygotowana do zajmowania się takimi sprawami. Czło-

2 Miasteczko z poematu *Kubła Khan* (1798) Samuela T. Coleridge’a.

wiek, który mógłby pani pomóc...

—Nie szukam adwokata od spraw karnych. Szukam przyjaciela. Kogoś, kto stanie przy mnie i uchroni od wprowadzenia w błąd. To znaczy powie mi, kiedy mogę nie odpowiadać, jeżeli nie zechcę i tak dalej. Do tego nie potrzeba panu praktyki karnej, prawda?

—Nie, ale pani przyda się raczej kancelaria, która ma obycie w sprawach prowadzonych z udziałem policji. Firma, która...

— O ile rozumiem, usiłuje mnie pan przekonać, że to nie pański numer kołnierzyka, jak to się dzisiaj mówi. Czy o to chodzi?

— Ale skąd — szybko zaprzeczył Robert. — Jestem tylko szczerze przekonany, że byłoby dla pani lepiej, gdyby...

— Wie pan, jak się czuję? — przerwała kobieta.

— Czuje się jak ktoś, kto tonie, nie może wydostać się na brzeg, a pan zamiast podać rękę, pokazuje mi brzeg po drugiej stronie, bo tam podobno łatwiej wypełznąć na ląd.

Na chwilę zapadła cisza.

— Przeciwnie — powiedział Robert. — Chcę pani podsunąć wytrawnego ratownika; zapewniam, że spisze się znacznie lepiej niż taki amator jak ja. Benjamin Carley wie więcej o obronie oskarżonych niż ktokolwiek między Milford a...

— Co takiego! Ten okropny człowieczek w tych prążkowanych garniturach? — niski głos podniósł się, potem załamał, a potem znów zapadła cisza. — Przepraszam — powiedziała po chwili, już panując nad sobą.

— To było niemądre. Proszę jednak zrozumieć: nie dlatego zadzwoniłam do pana właśnie w tej chwili, że umiałby pan sprytnie pokierować sprawą („— Racja, nie umiałbym”

— pomyślał Robert), ale dlatego, że znalazłam się w trudnej sytuacji i potrzebuję rady od człowieka mojego pokroju. Pan zaś na takiego wygląda — Panie Blair, bardzo proszę, niech pan przyjedzie. Potrzebuję pana w tej chwili, zaraz. Tutaj są ludzie ze Scotland Yardu, u mnie w domu. Jeżeli uzna pan, że to sprawa, w którą nie chciałby pan być zamieszany, to może ją pan później komuś przekazać, prawda? Ale też może nie ma tu

niczego, w co mógłby pan być zamieszany. Jeżeli mógłby pan tu przyjechać i przez godzinę „reprezentować moje interesy”, czy jakkolwiek pan to zechce nazwać, to cała sprawa może przestanie istnieć. Jestem przekonana, że to jakieś nieporozumienie. Czy będzie pan tak dobry i zrobi to dla mnie?

Ogólnie rzecz biorąc, Robert Blair pomyślał, że mógłby. Był człowiekiem zbyt dobrego serca, by odmówić jakiegokolwiek gorętszej, a rozsądnie umotywowanej prośbie, ponadto kobieta zostawiała mu furtkę na wypadek, gdyby sprawa okazała się za trudna. Poza tym właśnie uzmysłowił sobie, że nie chce podrzucić jej Benowi Carley’owi. Niezależnie od tych głupich niestosowności na temat prążkowanych garniturów rozumiał punkt widzenia tej kobiety. Jeżeli ktoś coś zmalował i chciał, żeby mu to uszło na sucho, wówczas Carley okazywał się darem niebios; jeżeli jednak było się oszołomionym, miało trudności i było niewinnym, wówczas pełna tupetu, bez mała arogancka osobowość Carley’a mogła okazać się nienajlepszą pomocą.

Mimo to dobrze byłoby mieć powierzchowność trochę bardziej odpychającą, pomyślał odkładając słuchawkę, może Kalwina, albo Kalibana, wszystko jedno, byle by tylko jakieś dziwne stworzenia rodzaju żeńskiego nie szukały zaraz u niego oparcia, kiedy znajdą się w opałach.

Jaki to mógł być rodzaj „porwania”, zastanawiał się obchodząc dom i zмирzając w stronę Sin Lane, po samochód do garażu. Czy angielskie prawo w ogóle zna przestępstwo tego rodzaju? I kogo mogłaby chcieć uprowadzić? Dziecko? Dziecko z widokami na spadek? Wprawdzie dom w pobliżu drogi do Larborough był duży, ale można było odnieść wrażenie, że jego mieszkanki mają bardzo niewiele pieniędzy. A może to było jakieś dziecko ich zdaniem „maltretowane” przez naturalnych opiekunów? Całkiem możliwe. Starsza z kobiet miała twarz fanatyczki, jeżeli Robert w ogóle miał na ten temat coś do powiedzenia, a właściwą oprawą dla urody Marion Sharpe mógłby być płonący stos, gdyby nie to, że stosy wyszły z mody. Tak, prawdopodobnie chodzi tu o jakieś niefortunne przedsięwzięcie dobroczynne. Przetrzymanie „z zamiarem pozbawienia rodziców, opiekunów, etc., należnych im praw”.

Byłoby dobrze, gdyby coś więcej zapamiętał z podręcznika panów Harrisa i Wilshere'a. Nie mógł też przypomnieć sobie tak od razu, czy była to zbrodnia ocierająca się o karę ciężkich robót, czy też jedynie przestępstwo niższego stopnia. „Uprowadzenie wraz z uwięzieniem” nie brukało akt spółki Blair, Hayward i Bennet od grudnia 1798 roku, kiedy to dziedzic Lessows, zresztą aż spęczniały od starego bordeaux, przrzucił przez łąk u siodła młodzietką pannę Greton, porwaną wcześniej z balu w domu rodziców, i odjechał z nią w siną dal; wówczas jednak nie było wątpliwości co do motywów, którymi kierował się szlachetny dziedzic.

No tak, teraz dopiero nabrały rozsądku, ponieważ ich plany pokrzyżował Scotland Yard, i wystraszyły się. Zresztą Scotland Yard trochę zaniepokoił i jego. Czy to dziecko jest aż tak ważne, że musi się nim zajmować Kwaterna Główna?

Jak zwykle za rogiem Sin Lane rozciągał się front, ale tym razem Robertowi udało się wypłatać z udziału w walkach. (Gdyby to kogoś interesowało, etymolodzy twierdzą, że „Sin” jest tylko zniekształconym „sand”³, ale mieszkańcy Milford, rzecz jasna, wiedzą lepiej: zanim na niskich łąkach za miastem gmina wybudowała tanie domy czynszowe, właśnie tamtędy wiodła dróżka do małego zagajnika w High Wood.). Po przeciwnych stronach wąskiej uliczki, w nieustającej wrogości, twarzą w twarz, trwały na posterunku miejscowa wypożyczalnia koni i najnowszy w mieście garaż. Na skutek hałasów dobiegających z garażu płoszyły się konie (tak przynajmniej twierdzono w stajni), stajnia zaś nieustannie tarasowała uliczkę dostawami słomy, paszy, i czego tam jeszcze, w każdym razie takie oświadczenie wystosował garaż). Co więcej, garaż prowadzili Bili Brough, niegdyś Służby Inżynieryjne Armii, oraz Stanley Peters, niegdyś Królewski Korpus Łączności; wobec czego stary Matt Ellis, niegdyś Gwardia Królewskich Dragonów, widział w nich zarówno przedstawicieli tego pokolenia, które zniszczyło kawalerię, jak i po prostu zakały cywilizacji.

Robert skłaniał się do słuchania kawaleryjskiej wersji

³Gra słów: *sin* – grzech, *sand* – piasek; *lane* – uliczka.

wydarzeń zimą, kiedy polował; przez resztę roku chłonał poglądy Królewskiego Korpusu Łączności, a tymczasem samochód Roberta był myty, smarowany, tankowany i wyprowadzany przed bramę. Tego dnia Łączność chciała się dowiedzieć, na czym polega różnica między potwarzą a zniesławieniem, oraz kiedy mamy do czynienia, ale ściśle, z publicznym poniżeniem godności osobistej. I czy publiczne poniżenie godności osobistej zachodzi wówczas, kiedy, dajmy na to, jeden facet powie o drugim „ten blaszak”, potem zaś doda, że „blaszak tyle wie co zje”?

—Nie mam pojęcia, Stan. Muszę to przemyśleć — śpiesznie powiedział Robert i nacisnął starter. Odczekał, aż trzy sfatygowane szkapy ze stajennym i parą grubych dzieci na grzbietach doczłapią pod stajnię, na czym zakończy się popołudniowa przejażdżka młodzieży („— Teraz pan rozumie, co mam na myśli” - dobiegający z tyłu głos Stanley’a stanowił uzupełnienie obrazka), a potem skręcił w High Street.

W miarę jazdy na południe High Street sklepy ustępowały miejsca domom mieszkalnym, których drzwi otwierały się wprost na chodnik, te zaś domy ustępowały miejsca innym, cofniętym już o krok, z wejściami ozdobionymi portykiem, potem zaś pojawiały się wille otoczone drzewami i ogrodami, by w końcu ustąpić miejsca polom i otwartej przestrzeni.

Były to strony rolnicze, kraina niekończących się pól uprawnych ogrodzonych żywopłotami, w której niewiele było domostw. Kraj bogaty, ale naznaczony samotnością, który można przemierzać mila za milą nie spotykając żywej duszy; spokojny, pewny siebie i niewzruszony, jakby wciąż jeszcze trwała Wojna Dwóch Róż, pola otoczone żywopłotem następowały jedno po drugim, widnokrąg wynurzał się za widnokregiem, a rytm krajobrazu nie zmieniał się. Tylko słupy telegraficzne zdradzały o jakie tu chodzi stulecie.

Daleko za horyzontem leżało Larborough. Larborough to były rowery, fabryka lekkiej broni, konserwy, Żurawinowy Sos Cowana i milion istot ludzkich stłoczonych jak śledzie w brudnych domach z czerwonej cegły; co pewien czas fale tych

ludzi wylewały się poza granice miasta, powodowane atawistyczną tęsknotą do ziemi i zieleni. Jednak hrabstwo Milford nie przyciągało tego gatunku, który prócz ziemi i zieleni szukał również herbaciarni i restauracyjek; kiedy w Larborough nastawał dzień wolny od pracy całe miasto, jak jeden mąż, ruszało ku wzgórzom i morzu, na zachód, wobec tego wielka połać na północy i wschodzie pozostawała odludna, cicha i niezaśmiecona, taka sama jak pod słońcem Yorków i Lancasterów. Była „nudna” i tej pogardliwej opinii zawdzięczała ocalenie.

Dwie mile za Milford w stronę Larborough znajdował się dom znany jako Franchise, ulokowany w sąsiedztwie drogi tak bezsensownie, jakby chodziło o budkę telefoniczną. W ostatnich latach Regencji ktoś kupił kawałek ziemi znany jako The Franchise ⁴, na środku postawił biały, płaski dom, a następnie otoczył całą parcelę masywnym, wysokim, ceglany murem; wielka brama widniała od strony drogi, a jej skrzydła sięgały górnej krawędzi muru. Brakowało tu jakiegokolwiek związku z sąsiedztwem, na zapleczu nie było żadnych zabudowań gospodarczych, nie było też żadnych bocznych bram, nawet takich, które by wychodziły na przyległe pola. Stajnię zbudowano, zgodnie z ówczesnym zwyczajem, na tyłach domu, również wewnątrz ogrodzenia. Zabudowania wydawały się tak nieodpowiednie, tak wyizolowane, jakby to była zabawka porzucona przez dziecko przy drodze. Jak daleko Robert sięgał pamięcią, zawsze mieszkał tam stary mężczyzna, może nawet wciąż ten sam, ponieważ jednak mieszkańcy Franchise robili zakupy w Ham Green, wiosce bliższej Larborough, nigdy nie spotykało się ich w Milford. Odkąd zaś Marion Sharpe i jej matka stały się częścią obrazka pod tytułem „poranne zakupy w Milford” uznano, że stary mężczyzna widocznie umarł, one zaś odziedziczyły po nim Franchise.

Robert usiłował przypomnieć sobie, kiedy się pojawiły. Trzy

⁴ *Franchise* – koncesja, przywilej lokacyjny lub dzierżawny; polskim odpowiednikiem może być „wola”, w dawniejszym znaczeniu, które występuje w nazwach wsi czy miast.

lata temu? Cztery?

Nie stały się częścią towarzystwa w Milford i nie kryło się za tym nic dziwnego. Stara pani Warren, która pierwszą, z ocienionych więzami willi przy końcu High Street kupiła, drobiazg, dwadzieścia pięć lat temu — w nadziei, że klimat Milford okaże się lepszy od morskiego, jeżeli chodzi o reumatyzm — wciąż była uważana za „tę panią z Weymouth” (przypadkiem było to zresztą Swanage).

Ponadto panie Sharpe być może nie szukały kontaktów towarzyskich. Wytworzyły szczególną atmosferę, mianowicie samowystarczalności. Młodszą z nich, córkę, Robert widział raz czy dwa razy na polu golfowym, jak grała (zapewne jako gość klubu) z doktorem Borthwickiem. Wybijała, po męsku, długie piłki a ułożenie opalonych przegubów zdradzało pierwszorzędną szkołę. I to wszystko, co wiedział o niej Robert.

Kiedy przed wysoką, żelazną bramą zatrzymał samochód, zauważył, że stały tam już dwa inne wozy. Jeżeli chodzi o bliższy wystarczył zaledwie rzut oka, by go zidentyfikować; był do tego stopnia zadbany, nie narzucający się, dyskretny. Wysiadając Robert zastanawiał się, w jakim jeszcze kraju na świecie policja zadaje sobie tyle trudu, by okazywać dobre maniery i nie siać zamieszania.

Zerknął na drugi wóz, dalszy, i zobaczył, że to auto Hallama, miejscowego inspektora, tego samego, który na polu golfowym wyróżniał się solidnością gry.

W policyjnym samochodzie siedziały trzy osoby: kierowca, i — z tyłu — kobieta w średnim wieku oraz ktoś, kto mógł być albo dzieckiem, albo młodziutką dziewczyną.

Kierowca zwrócił w stronę Roberta powolne, jakby nieobecne, wszyskkowidzące spojrzenie policjanta, a potem odwrócił oczy; twarzom na tylnym siedzeniu Robert nie zdążył się przyjrzeć.

Brama była zamknięta — Robert nie przypominał sobie, by kiedykolwiek było inaczej — pchnął więc ciężkie skrzydło, szczerze zaciekawiony. Pierwotnie bramą były ozdobne kraty na zawiasach, ale wiktoriańskie zamiłowanie do prywatności

spowodowało, że kraty pokryto płaskimi, stalowymi płytami, a mur był za wysoki, żeby cokolwiek za nim zobaczyć, tak więc, jeżeli nie liczyć dachu i widocznych z daleka kominów, Robert nigdy nie widział Franchise.

Pierwszym wrażeniem był zawód. Widok, który się otworzył, nie przedstawiał „domu nadgryzionego zębem czasu” (choć czas tu zrobił swoje, fakt); w oczy rzucała się czysta brzydota. Albo dom zbudowano za późno, by zdołał zachować wdzięk epoki. Albo też architekta cechował brak wyczucia. Posłużył się stylem epoki, ale z pewnością nie miał go we krwi. Wszystko było trochę nie tak; w proporcjach okien tkwił błąd rzędu pół stopy, okna były umieszczone nie tam gdzie trzeba, drzwi miały nieodpowiednią szerokość, stopnie prowadzące do nich nieodpowiednią wysokość. Skutek był taki, że dom nie budził zadowolenia ani nie koił, jak przystało jego czasom. Spoglądał twardo. Wrogo i badawczo. Robert idąc przez podwórko w stronę drzwi, które wcale nie zapraszały życzliwie do środka, uświadomił sobie, co przypomina mu ten dom: psa, którego obudziło nagle przybycie obcych, mocno opartego na przednich łapach i przez chwilę wahającego się czy tylko zaszczekać, czy napaść. Dom wyrażał to samo co chciałby wyrazić pies: „czego-tu-chcesz?”

Drzwi otworzyły się zanim zdążył zadzwonić; nie stała w nich pokojówka, lecz Marion Sharpe.

— Widziałem jak pan nadchodzi — powiedziała i podała mu rękę. — Nie chciałam, żeby pan dzwonił, ponieważ matka kładzie się popołudniu i mam nadzieję, że uda nam się załatwić całą sprawę nim się obudzi. Nigdy nie powinna się o niej dowiedzieć. Nie potrafię powiedzieć jaka jestem panu wdzięczna za to, że pan przyszedł.

Robert mruknął coś w odpowiedzi i zauważył, że jej oczy, które, jak sądził, powinny być czarne, cygańskie, miały w rzeczywistości delikatny, orzechowy kolor. Poprowadziła go do hallu, gdzie spostrzegł, kładąc kapelusz na komodzie, że leżący na podłodze dywan jest przetarty.

— Prawo zechciało się ulokować tutaj — powiedziała

otwierając drzwi i wprowadzając Roberta do salonu. Robert miał zamiar porozmawiać z nią przez chwilę sam na sam, by chociaż trochę zorientować się, a teraz było już za późno. Najwyraźniej Marion Sharpe zamierzała poprowadzić sprawę właśnie w ten sposób.

Na brzegu krzesła ozdobionego astragalowym ornamentem siedział onieśmielony Hallam. Pod oknem zaś usadowił się Scotland Yard, w osobie szczupłego, młodzieńczo wyglądającego mężczyzny, ubranego w doskonały garnitur i czującego się na bardzo zgrabnym fotelu Hepplewhite⁵ jak u siebie w domu.

Robert i Hallam skinęli ku sobie głowami.

— A więc zna pan inspektora Hallama — powiedziała Marion Sharpe. — To zaś jest starszy inspektor Grant z Kwatery Głównej.

Robert zwrócił uwagę na ową „kwaterę główną” i zdziwił się. Czy panna Marion miała już do czynienia z policją, czy też po prostu nie lubiła sensacyjnie brzmiącego skrót „Yard”?

Grant przywitał się i powiedział:

— Cieszę się, że pan przyszedł, panie Blair. Nie tylko ze względu na pannę Sharpe, ale i ze względu na mnie.

— Na pana?

Byłoby mi niezręcznie prowadzić postępowanie, gdyby panna Sharpe nie miała jakiegoś oparcia, przynajmniej przyjacielskiego, ale tym lepiej, jeżeli to jest wsparcie prawne.

— Rozumiem. A o co pan ją oskarża?

— Nie oskarżamy jej o nic... — zaczął Grant, lecz Marion przerwała mu.

— Jestem podejrzana o uprowadzenie i pobicie.

— Pobicie? — Robert osłupiał.

— Owszem powiedziała Marion takim tonem jakby zasmakowała w potwornościach. - Zbicie jej na kwaśne jabłko.

— Jej?

— To dziewczyna. Siedzi teraz w samochodzie, przed bramą.

⁵ Styl mebli, z końca XVIII wieku.

Myślę, że będzie najlepiej, kiedy zaczniemy od początku — powiedział Robert usiłując zachować równowagę.

Może to ja spróbuję wszystko wyjaśnić — miękko odezwał się Grant.

— Ależ tak — powiedziała panna Sharpe — proszę. W końcu to pańska opowieść.

Robert był ciekaw, czy Grant zdaje sobie sprawę z kpiny. Trochę też intrygowała go zimna krew, dzięki której panna Sharpe mogła pokpiwać ze Scotland Yardu, rozsiadającego się na jednym z jej najlepszych foteli. Kiedy telefonowała, w jej głosie nie czuło się chłodu; można w nim było usłyszeć niemal desperację, oddech ściganego. Może teraz dodawała jej odwagi obecność sojusznika, a może po prostu już ochłonęła.

— Tuż przed Wielkanocą — zaczął Grant, w zwięzłym, policyjnym stylu — dziewczyna nazwiskiem Elisabeth Kane, która wraz z opiekunami mieszka w pobliżu Aylesbury, wyjechała do Mainshill na przedmieściu Larborough, by podczas ferii spędzić tam kilka dni u ciotki i jej męża. Pojechała autobusem, ponieważ autobusy na trasie Londyn-Larborough przejeżdżają zarówno przez Aylesbury, jak i Mainshill; tak więc dziewczyna powinna była wysiąść w Mainshill i po trzech minutach znaleźć się u ciotki, zamiast nadkładać drogi, jechać najpierw do Larborough, potem wracać przez całe miasto, a tak by to wyglądało, gdyby wybrała się pociągiem. Mniej więcej po tygodniu jej opiekunowie — małżeństwo nazwiskiem Wynn — otrzymali od niej pocztówkę z wiadomością, że u ciotki bardzo jej się podoba, i że zostanie dłużej. Zrozumieli to w ten sposób, że Elisabeth zostanie u ciotki do końca ferii, czyli jeszcze przez trzy tygodnie. Kiedy w przeddzień zajęć szkolnych nie pojawiła się, byli przekonani, że postanowiła urządzić sobie wagary, wobec czego napisali do ciotki, by odesłała dziewczynę. Ciotka zaś, zamiast pobiec do najbliższej budki telefonicznej lub do okienka telegraficznego powiadomiła Wynnów listownie, że siostrzenica wyjechała z powrotem do Aylesbury już dwa tygodnie temu. Lwią część kolejnego tygodnia pochłonęła wymiana listów, tak więc, zanim

opiekunowie zjawili się na policji, upłynęły trzy tygodnie od zaginięcia dziewczyny. Policja podjęła zwykle w takim wypadku działania, ale zanim sprawy nabrały rozpędu, dziewczyna odnalazła się. Późną nocą zjawiła się w domu, pod Aylesbury, miała na sobie tylko buty, sukienkę, i nic więcej, i była kompletnie wyczerpana.

— Ile ma lat?

— Piętnaście, prawie szesnaście — Grant przez chwilę czekał, na wypadek gdyby Robert chciał zadać następne pytania, a potem ciągnął dalej. (Jak prawnik z prawnikiem, pomyślał Robert z uznaniem; oto styl bycia, który pasuje do samochodu, taktownie zaparkowanego za bramą.) — Powiedziała, że została „porwana” samochodem i to było wszystko, czego można się było od niej dowiedzieć w ciągu dwóch dni. Zapadła w stan półświadomości. Mniej więcej po czterdziestu ośmiu godzinach, kiedy wydobrzała, zaczęli wydobywać z niej całą historię.

— „Zaczęli”?

— Wynnowie. Oczywiście, chciała to zrobić policja, ale dziewczyna na jakąkolwiek wzmiankę o policji dostawała napadów histerii, więc trzeba się było wszystkiego dowiedzieć z drugiej ręki. Opowiedziała, że na skrzyżowaniu w Mainshill, kiedy czekała na autobus do domu, zatrzymał się przy krawężniku samochód, w którym siedziały dwie kobiety. Młodsza, za kierownicą, zapytała, czy dziewczyna czeka na autobus i czy chciałaby, żeby ją podwieźć.

— Dziewczyna była sama?

— Tak.

— Dlaczego? Nikt jej nie odprowadzał?

— Wuj był w pracy, a ciotka na chrzcinach, jako chrzestna matka. Grant znowu przerwał, umożliwiając zadanie dalszych pytań, gdyby Robert tego zechciał. — Dziewczyna odrzekła, że czeka na autobus do Londynu, one zaś powiedziały, że już odjechał. Uwierzyła, ponieważ przyszła na przystanek tuż przed godziną odjazdu, a jej zegarek nie należał do szczególnie punktualnych. W gruncie rzeczy przestraszyła się, że jest za późno, zanim jeszcze zatrzymał się przy niej ten

samochód. Martwiła się, bo dochodziła czwarta, ściemniło się i zaczęło padać. Kobiety w samochodzie były bardzo miłe, proponowały, że podwożą ją do miejsca, którego nazwy dziewczyna już nie pamięta, skąd podobno za pół godziny mogłaby pojechać do Londynu innym autobusem. Wobec tego z wdzięcznością przyjęła zaproszenie i wsiadła do samochodu, na tylne siedzenie, obok starszej kobiety.

Robert bezwiednie wyobraził sobie panią Sharpe z tyłu samochodu, jak zwykle wyprostowaną i groźną. Zerknął w stronę Marion, ale jej twarz wyrażała spokój. Słyszała już tę opowieść.

— Podczas jazdy deszcz zalewał szyby, a dziewczyna opowiadała o sobie starszej z kobiet, tak więc prawie nie zwracała uwagi na to, gdzie jadą. Kiedy wreszcie zainteresowała się okolicą, było już ciemno; wydawało jej się, że jazda trwa dłuższy czas. Powiedziała więc coś w tym rodzaju, że podwożenie i aż takie nadkładanie drogi to nadzwyczajna uprzejmość, a tymczasem młodsza z kobiet, która odezwała się pierwszy raz, powiedziała, że nie nadkładają drogi, po prostu tak się złożyło, i że dziewczyna mogłaby wpaść do nich na chwilę, wypić filiżankę czegoś gorącego, zanim podjadą na przystanek. Dziewczynę ogarnęły wątpliwości, ale młodsza z kobiet powiedziała, że nie ma sensu stać na deszczu i czekać, kiedy w ciągu tych samych dwudziestu minut można coś zjeść w suchym i ciepłym miejscu: dziewczyna uznała to za rozsądne. Wkrótce młodsza kobieta wysiadła, otworzyła coś, co wydawało się bramą przed podjazdem, potem zaś samochód zajechał przed dom; było zbyt ciemno, by mogła go opisać. Zaprowadzono ją do wielkiej kuchni...

— Do kuchni? powtórzył Robert.

— Tak, do kuchni. Starsza z kobiet postawiła na blasze kawę, a młodsza kroїła kanapki. „Kanapki bez górnej części”, jak opisała je dziewczyna.

— Jak na kontynencie?

— Właśnie. Podczas kiedy jadły i piły młodsza z kobiet zdradziła jej, że właśnie nie mają służącej i zapytała, czy

dziewczyna przez pewien czas nie podjęła aby się u nich tego zajęcia. Elisabeth odpowiedziała, że nie. Kobiety nalegały, ale stanowczo obstawała przy swoim; nie miała zamiaru zostawać służącą. Tymczasem twarze kobiet stawały się zamglone, niewyraźne, kiedy zaś zaproponowały, żeby przynajmniej weszła na górę i zobaczyła, jaka ładna sypialnia czekałaby na nią. Była zbyt zamroczona, by sprzeciwić się w jakikolwiek sposób. Pamięta, że pierwsze skrzydło schodów pokrywał chodnik, na drugim zaś czuła pod stopami „coś twardego” i to już wszystko co zapamiętała; obudziła się w dzień, na niskim, składanym łóżku, w maleńkiej mansardzie o gołych ścianach. Miała na sobie tylko halkę, po reszcie ubrania nie zostało ani śladu.

Drzwi były zamknięte na klucz, zamknięte było też małe, okrągłe okienko. W każdym razie...

— Okrągłe okienko! — w głosie Roberta zabrzmiał niepokój.

Tym razem odezwała się Marion:

— Tak — powiedziała — właśnie okrągłe okno w dachu.

Przed kilkoma minutami, zanim Robert przekroczył próg, ostatnia uwaga, która przemknęła mu przez myśl, dotyczyła właśnie okrągłego okna, wyjątkowo brzydko umieszczonego w dachu. Teraz nie miał pojęcia jak odnieść się do tego spostrzeżenia. Grant odczekał uprzejmie chwilę, potem ciągnął dalej.

— Wkrótce młodsza z kobiet przyniosła miskę z owsianką. Dziewczyna nie chciała jeść, zażądała ubrania i wypuszczenia. Na co kobieta odparła, że głód zmusi dziewczynę do jedzenia i wyszła, zostawiając owsiankę. Dziewczyna została sama aż do wieczora, kiedy znów ta sama kobieta przyniosła na tacy herbatę i świeże ciasto; zaczęła namawiać dziewczynę, by przyjęła służbę przynajmniej na próbę. Dziewczyna znowu odmówiła i, według jej słów, całymi dniami na zmianę trwało albo przymilanie się, albo dręczenie, w wykonaniu albo jednej, albo drugiej z kobiet. Wreszcie dziewczyna doszła do wniosku, że gdyby wybiła okienko, mogłaby wypełznąć na zewnątrz, na dach

ograniczony obramowaniem i stamtąd mogłaby zwrócić na siebie uwagę jakiegoś przechodnia czy dostawcy. Niestety, jedynym narzędziem, którym mogła się posłużyć było krzesło; zaledwie udało się jej wybić szybę, kiedy zjawiała się młodsza z kobiet i z furią wszystko udaremniła. Wyrwała dziewczynie krzesło i tłukła ją tym krzesłem do utraty tchu. Wreszcie wyszła, zabierając krzesło; dziewczyna pomyślała, że na tym koniec. Ale kobieta wróciła po chwili z czymś, co przypominało pejcz na psa i zaczęła dziewczynę bić, póki ta nie zemdląca. Nazajutrz starsza kobieta pojawiła się z naręczem pościeli i powiedziała, że jeżeli dziewczyna nie chce pracować, to przynajmniej może szyć. Nie będzie szyła, nie będzie jadła. Elisabeth była zbyt obita, by szyć i rzeczywiście, nic nie dostała do jedzenia. W dzień później usłyszała groźby, że znów czeka ją bicie, jeżeli nie weźmie się za igłę. Tak więc naprawiła kilka sztuk pościeli i dostała na kolację coś gorącego. Tak to trwało pewien czas; jeżeli zrobiła za mało, albo szycie wypadło źle, była bita albo głodowała. Któregoś wieczora starsza z kobiet jak zwykle rzuciła jej miskę czegoś gotowanego i wyszła, nie zamknęła jednak drzwi na klucz. Dziewczyna myślała, że to pułapka, która skończy się następnym biciem, czekała więc, aż w końcu zaryzykowała. Wyszła przed drzwi. Znikąd nie dobiegał żaden odgłos, zbiegła więc po tej części schodów, na której nie było chodnika. Potem w dół, do następnego podestu. Teraz usłyszała, że kobiety rozmawiają w kuchni. Przekradła się przez ostatni bieg schodów i rzuciła do drzwi. Były otwarte. Wybiegła w ciemności tak jak stała.

— W halce? zapytał Robert.

— Zapomniałem powiedzieć, że bielizna została wymieniona na sukienkę, jej własną. Poddasze było nieogrzewane i w samej tylko halce dziewczyna zapewne nie przeżyłaby chłodu.

— Jeżeli w ogóle była na jakimś poddaszu — powiedział Robert.

— Właśnie, jeżeli w ogóle była na jakimś poddaszu — zgodził się inspektor. I nie robiąc tym razem pauzy

podyktowanej uprzejmością podjął opowiadanie. — Dziewczyna niewiele pamięta z tego, co wydarzyło się potem. Jak twierdzi, po ciemku uszła spory kawał. Wydawało jej się, że idzie gościńcem, ale nie było na nim żadnego ruchu, nikogo też nie spotkała. Wreszcie w jakiś czas potem, już na głównej drodze, dostrzegł ją w światłach kierowca ciężarówki i zatrzymał się, by podwieźć. Była tak zmęczona, że natychmiast zasnęła. Zbudziła się, kiedy zszedł ją na pobocze. Kierowca śmiał się i mówił, że dziewczyna przypomina szmacianą lalkę, w której zabrakło już pakuł. Wciąż wydawało się, że to noc. Kierowca powiedział, że dojechali do miejsca, w którym kazała się wysadzić, i ruszył dalej. Po chwili rozpoznała skrzyżowanie. Miała przed sobą niecałe dwie mile. Zegar gdzieś wybił jedenastą. Dotarła do domu tuż przed północą.

2

Przez chwilę panowała cisza.

— To ta dziewczyna, która w tej chwili siedzi w samochodzie przed brama? zapytał Robert.

Tak.

— Przypuszczam, że miał pan powody, by ją tu przywieźć.

— Kiedy dziewczyna doszła do siebie, udało się ją nakłonić, żeby całą tę historię opowiedziała policji. Został sporządzony stenogram, a potem dziewczyna przeczytała i podpisała maszynopis. W tym oświadczeniu znajdowały się dwie wskazówki, które do pewnego stopnia pomogły policji. Oto jak brzmią oba istotne fragmenty:

„Kiedy jechałyśmy już pewien czas, minął nas autobus, na którym świecił się napis MILFORD. Nie, nie wiem gdzie leży Milford. Nie, nigdy tam nie byłam.”

— To pierwszy fragment. A teraz drugi:

„Z okna na poddaszu mogłam zobaczyć wysoki, ceglany mur z wielką, żelazną bramą na środku. Za murem, na zewnątrz, biegła droga; mogłam zobaczyć słupy telegraficzne.

Nie, nie mogłam dostrzec ruchu, mur był za wysoki. Najwyżej wierzch ciężarówki od czasu do czasu. Nie można było niczego zobaczyć przez bramę, ponieważ była wyłożona od środka stalowymi płytami. Po wewnętrznej stronie bramy podjazd biegł prosto, a potem dzielił się na dwoje, tworząc pętlę podchodzącą aż pod wejście. Nie, nie było ogrodu, tylko trawnik. Tak, strzyżony trawnik, tak mi się zdaje. Nie, nie przypominam sobie żadnych krzaków, tylko trawę i ścieżki.”

Grant zamknął notes, z którego czytał.

— O ile nam wiadomo, a przeprowadziliśmy poszukiwania, między Larborough a Milford żaden dom nie odpowiada opisowi przedstawionemu przez dziewczynę; żaden, z wyjątkiem Franchise. Więcej, Franchise odpowiada opisowi we wszystkich szczegółach. Kiedy dziewczyna zobaczyła dzisiaj mur i bramę, była pewna, że to miejsce, o które chodzi; jednak po tej stronie bramy niczego jeszcze, rzecz jasna, nie widziała. Najpierw musiałem wyjaśnić sprawę panie Sharpe i zapytać, czy zechce zgodzić się na konfrontację. A panna Sharpe bardzo słusznie zwróciła uwagę, że powinno się to odbyć formalnie, w obecności świadka.

— Czy dziwi się pan teraz, że prosiłam o pomoc w takim pośpiechu? zwróciła się Marion do Roberta.

— I czy wyobraża pan sobie bardziej koszmarny nonsens?

— Niewątpliwie opowiadanie dziewczyny jest bardzo dziwną mieszaniną; to i absurdy, i fakty. Wiem, że trudno dzisiaj o pomoc domową — mówił Robert — ale czy ktokolwiek może spodziewać się, że zaangażuje służącą w ten sposób, że ją uwięzi, już nie mówiąc o biciu i głodzeniu?

— Rzecz jasna, nikt przy zdrowych zmysłach — zgodził się Grant, uporczywie patrząc Robertowi w oczy, co powstrzymało Roberta od zerknięcia na Marion Sharpe.

— Ale proszę mi wierzyć, że w ciągu pierwszych dwunastu miesięcy spędzonych w policji musiałem przejść przez tuzin spraw znacznie bardziej nieprawdopodobnych. Osobliwości ludzkiego postępowania nie znają granic.

— Nie przeczę; jednak to bardzo prawdopodobne, że osobliwość tkwi w postępowaniu dziewczyny. Mimo wszystko

to od niej biorą początek sprawy budzące zdziwienie. To ona jest osobą, która zniknęła na...?

— Miesiąc — odpowiedział Grant.

— Na miesiąc; a nic nie wiadomo o tym, że coś zmieniło się w tym czasie w zwykłym trybie życia we Franchise. Czy nie ma możliwości wykazania alibi panny Sharpe, jeżeli chodzi o dzień budzący wątpliwości?

— Nie ma — odezwała się Marion Sharpe. — Ten dzień, jak przedstawia to inspektor, to 28 marca. Spory kawał czasu, a tutaj dni różnią się od siebie niewiele, jeżeli w ogóle się różnią. To po prostu niemożliwe, żebyśmy pamiętały, co robiłyśmy 28 marca, a również bardzo mało prawdopodobne, żeby ktokolwiek jeszcze mógł sobie coś przypomnieć, jeżeli o nas chodzi.

— A służąca? — podsunął Robert. — Czasem służba umie zadziwiająco rejestrować codzienne życie.

— Nie mamy służącej odpowiedziała Marion.

Byłoby ją trudno tu utrzymać; Franchise znajduje się na odludziu.

Zapadła cisza budząca zakłopotanie, Robert pośpieszył więc z następną kwestią.

— Ta dziewczyna... Mówiąc nawiasem, nie wiem jak się nazywa...

— Elisabeth Kane; na codzień Betty Kane.

— Racja, już pan mówił. Przepraszam. Ta dziewczyna... Czy moglibyśmy się o niej czegoś dowiedzieć? Przypuszczam, że policja przyjrzała jej się, zanim tak poważnie potraktowała oświadczenie. Na przykład, dlaczego opiekunowie, a nie rodzice?

— Betty jest sierotą z czasów wojny. Została ewakuowana w okolice Aylesbury jako małe dziecko. Była jedynaczką i została zakwaterowana u Wynnów, którzy mieli chłopca starszego o cztery lata. Mniej więcej w rok później jej rodzice zginęli w tym samym, tak to nazwijmy, wypadku, Wynnowie zaś zatrzymali ją bardzo chętnie; zawsze chcieli mieć córkę i bardzo lubili dzieci. Dziewczyna traktuje Wynnów jak rodziców, ponieważ własnych ledwie pamięta.

— Rozumiem. A przeszłość?

— Nienaganna. Bardzo spokojna dziewczyna, pod każdym względem. W szkole dobra, chociaż nie wybija się. Nie było z nią żadnych kłopotów, w szkole, czy poza szkołą. „Na wskroś prawdomówna”, takiego zwrotu użyła jej wychowawczyni.

— Kiedy w końcu zjawiała się w domu, czy można było zobaczyć jakieś ślady bicia, o którym opowiadała?

— Tak, były bardzo wyraźne. Lekarz domowy Wynnów oglądał je nazajutrz, wcześniej rano i w jego orzeczeniu można przeczytać, że została pobita, a obszar obrażeń jest rozległy. Rzeczywiście, niektóre ślady były widoczne znacznie później, jeszcze kiedy składała u nas oświadczenie.

— Nie cierpi na epilepsję?

— Nie; braliśmy to pod uwagę od początku dochodzenia. Chciałbym powiedzieć, że Wynnowie są bardzo rozsądnymi, ale i wrażliwymi ludźmi. Byli ogromnie przygnębieni, ale też nie robili dramatu, ani też nie pozwolili, żeby dziewczyna stała się przedmiotem nadmiernego zainteresowania, czy litowania się. Odnieśli się do tego w sposób godny podziwu.

— I zapewne ja również, patrząc z mojej strony, powinnam to potraktować z tym samym dystansem, godnym podziwu — powiedziała Marion Sharpe.

— Proszę zrozumieć mój punkt widzenia, panno Sharpe. Dziewczyna nie tylko opisała dom, w którym była przetrzymywana, opisała również obie mieszkanki, i opisała je bardzo dokładnie. „Szczupła, starsza kobieta z rzadkimi, białymi włosami, bez kapelusza, ubrana na czarno, oraz kobieta znacznie młodsza, szczupła i wysoka, ciemnowłosa jak Cyganka, bez kapelusza, z jasną jedwabną chustką na szyi”.

— No tak. Nie myślę tu nic wyjaśniać, ale rozumiem pana punkt widzenia. A teraz sądzę, że najlepiej będzie sprowadzić tę dziewczynę. Chciałabym jednak przedtem powiedzieć...

Drzwi otwarły się bezgłośnie, a w progu stanęła stara pani Sharpe. Krótkie kosmyki białych włosów sterczały wokół głowy, tak jak przygniotła je poduszka; bardziej niż kiedykolwiek przypominała czarownicę.

Zamknęła za sobą drzwi i ze złośliwym zainteresowaniem

dokonała oględzin zgromadzenia.

— Hoho! — w końcu wydała z siebie odgłos przypominający gardłowe gdakanie. — Trzech obcych mężczyzn!

— Mama pozwoli, że ich przedstawię — powiedziała Marion, a przybysze wstali. — To jest pan Blair, z firmy Blau Hayward i Bennet; tej, która ma ten ładny dom na górze High Street.

Robert uklonił się, a kobieta utkwiała w nim ptasi wzrok.

Trzeba wymienić na nim dachówkę — powiedziała.

Rzeczywiście, przyznał w duchu Robert, który jednak nie spodziewał się takiego przywitania.

Pocieszył się trochę, kiedy przywitanie Granta wypadło jeszcze mniej konwencjonalnie. Daleka od zdenerwowania czy chociażby przejęcia się obecnością Scotland Yardu w jej własnym salonie, rzuciła jedynie uwagę, oschłym głosem: — Nie powinien pan siadać na tym krześle; jest pan za ciężki.

Kiedy córka przedstawiła jej miejscowego inspektora, matka poświęciła mu rzut oka, obróciła w jego stronę głowę może o cal, a następnie, w sposób doskonale widoczny, zrezygnowała z uwzględniania jego obecności. Sądząc po wyrazie twarzy Hallam był zdruzgotany.

Grant spojrział pytająco na pannę Sharpe.

— Ja opowiem — odrzekła. — Mamo, pan inspektor życzy sobie, żebyśmy zobaczyły pewną dziewczynę, która czeka w samochodzie przed bramą. Zniknęła na miesiąc z domu, w pobliżu Aylesbury, a kiedy zjawiała się z powrotem, w opłakanym stanie, opowiedziała, że była więziona przez ludzi, którzy chcieli zrobić z niej służącą. Kiedy odmówiła, trzymali ją w zamknięciu, bili i głodzili. Miejsce i ludzi opisała drobiazgowo, i okazuje się, że ty i ja znakomicie odpowiadamy opisowi, tak jak i nasz dom. Tu sugeruje się, że była więziona na naszym poddaszu, tym z okrągłym okienkiem.

— Nadzwyczaj interesujące — oświadczyła stara dama, bez pośpiechu siadając na sofie; był to tym razem empire. — A czym też to byłyśmy osobę?

— Zrozumiałam, że pejcem na psy.

— A czy mamy jakiś pejcz na psy?

— Zdaje się, że mamy jakieś lonże. W razie czego mogłyby służyć do bicia. Jednak rzecz w tym, że inspektor chciałby, żebyśmy spotkały się z tą dziewczyną, tak, by mogła powiedzieć, czy jesteśmy osobami, które ją uwięziły, czy nie.

— Czy ma pani coś przeciw temu, pani Sharpe? zapytał Grant

— Przeciwnie, panie inspektorze. Z niecierpliwością czekam na spotkanie. Zapewniam pana, że nie każdego wiosennego popołudnia zdarza mi się położyć jako starej, głupiej kobiecie, a wstać w roli potencjalnego potwora.

— Wobec tego, jeżeli pani pozwoli, przyprowadzę tutaj...

Hallam poruszył się, ofiarując usługi posłańca, ale Grant pokręcił głową. Było jasne, że chce być przy tym, kiedy dziewczyna po raz pierwszy spojrzy na to, co znajduje się za bramą.

Kiedy inspektor wyszedł, Marion Sharpe wytłumaczyła matce obecność Blaira. — Z pana strony było to niezwykle uprzejme, że zechciał zjawić się tutaj po tak pośpiesznym przedstawieniu sprawy, niemal zaraz — dodała jeszcze, a Robert znów poczuł napór tych błyszczących, bladych, starych oczu. Jego zdaniem stara pani Sharpe była najzupełniej zdolna do tego, by między śniadaniem a lunchem zabić siedem różnych osób, dowolnego dnia między poniedziałkiem a niedzielą.

Usłyszał jej antypatyczny głos:

— Cieszy się pan moją sympatią, panie Blair.

— Dlaczego, proszę pani?

— Ponieważ sprawy właściwe dla Broadmoor nieco odbiegają od pańskich zainteresowań.

— Broadmoor?

— No jakże. Obłąd plus zbrodnia⁶.

— Uważam takie sprawy za nadzwyczaj podniecające — odparł Robert, nie pozwalając na żarty.

Tymczasem na jej twarzy pojawił się błysk aprobaty, coś co przypominało cień uśmiechu. Robert odniósł dziwne wrażenie,

⁶ Broadmoor — zakład dla przestępców chorych umysłowo.

że nagle polubiła go; ale jeżeli tak było, to nie objawiło się to w słowach. Jej suchy głos zabrzmiał złośliwie:

— Owszem, spodziewam się, że szaleństwa w Milford są niewystarczające i mdłe. Moja córka ugania wokół pola golfowego za kawałkiem gutaperki...

— Mamo, dzisiaj to już nie jest gutaperka — wtrąciła córka.

— Ale w moim wieku niedostępne są szaleństwa nawet na miarę Milford. Zostałam sprowadzona do roli osoby wylewającej środek chwastobójczy na zielsko, co uchodzi za dopuszczalną formę sadyzmu, na równi z topieniem pcheł. Czy swoje pchły pan topi, panie Blair?

— Nie, rozgniatam. Mam jednak siostrę, która poluje na nie przy pomocy mydła.

— Mydła? — głos pani Sharpe zdradzał szczere zainteresowanie.

— Zdaje się, że tłucze je tą rozmokłą stroną, a one przylepiają się.

— To bardzo ciekawe. Muszę wypróbować przy najbliższej okazji.

Do uszu Roberta docierał też głos Marion; starała się być miła wobec zlekceważonego Hallama. — Pan naprawdę dobrze gra w golfa, panie inspektorze.

Robert odczuwał coś podobnego do wrażenia, które pojawia się pod koniec snu, kiedy chwila przebudzenia jest już blisko, tuż, tuż, a niekonsekwencje snów nie mają już żadnego znaczenia, ponieważ człowiek za chwilę powróci do rzeczywistego świata.

Było to jednak wrażenie mylące, ponieważ świat rzeczywisty pojawił się w progu wraz z powracającym inspektorem. Grant wszedł pierwszy, by móc przyjrzeć się reakcji wszystkich zainteresowanych. Zostawił otwarte drzwi dla policyjnej opiekunki i dla dziewczyny.

Marion Sharpe podniosła się wolno, jakby w ten sposób lepiej chciała stawić czoła temu, co może nadejść; natomiast jej matka w dalszym ciągu siedziała na sofie, jakby miała udzielić posłuchania, nieporuszona, wyprostowana według wiktoriańskiej mody, jak młoda dziewczyna, z rękami

malowniczo spoczywającymi na sukni. Nawet potargane włosy nie osłabiały wrażenia, że to ona jest panią sytuacji.

Dziewczyna miała na sobie szkolny płaszcz i czarne, przyciężkie, dziecięce buty na płaskich obcasach; na skutek tego wyglądała na młodszą niż spodziewał się Blair. Nie była wysoka i z pewnością nie była ładna. Miała jednak jakiego by tu użyć słowa? — powab. Oczy, ciemnoniebieskie, były szeroko osadzone w twarzy zakrojonej w serduszko. Kolor włosów mysi, ale linia, wzdłuż której rosły nad czołem, nie była brzydka. Poniżej kości policzkowych widniały niewielkie dołeczki, zjawiskowo delikatne, dodające twarzy czaru i łatwości budzenia wzruszeń. Dolna warga była pełna, usta jednak za małe. Podobnie jak uszy. Za małe i zbytnio przylegające do głowy.

W sumie, przeciętna dziewczyna, na pewno nie z tych, które natychmiast dostrzega się, kiedy żeńska szkoła, ubrana w mundurki, wychodzi parami na spacer; a już na pewno nie typ bohaterki, wokół której rozgrywają się sensacyjne wydarzenia. Robert zastanawiał się, jak wyglądałaby w innym ubraniu.

Dziewczyna najpierw utkwiała wzrok w starszej z kobiet, a potem popatrzyła na Marion. Jej spojrzenie nie wyrażało ani zdziwienia, ani tryumfu, nie wyrażało też zbytniego zainteresowania.

— Tak, to te kobiety — powiedziała.

— Nie masz co do tego żadnych wątpliwości? — zapytał Grant i dodał: — Pamiętaj, że to bardzo poważne oskarżenie.

— Nie, nie mam żadnych wątpliwości. Skąd?

— Te panie, to kobiety, które uwięziły cię, zabrały ubranie, zmusiły do naprawiania pościeli i były?

— Tak, to one.

— Nadzwyczajna kłamczucha — powiedziała stara pani Sharpe tonem, którym mawia się „nadzwyczajne podobieństwo”.

— Twierdzisz, że zabrałyśmy cię do kuchni na kawę — powiedziała Marion.

— Tak.

— Możesz opisać tę kuchnię?

— Nie przyglądałam się uważnie. Była duża, zdaje się, że miała kamienną posadzkę i stał rząd szklanych butli.

— A jaki był piec?

— Pieca nie pamiętam, ale rondel, w którym ta stara kobieta odgrzewała kawę był emaliowany, jasnoniebieski z granatowym brzegiem i na dole, przy dnie, dosyć poobijany.

— Obawiam się, że w całej Anglii nie ma kuchni, w której by nie było właśnie takiego rondla — powiedziała Marion. — My mamy aż trzy.

— Czy ta dziewczyna jest dziewicą? — zapytała pani Sharpe uprzejmym tonem, jak osoba, którą ciekawi, czy to Chanel, czy Coty.

W ciszy, która zapadła po tym zaskakującym pytaniu, Robert zauważył zgorzenie na twarzy Hallama, gwałtowny rumieniec na twarzy dziewczyny, oraz zwrócił uwagę na to, że zabrakło karcącego okrzyku: mamó!, którego oczekiwał podświadomie, ale z niezachwianą pewnością. Ciekaw był, czy w tym wypadku cisza wyrażała aprobatę, czy też długie lata spędzone z matką uodporniły córkę na wstrząsy.

Grant tonem zimnej nagany oświadczył, że to nie należy do rzeczy.

— Tak pan sądzi? — zapytała stara dama. — Gdybym ja zniknęła na miesiąc z domu, byłaby to pierwsza rzecz, o którą zapytałaby moja matka. Ale właśnie, do rzeczy. Skoro już dziewczyna nas zidentyfikowała, co pan teraz proponuje? Aresztowanie?

— Nic podobnego. Na razie jesteśmy od tego bardzo daleko. Chciałbym zabrać teraz pannę Kane do kuchni i na poddasze, tak by można było porównać jej zeznanie i same pomieszczenia. Jeżeli opis okaże się ścisły, przedstawię sprawę moim zwierzchnikom, oni zaś naradzą się, jakie należy podjąć kroki.

— Rozumiem panie inspektorze. Czarujące ostrzeżenie. — Wolno podniosła się. No cóż, jeśli państwo wybaczą, pozwolę sobie wrócić do przerwanej odpoczynku.

— Więc pani nie chce być przy tym, kiedy panna Kane... Żeby... — wyrwał się Grant, przynajmniej raz wytrącony z

równowagi.

— Nie, drogi panie — wygładziła suknię, nieznacznie marszcząc brwi. Dzisiaj rozszczepia się atomy — zauważyła zgryźliwie — ale jakoś nikt nie potrafi wynaleźć materiału, który się nie gniece. Nie mam najmniejszych wątpliwości — ciągnęła — że panna Kane zidentyfikuje poddasze. Przeciwnie, byłabym niezmiernie zdziwiona, gdyby zawiodła w tej mierze.

Ruszyła w stronę drzwi, a wobec tego i w stronę dziewczyny; oczy dziewczyny zabłyśły i po raz pierwszy pojawił się w nich jakiś wyraz. Przez jej twarz przemknęło coś w rodzaju popłochu. Policyjna opiekunka postąpiła krok naprzód, a pani Sharpe niespiesznie szła i zatrzymała się przed dziewczyną dopiero w odległości metra; znalazły się twarzą w twarz. Przez pełnych pięć sekund trwała cisza, podczas której stara dama z zainteresowaniem wpatrywała się w twarz dziewczyny.

— Jak na osoby, z których jedna była drugą, stanowczo za mało się znamy — powiedziała w końcu. — Mam nadzieję, panno Kane, że zanim skończy się ta cała historia poznam panią znacznie lepiej. — Odwróciła się w stronę Roberta i skinęła głową. — Do widzenia, panie Blair. Mam nadzieję, że moja córka i ja w dalszym ciągu będziemy panu dostarczać mocnych wrażeń. — Potem wyszła, ignorując resztę zgromadzenia. Hallam przytrzymał otwarte wcześniej przed nią drzwi.

Po jej wyjściu zapanowało przemożne, zaskakujące wrażenie zwrotu. Robert zaś niechętnie musiał przyznać się do prawdziwego podziwu. To nie było co: odebrać publiczność skrzywdzonej niewinności.

— Panno Sharpe, pozwoli pani, że panna Kane zobaczy pomieszczenia, które są przedmiotem sprawy? — zapytał Grant.

— Nie mam nic przeciw temu. Ale zanim przejdziemy dalej, chciałabym powiedzieć to, co zamierzałam powiedzieć zanim przyprowadził pan tu pannę Kane. Zresztą cieszę się, że panna Kane tu jest i również może tego wysłuchać. Zgodnie z moją wiedzą stwierdzam, że nigdy dotąd nie widziałam tej dziewczyny. Nigdy nie podwoziłam jej samochodem, przy

żadnej okazji. Nie została ona sprowadzona do tego domu ani przeze mnie, ani przez moją matkę, jak również nie była tutaj trzymana. Chciałabym, żeby to zostało dokładnie zrozumiane.

— Doskonale, panno Sharpe. Pani stanowisko, jak sędzę, polega na tym, że całkowicie zaprzecza pani oświadczeniu tej dziewczyny.

— Całkowicie zaprzeczam, od początku do końca. A teraz, czy zechce pan obejrzeć kuchnię?

3

Podczas oględzin Grantowi i dziewczynie towarzyszyli Robert i Marion Sharpe, a w salonie czekali Hallam i opiekunka policyjna.

Na podeście pierwszego piętra, już po tym, jak dziewczyna rozpoznała kuchnię, Robert zwrócił uwagę: — Panna Kane powiedziała, że wyższy bieg schodów był pokryty „czymś twardym”, tymczasem powyżej pierwszego piętra ciągnie się ten sam dywan.

— Tylko do następnego podestu — powiedziała Marion. — Ten skrawek jest na pokaz. Już za rogiem leży wykładzina. To oszczędności po wiktoriańsku. Dzisiaj, jeżeli ktoś jest biedny, kupuje tańszy chodnik i rozkłada go na całych schodach. Ale to były jeszcze czasy, w których liczyło się, co pomyśla sąsiedzi. Tak więc okazałe wyposażenie znajduje się tam, gdzie sięga wzrok i ani kroku dalej.

Dziewczyna miała również rację co do trzeciego, krótkiego biegu schodów, prowadzącego na poddasze. Stopnie były zbite z gołych desek.

Poddasze, tak ważne dla sprawy, okazało się pomieszczeniem niskim, ciasnym, pudełkowatym, którego sufit opadał ukośnie z trzech stron, w ślad za spadkiem dachu pokrytego dachówkami. Światło docierało tylko przez okrągłe okno. Spod okna wąski pas dachówek opadał w stronę białego, niskiego obramowania dachu. W okno, podzielone na krzyż, wprawione były cztery szyby, jedną zdołało okazałe,

gwiazdziste pęknięcie. Okno nie otwierało się. Była to frontowa strona budynku.

Poddasze było puste. Dziwnie puste, pomyślał Robert, ponieważ doskonale nadawało się na łatwo dostępny domowy skład.

— Kiedy sprowadziłyśmy się, trzymano tu różne rzeczy — powiedziała Marion, jakby w odpowiedzi. — Jednak zorientowałyśmy się, że będziemy tu obywać się bez pomocy, przynajmniej przez jakiś czas, więc pozbyłyśmy się tego wszystkiego.

Grant zwrócił się w stronę dziewczyny, jakby pytając.

— Łóżko stało tam — wskazała kąć przeciwny do okna. — Obok stała drewniana toaletka z miednicą. A w tym kącie za drzwiami leżały trzy puste walizki, to znaczy dwie puste walizki i kufer z płaskim wiekiem. Tu stało krzesło, ale ona zabrała je po tym, jak próbowałam wybić okno. — Mówiła o Marion nie objawiając żadnych uczuć, jakby mówiła o kimś nieobecnym. — A to szyba, którą próbowałam stłuc.

Robertowi wydawało się, że pęknięcie wygląda na znacznie starsze niż sprzed paru tygodni, ale nie sposób zaprzeczyć; pęknięcie widniało.

Grant podszedł do kąta wskazanego przez dziewczynę, schylił się, ale rzecz nie wymagała bliższych oględzin. Robert stał pod drzwiami i nawet stamtąd mógł zauważyć na podłodze ślady po kółkach.

— Tu stało łóżko — powiedziała Marion. — Było jedną z tych rzeczy, których pozbyłyśmy się.

— A co panie z nim zrobiły?

— Zaraz, niech sobie przypomnę. O, podarowałyśmy je żonie hodowcy krów; mieszka za farmą Staples. Jej najstarszy chłopak wyrósł, jest za duży, żeby mieszkać w tym samym pomieszczeniu co reszta rodziny, więc ulokowała go na stryszku. Nabiał i mleko mamy właśnie ze Staples. Stąd nie widać farmy, ale to tylko o cztery miedze za wzniesieniem.

— A gdzie trzyma pani niepotrzebne kufry czy walizy, panno Sharpe? Czy jest tu jeszcze jakieś inne pomieszczenie?

Marion po raz pierwszy zawahała się. — Rzeczywiście, mamy

duży, prostokątny kufer z płaskim wiekiem, ale matka trzyma w nim swoje rzeczy. Kiedy odziedziczyliśmy Franchise, w sypialni matki stała bardzo cenna, wysoka komoda i sprzedaliśmy ją, zamiast niej używamy kufra z płóciennym pokryciem. A walizki trzymam w schowku, na podeście pierwszego piętra.

— Panno Kane, czy pamięta pani jak wyglądały walizki i kufer?

— Tak. Jedna była skórzana, brązowa, taka z narożnikami, a druga obciągnięta płótnem w paski, taka jak amerykańskie.

Cóż, brzmiało to wcale dokładnie.

Grant jeszcze przez chwilę oglądał pomieszczenie, uważnie zapoznał się z widokiem z okna, a potem ruszył do wyjścia.

— Czy możemy zobaczyć walizki w schowku? — zapytał.

— Oczywiście — odrzekła Marion, nie wyglądała jednak na uszczęśliwioną.

Marion otworzyła drzwi schowka przy niższym podeście i cofnęła się, żeby inspektor mógł zajrzeć do środka. Kiedy Robert usuwał się, robiąc miejsce, dostrzegł na twarzy dziewczyny przeblask tryumfu, najwyraźniej niedopilnowany. Jej spokojną, raczej dziecinną twarz odmieniło to do tego stopnia, że Robert poczuł wstrząs. Objawiło się uczucie dzikie, prymitywne i okrutne, wręcz zdumiewające na twarzy skromnej uczennicy, która była dumą swych opiekunów i wychowawców.

W schowku na półkach leżała bielizna, a na podłodze cztery walizki. Dwie z nich były składane, jedna fibrowa, druga z niewyprawionej skóry; jeżeli zaś chodzi o dwie następne, to pierwsza z nich, brązowa, opatrzona narożnikami, była ze skóry cielęcej, natomiast druga to było właściwie pudło na kapelusze, prostopadłościennie pokryte płótnem i obciągnięte szeroką taśmą w wielokolorowe pasy.

— Czy to te walizki? — spytał Grant.

— Tak — powiedziała dziewczyna. — Te dwie.

— Nie chciałabym tego popołudnia jeszcze raz przeszkadzać matce — powiedziała Marion w nagłym przypiływie gniewu. — Wobec tego stwierdzam, że kufer w jej pokoju jest duży, ma

płaskie wieko, znajduje się w naszym posiadaniu od trzech lat, nieprzerwanie.

— Bardzo dobrze, panno Sharpe. A teraz garaż, jeżeli pani pozwoli.

W dole, na tyłach budynku, gdzie już dawno temu przerobiono stajnię na garaż, mała grupka przyglądała się szaremu, poobijanemu samochodowi. Grant odczytał opis auta, nieskładny od strony technicznej, tak jak brzmiał w zeznaniu dziewczyny. Pasuje do wozu, pomyślał Blair, ale równie dobrze może pasować do tysięcy samochodów przemierzających tego dnia brytyjskie drogi. Nie był to żaden dowód. „Jedno z kół było pomalowane na inny odcień niż pozostałe koła i wyglądało jakby nie pasowało do reszty. To inne koło było naprzeciwko mnie, kiedy samochód stanął przy krawężniku” dokończył Grant.

Czworo ludzi spoglądało w milczeniu na ciemniejszy odcień szarości na lewym przednim kole. Nikt nie miał nic do powiedzenia.

— Dziękuję pani bardzo, panno Sharpe — odezwał się w końcu Grant, zamykając i chowając notes. — Była pani bardzo pomocna i uprzejma, jestem pani za to wdzięczny. Mam nadzieję, że gdybym w ciągu najbliższych paru dni zechciał z panią jeszcze porozmawiać, to zastanę panią przy telefonie?

— Tak, panie inspektorze. Nie mamy zamiaru nigdzie wyjeżdżać.

Jeżeli Grant nawet uznał, że zrozumienie sytuacji przychodzi jej zbyt łatwo, to nie dał tego poznać po sobie.

Przekazał dziewczynę opiekunce policyjnej i obydwie odeszły, nawet nie spojrzawszy za siebie. Następnie wyszli Hallam i Grant, przy czym Hallam robił wrażenie, jakby chciał usprawiedliwić się z powodu nadużycia gościnności.

Marion odprowadziła ich do hallu, Blair zaś został w salonie; Marion wróciła niosąc tacę, na której stała butelka sherry i kieliszki.

— Nie proszę, żeby został pan na obiedzie — powiedziała stawiając tacę i nalewając wina — po części dlatego, że nasz „obiad” to byle jak sklecona kolacja, wcale nie to, do czego jest

pan przyzwyczajony. (Czy pan wie, że kuchnia pańskiej ciotki jest sławna w Milford? Nawet my słyszałyśmy o niej.) Po części zaś dlatego, że... no cóż, dlatego, że, używając słów mojej matki, domy wariatów nieco wykraczają poza pańskie zainteresowania zawodowe.

— Skoro już o tym mowa — powiedział Robert — to zdaje pani sobie sprawę, że dziewczyna ma nad panią ogromną przewagę, jeżeli chodzi o dowody. Prawda? Bez przeszkód może opisać niemal wszystko, co zechce jako część pani domu czy wyposażenia. Jeżeli tak się złoży, że taka rzecz tu będzie, to jest to bardzo mocny dowód na jej korzyść. A jeżeli, przeciwnie, tak się złoży, że nie będzie tej rzeczy, to nie jest to wcale dowód na korzyść pani: nasuwa się tylko wniosek, że pani się tego pozbyła. Gdyby na przykład nie było walizek, mogłaby powiedzieć, że pani pozbyła się ich, ponieważ znajdowały się na poddaszu, więc mogły zostać opisane i zidentyfikowane.

— Ale opisała je, nie widząc ich wcześniej na oczy.

— Proszę zauważyć, że opisała dwie walizki. Gdyby pani cztery walizki stanowiły jednolity komplet, miałyby wówczas może jedną szansę na pięć, żeby trafić. Ale ponieważ tak się złożyło, że każda z pani walizek jest bardzo zwyczajna, i inna, to szanse układają się prawie jak jeden do jednego.

Podniósł kieliszek sherry, który postawiła panna Sharpe, wypił łyk i ze zdziwieniem przekonał się, że wino jest znakomite.

Marion uśmiechnęła się: — Oszczędzamy, to prawda, ale nie na winie — a Robert poczuł rumieniec na twarzy; nie przypuszczał, że jego zdziwienie okaże się aż tak czytelne.

— Było też to wyróżniające się koło samochodu. Skąd o tym mogła wiedzieć? Niezwykły jest ten cały układ. Skąd wie o mnie i mojej matce? O tym jak wygląda dom? Brama zawsze jest zamknięta. Nawet gdyby ją otworzyła — chociaż nie mam pojęcia, co by mogła robić na tej pustej drodze — więc nawet gdyby ją otworzyła i zajrzała do środka, nic nie może wiedzieć ani o mojej matce, ani o mnie.

— A może na przykład zaprzyjaźniła się z dziewczyną do

pomocy? Albo z ogrodnikiem?

— Ogrodnika nie miałyśmy nigdy, nie tu nie rośnie prócz trawy. A służącej nie mamy od roku. Raz w tygodniu przychodzi dziewczyna z farmy do najcięższego sprzątanía, to wszystko.

Robert powiedział, tonem wyrażającym współczucie, że to wielki dom, jak na jej jedną parę rąk.

— Owszem, ale pomagają mi dwie rzeczy. Dla mnie lśniące wnętrze nie stanowi punktu honoru. A mieć własny dom, to coś cudownego i chętnie znoszę niewygody. Stary pan Crowle był kuzynem mojego ojca, ale nie znałyśmy go. Matka i ja zawsze mieszkaliśmy w Londynie, w pensjonacie w okolicy Kensington. — Kącik jej ust uniósł się: uśmiechnęła się przekornie. — Nie wyobraża pan sobie, jaką popularnością cieszyła się matka wśród mieszkańców. — Uśmiech zniknął. — Ojciec rozstał się z życiem, kiedy byłam bardzo mała. Był jednym z tych wiecznych optymistów, którzy zawsze są przekonani, że stoją u progu bogactwa. Kiedy pewnego dnia zorientował się, że po jego spekulacjach nie zostało nawet na bochenek chleba na śniadanie, popełnił samobójstwo i zostawił matkę oko w oko ze światem.

Robert pomyślał, że to w pewnej mierze usprawiedliwia panią Sharpe.

— Nie byłam przygotowana do pracy, nie miałam zawodu, więc spędziłam życie wśród dziwnych zajęć. Nie domowych; nie cierpię domowej krzątaniny i tego ciepełka; ale pomagałam w różnych damskich przedsięwzięciach, od których roi się w Kensington. Abażury, porady podróżnicze, kwiaciarnia, antykwariat. Kiedy zmarł stary pan Crowle, właśnie pracowałam w jednym z tych miejsc, gdzie plotkuje się przy rannej kawie. No tak, to trochę trudne.

— Przepraszam, co?

— Wyobrazić sobie mnie nad stertą filizanek.

Robert nie był przyzwyczajony, by ktoś czytał w jego myślach (ciotka Lin nie umiała nadążać za biegiem czyichkolwiek wyobrażeń, nawet gdyby ktoś je objaśniał), więc poczuł się zbity z tropu. Ale Marion myślała już o czym innym.

— To się zdarzyło akurat teraz, kiedy poczułyśmy się u siebie w domu, usadowione, bezpieczne.

Po raz pierwszy od chwili, w której Marion poprosiła o pomoc, Robert wyraźnie poczuł się stronnikiem.

— Wszystko dlatego, — powiedział — że to chuchro potrzebuje alibi. Musimy dowiedzieć się czegoś więcej o Betty Kane.

— Mogę o niej powiedzieć jedno. Jest bardzo zmysłowa.

— Kobieca intuicja?

— Nie. Nie jestem kobieca i w ogóle nie mam intuicji. Ale wszystko jedno, kobiety czy mężczyźni, są właśnie tacy, jeżeli mają ten kolor oczu. Ciemnoniebieski, matowy, coś jak spłowiwały kolor marynarski; nie można się pomylić.

Robert uśmiechnął się pobłaźliwie. Poza tym, właśnie była bardzo kobieca.

— Proszę na to nie patrzeć z góry tylko dlatego, że może wykracza poza logikę prawniczą — dodała. — Niech pan przypomni sobie znajomych i sprawdzi.

Zanim zdążył się powstrzymać, już myślał, że Gerald Blunt uchodzi w Milford za wcielenie skandalu i, owszem, ma takie szaroniebieskie oczy. Tak jak Arthur Wallis, pomocnik spod „Białego Rogacza”, który tydzień w tydzień zgodnie z nakazem wysyłał pieniądze pod trzema różnymi adresami. Podobnie... do licha z tą kobietą, ona nie ma prawa snuć takich niemądrych uogólnień i do tego nie mylić się.

— To pasjonujące, domyślać się co ona naprawdę robiła podczas tego miesiąca — powiedziała Marion. — Ale sprawia mi głęboką satysfakcję, że ktoś ją sprzął na kwaśne jabłko. A więc znalazł się na świecie przynajmniej jeden człowiek, który poznał się na niej. Mam nadzieję, że kiedyś go spotkam i uścisknę mu rękę.

— „Mu”?

— Proszę nie zapominać o tych oczach; łączą się z zaimkami rodzaju męskiego.

— No cóż, — powiedział Robert, zbierając się do wyjścia — bardzo wątpię, czy Grant zdoła na takiej podstawie wytoczyć sprawę przed sądem, jak tego chce. Wszystko by się

sprowadziło do jej zeznania przeciw pani zeznaniu, bez dodatkowego materiału ani po jednej, ani po drugiej stronie. Przeciw pani przemówi jej zeznanie, równie szczegółowe, co trudne do udowodnienia. Przeciwno niej obróci się nieprawdopodobieństwo wpisane w tę całą historię. Myślę, że Grant nie może mieć nadziei na wyrok.

— Tak, ale rzecz w tym, czy w ogóle złoży sprawę w sądzie, czy też utknie ona w teczkach Scotland Yardu. Na temat takiej historii zaczną się plotki, prędzej czy później. I nie byłoby dla nas przyjemne, gdyby sprawa pozostała nie wyjaśniona.

— O, wyjaśni się, jeżeli tylko będę miał z nią do czynienia. Jednak myślę, że musimy poczekać dzień lub dwa i zobaczyć, co zamierza z nim zrobić Yard. Mają takie środki, by dotrzeć do prawdy, o których my możemy tylko sobie pomarzyć.

— Wzruszający hołd złożony policyjnej uczciwości, zważywszy jeszcze, że to mówi prawnik.

— Proszę mi wierzyć, prawda może sobie być cnotą, ale Scotland Yard już dawno temu odkrył, że prawda również oznacza korzyść w prowadzeniu ich interesu. Im się po prostu nie opłaca zadowolić czymkolwiek mniej.

— A gdyby skierował sprawę do sądu — powiedziała, odprowadzając Roberta do drzwi — i uzyskał wyrok, to co by to dla nas oznaczało?

— Nie jestem pewien, czy dwa lata więzienia, czy siedem lat ciężkich robót. Już mówiłem, że nie czuję się pewnie jeżeli chodzi o prawo karne. Ale sprawdzę.

— Proszę to zrobić — powiedziała. — W końcu to spora różnica.

Uznał, że lubi jej nałóg kpiny, zwłaszcza, że nad Marion wisiała groźba oskarżenia.

— Do widzenia — powiedziała. — Miło mi, że pan przyszedł. Bardzo podniósł mnie pan na duchu.

Robert idąc w stronę bramy przypomniał sobie, jak blisko był odesłania jej do Bena Carley'a i zarumienił się po czubek głowy.

— Miałeś, złotko, męczący dzień? — spytała ciotka Lin, biorąc do rąk serwetkę i układając ją na pulchnych kolanach.

To zdanie stwarzało nastrój, ale nie zawierało treści. Odgrywało jedynie rolę przedobiedniej uwertury, wraz z rozpościeraniem serwetki i wraz z charakterystycznym ruchem prawej ciotczynej stopy, przypominającym sondowanie nieznanego, a w rzeczywistości służącym wyszukaniu podnóżka, przydatnego z tej racji, że ciotka Lin miała przykrótkie nogi. Nie spodziewała się odpowiedzi; a ściślej, nie zdawała sobie sprawy z tego, że zadała pytanie, więc i nie zwracała uwagi na odpowiedź.

Robert przyglądał się ciotce przez stół i mocniej niż zwykle uświadamiał sobie wdzięczność wobec niej. Po nieprzewidzianych emocjach we Franchise, pogoda i spokój, wynikające z obecności ciotki, stanowiły nie lada pociechę; Robert jakby widział teraz na nowo małą okrągłą postać z krótką szyją, różową twarzą, z siwymi włosami o stalowym odcieniu, które tu i ówdzie wymykały się spod szpilek. Życie Lindy Bennet obracało się wokół przepisów domowych, filmowych gwiazd, chrześniaków, kościelnych imprez dobroczynnych i ten stan rzeczy Linda Bennet uważała za doskonały. Dostatek i zadowolenie otulały ją jak płaszcz. Czytywała w gazecie kolumnę kobiecą („Jak przerobić stare rękawiczki dziecinne na dziurkę od guzika”) i — o ile Robertowi było wiadomo — nic poza tym. Czasami, kiedy zbierała gazety, które gdzieś Robert beztrąsko porozkładał, czytała nagłówki i komentowała je. („Mężczyzna kończy osiemdziesięciodwudniową głodówkę” — Głupia kreatura! — „Odkrycie złóż ropy na Wyspach Bahama!” — Czy już ci mówiłam, że parafina podróżowała o pensa?). Mimo to można było podejrzewać, że ciotka tak naprawdę nigdy w to nie uwierzyła, że świat, o którym piszą gazety, rzeczywiście istnieje. Świat dla ciotki Lin zaczynał się na Robercie, a kończył w promieniu dziesięciu mil od niego.

— Co cię dzisiaj tak długo zatrzymało, złotko? — zapytała

skończywszy zupe.

— Musiałem pojechać do Franchise, do tego domu przy drodze na Larborough. Potrzebowano tam swego rodzaju porady prawnej.

— Do tych dziwnych kobiet? Nie wiedziałam, że je znasz.

— Nie znam. Po prostu potrzebowały porady.

— Mam nadzieję, że ci zapłacą. One nie mają pieniędzy. Żebyś wiedział. Ojciec zajmował się importem, orzeszkami ziemnymi albo czymś podobnym, i zapił się na śmierć. Zostawił je bez grosza, biedaczki. Starsza pani Sharpe prowadziła pensjonat w Londynie, żeby jakoś związać koniec z końcem, a córka była tam służącą do wszystkiego. Właśnie zanosilo się, że wyrzucą je na bruk, z meblami, kiedy umarł ten stary z Franchise. Spadło to jak z nieba!

— Ciociu! Skąd powyciągałaś takie opowieści?

— Ale to prawda, złotko. Od a do zet. Zapomniałam, kto mi to mówił, ale jakby nie było, historia z pierwszej ręki. Wiesz, że nie rozpuszczam plotek, byle tylko coś mówić, nie jestem taka. Czy to ładny dom? Zawsze byłam ciekawa, co tam jest, za tą żelazną bramą.

— Ładny? Raczej ponury. Jednak mają tam kilka naprawdę ładnych mebli.

— Ale pewna jestem, że nie są tak zadbane, jak nasze — z przyjemnością popatrzyła na elegancki kredensik i stojący pod ścianą rząd pięknych krzeseł. Wczoraj pastor powiedział mi, że gdyby ten dom tak bardzo me był domem, mógłby uchodzić za wystawę. — Wzmianka o duchownym podsunęła jej następną uwagę. — Nawiasem mówiąc, przez parę najbliższych dni staraj się być bardzo wyrozumiały dla Christine, dobrze? Zdaje się, że znowu dojrzewa do „nawrócenia”.

— Och, biedna ciocia! Znowu te męki! Aleja się tego obawiałem. Podczas śniadania znalazłem na spodeczku kartkę z gustownymi, białymi liliami wielkanocnymi w tle i z tekstem: „Panie mój, wejrzyj na mnie”. Christine znów zmienia kościół?

— Tak. Odkryła, że metodyści to, zdaje się, „pobielane groby”, a więc przenosi się do nonkonformistów, do ludzi z tej

kaplicy powyżej piekarni Bena, i czuje, że już lada dzień zostanie zbawiona. Przez całe rano wydziera się, sądząc, że na tym polega śpiewanie hymnów.

— Przecież zawsze tak się darła.

— Ale nie o „mieczu Pańskim”. Dopóki chodziło o „korony z pereł” albo „drogi brukowane złotem” wiedziałam, że wszystko w porządku. Ale skoro już zeszło na „miecz Pański”, to jestem pewna, że teraz sama będę musiała wszystko upiec.

— Nie szkodzi, ciociu, pieczesz niemal tak dobrze jak Christina.

— Wcale nie — powiedziała Christina wnosząc drugie danie. Była dużym, miękkim stworzeniem z prostymi, rozczochranymi włosami i błędnym wzrokiem. — Ciotka Lin lepiej niż ja przyrządza tylko gorące rogaliki, a i to raz w roku. Tak to wygląda. A jeżeli nie jestem dobrze widziana w tym domu, pójdę sobie tam, gdzie mnie docenią.

— Christina, najmilsza, — powiedział Robert — dobrze wiesz, że nikt nie wyobraża sobie tego domu bez ciebie, i jeżeli sobie pójdziesz, to i ja pójdę za tobą nawet na koniec świata. Chociażby z powodu maślanych bułeczek z owocami, nie mówiąc o reszcie. Przy okazji, czy jutro na śniadanie będą maślane bułeczki?

— Maślane bułeczki nie są odpowiednią strawą dla osób zatwardziałych w grzechu. Poza tym zdaje się, że nie ma w domu masła. Ale zobaczymy. W każdym razie, panie Robercie, należałoby zrobić rachunek sumienia, dobrze się przyjrzeć własnej duszy i nie miotać na oślepie kamieni.

Ciotka Lin cicho westchnęła, kiedy Christina zamknęła za sobą drzwi. — Dwadzieścia lat — powiedziała w zadumie. — Nie możesz pamiętać, kiedy zjawiała się tu, prosto z sierocińca. Biedny brzdąc, miał piętnaście lat i był taki pojętny. Do herbaty zjadła cały bochenek chleba i powiedziała, że przez całe życie będzie się za mnie modlić. Całkiem możliwe, że to robi.

W niebieskich oczach panny Bennet zalśniło coś podobnego do łez.

— Mam nadzieję, że najpierw upieczesz te bułeczki, a sprawę

zbawienia odłoży na potem — powiedział Robert, okazując brutalny materializm. Jak się cioci podobał film?

— Dziękuję. Nie mogłam zapomnieć o tych jego pięciu żonach.

— A kto ma pięć żon?

— Miał, złotko; jedną po drugiej. Gene Darrow. Muszę powiedzieć, że te programy, które dają przy wejściu są bardzo pożyteczne, ale i przysparzają rozczarowań. Więc on był studentem. To znaczy w filmie. Młodym i romantycznym. A ja przez cały czas pamiętałam o tych pięciu żonach i to mi zepsuło popołudnie. A do tego ma czarującą powierzchowność. Podobno przez okno na piątym piętrze wywiesił swoją trzecią żonę, trzymając ją za nadgarstki, ale w to już naprawdę nie mogę uwierzyć. Nie wydaje mi się na tyle silny i powiem dlaczego. Wygląda jakby w dzieciństwie miał kłopoty z kręgosłupem; ta wyciągnięta sylwetka i szczupłe przeguby. Nie jest na tyle silny, żeby zdołał kogokolwiek utrzymać i jeszcze huśtać. A już z pewnością nie w oknie na piątym piętrze...

Spokojny monolog ciągnął się jeszcze podczas jedzenia puddingu; Robert przestał uważać i myślał o Franchise. Ocknął się, kiedy wstali od stołu i przeszli do sąsiedniego pokoju na kawę.

— ...To jest najbardziej odpowiedni ubiór, jeżeli tylko dziewczyny zdają sobie z tego sprawę — mówiła właśnie ciotka.

— Co takiego?

— Fartuszek. Ona była, no wiesz, służącą w pałacu i miała na sobie jakąś taką głupią, muślinową szmatkę, taką twarżową... Skoro już o tym mowa, czy te kobiety we Franchise mają służącą? Nie? Wcale się nie dziwię. Głodziły tę ostatnią, którą miały. Dawały jej...

— Ciociu Lin!

— Słowo daję. Na śniadanie dostawała skórki odkrojone od chleba na tosty. A kiedy jadły mleczny budyń...

Robert nie słuchał już o potwornościach wiążących się z jedzeniem mlecznego budyniu. Mimo dobrej kolacji poczuł się zmęczony i przygnębiony. Jeżeli miła, głupiutka ciocia Lin nie

widziała nic złego w powtarzaniu tych absurdalnych plotek, to co mogłyby w Milford spowodować plotki, za którymi stałby prawdziwy skandal?

– Skoro mowa o służących... skończył się zwykły cukier, złotko, na wieczór musi ci wystarczyć w kostkach... więc skoro mowa o służących, to ta mała od Carley'a popadła w kłopoty.

– Mam rozumieć, że to ktoś ją wpędził w kłopoty?

– Oczywiście. Arthur Wallis, ten pomocnik spod „Białego Rogacza”.

– Znowu Wallis?

– To już naprawdę przestaje być śmieszne, prawda? Nie mam pojęcia, dlaczego ten człowiek się nie ożeni. Wypadłoby znacznie taniej.

Ale Robert nie słuchał. Myślami znów był we Franchise, w salonie, gdzie łagodnie pokpiwano z jego prawniczego wstrętu wobec uogólnień. Znów był w odrapanym pokoju, w którym stały nieodkurzone meble, a drobiazgi leżały na krzesłach i nikomu nie przychodziło do głowy, by je sprzątnąć.

I gdzie nikt, teraz zdał sobie z tego sprawę, nie biegał za nim podsuwając mu popielniczkę pod papierosa.

5

Minął tydzień z górą zanim pan Heseltine wsunął przez uchylone drzwi małą siwą głowę, by powiedzieć, że w biurze jest inspektor Hallam i chciałby przez chwilę porozmawiać z Robertem.

Pokój, w którym pan Heseltine królował na tle kancelistów, po przeciwległej stronie hallu, zawsze traktowany był jako „biuro”, chociaż zarówno pokój Roberta, jak i małe pomieszczenie z tyłu, używane przez Nevila Benneta, też były biurami, mimo dywanów czy mahoniu. Za „biurem” znajdowała się jeszcze oficjalna poczekalnia, niewielkie pomieszczenie przylegające do tego, w którym przesiadywał młody Bennet, ale nigdy nie cieszyła się szczególną popularnością wśród klientów spółki Interesanci wchodzili do

„biura”, by oznajmić przybycie i zazwyczaj zostawali tam, plotkując, póki Robert nie mógł się nimi zająć. Małą „poczekalnię” dawno temu zaanektowała panna Tuff. W spokoju przepisywała tam korespondencję Roberta, z dala od interesantów i od wścibskich gości.

Kiedy pan Heseltine wyszedł po inspektora, Robert odczuł ze zdziwieniem obawę, jakiej nie odczuwał od czasów młodości, kiedy podchodził do tablicy ogłoszeń z przypiętą do niej kartką z wynikiem egzaminu. Czyżby prowadził aż tak spokojne życie, że cudza sprawa może go poruszyć do tego stopnia? A może w ciągu ostatniego tygodnia nieprzerwanie myślał o paniach Sharpe, wobec czego sprawa już nie była cudza?

Robert czuł się przygotowany na wszystko, co Hallam mógł mieć do powiedzenia, ale z ostrożnych zdań Hallama wynikało, że na podstawie zebranych dowodów nie będzie wszczynane żadne postępowanie; widocznie Scotland Yard właśnie to postanowił dać do zrozumienia. Blair zauważył zwrot „na podstawie zebranych dowodów” i precyzyjnie ocenił jego znaczenie. Nie porzucali sprawy (zresztą, czy Scotland Yard kiedykolwiek coś porzuczał?), a tylko siedzieli cicho.

Myśl o cicho siedzącym Scotland Yardzie nie należała do krzepiących, zwłaszcza w tych okolicznościach.

— Rozumiem, że zabrakło dalszych dowodów powiedział Robert.

— Nie mogą znaleźć tego kierowcy ciężarówki, który ją podwiózł odrzekł Hallam.

— Nie powinno ich to dziwić.

— Rzeczywiście, nie powinno — zgodził się Hallam. — Żaden kierowca nie przyzna się, że kogokolwiek podwoził, nie zaryzykuje, że go wyleją. Zwłaszcza, kiedy chodzi o dziewczynę. Przedsiębiorcy transportowi są bardzo surowi pod tym względem. A kiedy dziewczyna ma kłopoty, kiedy jest sprawa, kiedy w sprawie jest policja i zadaje pytania, to żaden człowiek przy zdrowych zmysłach nawet nie piśnie, że tę dziewczynę w ogóle widział. — Hallam wziął papierosa,

którym poczęstował go Robert. — Szukają albo kierowcy ciężarówki, albo kogoś w tym rodzaju

— dodał.

— Tak — powiedział Robert i zamyślił się. — Co pan o niej sądzi, Hallam?

— O dziewczynie? Nie wiem. Miłe dziecko. Robi wrażenie szczerzej. Mogłaby być moją córką.

Blair uznał, że to doskonały przykład tego, z czym przyjdzie walczyć, w razie gdyby doszło do sprawy. Każdy wrażliwy mężczyzna za barierką dla świadków zobaczy po prostu własną córkę. Nie dlatego, że była zabląkanym, opuszczonym dzieckiem, ale właśnie dlatego, że nim nie była. Przyzwoity szkolny płaszczyk, mysia fryzura, młoda twarz bez makijażu, ze wzruszającymi dołkami poniżej kości policzkowych, szeroko osadzone, szczerze oczy — taką postać przybierają marzenia prokuratorów o poszkodowanej.

— Taka jak inne dziewczyny w jej wieku — Hallam wciąż snuł wątek. — Nic nie mam przeciwko niej.

— A więc nie ocenia pan ludzi na podstawie koloru ich oczu — powiedział powoli Robert, wciąż myśląc o dziewczynie.

— Co takiego? Nie oceniam! krzyknął Hallam, zaskakując Roberta. Proszę mi wierzyć, o ile mogę coś powiedzieć na ten temat, że jest taki szczególny odcień błękitu w oczach, niemowlecy, który wydaje wyrok na człowieka, zanim ten zdąży otworzyć usta. To kłamcy budzący zaufanie, co do jednego. — Przerwał i zaciągnął się papierosem. — Ze skłonnością do morderstw, to także, jak się zastanowić, chociaż niewiele miałem do czynienia z mordercami.

— Przestraszył mnie pan — powiedział Robert.

— Będę odtąd obchodził z daleka wszystkich błękitnokich, rzecz jasna z tym niemowlecy odcieniem.

Hallam wyszczerzył zęby. — Póki sprawa nie będzie dotyczyła pańskiego portfela, nie musi pan się przejmować. Błękitnooki kłamie tylko dla pieniędzy. A morduje tylko wówczas, kiedy za bardzo zapłacze się we własne kłamstwa. Prawdziwe znamię mordercy to nie kolor oczu, ale ich oprawa.

— Oprawa?

— Tak. Są oprowiane bardzo odmiennie. Oczy. To znaczy jedno inaczej niż drugie. Wyglądają wtedy, jakby pochodziły z różnych twarzy.

— Myślałem, że pan niewiele miał z tym do czynienia.

— Rzeczywiście, ale studiowałem opisy wszystkich spraw, no i badałem zdjęcia. Zawsze byłem zdziwiony, że żadna z książek poświęconych morderstwom nic o tym nie wspomina, chociaż to się tak często przytrafia. Asymetria osadzenia.

— Więc to jest tylko pańska teoria?

— Rzeczywiście, to wynik moich własnych obserwacji. Powinien pan się tym zainteresować. Fascynujące. Dochodziłem do tego stopniowo, kiedy teraz o tym pomyślę.

— Spacerując ulicami?

— Nie, nie było tak źle. Śledziłem każdą nową sprawę o morderstwo, po kolei. Czekałem na fotografię sprawcy. A kiedy dostawałem ją, myślałem: „No właśnie! A nie mówiłem?”

— A kiedy pojawia się fotografia, na której oczy rozstawione są symetrycznie, z matematyczną precyzją?

— To się zdarza prawie zawsze, kiedy morderstwo można uznać za przypadek; tu chodzi o ten rodzaj zabójstwa, którego w określonych okolicznościach może dokonać każdy.

— A kiedy wpadnie panu do ręki fotografia wielebnego pastora z Nether Dumbleton, który z okazji pięćdziesiątej rocznicy posługi kapłańskiej, pełnej poświęcenia, jest właśnie uroczyście obdarowywany przez wdzięcznych parafian, i zauważy pan, że oczy pastora różnią się od siebie w sposób wręcz dziki, to do jakiego pan dochodzi wniosku?

— Że jest zadowolony z żony, że słuchają go dzieci, że uposażenia starcza mu w stosunku do potrzeb, że nie ma żyłki do polityki, dobrze żyje z miejscowymi potentatami i dane mu jest zajmować się tym czym chce.

— Wygląda na to, że pan bez trudu potrafi jednocześnie mieć ciastko i zjeść ciastko⁷.

— Hm — mruknął rozczarowany Hallam. — Raczej wygląda

⁷ Aluzja do popularnego angielskiego przysłowia o ciastku, którego nie można jednocześnie mieć i zjeść: albo-albo.

na to, że prawniczy umysł marnuje ciekawe policyjne obserwacje. Zdawało mi się — dodał, podnosząc się do wyjścia — że prawnik powinien być zadowolony, kiedy ot, tak sobie, otrzymuje poufne wskazówki, które ułatwiają ocenę zupełnie obcych ludzi.

— Dopiął pan tego — oświadczył Robert — że zdeprawował pan niewinnego człowieka. Od tej pory nie będę w stanie spojrzeć na nowego klienta, bez podświadomego zwracania uwagi na kolor oczu i symetryczność ich osadzenia.

— Zawsze to coś. Czas już poznać parę prawd o życiu.

— Dziękuję, że zechciał pan przyjść i opowiedzieć o sprawie z Franchise Robert wrócił do powściągliwego tonu.

— W tym mieście telefon jest urządzeniem niemal tak dyskretnym jak radiostacja odrzekł Hallam.

— Jeszcze raz dziękuję. Zaraz dam znać paniom Sharpe.

Hallam wyszedł, a Robert podniósł słuchawkę.

Hallam miał rację, przez telefon nie można było rozmawiać swobodniej, ale tyle Robert mógł powiedzieć, że zaraz przyjedzie, a wiadomości są pomyślne. To powinno zdjąć im ciężar z serca. Powinna to być również pora — tu zerknął na zegarek — codziennego odpoczynku pani Sharpe, istniała więc nadzieja, że uda się ominąć starego smoka. I, rzecz jasna, istniała też nadzieja na rozmowę w cztery oczy z Marion Sharpe, aczkolwiek ta akurat myśl tkwiła w zakamarku świadomości, nie dopowiedziana.

Ale telefon nie odpowiadał.

Z pomocą znużonej i opieszalej telefonistki z centrali wydzwaniał przez dobrych pięć minut, bez skutku. Pań Sharpe nie było w domu.

Kiedy Robert wciąż jeszcze był zaabsorbowany telefonistką i centralą, do pokoju wparadował Nevil Bennet, jak zwykle wystrojony w wyzywający tweedowy garnitur, różową koszulę i purpurowy krawat. Robert, zerkając w jego stronę z nad aparatu, po raz setny zastanawiał się, co będzie ze spółką Blair, Hayward i Bennet, kiedy spod solidnego zarządu Blaira przejdzie ona w końcu w ręce tej oto młodej latorośli Bennetów. Chłopak miał głowę na karku, to fakt, ale w

Milford z samą tylko głową na karku niedaleko się zajdzie. Milford oczekiwało od mężczyzn, że przestaną korzystać z uciech absolutorium w wieku, w którym można otrzymać dyplom. Jednakże po Nevil u nie było widać żadnych oznak akceptowania świata rozpościerającego się poza granicami jego własnego kółka towarzyskiego. Wciąż starał się wprowadzać ów świat w osłupienie, może nawet nieświadomie, a strój był tego namacalnym dowodem.

Nie chodziło o to, że Robert chciałby chłopaka widzieć w rytualnym czarnym garniturze. W końcu garnitur Roberta uszyty był z szarego tweedu, a klienci z okolicy nie bez wątpliwości spoglądali na „miejskie” ubranie. („Okropny człowieczek w tych prążkowanych garniturach” — w chwili nieuwagi to właśnie wyrwało się Marion Sharpe, kiedy mówiła o ubranym po miejsku adwokacie.). Są jednak tweedy i tweedy; te Nevila Benneta należały do innego gatunku niż tweedy Roberta. Rażąco innego.

— Słuchaj — odezwał się Nevil, kiedy Robert dał za wygraną i odłożył słuchawkę — przygotowałem już te papiery w związku z przelewem własności Calthorpe’a i pomyślałem, że mógłbym dziś popołudniu pojechać do Larborough, o ile nie masz dla mnie nic nowego do roboty.

— Nie możesz do niej zadzwonić? — spytał Robert; Nevil był zaręczony w modnym właśnie stylu, z trzecią córką biskupa Larborough.

— Och, to nie chodzi o Rosemary. Wyjechała do Londynu na tydzień.

— Pewnie na wiec protestacyjny w Albert Hall — powiedział Robert, kwaśny z tej racji, że nie dodzwonił się do pań Sharpe, akurat kiedy miał dla nich dobrą wiadomość.

— Nie, w Guildhall — powiedział Nevil.

— A o co chodzi tym razem? O wiwisekcje?

— Czasami jesteś, Robercie, straszliwie zeszłowieczny — powiedział Nevil, a w jego głosie słyhać było pełną powagi cierpliwość. — Dzisiaj nikt już nie sprzeciwia się wiwisekcjom, z wyjątkiem paru dziwaków. Protest skierowany jest przeciw temu, że ten kraj odmówił schronienia

patriocie, Kotowiczowi.

— Wspomniany patriota, o ile wiem, jest pilnie poszukiwaną osobą we własnym kraju.

— Owszem, przez swoich przeciwników.

— Przez policję, z powodu dwóch morderstw.

— Wykonania wyroków.

— Nevil, czy ty jesteś wyznawcą nauk Johna Knoxa?⁸

— Dobry Boże, skąd! Co ma jedno do drugiego?

— Knox popierał samowolnych wykonawców wyroków.

W tym kraju ta zasada jest już trochę przebrzmiała, jak myślę. W każdym razie, jeżeli w sprawie Kotowicza istnieje różnica między opinią Rosemary, a opinią Sekcji Specjalnej, to ja wolę się trzymać zdania Sekcji Specjalnej.

— Oni robią tylko to, co im każe Foreign Office. Każdy o tym wie. Ale, jeżeli będę tu stał i wyjaśniał ci niuanse sprawy Kotowicza, spóźnię się na film.

— Na jaki film?

— Francuski, który chcę obejrzeć w Larborough.

— Chyba wiesz, że te francuskie błahostki, które zapierają dech w piersiach brytyjskiej inteligencji, w samej Francji uchodzą w większości za rzeczy takie sobie; bardzo takie sobie? Przy okazji, kiedy będziesz jechał w tę stronę, czy mógłbyś zatrzymać się po drodze i wrzucić wiadomość do skrzynki na listy we Franchise?

— Mógłbym. Zawsze chciałem zobaczyć co tam jest za murem. Kto tam teraz mieszka?

— Starsza kobieta z córką.

— Z córką? — powtórzył Nevil, odruchowo nastawiając ucha.

— Z córką w średnim wieku.

— Aha. W porządku. Wezmę tylko płaszcz.

Robert napisał krótko, że próbował dodzwonić się, że musi wyjść w sprawach służbowych mniej więcej na godzinę, że znów zadzwoni, kiedy będzie wolny, że w obecnym stanie rzeczy Scotland Yard nie ma podstaw do wszczęcia

⁸ John Knox, szesnastowieczny przywódca i reformator religijny.

sprawy, i że o takim właśnie stanowisku poinformował.

Nevil wkroczył w narzuconym na ramiona jakimś straszliwym wybrykiem przypominającym raglan, porwał list i zniknął, rzucając na pożegnanie: — Powiedz ciotce Lin, że mogę się spóźnić. Zaprosiła mnie na kolację.

Robert włożył szary, spokojny kapeluszek i wyszedł pod „Różę i Koronę”, na spotkanie z klientem, starym farmerem i zarazem ostatnim w Anglii człowiekiem cierpiącym na chroniczną podagrę. Stary człowiek jeszcze się nie zjawiał, a Robert, zazwyczaj tak spokojny, tak dobrodusznie leniwy, zdawał sobie sprawę z własnej niecierpliwości. Zmienił się wykres napięć w jego życiu. Jak dotąd polegał on na jednostajnym następowaniu takich samych sytuacji; dni upływały od zdarzenia do zdarzenia bez pośpiechu i bez emocji. Teraz zaś pojawiło się ognisko zainteresowania, a cała reszta obracała się wokół niego.

Usiadł w hallu na jednym z krzeseł obitych wzorzystym materiałem i wpatrywał się w pozaginane ośle uszy gazet, leżących na sąsiednim, niskim stoliku. Jediną świeżą gazetą był tu „Watchman”, tygodnik, i Robert niechętnie wziął go do ręki, jeszcze raz myśląc o tym, że dotknięcie suchego papieru drażni opuszki palców, a ząbki na krawędziach stronic powodują, że odruchowo zaciska zęby. W tygodniku znajdowała się zwyczajna kompozycja protestów, poematów i nudziarstwa; honorowe miejsce wśród protestów zajmowało dzieło przyszłego teścia Nevila, który to teść rozpisывał się na trzech czwartych kolumny o wstydzie, jaki ściągnęła na siebie Anglia odmawiając schronienia ściganemu patriotcie.

Biskup Larborough już dawno temu rozszerzył filozofię chrześcijańską o przekonanie, że pokonany ma zawsze rację. Był szalenie popularny wśród bałkańskich rewolucjonistów, brytyjskich komitetów strajkowych i wszystkich starych, wypróbowanych członków społeczności więziennej, odsiadujących ciężkie wyroki. (Wyjątkiem od tej ostatniej reguły był Bandy Brayne, chroniczny recydywista, mający dobrego biskupa w głębokiej pogardzie, a swoje uczucia kierujący ku naczelnikowi więzienia, dla którego łza w oku

była jedynie kroplą H₂O, i który unicestwił najbardziej wzruszające opowieści Bandy’ego, szybko i precyzyjnie rozkładając je na czynniki pierwsze.) Nie ma rzeczy, mówili ze wzruszeniem starzy skazańcy, w którą starszy pan by nie uwierzył; można mu wmówić dziecko w brzuch.

Zazwyczaj Robert uważał, że biskup jest umiarkowanie zabawny, dzisiaj biskup tylko go zirytował. Robert jeszcze zabrał się do dwóch poematów, ale nie doszukał się sensu ani w jednym, ani w drugim i z powrotem rzucił pismo na stolik.

— Znów Anglia jest winna? — Ben Carley zatrzymał się przy krześle Roberta i skinął głową w stronę „Watch- mana”.

— Cześć, Carley.

— No cóż, pożywka dla złudzeń — powiedział mały prawnik, pogardliwie trzepnąwszy gazetę palcami żółtymi od nikotyny.

— Napije się pan?

— Dziękuję, ale czekam tu na starego pana Wynyarda. Teraz już nie zajdzie ani o krok dalej niż musi.

— Biedny stary. Grzechy ojców. To straszne, *cierpieć* z powodu porto, którego samemu się nie piło. Któregoś dnia widziałem pański samochód przed Franchise.

— Tak — powiedział Robert, trochę zdziwiony. Ben Carley nie bywał natrętny. A skoro widział samochód Roberta, musiał widzieć i samochody policyjne.

— Jeżeli pan je zna, to może mi pan powie coś, co zawsze chciałem wiedzieć. Czy te plotki o nich to prawda?

— Plotki?

— Że to są czarownice?

— A powinny być? — lekceważąco odrzekł Robert.

— Tu w okolicy taka wiara ma silne oparcie, o ile się orientuję — powiedział Carley; spojrzenie jego czarnych oczu przez chwilę zatrzymało się na Robercie, potem zaś zaczęło błądzić po hallu, ze zwykłym u Carley’a błyskiem zaciekawienia.

Robert zorientował się, że mały człowieczek między wierszami podsuwa mu informację, którą uważa za przydatną dla Roberta.

— No cóż — odpowiedział Robert — odkąd wraz z kinem

wtargnął na wieś świat rozrywki, nastał, chwała Bogu, koniec polowań na czarownice.

— Niech pan się nie łudzi. Niech pan tylko tym kretynom ze środkowych hrabstw da dobry pretekst, a polowanie na czarownice, które urządzą, będzie pierwszej klasy. Stado degeneratów, gdyby ktoś pytał o moje zdanie. O, nadchodzi pański oldboy. Na razie, do zobaczenia.

Jedną z najbardziej pociągających cech Roberta było szczerze zainteresowanie ludźmi i ich kłopotami, więc słuchał życzliwie nieskładnej opowieści starego Wynyarda, co zjednało mu ciepłe uczucia klienta i spowodowało o czym rzecz jasna Robert nie miał pojęcia — stufuntową podwyżkę w zapisie testamentowym, który stary farmer przewidział dla swego adwokata; kiedy tylko omówili interesy, Robert natychmiast ruszył do hotelowego telefonu.

Kręciło się tu jednak zbyt wielu ludzi i postanowił zadzwonić z garażu przy Sin Lane. Kancelaria była już zamknięta, a poza tym było do niej znacznie dalej. Gdyby zadzwonił z garażu, rozmyślał Robert przechodząc na drugą stronę ulicy, byłby wówczas o krok od samochodu w razie gdyby poprosiła go, to znaczy, gdyby poprosiły go obie panie, żeby przyjechał i omówił dalszy bieg sprawy, a mogą tego zechcieć, niemal na pewno zechcą, jasne, zechcą przedyskutować, jak wykazać niewiarygodność opowieści tej dziewczyny, wszystko jedno, czy dojdzie do procesu, czy nie. Wiadomość od Hallama przyniosła mu taką ulgę, że nie zdołał jeszcze zwrócić uwagi na to, że...

— Dobry wieczór, panie Blair — powiedział Bill Brough, przepychając okazałe ciało przez wąskie drzwi kantorku; spokojna, okrągła twarz patrzyła życzliwie i kojąco.— Chce pan zabrać samochód?

— Nie, najpierw chciałbym zadzwonić, jeżeli można.

— Pewnie. Nie ma sprawy.

Stanley, który leżał pod samochodem, wytknął spod niego głowę, na Roberta spojrzęły sarnie oczy; Stanley spytał:

— Wie pan coś?

— Nic a nic, Stan. Od miesięcy nic nie postawiłem.

— Jestem do tyłu o dwa funty, z powodu tej krowy. Promiennej Obietnicy. Tak to jest, kiedy dochowuje się wiary koniom. Następnym razem, gdyby pan coś wiedział...

— Jeżeli następnym razem będę miał pewniaka, to ci powiem. Ale w każdym razie będzie chodziło o konia.

— No właśnie, o konia, a nie o krowę — powiedział Stanley i znów zniknął pod samochodem; Robert zaś wszedł do małego, dusznego ale widnego kantorka i podniósł słuchawkę.

Telefon odebrała Marion, a z jej głosu promieniowało ciepło i zadowolenie.

— Nie ma pan pojęcia jaką odczułyśmy ulgę dzięki pana karteczce. Matka i ja przez cały ostatni tydzień wyskubywałyśmy pakuły ze starych lin okrętowych. Nawiasem, czy tam wciąż jeszcze, wie pan gdzie, skubie się pakuły?

— Nie sądzę. Mam wrażenie, że dzisiaj wchodzi w grę coś bardziej konstruktywnego.

— Wychowanie przez pracę.

— Mniej więcej.

— Nie sądzę, żeby przymusowe szycie mogło mi poprawić charakter.

— Przypuszczam, że znaleźliby dla pani coś bardziej odpowiedniego. Zmuszanie więźnia, żeby robił coś, czego nie chce, byłoby myślą wysoce nienowoczesną.

— Po raz pierwszy słyszę, że pan umie być cierpki.

— Byłem cierpki?

— Jak angostura⁹.

Otarła się o temat picia, to dobrze, może teraz zaprosi go na sherry przed kolacją.

— A przy okazji, ma pan czarującego siostrzeńca.

— Siostrzeńca?

— Przyniósł pańską kartkę.

— Nie jest moim siostrzeńcem — zimno wyjaśnił Robert. Dlaczego bycie wujem tak postarza człowieka? — Jest kuzynem moich rodziców. — To nic nie pomoże. Trzeba brać byka za rogi. Chciałbym kiedyś spotkać się z paniami, żeby

⁹ Gorzka, mocna wódka.

zastanowić się co dalej, jeżeli chodzi o uporządkowanie sytuacji; żeby sprawy przedstawiały się bezpieczniej... — Robert czekał.

— Oczywiście. Może przy okazji zakupów mogłybyśmy któregoś dnia wpaść do pańskiej kancelarii? Jak pan sądzi, na co trzeba się teraz nastawić?

— Może na coś w rodzaju prywatnego śledztwa. Nie mogę tego dokładniej powiedzieć przez telefon.

— Nie, oczywiście, że nie. Jakby to wypadło, gdybyśmy przyszły do pana w piątek rano? To nasz dzień na sprawunki. Czy w piątek jest pan zajęty?

— Nie, piątek bardzo mi odpowiada — powiedział Robert, starając się ukryć rozczarowanie. — Około południa?

— Doskonale. Pojutrze o dwunastej, w pana kancelarii. Do widzenia i jeszcze raz dziękuję za wsparcie i pomoc.

Odłożyła słuchawkę pewnie, zdecydowanie, bez całego tego świergotania, którego Robert spodziewał się po kobietach.

— Wyprowadzić ją? — spytał Bill Brough, kiedy Robert znalazł się w garażu zanurzonym w półmroku.

— Ją?

— Bryczkę.

— Nie. Dzisiaj nie będę potrzebował samochodu.

Robert ruszył na zwykły wieczorny spacer w dół High

Street i pracowicie starał się pozbyć wrażenia, że dostał po nosie. Wcale nie chciał tak bardzo jechać do Franchise, to raz, a brak chęci w tej sprawie niemal udało mu się uznać za szczerę; Marion zaś, to jasne, nie kwapiła się do powtarzania tamtych okoliczności. To, że utożsamiał się z ich kłopotami, to tylko sprawa zawodowa, w sam raz do roztrząsania w biurze, bezosobowo. One nie chcą wplątywać go dalej, niż do tej granicy.

No dobrze, pomyślał padając w objęcia ulubionego fotela w pokoju, przy kominku i biorąc do ręki wieczorną gazetę; kiedy w piątek przyjdą do firmy, może zrobić coś, co przesunie sprawę na bardziej osobisty grunt i w ten sposób zatrze się pamięć o pechowej porażce.

Spokój starego domu ukoił Roberta. Christina już od

dwóch dni spędzała czas na modlitwie i medytacjach, zamknięta w swoim pokoju, a ciotka Lin przygotowywała w kuchni kolację. Nadszedł pogodny list od Letycji, jedynej siostry Roberta, która parę lat krwawej wojny spędziła za kierownicą ciężarówki i zakochała się wówczas w wysokim, milczącym Kanadyjczyku, a teraz wychowywała pięcioro brzdąców w Saskatchewan. „Przyjeżdżaj szybko, kochany Robercie — tak kończył się list — zanim podrosną dzieciaki i zanim mech cię porośnie ze wszystkich stron. Wiem, jak niedobrze obchodzi się z Tobą ciotka Lin!” Robert niemal słyszał głos Letycji... Nigdy w życiu nie spotkały się z ciotką Lin.

Uśmiechnął się, rozluźnił, wypełniły go wspomnienia, kiedy zburzył ten spokój Nevil.

— Dlaczego nie opowiedziałeś mi o niej, że jest właśnie taka! — dopytywał się.

— Kto?

— Ta Sharpe. Czemu nic mi nie powiedziałeś?

— Nie spodziewałem się, że ją spotkasz — powiedział Robert. Miałaś tylko wrzucić list przez drzwi.

— Tak, ale w drzwiach nie było niczego, przez co można by go wrzucić, więc zadzwoniłem, a one już wróciły stamtąd, gdzie poszły. W każdym razie to ona otworzyła.

— Myślałem, że popołudniu śpi.

— Nie wierzę, że w ogóle sypia. Wygląda jakby w ogóle nie należała do rodzaju ludzkiego. To z czego się składa, to ogień i metal.

— Wiem, że to bardzo bezceremonialna starsza pani, ale musisz to zrozumieć. Miała bardzo trudne...

— Starsza? A o kim ty mówisz?

— O starej pani Sharpe, a o kim?

— Starej pani Sharpe nawet nie widziałem. Mówię o Marion.

— Marion Sharpe? Skąd wiesz, jak ma na imię?

— Powiedziała mi. Pasuje do niej, prawda? Nie mogłaby być nikim innym, tylko Marion.

— Zdaje się, że wszedłeś z nią w sporą zażyłość, jak na rozmowę przez próg.

— Och, poczęstowała mnie herbatą.

— Herbatą! Zdawało mi się, że strasznie się śpieszysz, żeby zdążyć na francuski film.

— Nigdy nigdzie się nie śpieszę, i to strasznie, kiedy taka kobieta jak Marion Sharpe zaprasza mnie na herbatę. Przyjrzałeś się jej oczom? Jasne, że się przyjrzałeś. Jesteś jej doradcą. Ten cudowny odcień, pomiędzy szarym a orzechowym. A rysunek brwi, zupełnie jak kreska genialnego malarza, położona nad oczami Brwi uskrzydłone, otóż to. Ułożyłem o nich wiersz po drodze do domu. Chcesz posłuchać?

— Nie — głos Roberta brzmiał stanowczo. — Jak ci się podobał film?

— Och, nie byłem w kinie.

— Nie byłeś w kinie!

— Przecież mówiłem ci, że zamiast tego piłem herbatę u Marion.

— To znaczy, że spędziłeś we Franchise całe popołudnie?

— Tak to odczuwam powiedział Nevil marzycielskim tonem — ale, na Boga, wydaje się, że naprawdę to nie trwało dłużej niż siedem minut.

— A co z twoją pasją do francuskich filmów?

— Francuski film to jest Marion. Nawet ty musiałeś to zauważyć! — Robert drgnął słysząc „nawet ty”. — Po co przejmować się cieniem, kiedy możesz przebywać z kimś rzeczywistym. Rzeczywistość. To jej niezwykła właściwość, prawda? Nigdy nie spotkałem kogoś tak rzeczywistego, jak Marion.

— Nawet Rosemary? — stan Roberta ciotka Lin porównałyby do stanu gwiazdy filmowej, której właśnie odbiera się rolę.

— Rosemary jest przemiła i ożenię się z nią, ale to zupełnie inna sprawa.

— Zupełnie inna? — w łagodnym głosie Roberta czał się podstęp.

— Oczywiście. Mężczyźni nie żenią się z takimi kobietami jak Marion Sharpe, w każdym razie nie częściej niż z chmurami czy wiatrem. Ani nie częściej, niż z Joanną d'Arc.

Byłoby czystym bluźnierstwem myśleć o małżeństwie z kobietą tego rodzaju. Nawiasem mówiąc, bardzo życzliwie mówiła o tobie.

— Bardzo miło z jej strony.

Ton głosu był oschły i nawet Nevil wyczuł, że coś się za tym kryje.

— Lubisz ją? — zapytał, a potem przerwał zaskoczony i przyjrzał się kuzynowi z niedowierzaniem.

Robert na chwilę przestał być miłym, leniwym, tolerancyjnym Robertem Blairem; stał się po prostu zmęczonym mężczyzną, który jeszcze nie jadł obiadu i który nie przeboleł niedawnego rozczarowania ani zlekceważenia.

— Jeżeli o mnie chodzi — powiedział — to Marion Sharpe jest dla mnie chudą kobietą około czterdziestki, która w starym, ponurym domu mieszka ze starą matką, raczej szorstką, i przypadkiem potrzebuje porady prawnej, jak ktokolwiek inny.

Ale już w chwili wypowiedzania chciał powstrzymać te słowa, jakby oznaczały zdradę przyjaźni.

— Raczej przypuszczam, że to nie twój typ kobiety — wyrozumiale oświadczył Nevil. — Zawsze wolałeś blondynki i raczej głupie. — Powiedziane to było bez cienia złośliwości, po prostu Nevil ściśle przedstawiał fakt.

— Nie mam pojęcia, skąd ci to przyszło do głowy.

— Wszystkie kobiety, z którymi omal się nie ożeniłeś były takie.

— Nigdy z nikim „omal się nie ożeniłem” — sztywno odrzekł Robert.

— Tak ci się zdaje. Nigdy się nie dowiesz jak blisko tego, by cię zdobyć, była Molly Manders.

— Molly Manders? — powiedziała wchodząc ciotka Lin; była zarumieniona od ciepła kuchni, a wniosła tacę z sherry. — Co za głupia dziewczyna! Myślała, że naleśniki smaży się w formie do ciasta. I bezustannie przeglądała się w tym swoim lustreczku.

— Wtedy wyratowała cię ciocia Lin, prawda ciociu?

— Nevil, złotko, nie wiem o czym mówisz. Przestań z łaski

swojej przechadzać się po tej blasze przed kominkiem i dorzuć polano do paleniska. Podobał ci się ten francuski film?

— Nie byłem w kinie. Zamiast tego wpadłem na herbatę do Franchise. — Zerknął w stronę Roberta, by teraz przekonać się, że zachowanie kuzyna zdradza więcej, niż to co było widać na pierwszy rzut oka.

— U tych dziwnych kobiet? A o czym rozmawialiście?

— O górach... o Maupassancie... o kurach...

— Złotko, o kurach?

— Tak. Chodziło o to, że kurza głowa w zbliżeniu okazuje się koncentracją zła.

Ciotka Lin wyglądała na zbitą z tropu. Zwróciła się do Roberta sądząc, że wraca na pewniejszy grunt.

— To może zaproszę je, złotko, skoro nawiązujecie znajomość? A może poproszę żonę pastora, żeby je zaprosiła?

— Nie wiem. Nie powinienem chyba wciągać żony pastora w sytuację aż tak nieodwracalną głos Roberta zabrzmiał sucho.

Przez chwilę wzrok ciotki wyrażał wątpliwość, lecz domowe obowiązki szybko wzięły górę.

— Nie rozczulajcie się tak nad sherry, bo przypali się to, co jest w piekarniku. Chwała Bogu, Christina już jutro zejdzie na dół. W każdym razie liczę na to; sprawa nawrócenia nigdy nie zajmowała jej więcej niż dwa dni. I naprawdę nie sędzę, że chciałabym zaprosić te kobiety z Franchise, jeżeli nie robi ci to różnicy. Poza tym, że są obce i bardzo dziwne, napawają mnie lękiem, mówię szczerze.

No właśnie; był to przykład zachowania, którego należało oczekiwać wobec pań Sharpe. Dzisiaj Ben Carley pofatygował się, by go ostrzec, że w razie kłopotów z policją czy sądem, a wiążących się z właścicielkami Franchise, nie ma co liczyć na bezstronność przysięgłych. Należy przedsięwziąć środki chroniące panie Sharpe. Kiedy spotka je w piątek, podsunie myśl o prywatnym dochodzeniu, prowadzonym przez płatnego wywiadowcę. Policja jest przepracowana co najmniej od dziesięciu lat i wyłania się tu szansa dla człowieka, który w samodzielnym dochodzeniu, korzystając z wolnego czasu,

może o wiele łatwiej odnieść sukces, niż urzędowa, rutynowana machina śledcza.

6

W piątek rano było już za późno na roztaczanie opieki nad mieszkankami Franchise.

Robert wziął pod uwagę skrupulatność policji, przewidział rozpełzanie się plotek, niestety, zapomniał o istnieniu „Ack-Emma”.

Była ona najświeższym dowodem na to, że brytyjska prasa wzbogaciła się już o dziennikarstwo brukowe rodem zza oceanu. „Ack-Emma” była redagowana w myśl zasady, że dwa tysiące funtów odszkodowania to niewiele, jeżeli dochód ze sprzedaży wynosi pół miliona. Miała nagłówki większe, zdjęcia bardziej sensacyjne, a teksty bardziej niedyskretne niż jakakolwiek gazeta, która do tej pory zesłała z maszyn drukarskich w Wielkiej Brytanii. Przy Fleet Street¹⁰ wiedziano, jak zjawisko nazwać — ocena była krótka i nie nadawała się do druku — ale nie wiedziano, jak się przed nim bronić. Prasa zawsze była sama sobie cenzorem; na podstawie zdrowego rozsądku i dobrego smaku decydowała co może, a czego nie może drukować. Jeżeli jednak jakieś „dzikie” wydawnictwo postanowiło nie przestrzegać reguł, to nie istniała władza, która mogłaby je przywołać do porządku. W ciągu dziesięciu lat „Ack- -Emma” osiągnęła z dziennej sprzedaży na czysto coś około pół miliona, i to jako najlepiej sprzedawana w kraju gazeta. Rano, w pierwszym lepszym wagonie kolei podmiejskiej, na dziesięciu ludzi jadących do pracy, siedmiu czytało „Ack-Emmę”.

I to właśnie „Ack-Emma” wywlokła na widok publiczny sprawę Franchise.

W ów piątek Robert wcześniej rano wyjechał na wieś, by odwiedzić dogorywającą staruszkę, która chciała zmienić testament. Był to występ, który staruszka dawała mniej więcej

¹⁰ Ulica, przy której mieściły się ważniejsze redakcje londyńskie.

raz na trzy miesiące. Lekarz nie taił opinii, że starsza pani, jego zdaniem, jeszcze kiedyś zdmuchnie sto świeczek i to jednym tchem. Prawnik nie może jednak radzić klientce, żeby przestała się wygłupiać, kiedy ta pilnie wzywa go o wpół do dziewiątej rano. Robert zabrał więc nowe formularze testamentowe, wyprowadził samochód z garażu i pojechał na wieś. Mimo zwykłej sprzeczki z zagrzebanym w poduszkach starym tyranem (babsko nigdy nie mogło pojąć elementarnej prawdy, że nie da się przyznać czterech jednakowych zapisów, z których każdy miałby stanowić jedną trzecią całego spadku), Robert zachwycał się wiosennym krajobrazem. W drodze do domu nucił pod nosem, myśląc już o tym, że za niecałą godzinę zobaczy Marion Sharpe.

Postanowił przebaczyć jej to, że polubiła Nevila. W końcu to nie Nevil próbował ją splawić do Carley'a. Trzeba być fair.

Wprowadził samochód do garażu, tuż przed nosem rannej grupy wyruszającej ze stajni na przejażdżkę, zaparkował, a potem — ponieważ przypomniał sobie, że już jest po pierwszym — ruszył w stronę kantorka, żeby zapłacić rachunek; powinien zastać Billa Brough'a, który prowadził sprawy papierkowe. W kantorku siedział jednak Stanley, który grubymi paluchami wertował terminarze i faktury; mocne dłonie Stanley'a osadzone na szczupłych ramionach stanowiły widok zadziwiający.

— Kiedy służyłem w Łączności — powiedział Stanley, kierując ku Robertowi niewidzące spojrzenie — to po prostu uważałem, że ten kwatermistrz, to kanciarz, a teraz już nie jestem tego taki pewny.

— Coś wsiąkło? — spytał Robert. — Wpadłem, żeby zapłacić rachunek. Bill zwykle wypisuje go wcześniej.

— Pewnie gdzieś tu leży — odrzekł Stanley, wciąż grzebiąc w świstkach. — Proszę się rozejrzeć.

Robert, który przyzwyczał się do porządków panujących w kantorku, pozbierał kartki porozrzucane przez Stanley'a i próbował dotrzeć do niższych warstw papierów, pieczołowicie poukładanych przez Billa. Kiedy zaś zdjął skotłowaną, wierzchnią stertę, wyłoniła się spod niej dziewczęca twarz;

ściślej, zdjęcie wydrukowane w gazecie. Na pierwszy rzut oka nie rozpoznał tej twarzy. Fotografia przypominała mu kogoś, więc przyglądał się jej przez chwilę.

— Znalazłem! — tryumfalnie wykrzyknął Stanley, wyciągając spod zacisku skrawek papieru. Zgarnął ze stołu resztę luźnych kartek, cisnął je na bok i w ten sposób przed oczami Roberta odsłoniła się, w całej okazałości, frontowa kolumna porannego wydania „Ack-Emmy”.

Robert patrzył, porażony.

Stanley odwrócił się, by zabrać i te papiery, które trzymał w dłoni Robert; zauważył co pochłonęło Roberta i kiwnął głową ze zrozumieniem.

— Niezły numer — powiedział. — Przypomina mi jedną taką, z którą kręciłem w Egipcie. Te same szeroko rozstawione oczy. To był miły dzieciak. Najzmyślniejsza kłamczucha pod słońcem.

Stanley wrócił do tego, co uważał za porządkowanie papierów, a Robert wciąż wpatrywał się w „Ack-Emmę”.

TO TA DZIEWCZYNA

zawiadamały ogromne, czarne litery, a poniżej napisu znajdowała się fotografia zajmująca dwie trzecie strony. Jeszcze niżej, mniejszą, ale rzucającą się natrętnie w oczy czcionką złożony był podpis:

CZY TO TEN DOM?

Pod nim znalazła się fotografia Franchise. Dół strony zamykały zdania:

DZIEWCZYNA MÓWI: TAK. A CO MÓWI POLICJA?

Szczegóły wewnątrz numeru

Robert otworzył gazetę.

No tak; było wszystko, z wyjątkiem nazwiska Sharpe.

Dał spokój tekstowi i znów przyjrzał się tej szokującej pierwszej kolumnie. Jeszcze wczoraj Franchise było domostwem chronionym przez cztery wysokie ściany, tak zdany na siebie i samowystarczalnym, że nawet w Milford nikt nie

miał pojęcia, jak ono wygląda. Teraz zaś będzie można gapić się na nie przy każdej ladzie z gazetami, od Penzance do Pentland: płaska, odpychająca fasada, jako kontrast wobec niewinności twarzy spoglądającej spod nagłówka.

Zdjęcie — banalny kadr, „głowa-do-ramion” — wyglądało na zrobione w studio. Dziewczyna była uczesana odświętnie, a miała na sobie coś w rodzaju sukienki na małe przyjęcie. Bez szkolnego płaszczyka wyglądała ani mniej niewinnie, ani starzej; nie. Robert szukał odpowiedniego słowa. Wyglądała mniej... nietykalnie, może tak? Szkolny płaszczyk nie pozwalał myśleć o niej jako o kobiecie, jak zakonny habit. Przyszło mu do głowy, że można napisać cały traktat o ochronnych właściwościach szkolnych płaszczków; ochronnych w obu znaczeniach, a więc jako pancerza i jako kamuflażu. Teraz, kiedy zabrakło płaszczka, dziewczyna była kimś kobiecym, a nie tylko osobnikiem rodzaju żeńskiego.

Wciąż jednak była to wzruszająca młoda twarz, niedojrzała i uczuciowa. Jasne czoło, szeroko osadzone oczy, pełne wargi, jakby wypożyczone z twarzy zawiedzionego dziecka, to wszystko składało się na znakomitą całość. Nie tylko biskup Larborough mógł uwierzyć w opowieści poświadczone przez tę twarz.

— Czy mogę pożyczyć gazetę? — spytał Robert.

— Niech pan bierze — odrzekł Stanley. — Pożywiliśmy się nią przy drugim śniadaniu. Nic tam nie ma.

Robert był zaskoczony.

— A to nie wydaje ci się interesujące? — pokazał pierwszą stronicę.

Stanley rzucił okiem na portret.

— Nie, poza tym, że przypomina mi tę dziewczynę z Egiptu, te kłamstwa, i tak dalej.

— Więc nie wierzysz w historię, którą tu opowiedziała?

— Że też to panu przyszło do głowy — fuknął Stanley, pełen pogardy.

— A jak myślisz, gdzie ta dziewczyna była przez cały czas?

— O ile w ogóle jeszcze przypominam sobie panienkę z nad Morza Czerwonego, to powiedziałbym z głębokim, ale to

bardzo głębokim przekonaniem, że ta dziewczyna, tutaj, musiała się zdrowo wypuścić — powiedział Stanley i wyszedł na spotkanie klienta.

Robert zabrał gazetę i wyszedł. Trochę się uspokoił. Przynajmniej jeden człowiek-z-tłumu nie uwierzył, chociaż wpłynęły na to, zdaje się, i stare wspomnienia i dzisiejsze zgorzknienie.

I chociaż Stanley najwyraźniej przeczytał artykuł nie zwracając uwagi ani na nazwiska związane ze sprawą, ani nawet na nazwy miejscowości, to w ten sposób czytało gazety zaledwie dziesięć procent czytelników (tak w każdym razie zapewniały najbardziej wnikliwe ankiety socjologiczne); reszta, dziewięćdziesiąt procent, zapewne czytała tekst słowo po słowie i teraz z mniejszą lub większą przyjemnością rozprawiała o aferze.

Robert dowiedział się w kancelarii, że usiłował dodzwonić się do niego Hallam.

— Czy mógłby pan wejść i zamknąć drzwi? — odezwał się Robert do starego pana Heseltine'a, który zaraz po wejściu dopadł go z nowinami, a teraz stał w drzwiach pokoju. — I czy mógłby pan rzucić na to okiem?

Sięgnął po telefon jedną ręką, drugą zaś podsunął staremu prawnikowi pod nos gazetę.

Pan Heseltine wziął ją w drobne, wypiełgnowane dłonie, jak ktoś, kto pierwszy raz przygląda się przedziwnemu okazowi.

— To jest to czasopismo, o którym tyle się słyszy? — upewnił się i pogрузił w lekturze gazety, jakby chodziło o jakiś wątpliwej natury dokument.

— No i co, obaj mamy kłopot — zabrzmiał w słuchawce głos Hallama; Robert zdołał połączyć się i obydwaj zdążyli już wymienić epitety odnoszące się do „Ack-Em- my”. — Jakby policja nie miała dosyć roboty bez podrzucania jej na próg takiej szmaty! kończył Hallam, przejęty, rzecz jasna, takim stanem spraw, jakim widziała go policja.

— Czy słyszał pan coś z Yardu?

— Grant o dziewiątej rano urywał telefon. Ale nic na to nie

poradzą. Trzeba zacisnąć zęby i wytrzymać; po prostu. Policja nie jest pod ochroną. Wolno ją krytykować. Tak samo i pan nic nie poradzi, skoro już o tym mowa.

— Nic a nic — powiedział Robert. — Mamy pierwszorzędną, wolną prasę.

Na temat prasy Hallam dorzucił jeszcze kilka uwag. — A czy te pańskie klientki już wiedzą? — zapytał.

— Nie sądzę. Jestem pewien, że nigdy nie biorą do rąk „Ack-Emmy”, a nie upłynęło jeszcze dość czasu, żeby jakaś życzliwa dusza zdążyła przysłać im egzemplarz. W ciągu dziesięciu minut powinny tu być, więc sam im pokażę.

— Jeżeli w ogóle można staremu babsztyłowi współczuć — powiedział Hallam — to chyba współczułbym mu w tym momencie.

— A jak „Ack-Emma” dobrała się do tej historii? Myślałem, że rodzice, to znaczy opiekunowie, byli bardzo przeciwni rozgłosowi tego rodzaju.

— Grant twierdzi, że było tak: brat dziewczyny uznał, że policja nic nie robi, stracił głowę i popędził do redakcji „Ack-Emmy”, na własną rękę. A om są bardzo żarliwi, jeżeli chodzi o obronę niewinności. „»Ack-Emma« sprawdzi, czy wszystko jest jak należy”. Podobno jedna z tych ich krucjat trwała bez przerwy trzy doby.

Robert odłożył słuchawkę i pomyślał, że jeśli sprawy przybrały zły obrót dla obu stron, to przynajmniej kryły teraz, sprawiedliwie, tyle samo niebezpieczeństw co szans. Policja niewątpliwie podwoi wysiłki, żeby znaleźć rozstrzygający dowód; a z drugiej strony, zamieszczenie zdjęcia dziewczyny w gazecie oznaczało wątłą nadzieję dla pań Sharpe, że znajdzie się ktoś, kto rozpozna dziewczynę i oświadczy: — Ta młoda osoba nie mogła znajdować się we Franchise w opisanym czasie, ponieważ właśnie znajdowała się w takim a takim miejscu.

— Gorsząca historia, panie Robercie — oświadczył pan Heseltine. — Jeżeli wolno mi wyrazić swoje zdanie, to absolutnie gorsząca. Obrażliwa w najwyższym stopniu.

— Ten dom — powiedział Robert — to Franchise, gdzie stara

pani Sharpe mieszka wraz z córką, i gdzie byłem parę dni temu, jeżeli pan pamięta, żeby udzielić im porady.

— To znaczy, że te osoby są naszymi klientkami?

— Tak.

— Ależ panie Robercie, ta sprawa całkowicie wykracza poza naszą praktykę. — Robert drgnął, słysząc w głosie współnika przestach. — Odbiega od naszych normalnych... tak, jest najzupełniej poza naszymi... brak nam kompetencji...

— Mamy dość kompetencji, jak myślę, żeby obronić każdego klienta przed tego rodzaju publikacjami, jakie zamieszcza „Ack-Emma” — zimno odpowiedział Robert.

Pan Heseltine wpatrywał się w krzyczącą płachtę, która leżała na stole. Najwyraźniej stał przed trudnym wyborem: z jednej strony sprawa kryminalna, więc i kryminalna klientela, z drugiej — zniesławiająca gazeta.

— Uwierzył pan w tę opowieść? — spytał Robert.

— Nie mam pojęcia, jak można sklecić coś podobnego — prosto z mostu odpowiedział pan Heseltine. — To bardzo mglista historia, prawda? Trudna do sprawdzenia.

— Rzeczywiście. Ale ja tę dziewczynę widziałem, kiedy w zeszłym tygodniu przywieziono ją do Franchise, żeby zidentyfikowała i miejsce, i ludzi; tego dnia, kiedy tak szybko wyszedłem po podwieczorku. Nie wierzę w ani jedno jej słowo. W ani jedno słowo — dodał, zadowolony, że może to powiedzieć głośno i wyraźnie, i w końcu być pewnym, że w to wierzy.

— Ale skąd w ogóle wpadła na myśl o Franchise, albo skąd wiedziała o tym wszystkim, jeżeli nigdy tam nie była?

— Nie wiem. Nie mam zielonego pojęcia.

— To najmniej spodziewane miejsce, nie ma dwóch zdań, odległy, słabo widoczny dom, przy pustej drodze, w rzadko odwiedzanej okolicy.

— Wiem. Nie mam pojęcia, jak funkcjonuje ten szwindel, ale jestem pewien, że to szwindel. To nie sprawa wyboru między wersjami zeznań, ale wyboru między ludźmi. Jestem całkowicie przekonany, że żadna z pań Sharpe nie jest zdolna do tego rodzaju nieobliczalnego postępowania. I jednocześnie nie wierzę, żeby ta dziewczyna była niezdolna do

opowiedzenia właśnie takiej bajeczki. Tak przedstawia się bilans. — Robert przerwał na chwilę. — A ty, Timmy, musisz po prostu uwierzyć w mój zdrowy rozsądek — dodał, używając wobec starego urzędnika tego samego zdrobnienia, którego wolno mu było używać w dzieciństwie.

Czy sprawiły to argumenty, czy też sięgnięcie po słowo „Timmy”, dość na tym, że pan Heseltine najwyraźniej nie zamierzał już dłużej protestować.

— Będzie pan musiał jakoś znieść te kryminalistki — powiedział Robert. — Już słyszę ich głosy w hallu. Będzie pan tak dobry i przyprowadzi je tutaj?

Pan Heseltine wyszedł bez słowa, a Robert odwrócił gazetę tak, by wzrok przybyłych mógł paść na stosunkowo mało jadowity śródtytuł „Przeszmugłowana w samochodzie”.

Pani Sharpe, by uczcić spotkanie, włożyła kapelusz, za sprawą jakiegoś szczątkowego sentymentu wobec konwenansów. Był to splaszczony twór z czarnego jedwabiu, który — najogólniej rzecz biorąc — nasuwał skojarzenia z uroczystym odbieraniem doktoratu. Wysiłki związane z kapeluszem nie poszły jednak na marne, a można to było wyczytać z odprężonej nieco twarzy pana Heseltine’a. Z pewnością nie były to tego rodzaju klientki, których przybycia się obawiał; przeciwnie, były tego rodzaju klientkami, do których pan Heseltine był przyzwyczajony.

— Proszę nie wychodzić odezwał się do niego Robert, kiedy przywitał panie Sharpe. — Chciałbym, by panie poznały pana Heseltine’a, najstarszego wspólnika naszej firmy.

Pani Sharpe postanowiła być łaskawa; a kiedy już zdecydowała się być łaskawa, przewyższała w tej roli królowa Wiktorię. Pan Heseltine odczuł coś więcej niż ulgę; wywiesił białą flagę. Pierwsza bitwa, którą musiał stoczyć Robert była zakończona.

Kiedy już zostali sami Robert zauważył, że Marion czeka i chce coś powiedzieć.

— Spotkało nas coś dziwnego — zaczęła. — Przy- słyśmy do Anny Boleyn na kawę, chodzimy tam wcale często, były dwa wolne stoliki, kiedy jednak panna True- love zobaczyła, że

wchodzimy, pośpiesznie oparła krzesła o stoły i powiedziała, że miejsca są zarezerwowane. Można by w to uwierzyć, gdyby nie była taka zakłopotana. Nie sądzi pan, że plotki zaczęły robić swoje? Może zachowała się w ten sposób, dlatego, że usłyszała jakieś pogłoski?

— Nie — ze smutkiem w głosie orzekł Robert: — dlatego, że przeczytała poranne wydanie „Ack-Emmy”. — Robert pokazał pierwszą stronę gazety. — Przykro mi, że mam dla pań aż tak złe nowiny. Trzeba po prostu zacisnąć zęby i wytrzymać, jak to się mówi małym chłopcom. Nie przypuszczam, żeby panie kiedykolwiek widziały z bliska tego trującego szmatławca. Szkoda, że zawarcie znajomości odbywa się na gruncie osobistym.

— Nie! — w głosie Marion zabrzmiał namiętny protest, a krzyknęła na widok zdjęcia Franchise.

Potem obie kobiety zajęły się pochłanianiem artykułu; zapadła cisza.

W końcu odezwała się pani Sharpe: — Rozumiem, że nie ma możliwości zaskarżenia czegoś takiego?

— Najmniejszej — odpowiedział Robert. — Wszystkie informacje są absolutnie prawdziwe. Materiał w całości jest informacją, a nie komentarzem. Gdyby nawet znalazł się komentarz (a nie wątpię, że przyjdzie czas i na komentarze), to nie ma możliwości złożenia zażalenia, ponieważ w sprawie nie toczy się postępowanie sądowe. Mogą więc komentować, ile chcą.

— Ten kawałek jest jednym wielkim komentarzem, tyle że pośrednio — powiedziała Marion. — Chodzi mniej więcej o to, że policja zaniedbała obowiązki. Co oni sobie myślą, że co zrobiliśmy? Przekupiliśmy policję?

— Jak sądzę, kryje się tu sugestia, że skromna ofiara jest gorzej traktowana przez policję, niż niegodziwi bogaci.

— Bogaci — powtórzyła Marion ze ściśniętym gardłem.

— Każdy, kto ma więcej niż sześć kominów jest bogaty¹¹. A teraz, jeżeli nie jest pani zbyt wstrząśnięta, zastanówmy się. Wiemy, że dziewczyna nigdy nie znalazła się we Franchise, a

¹¹ Aluzja do historycznego podatku, w Polsce znanego jako podymne.

wobec tego nie mogła...

Marion przerwała mu.

— Czy pan to wie?

— Tak. Wiem — odrzekł Robert.

Z oczu Marion zniknęło wyzwanie; spuściła wzrok.

— Dziękuję — powiedziała cicho.

— Jeżeli dziewczyny nigdy nie było we Franchise, to w jaki sposób mogła zobaczyć dom?... Jakoś go widziała. To mało możliwe, że powtarzała tylko cudzy opis, za kimś... Jak mogła zobaczyć dom? Oczywiście, w zwyczajny sposób.

— Myślę, że z górnego piętra autobusu — powiedziała Marion. — Ale piętrowe autobusy nie kursują tą trasą. Albo ze stogu siana na wozie; tyle, że to nie pora na zwożenie siana.

— Może i nie pora na zwożenie siana — głos starszej pani Sharpe kojarzył się z krakaniem, — ale ciężarówki jeżdżą stale. Widziałam, że bywają wyładowane tak wysoko, jak wozy z sianem.

— Rzeczywiście — powiedziała Marion. — Przypuśćmy, że dziewczyna przejechała się nie samochodem osobowym, ale ciężarówką.

— Coś przemawia przeciw temu. Jeżeli dziewczynę ktoś podwiózł ciężarówką, to powinna siedzieć w kabinie, nawet jeżeli to oznacza, że siedziała komuś na kolanach. Nie mogli jej posadzić na wierzchu ładunku. Zwłaszcza, że to był wieczór i padało, jak panie pamiętają... Czy nikt nie zaszedł do Franchise zapytać o drogę, albo coś sprzedać, naprawić, ktoś taki, z kim dziewczyna mogłaby się zjawić, nawet gdzieś z tyłu, w tle?

Jednak nie; kobiety były przekonane, że w tym czasie, w którym dziewczyna wyjechała na ferie, nikt się nie zjawił we Franchise.

— Wobec tego możemy być pewni, że tego, co mówiła o Franchise dowiedziała się, bo miała okazję popatrzeć przez mur. Pewnie nigdy nie dojdziemy, kiedy i jak to było, a gdybyśmy nawet doszli, pewnie niczego nie zdołamy udowodnić. Wobec tego wszystkie wysiłki należy poświęcić nie temu, żeby udowadniać, że we Franchise jej nie było, ale

temu, że ona była w tym czasie gdzie indziej!

— A jakie mamy szanse? — zapytała pani Sharpe.

— Większe niż przed wydrukowaniem tego tutaj — powiedział Robert, wskazując na pierwszą stronicę „Ack-Emmy”. — To jasny punkt w ciemnej historii. My nie mogliśmy opublikować zdjęcia dziewczyny licząc, że uzyskamy informację o miejscu jej pobytu w ciągu tego miesiąca. A teraz to zdjęcie opublikowali oni, to znaczy jej ludzie, ale my odnosimy tę samą korzyść. Rozpowszechnili tę historię i jest to dla nas zmartwienie, ale rozpowszechnili również fotografię. Jeżeli będziemy mieli chociaż łut szczęścia, to znajdzie się ktoś, kto zauważy, że zdjęcie i historyjka nie pasują do siebie. I ten ktoś zezna: „w czasie, o którym tu mowa osoba przedstawiona na fotografii prawdopodobnie nie mogła się znajdować w miejscu, o którym tu mowa, ponieważ są ludzie, którzy mogą osobiście potwierdzić, że wzmiankowana osoba przebywała gdzie indziej”.

Twarz Marion nie była już taka blada, i nawet szczupłe plecy pani Sharpe wydawały się już mniej sztywne. To, co zakrawało na katastrofę, mogło się w końcu okazać drogą do wybawienia.

— A co możemy zrobić w sprawie prywatnego dochodzenia? — zapytała pani Sharpe. — Jak sądzę, zdaje pan sobie sprawę, że mamy bardzo niewiele pieniędzy, a prywatne dochodzenie jest, zdaje się, kosztownym przedsięwzięciem.

— Zazwyczaj pochłania więcej niż można przewidzieć, ponieważ trudno tu ułożyć jakiś plan. Jednak na początek, żeby od czegoś zacząć, zamierzam sam poszukać rozmaitych ludzi jakoś z tym związanych i zorientować się, jeżeli się uda, na czym powinno się opierać jakiegokolwiek dochodzenie. Spróbuję dowiedzieć się, co ona rzeczywiście mogła robić.

— I ludzie to panu powiedzą?

— Skądże. Prawdopodobnie wciąż nie mają pojęcia o jej prawdziwych motywach. Ale jeżeli w ogóle będą o niej rozmawiać, to wyłoni się jakiś obraz. Przynajmniej mam taką nadzieję.

Przez chwilę panowała cisza.

— Pan jest niezwykle uprzejmy, panie Blair.

W reakcji pani Sharpe znów objawił się duch królowej Wiktorii, ale przez jej zachowanie przemknęło coś jeszcze: niemal zaskoczenie, jakby życzliwość nie była ani czymś, co się spotyka w życiu, ani czymś, czego należy od życia oczekiwać. Sztywne i łaskawe oświadczenie zabrzmiało w jej ustach tak, jakby powiedziała: „Pan wie, że jesteśmy biedne, że nigdy nie zdołamy panu zapłacić stosownego honorarium, nie jesteśmy klientkami, które chciałby pan reprezentować z wyboru, ale odstępuję pan od swoich reguł, żeby nam pomóc tak, jak pan potrafi najlepiej, i jesteśmy panu wdzięczne za to.”

— Kiedy pan rusza? — zapytała Marion.

— Zaraz po lunchu.

— Dzisiaj!

— Im wcześniej, tym lepiej.

— Wobec tego nie zabieramy czasu — powiedziała pani Sharpe podnosząc się. Przystanęła na chwilę patrząc na gazetę rozłożoną na stole. — Ogromnie cieszyła nas we Franchise prywatność — powiedziała.

Robert, kiedy już zobaczył, że wychodzą, a potem, że wsiadły do samochodu, wezwał do siebie Nevila i podniósł słuchawkę telefonu, by omówić z ciotką Lin pakowanie torby.

— Sądzę, że nigdy jeszcze nie czytałeś „Ack-Emmy”? — zapytał Nevila.

— Rozumiem, że zadajesz pytanie retoryczne — odrzekł Nevil.

— To rzuć okiem na dzisiejsze poranne wydanie. Hallo, ciociu Lin!

— Czy ktoś zgłasza do nich jakieś pretensje? Jeżeli tak, to możemy liczyć na brzęczącą monetę. Zazwyczaj strony załatwiają to polubownie, poza sądem. W redakcji mają nawet specjalny fundusz na... — Nevil ucichł. Zauważył wreszcie, że ze stołu wpatruje się w niego twarz, a wraz z twarzą cała pierwsza strona gazety.

Robert tkwił przy telefonie i zerkał ukradkiem w stronę Nevila; z satysfakcją obserwował wstrząs, który — niczym nie

ukrywany — odmienił młodą twarz kuzyna, zazwyczaj promienną. Dzisiejsza młodzież, myślał Robert, uważa się za odporną na wstrząsy; i nie było to złe, móc przekonać się, że w zetknięciu z kawałkiem prawdziwego życia ci młodzi ludzie jednak reagują tak samo, jak każda istota ludzka.

— Ciociu Lin, bądź aniołem, spakuj mi rzeczy, dobrze? Jak najmniej...

Nevil otworzył gazetę i czytał teraz artykuł.

— Myślę, że tylko do Londynu i z powrotem, ale nie jestem pewien. W każdym razie małą walizkę i tylko to, co niezbędne. Jeżeli mnie kochasz, to nie pakuj rzeczy, które ewentualnie mogą się przydać. Ostatnim razem była to butla z proszkiem przeciw niestrawności, ważyła prawie funt, a u licha, nigdy nie potrzebowałem takiego proszku!... Wobec tego będę miał wrzody, dobrze... Tak, przyjdę na lunch za dziesięć minut.

— A to świnię sakramenckie! — oświadczył poeta i intelektualista, czyniąc zadość potrzebie użycia mowy potocznej.

— No pięknie, a jak ty to tłumaczysz?

— Tłumaczę! Co?

— Historię, którą opowiedziała dziewczyna.

— A co tu można tłumaczyć? Bezsporną chęć zwrócenia na siebie uwagi, w wykonaniu niezrównoważonego podlotka, tak?

— A jeżeli ci powiem, że ów podłotek, to bardzo spokojna, zwyczajna, ciesząca się dobrą opinią uczennica, o której można powiedzieć wszystko, tylko nie to, że goni za sensacją?

— Widziałeś ją?

— Tak. To dlatego w zeszłym tygodniu byłem po raz pierwszy we Franchise; żeby być na miejscu, kiedy Scotland Yard przywiózł ją na konfrontację. Dobrze się nad tym zastanów. Możesz sobie rozmawiać z nią o kurach i Mau-passancie, ale to do mnie się zwraca, kiedy ma kłopoty.

— I ty tam występowałeś w jej imieniu?

— No pewnie.

Nevil nagle odprężył się. — O, to dobrze, wszystko w porządku. Przez chwilę myślałem, że byłeś przeciw niej, to znaczy, przeciw nim... Musimy połączyć siły, żeby temu rzucił okiem na gazetę — temu dzieciątku dać na wstrzymanie. —

Robert roześmiał się, bo wybór epitetu był dla Nevila taki charakterystyczny. — Co zamierzasz zrobić, Robercie?

Robert powiedział mu.

—A teraz, kiedy mnie nie będzie, trzymaj się dzielnie. — Robert spostrzegł, że uwaga Nevila znowu skupiła się na „dzieciatku” i teraz obaj wpatrywali się w młodziutką twarz, tak łagodnie spoglądającą na nich ze zdjęcia.

— Pociągająca twarz, najogólniej rzecz biorąc — powiedział Robert. — Nie uważasz?

— Uważam — powoli i jadowicie oświadczył, esteta, że będzie z tego chryja.

7

Dom Wynnów znajdował się pod Aylesbury, na przedmieściu o wiejskim jeszcze charakterze; była to okolica, gdzie rzędy szeregowych domków wpełzały między wciąż nietknięte pola, wkradały się, dobrze wiedząc, że są intruzami, że nie pasują tu do niczego, i — zgodnie z rolą, którą wyznaczyli im budowniczowie — nie dbały o to. Wynnowie mieszkali w jednym z tych nędznych rzędów, gdzieś w ciągu ceglanych, wałących się sadyb, na widok których Robert zacisnął zęby, takie to wszystko było prymitywne, dziadowskie. Kiedy jednak jechał dróżką i wypatrywał właściwego numeru, wywarła na nim wrażenie miłość, która objawiała się w upiększaniu tych godnych pożałowania domostw. Miłość nie objawiała się podczas wznoszenia budynku; tu królowała rachunek. A przecież, w chwili objęcia w posiadanie, każdemu z właścicieli domek o gołych jeszcze ścianach wydawał się wcieleniem „wystarczającego piękna” i właściciele służyli tej myśli, kiedy już w nich zakiełkowała. Ogródki były to małe cuda, z których każdy po kolei zadziwiał nowym, niespodziewanym przyływem poetyckiej wyobraźni.

Naprawdę, Nevil powinien tu przyjechać i popatrzeć, myślał Robert, znowu zwalniając, ponieważ zwrócił uwagę na jeszcze jedno cacko; tutaj miałby przed oczami więcej poezji niż

można było wynaleźć w jego ukochanym „Wat- chmanie” przez całych dwanaście miesięcy. Znalazłby tu wszystkie swoje stereotypy: formę, rytm, kolor, totalną metaforykę, celowość, wpływy...

A może Nevil zobaczyłby tutaj tylko rząd podmiejskich ogródków, najzwyczajszą uliczkę w Aylesbury, nazwaną Meadows Lane, obsadzoną roślinami ogrodowymi, kupionymi, jak tyle innych rzeczy, u Woolwortha?

Chyba tak.

Pod numerem 39 znajdował się tylko trawnik ogrodzony rzędem kamieni. Dom wyróżniał się także brakiem zasłon. Za szybami nie rozpościerała się żadna „stylowa” firaneczka, obramowana kremowym materiałem. Okna stały otworem dla słońca, powietrza i ludzkiego wzroku. Zdziwiło to Roberta tak samo, jak prawdopodobnie dziwiło sąsiadów. Wróżyło odrębność, dla Roberta nieoczekiwaną.

Sięgnął do dzwonka, żywiąc nadzieję, że» nie poczuje się jak inkasent. To on był stroną, która o coś zabiega, i dla Roberta Blaira była to rola nowa.

Zaskoczenie na widok pani Wynn było jeszcze głębsze niż zaskoczenie, które spowodowały okna. W tym momencie Robert zrozumiał, że zżył się już ze szczegółowym wyobrażeniem kobiety, która zaadoptowała dziecko nazwiskiem Betty Kane i matkowała mu: była to siwowłosa, tęga postać o cechach matrony, o szerokiej, szczerzej i wrażliwej twarzy; może nawet powinna nosić fartuch, albo jeden z tych kwiecistych szlafroków, jak to kobieta zajmująca się domem. Jednak pani Wynn w niczym nie przypominała tego wyobrażenia. Była drobna, zgrabna, młoda, nowoczesna; miała ciemne włosy, różowe policzki, wciąż jeszcze była ładna, a do tego miała parę piwnych, bardzo inteligentnych oczu, jakich Robert nigdy jeszcze nie spotkał.

Na widok kogoś obcego zareagowała obronnym odruchem, jakby chcąc od razu, mimowolnie zamknąć drzwi, ale ponowny rzut oka dodał jej pewności siebie. Robert wyjaśnił, kim jest, a kobieta słuchała go, nie przerywając, w sposób, który wydał mu się godny podziwu.

— W żadnym wypadku nie jest pani zobowiązana do tej rozmowy — skończył, po wyjaśnieniu powodów, które go sprowadziły. — Jednak *mocno* wierzę, że pani nie odmówi. Powiedziałem inspektorowi Grantowi, że zamierzam się z panią spotkać dziś po południu, reprezentując moje klientki.

— Jeżeli wie o tym policja, to i ja nie mam nic przeciw temu.

— Cofnęła się, by przepuścić Roberta. — Jeżeli jest pan adwokatem tych kobiet, to musi pan, jak sędzę, robić dla nich co tylko w pana mocy. A my nie mamy nic do ukrycia. Jeżeli jednak chciałby pan pomówić z Betty, to boję się, że z rozmowy nic nie wyjdzie. Wysłaliśmy ją na wieś, na cały dzień, żeby uniknąć tej wrzawy. Leslie dobrze chciał, ale to był głupi pomysł.

— Leslie?

— Mój syn. Niech pan siądzie, proszę. — Kobieta podsunęła mu jeden z foteli stojących w miłym, schludnym pokoju dziennym. — Jeżeli chodzi o policję, to był zbyt wściekły, by trzeźwo myśleć... Wściekły z powodu ich bezczynności, kiedy sprawa wydaje się taka oczywista. Zawsze gotów był skoczyć w ogień za Betty. No tak, póki się nie zaręczył byli nierozłączni.

Robert wyteżył słuch. Przyjechał zebrać wiadomości właśnie tego rodzaju.

— Zaręczył się?

— Tak. Zaręczył się tuż po Nowym Roku, z bardzo miłą dziewczyną. Byliśmy zachwyceni. Wszyscy.

— A Betty, też była zachwycona?

— Nie była zazdrosna, jeżeli o to panu chodzi — para inteligentnych oczu wpatrywała się w Roberta. — Pewnie było jej żal, że Leslie nie wychodzi już przede wszystkim z nią, jak do tej pory, ale zachowywała się bardzo ładnie. To rzeczywiście miła dziewczyna, proszę pana. Niech mi pan wierzy. Zanim wyszłam za mąż byłam nauczycielką, nie najlepszą, dlatego wyszłam za mąż przy pierwszej okazji, i sporo wiem o dziewczętach. A Betty ani razu nie dała mi powodu do niepokoju.

— Tak, rozumiem. Wszyscy mają o niej jak najlepsze zdanie. A czy narzeczona pani syna to koleżanka szkolna Betty?

— Nie, ona nie jest stąd. Jej rodzina sprowadziła się tutaj, mieszkają niedaleko, a Leslie poznał tę dziewczynę na tańcach.

— Czy Betty chodzi na tańce?

— Nie na tańce dla dorosłych. Na to jest jeszcze za młoda.

— Tak więc nie znała pani narzeczonej syna?

— Szczerze mówiąc, nikt z nas jej nie znalazł. Leslie raczej nas zaskoczył. Ale bardzo polubiliśmy ją i nie sprzeciwialiśmy się.

— Jak na zakładanie domu, pani syn jest bardzo młody.

— Rzeczywiście, cała ta historia to nonsens. On ma dwadzieścia lat, ona osiemnaście. Ale to sama słodycz, oni, we dwoje. Poza tym, ja też byłam bardzo młoda, kiedy wychodziłam za mąż, a jestem bardzo szczęśliwa. Brakowało mi jednego, córki, i Betty wypełniła ten brak.

— Kim chce być, kiedy skończy szkołę?

— Sama nie wie. Nie ma jakichś specjalnych zdolności, jeżeli mogę coś o tym powiedzieć. Wydaje mi się, że Betty wcześniej wyjdzie za mąż.

— Dlatego, że jest atrakcyjna?

— Nie, dlatego, że... — przerwała i najwyraźniej postanowiła powiedzieć co innego niż miała na końcu języka. — Dziewczęta, które nie mają jakichś specjalnych zamiłowań, łatwo stają się żonami.

Robert był ciekaw, czy to, co kobieta chciała powiedzieć, a czego nie powiedziała, miało jakiś choćby daleki związek z szaroniebieskimi oczami.

— Kiedy Betty nie zjawiła się na czas, nie wróciła do szkoły, to czy pani pomyślała, że Betty wagaruje, chociaż jest takim dobrym dzieckiem?

— Rzeczywiście; szkoła nudziła ją coraz bardziej, a do tego zawsze mówiła, i słusznie, że po powrocie do szkoły pierwszy dzień schodzi na niczym. Więc pomyśleliśmy, że przynajmniej raz „korzysta ze sposobności”, jak to się mówi. „Rozpędza się”, jak powiedział Leslie, kiedy usłyszał, że jeszcze nie wróciła.

— Rozumiem. A czy wyjeżdżając na ferie miała na sobie ubranie szkolne?

Po raz pierwszy pani Wynn spojrzała na Roberta podejrzliwie, niepewna intencji kryjących się w pytaniu.

— Nie. Skądże. Pojechała w odświętym ubraniu... Pan wie o tym, że wróciła tylko w butach i w sukience, w niczym więcej?

Robert przytaknął.

— Z trudem mieści mi się w głowie, że są kobiety zepsute do tego stopnia, że mogły postąpić w taki sposób z bezbronnym dzieckiem.

— A z jeszcze większym trudem mieściłoby się to pani w głowie, gdyby je pani poznała, pani Wynn.

— No tak, ale najgorsi przestępcy wyglądają na nieszkodliwych i niewinnych, prawda?

Robert puścił to mimo uszu. Chciał się czegoś dowiedzieć o sińcach i stłuczeniach na ciele dziewczyny. Czy to były świeże obrażenia?

— Całkiem świeże. Większość z nich nawet jeszcze nie pociemniała.

To trochę zaskoczyło Roberta. — Ale były też wcześniejsze stłuczenia, jak rozumiem?

— Jeżeli były, to stały się niewidoczne; pokryły je świeże, okropne.

— A na co wskazywały te świeże? Na chłostę?

— O, nie. Była poobijana, jak pięściami, wszędzie,, nawet po tej biednej twarzyczce. Miała opuchniętą żuchwę, a po drugiej stronie, na skroni, duże stłuczenie.

— Policja twierdzi, że dziewczyna przeżyła atak hysterii, kiedy poproszono ją, żeby opowiedziała, co jej się przytrafiło.

— Bo to się działo, kiedy jeszcze była chora. Potem, kiedy już wypytałismy ją o wszystko, długo wypoczywała i później już bez trudu dała się namówić, żeby całą historię powtórzyć na policji.

— Wiem, że pani odpowie szczerze, pani Wynn. Czy nigdy nie przemknęło pani przez myśl podejrzenie, że to co Betty mówi może nie być prawdą? Nawet chwilowe podejrzenie?

— Nie. Nawet chwilowe. Skąd miałoby się wziąć? Zawsze była prawdomównym dzieckiem. A gdyby nim nawet nie była, to jakim cudem mogłaby wymyśleć tego rodzaju długą, szczegółową historię i nie dać się przyłapać? Policjanci pytali

o co tylko chcieli. Nikt nie sugerował, żeby bez dyskusji uwierzyć we wszystko.

— Kiedy Betty opowiedziała pani po raz pierwszy tę historię, czy opowiedziała ją od razu, w całości?

— Och, nie; to się rozciągnęło na cały dzień czy dwa, najpierw w zarysie, a potem to uzupełniała, w miarę jak przypominała sobie szczegóły. Na przykład, że okno na poddaszu było okrągłe.

— Czy ten okres, kiedy była nieprzytomna, nie wpłynął na jej pamięć?

— Nie sędzę. I nie w wypadku Betty. Ma fotograficzną pamięć. Taki rodzaj szarych komórek.

Rzeczywiście! pomyślał Robert, wsłuchując się w każdy drobiazg.

— Nawet jako małe dziecko mogła rzucić okiem na stronę w książce, rzecz jasna w książce dla dzieci, i większość z tego, co znajdowało się na stronie, mogła odtworzyć z pamięci. A kiedy grałyśmy w Kima, wie pan, w tę grę w której przedmioty leżą na tacy, musieliśmy przestać grać z Betty, ponieważ niezmiennie wygrywała. Nie, co Betty zobaczy, to zapamięta.

Robert pomyślał, że jest jeszcze inna gra, której zawołanie brzmi „ciepło, ciepło”...

— Powiedziała pani, że Betty zawsze była prawdomównym dzieckiem i wszyscy podtrzymują tę opinię. Ale czy Betty nigdy nie lubiła romantycznie ubarwiać własnych przeżyć, jak to się często zdarza u dzieci?

— Nigdy — stanowczo powiedziała pani Wynn. Wydawało się nawet, że sama myśl trochę ją rozbawiła. — Nie umiałaby — dodała. — Jeżeli coś nie istniało naprawdę, to nie istniało dla Betty. Nawet kiedy bawiła się w przyjęcia dla lalek, nie potrafiła sobie wyobrazić potraw na talerzykach, co zwykle sprawia dzieciom taką przyjemność; tam musiało leżeć coś naprawdę, nawet okruch chleba, nic więcej. Zwykle było to coś bardziej wyszukanego, rzecz jasna; to był doskonały sposób, żeby coś wycyganąć, zawsze była trochę łakoma.

Robert podziwiał dystans, z jakim potrafiła mówić o tej

wytęsknionej i ukochanej córce. Resztki zawodowego realizmu nauczycielki? W każdym razie dla dziecka było to coś o wiele bardziej wartościowego niż ślepa miłość. Szkoda, że ta inteligencja i to oddanie zostały tak źle odpłacone.

— Nie chciałbym zatrzymywać się nad sprawą, która musi być dla pani nieprzyjemna — powiedział Robert. — Czy może pani jednak powiedzieć coś o jej rodzicach?

— O jej rodzicach? — zapytała zaskoczona pani Wynn.

— Tak. Czy pani dobrze ich znała? Jacy byli?

— W ogóle nie znaleźliśmy ich. Nawet nigdy ich nie widzieliśmy.

— Ale Betty znalazła się u państwa... kiedy to było... dziewięć miesięcy wcześniej, zanim zginęli jej rodzice, prawda?

— Tak, ale wkrótce potem, jak Betty znalazła się u nas, jej matka napisała, że przyjazd tutaj i odwiedziny mogłyby tylko rozstroić dziecko, unieszczęśliwić je, więc najlepiej będzie, jeżeli Betty zostanie tylko z nami tak długo, póki nie będzie mogła wrócić do Londynu. Pisała do mnie tak: czy mogłabym przynajmniej raz dziennie przypomnieć Betty o matce?

Robert poczuł skurcz żalu, z powodu tej nieznannej mu, nieżyjącej już kobiety, która świadomie raniła sobie serce dla jedynego dziecka. Cóż za skarby miłości i troski rozpostarto przed ewakuowaną podczas wojny dziewczynką, Betty Kane.

— A czy łatwo się zadomowiła? Czy płakała za matką?

— Płakała, bo nie smakowało jej jedzenie. Nie pamiętam, żeby kiedyś płakała za matką. Pierwszej nocy zakochała się w Lesliem, oczywiście była tylko małym dzieckiem i zdaje się, że zainteresowanie Lesliem stepiło żal, który mogła odczuwać. On zaś był starszy o cztery lata, właśnie w tym wieku, w którym już odzywa się instynkt opiekuńczy. I działa nadal; stąd dzisiaj ta cała afera.

— Jak doszło do historii z „Ack-Emmą”? Wiem, że to pani syn poszedł do redakcji, ale czy pani w jakiś sposób nie podsunęła mu...

— Na miłość boską, ależ nie! — z oburzeniem wykrzyknęła pani Wynn. — Zanim cokolwiek zdążyliśmy zrobić, było już po

wszystkim. Ani mnie, ani mojego męża nie było, kiedy Leslie przyprował reportera, bo oni, z redakcji, wysłali tu człowieka, kiedy usłyszeli tę historię, żeby wszystkiego wysłuchał od Betty, i kiedy...

— A czy Betty chętnie opowiadała?

— Nie wiem, czy chętnie, czy nie. Nie było mnie przy tym. Ani ja, ani mój mąż nie wiedzieliśmy o niczym aż do dzisiejszego rana, kiedy Leslie rozłożył nam przed nosem „Ack-Emme”. Nieco prowokująco, powiedziałabym. Teraz, kiedy to już się stało, nie czuje się najlepiej. Chcę pana zapewnić, panie Blair, że w normalnych okolicznościach „Ack-Emma” nie byłaby tym, co wybiera mój syn. Gdyby nie był rozgorączkowany...

— Rozumiem. Domyślam się jak do tego doszło. Pan-nam-opowie-o-swoich-kłopotach-a-my-dopilnujemy-reszty. Bardzo podstępna propozycja. — Robert wstał. — Była pani dla mnie bardzo, naprawdę bardzo uprzejma, pani Wynn, i jestem pani za to niezmiernie wdzięczny.

Pani Wynn najwyraźniej nie spodziewała się, że głos Roberta zabrzmiał tak serdecznie i spojrzała na gościa z niedowierzaniem, niemal przestraszona, jakby chciała się dowiedzieć, czym mu pomogła, co takiego powiedziała?

Robert zapytał, gdzie w Londynie mieszkali rodzice Betty, a pani Wynn odpowiedziała mu. — Teraz tam niczego me ma — dodała. — Po prostu pusta połać. Ma tam powstać jakaś nowa zabudowa, jest taki plan, a na razie nic się nie dzieje.

W progu Robert natknął się na Leslie'ego.

Był to nieprzeciętnie przystojny młody człowiek, który wydawał się całkowicie nieświadomy tej okoliczności, a ów rys wzbudził sympatię Roberta, który przecież nie był w nastroju skłaniającym do życzliwości wobec Leslie'ego. Robert wyobraził go sobie jako typ słonia w składzie porcelany, tymczasem przeciwnie, chłopiec był raczej delikatny, o miłej powierzchowności, o nieśmiałych i poważnych oczach i o miękkich, niesfornych włosach. Kiedy matka wyjaśniła, kim jest Robert i w jakim celu się zjawił, Leslie spojrzał na Roberta z otwartą wrogością; jednak, jak już powiedziała matka, w jego

spojrzeniu widać było cień prowokacji, jakiegoś zjeżenia się. Najwyraźniej stosunki Leslie'ego z własnym sumieniem tego wieczoru nie układały się najlepiej.

— Niech nikt nie myśli, że moją siostrę można bezkarnie bić — rzucił z gniewem, po tym, jak Robert oględnie skrytykował poczynania chłopca.

— Pański punkt widzenia jest mi bliski — replikował Robert, — ale sam wolałbym raczej znosić bicie noc w noc, niż zobaczyć swoje zdjęcie na pierwszej stronie „Ack-Emmy”. Zwłaszcza, gdybym był młodą dziewczyną.

— Gdyby pan był bity noc w noc przez dwa tygodnie, a nikt w tej sprawie nie kiwnąłby palcem, to kto wie, może byłby pan bardzo zadowolony, gdyby dzięki pańskiemu zdjęciu zamieszczonemu w jakimś brukowcu, mógł pan doczekać się sprawiedliwości — trzeźwo zauważył Leslie, potem ominął matkę, Roberta i wszedł do domu.

Nieśmiały uśmiech pani Wynn zawierał prośbę o wybaczenie, a Robert wykorzystał tę chwilę słabości i odezwał się: — Pani Wynn, może tak się zdarzyć, że w historii, którą opowiedziała Betty coś zabrzmi, pani zdaniem, nie dość prawdziwie. Nie uzna pani wtedy, mam nadzieję, że najlepiej będzie nie budzić licha.

— Niech pan nie obiecuje sobie za wiele, panie Blair.

— Więc pozwoli pani, żeby licho spało, a cierpieli niewinni ludzie?

— Ależ nie, nie o to mi chodzi. Miałam na myśli pana nadzieję, że zacznę wątpić w słowa Betty. Skoro uwierzyłam jej od razu, to nie przypuszczam, żebym przestała jej wierzyć potem.

— Nigdy nie wiadomo, któregoś dnia uzna pani, że to czy owo „nie pasuje”. Pani w sposób wrodzony myśli analitycznie; to — wraz z odrobiną podświadomości — może się odezwać w najmniej spodziewanej chwili. Coś, co dziwiło panią tylko w głębi duszy, może nagle dopomnieć się o swoje prawa.

Pani Wynn odprowadzała Roberta do furki. Wypowiadając ostatnie zdanie Robert odwrócił się, by ją pożegnać. Ze zdziwieniem zauważył, że w jej oczach coś drgnęło, w ślad za

ostatnią, dość lekko rzuconą uwagą.

A więc nie była pewna, mimo wszystko. Gdzieś w tej historii, może w jej tle, tkwił jakiś drobiazg, który posiał wątpliwość w trzeźwym, analitycznym umyśle pani Wynn. Co to było?

Potem, co zapamiętał na zawsze jako jedyny przykład telepatycznego porozumienia jakiego doświadczył, zatrzymał się w pół kroku do samochodu i zapytał:

— Czy miała coś w kieszeniach, kiedy wróciła do domu?

— W kieszeni; w tej sukience jest tylko jedna kieszeń.

— I czy coś w niej miała?

Mięśnie wokół jej ust odrobinę stężały. — Tylko szminkę — powiedziała bezbarwnie.

— Szminkę! Czy nie jest trochę za młoda?

— Drogi panie Blair, one zaczynają próbować szminki kiedy mają dziesięć lat. Jest to rozrywka w sam raz na deszczowe dni i stanowi część rytualnego przebierania się w matczyne sukienki.

— Tak, najpewniej. — Robert wskazał na trawnik. — Woolworth to prawdziwy dobroczyńca.

Uśmiechnęła się, jeszcze raz powiedziała „do widzenia”, a kiedy odjechał, weszła do domu.

Co ją tak dziwiło, z tą szminką? Robert wciąż zastanawiał się, zjeżdżając z nierówności Meadows Lane na czarną, gładką nawierzchnię głównej drogi z Aylesbury do Londynu. Czy chodziło tylko o to, że te diablice z Franchise podrzuciły dziewczynie szminkę? Czy pani Wynn właśnie to uznała za dziwne?

Zdumiewające; cierń, który tkwił w jej podświadomości natychmiast dał znać o sobie, i to Robertowi! Póki nie usłyszał własnego głosu, nie miał pojęcia, że cokolwiek chce wiedzieć o jakichś kieszeniach. Gdyby był sam, pozostawiony sobie, nigdy nie zastanawiałby się nad zawartością kieszeni sukienki. Nawet nie przyszłoby mu do głowy, że sukienka w ogóle ma kieszeń.

A więc to była szminka. I obecność tej szminki była czymś, co zaskoczyło panią Wynn.

Dobrze; było to źdźbło, które można dorzucić do niewielkiej

garstki, jaką Robert uzbierał. Do faktu, że dziewczyna ma fotograficzną pamięć; do tego, że zaledwie miesiąc czy dwa miesiące temu jej miejsce przy boku brata zostało zajęte bez zastrzeżenia; do faktu, że nudziła ją szkoła; do faktu, że lubi tylko to, co jest „naprawdę”.

Wreszcie — i przede wszystkim — do faktu, że nikt w całym domu, łącznie z nieuprzedzoną, wrażliwą panią Wynn, nie miał pojęcia, jakie myśli krążą po głowie Betty Kane. To całkiem nieprawdopodobne, żeby piętnastoletnia dziewczyna, wokół której kręcił się cały świat młodego człowieka, mogła z dnia na dzień zostać wyparta przez inną, i żeby nie zareagowała gwałtownie na sytuację. Tymczasem Betty „zachowała się bardzo ładnie”.

Robert uznał to za pokrzepiające. Znalazł się dowód, że młoda, szczerą twarz wcale nie była najlepszym tropem, jeżeli ktoś chciałby bliżej poznać Betty Kane.

8

Robert postanowił nocować w Londynie i w ten sposób jednym strzałem upolować kilka zajęcy.

Przede wszystkim chciał u kogoś poszukać oparcia, a w tych okolicznościach nikt nie nadawał się do tego lepiej, niż stary kolega szkolny, Kevin Macdermott. Czego na temat przestępstwa nie wiedział Kevin Macdermott, tego prawdopodobnie nie wiedział nikt. Znany adwokat był ponadto posiadaczem rozległej i różnorodnej, bardzo szczególnej wiedzy o naturze ludzkiej.

Uważano, że Macdermott ma mniej więcej jednakowe szanse: albo przed ukończeniem sześćdziesiątki umrze na udar mózgu, albo dożywszy siedemdziesiątki zaszczyci swą osobą worek z wełną¹². Robert miał nadzieję, że ziści się to drugie. Bardzo lubił Kevina.

Ciążyli ku sobie jeszcze w szkole, ponieważ w przyszłości obaj mieli „obrać prawo”, tymczasem stali się przyjaciółmi i

12 Na worku z wełną zasiada Lord Kanclerz w Izbie Lordów.

pozostali nimi, dlatego, że uzupełniali się. Zrównoważenie Roberta wydawało się Irlandczykowi zabawne, prowokowało go, a kiedy był zmęczony - koilo. Robert zaś w celtyckiej błyskotliwości Kevina widział coś egzotycznego i fascynującego. Charakterystyczne: ambicje Roberta polegały na tym, żeby wrócić do małego miasteczka i nadal żyć tamtejszym życiem, podczas kiedy ambicją Kevina było zmienić w dziedzinie prawa wszystko co się da, a przy okazji narobić hałasu, ile tylko można.

Jak dotąd Kevin zmienił niewiele, chociaż dokładał najlepszych starań, kiedy w grę wchodziło podważanie uzasadnień wyroków, natomiast na uwagę zasługiwał jednak hałas, wzniesiony przy tej okazji w sposób niewymuszony i nieco złośliwy. Udział Macdermotta w sprawie podwyższał o połowę jej dziennikarskie notowania, a koszty sprawy wędrowały w górę grubo powyżej tej miary.

Ożenił się korzystnie lecz i szczęśliwie, miał przyjemny dom w pobliżu Weybridge, trzech krzepkich synów, szczupłych, ciemnowłosych i pełnych życia, jak ojciec. Na potrzeby londyńskie wynajmował małe mieszkanie przy St. Pauls'Churchyard, gdzie, jak zauważył, „mógł sobie pozwolić, by z góry patrzeć na królową Annę”¹³ Ilekroć Robert był w Londynie — szkoda, że zbyt rzadko — jedli razem obiad właśnie w tym mieszkaniu, albo w najnowszym z lokali, w których Kevin odkrył dobre bordeaux. Kevin, prócz prawa, interesował się tresowanymi końmi, czerwonym winem i co żywszymi filmami wyprodukowanymi przez wytwórnię Warner Brothers.

Tego wieczoru Kevin miał zjeść kolację z kolegami z palestry; kiedy Robert próbował dodzwonić się do niego z Milford, sekretarka powiedziała mu o tym; Kevin jednak ucieszył się z uczciwej wymówki, pozwalającej wykręcić się od wysłuchiwanie nudnych oracji przy stole, wobec tego Robert tuż po kolacji miał przyjechać na St. Pauls'Churchyard i czekać w mieszkaniu na Kevina.

Nieźle się składało; po kolacji Kevin powinien być

13 Chodzi o pomnik.

rozluźniony i gotów spokojnie przesiedzieć cały wieczór, nie powinien być ani napięty, ani wciąż jeszcze przebywać myślami na sali sądowej, jak się to często zdarzało.

Tymczasem Robert mógł zadzwonić do Scotland Yardu, do Granta, i dowiedzieć się, czy Grant znajdzie jutro rano kilka minut dla Roberta. Trzeba sobie jasno określić stosunki ze Scotland Yardem, to mianowicie, czy Robert i policja wspólnie zaliczają się do poszkodowanych, czy też grają po przeciwnych stronach boiska.

W Fortescue, starym, edwardiańskim hotelu przy Jermyn Road, gdzie Robert zawsze zatrzymywał się, od kiedy wolno mu było po raz pierwszy samemu pojechać do Londynu, witano go jak członka rodziny i dawano „ten sam pokój co ostatnim razem”; było to pomieszczenie ciasne, ciemne, ale wygodne, z wysokim łóżkiem sięgającym niemal ramion i pluszową kanapą; tam właśnie wnoszono tacę, na której znajdował się ogromny, brązowy, kuchenny czajnik, srebrny, georgiański dzbanuszek na śmietankę, około funta cukru w kostkach na szklanym talerzyku wartym nie więcej niż sześć pensów, ponadto filiżanka z drezdeńskiej porcelany, na której małe zamki tonęły w kwiatach, czerwono-złoty talerz Worcester¹⁴ wykonany dla „Ich Mości Williama IV i Królowej”¹⁵, wreszcie mocno powyginany kuchenny nóż z zardzewiałą brązową rączką. Zarówno herbata, jak i taca dobrze wpłynęły na Roberta. Wieczorem przemierzał ulice pełen bliżej nieokreślonych nadziei.

Pościg za prawdą o Betty Kane spowodował, że Robert na pół świadomie znalazł się przy pustym placu, na którym siały kiedyś domy; było to miejsce, gdzie w ułamku sekundy, w potężnej detonacji zginęli rodzice Betty; teraz otwarta, uporządkowana parcela, czekająca cierpliwie na odegraniu roli w jakimś planie. Nic na to nie wskazywało, że kiedyś stal tu jakikolwiek budynek. Wokół wznosiły się nietknięte domy o fasadach schludnych i wyrażających zadowolenie z siebie; przypominały dzieci niedorozwinięte umysłowo, zbyt

14 Angielska porcelana, z domieszką steatytu.

15 W Polsce przyjęło się używanie imienia Wilhelm.

upośledzone, by pojąć znaczenie katastrofy. Ominęła je; to wszystko co wiedziały i o co się troszczyły.

Po drugiej stronie szerokiej ulicy widać było rząd małych sklepików, które najwyraźniej znajdowały się tam co najmniej od pięćdziesięciu lat. Robert przeszedł przez jezdnię i wstąpił do sklepiku tytoniowego po papierosy; w takich sklepikach z papierosami i gazetami ludzie wiedzą wszystko.

— Był pan tutaj, kiedy to się stało? — spytał Robert i pokazał głową za siebie.

— Kiedy co się zdarzyło? — różowy człowieczek tak przyzwyczał się do pustego placu, że już od dłuższego czasu nie zwracał na niego uwagi. — Och, ten wypadek? Nie. Wtedy miałem służbę. Podczas nalotów byłem opiekunem.

Robert odrzekł, że chodzi mu o to, czy sklepikarz w tym czasie miał ten sklepik.

A tak, oczywiście miał; miał go dużo wcześniej. Wychował się w tej dzielnicy, tak jest, a sklepik odziedziczył po ojcu.

— Więc pewnie zna pan dobrze ludzi. Pamięta pan może małżeństwo dozorców, z tego bloku mieszkalnego?

— Kane? Jasne, że pamiętam. Niby czemu miałbym ich nie pamiętać? Kręcili się tu przez cały dzień. Rano on przychodził po gazetę, potem ona po papierosy, a potem znowu, on po popołudniówkę, a ona po papierosy już chyba trzeci raz; potem on i ja wypijaliśmy piwo, niedaleko, w lokalu, kiedy mój chłopak odrobił już lekcje i mógł mnie zastąpić. Pan ich znał, proszę pana?

— Nie. Ale pewnego dnia spotkałem kogoś, kto opowiadał o nich. Jak to się stało, że wszystko poszło w gruzy?

Różowy człowieczek powoli wciągnął powietrze przez zęby; poświst wyrażał ironię.

— Tandeta. W tym rzecz. Po prostu tandeta. W pobliżu spadła bomba, a oni zginęli we własnej piwnicy, przekonani, że są w bezpiecznym miejscu, tak to było, wszystko zawało się jak domek z kart. Coś okropnego. — Mężczyzna wyrównał brzegi wieczornych gazet ułożonych jedna na drugiej. — Ona miała po prostu pecha, był to od całych tygodni pierwszy wieczór, który spędziła w domu z mężem i akurat musiała

spaść bomba. — Najwyraźniej ta myśl cieszyła go w jakiś sardoniczny sposób.

— To gdzie ona zwykle była? — spytał Robert. — Pracowała gdzieś wieczorami?

— Pracowała! — wykrzyknął człowieczek z bezbrzezną pogardą. — Ona! — Potem zaś przywołał się do porządku. — Och, przepraszam, przykro mi. Zapomniałem, że oni mogli być przyjaciółmi...

Robert pośpieszył z zapewnieniem, że rodziną Kane interesuje się w czysto akademicki sposób. Ktoś pamiętał ich jako dozorców w bloku mieszkalnym i to wszystko. A skoro pani Kane nie wychodziła wieczorami do pracy, to wobec tego gdzie wychodziła?

— Bawić się, to jasne. Ludzie potrafili się bawić nawet wtedy, jeżeli tylko rzeczywiście chcieli i rzeczywiście tego szukali. Kane... Chciał ją wysłać na wieś z tą ich małą dziewczynką, a ona co? Wykluczone! Powiedziała, że trzy dni na wsi ją zabiją. Nawet nie pojechała zobaczyć tego maleństwa, kiedy je ewakuowano. Oczywiście, to władze ewakuowały. Razem z innymi dziećmi. Moim zdaniem ona była zachwycona tym, że jej zabrali dziecko, bo mogła po nocach chodzić na dancingi.

— A z kim chodziła?

— Z oficerami — zwięźle wyjaśnił człowieczek. — To bardziej wciąga, niż przyglądanie się na wsi jak trawa rośnie. Nie mówię, że z tego wynikała jakaś konkretna szkoda, niech pan na to zwróci uwagę — dodał szybko.

— Ona nie żyje i nie chciałbym przypinać jej łąty, kiedy nie może się bronić, jeżeli rozumie pan, co mam na myśli. Ale była złą matką i złą żoną, nie ma dwóch zdań; i nikt nigdy nie powie panu inaczej.

— Była ładna? — zapytał Robert, myśląc o zmarnowanych uczuciach, które kierował był ku matce Betty.

— Na swój sposób; prawie nie otwierała ust. Tliła się w środku. A zdziwiłby się pan, jaka była, kiedy sobie trochę, wie pan, wypila. Była wtedy nabuzowana, ale nie zalana. Nie widziałem, żeby się zaprawiła. Nigdy nie poniosło jej w ten

sposób.

— A mąż?

— W porządku był; Bert Kane. Zasługiwał na lepszy los, niż ta kobieta. Jeden z najlepszych, to właśnie Bert. Strasznie rozkochany w małej. Oczywiście, psuł ją. Tylko czegoś zachciała i zaraz to dla niej wydostał, ale tak czy owak, to było miłe dziecko. Skromnisia, zawsze z niewinną minką. Tak, Bertowi należało się od życia coś lepszego, niż rozrywkowa żona i dziecko kochające wtedy, kiedy coś przyniósł. Jeden z najlepszych, to był właśnie Bert... — człowieczek w zamyśleniu popatrzył na pusty plac po drugiej stronie jezdni. — Wydobyć ich stamtąd zajęło prawie tydzień — powiedział.

Robert zapłacił za papierosy i wyszedł, z uczuciem i smutku, i ulgi. Posmutniał z powodu Berta, który zasługiwał na lepszy los; natomiast był zadowolony, że matka Betty Kane okazała się kim innym niż myślał. Przez całą drogę do Londynu ubolewał nad zmarłą; nad kobietą, która rozdzierała sobie serce dla dobra dziecka. Ciężała mu myśl, że dzieckiem tak kochanym była Betty Kane. Teraz było po żalu. Matka Betty była dokładnie taka, jaką Robert sam by wybrał, gdyby był Stwórcą. A do Betty bardzo to było podobne, że jest właśnie córką, swojej matki.

„Kochające dziecko, kiedy coś przyniósł”. Nieźle, nieźle. A co takiego powiedziała pani Wynn? „Płakała, bo nie smakowało jej jedzenie. Nie pamiętam, żeby kiedyś płakała za matką.” Ani, rzecz jasna, za ojcem, który psuł ją z takim poświęceniem.

Kiedy wrócił do hotelu wyciągnął z teczki egzemplarz „Ack-Emmy” i podczas samotnego obiadu bez pośpiechu przestudiował artykuł na drugiej stronie. Od prostego jak ogłoszenie pierwszego akapitu:

Do domu wróciła w kwietniową noc, tylko w butach i w samej sukience. Wyjechała jako promienna, szczęśliwa uczennica, bez śladu... aż do finałowej kaskady łkań było to coś w rodzaju małego arcydzieła. Służyło dokładnie temu, czemu miało służyć. A chodziło o to, żeby jak największa ilość czytelników przejęła się tym samym tekstem. Kogo

interesował seks, ten mógł się dowiedzieć, że dziewczynka nie miała bielizny; jej młodość i czar opisane były na użytek tych ludzi, którzy lubią się rozczulać; bezradnością dziewczyny mogli wyżywić się kibice polityczni, sadyści szczegółami pobicia, maniacy walki klasowej opisem wielkiego, białego domu za wysokim murem, zaś całej brytyjskiej wrażliwej publiczności dedykowana była sugestia, że jeżeli nawet policja nie „kantuje”, to w każdym razie przejawia niedbalstwo, a Sprawiedliwości Nie Stało Się Zadość.

Tak, to było sprytne.

Oczywiście, ta historia spadła im jak z nieba i dlatego zaraz posłali człowieka, razem z młodym Leslie Wynnem. Robert odniósł jednak wrażenie, że redaktorzy „Ack-Emmy”, ogarnięci zapalem, potrafią zrobić pierwszorzędną historyjkę nawet z pęknięcia korbowodu.

To musi być ponure zajęcie: dostarczanie pożywki wyłącznie ludzkim przywarom. Robert przerzucał stronicę, przyglądając się, jak konsekwentnie starano się w każdym artykule sprowokować czytelnika do ubolewań. Nawet artykułik pod tytułem „Darować milion” traktował, jak zauważył Robert, o haniebnym wykręceniu się starego człowieka od podatku dochodowego, ale nie o tym, że kiedyś, dawno temu, pewien chłopak, dzięki własnej przedsiębiorczości i odwadze, wy dostał się ze slumsów.

Robert chował gazetę do teczki nie bez mdłości; teczkę zabrał ze sobą na St. Paul’s Churchyard. Czekala tam na niego „pomoc” w kapeluszu na głowie. Tak, sekretarka przekazała przez telefon, że zjawi się przyjaciel pana Macdermotta, że należy stosować się do poleceń gościa, i że można go zostawić w domu samego, bez żadnych obaw; czekała tylko po to, by wpuścić go do domu, a teraz wychodzi; whisky jest na stoliku koło kominka, jeszcze jedna butelka stoi w kredensie, gdyby jednak Robert chciał się zapoznać z opinią rozmówczyni, to o tej drugiej butelce lepiej nie wspominać panu Macdermottowi, ponieważ pan Macdermott mógłby zasiedzieć się za długo, ona zaś jutro rano miałaby poważny kłopot ze ściągnięciem go z łóżka.

— Nie z powodu whisky — powiedział z uśmiechem Blair — ale z powodu irlandzkiej krwi. Irlandczycy nienawidzą wstawania.

„Pomoc” znieruchomiała na progu, najwyraźniej olśniona nową myślą.

— Wcale bym się nie zdziwiła — powiedziała. — Mój stary to Irlandczyk, a jest taki sam. Nie to, że whisky; po prostu przyszedł z tym na świat. W każdym razie zawsze tak myślałam. Ale kto wie, może jest taki, bo jest irlandzkim kartoflarzem, jak pech to pech.

Było to ładne mieszkanko, ciepłe i przytulne, a kiedy ucichły uliczne hałasy, także spokojne. Robert nalał sobie szklaneczkę, podszedł do okna, by popatrzeć z góry na Królową Annę; postać chwilę, by jeszcze raz podziwiać, jak lekko masyw katedry wznosi się nad fundamentem, tak zrównoważony, proporcjonalny, że — zdawałoby się — można go unieść na dłoni i bawić się nim. Potem Robert usiadł. Odkąd rano wyjechał z domu, by spotkać się z dziwaczącą starowinką, nie wiadomo który raz zmieniającą testament, po raz pierwszy tego dnia poczuł ulgę.

Na wpół zasypiał, kiedy w zamku zazgrzytał klucz; gospodarz wszedł do pokoju, zanim Robert zdążył się poruszyć.

Macdermott zmierzając ku karafkom na stoliku mocno uszczypnął Roberta w kark. — Zaczyna się, chłopcze, zaczyna — powiedział.

— Co takiego? — spytał Robert.

— Proces tycia twego przystojnego karku.

Robert leniwie potarł miejsce, które wciąż go piekło.

— Niedość, że zauważyłem, że coś tam jest z tyłu nie w porządku, to jeszcze ty się nad tym rozwodzisz — powiedział Robert.

— Chryste Panie! Czy ciebie nic nie zdoła zmartwić? — spytał Kevin, rzucając spod ciemnych brwi kpiące spojrzenie; jasne oczy błyszczały. — Nawet widoczna groźba utraty urody?

— Właśnie trochę się martwię, ale nie z powodu urody.

— Dobrze, dobrze, jeżeli chodzi o spółkę Blair, Hayward i

Bennet, to na pewno nie grozi jej bankructwo. Chodzi wobec tego o kobietę.

— Tak, ale nie w tym sensie, o jakim myślisz.

— Chcesz się żenić? Powinieneś, Robercie.

— Już mi mówiłeś.

— Spółce Blair, Hayward i Bennet potrzebny jest dziedzic — pełne spokoju i pewności siebie bytowanie spółki zawsze kłuło Kevina i prowokowało do złośliwostek.

— Skąd wiesz, że to nie będzie dziewczyna? Poza tym o to troszczy się już Nevil.

— Ta młoda kobieta mogłaby Nevilowi urodzić najwyżej płytę gramofonową. Niedawno słyszałem, że znów zaszczyciła swoją obecnością jakąś trybunę. Gdyby sama musiała zarabiać na przejazdy, nie byłaby taka skora do czepiania się tego kraju, ani do grania roli wrzeszczącej mniejszości. — Kevin usiadł, ze szklanką. — Chyba nie muszę pytać o stan twoich interesów. Za to naprawdę powinieneś tu czasem przyjechać i rozejrzeć się po mieście. Założę się, że jutro zmyjesz się zaraz po spotkaniu, wyznaczonym na dziesiątą rano z czyimś radcą prawnym.

— Nie — powiedział Robert. — Ze Scotland Yardem.

Ręka Kevina, w której trzymał szklaneczkę, znieruchomiała w pół drogi do ust. — Staczasz się, Robercie — oświadczył. — A cóż taki jak ty mieszkaniec Wieży z Kości Słoniowej może mieć do czynienia ze Scotland Yardem?

— Właśnie w tym rzecz — spokojnie odpowiedział Robert, ignorując przytyk do bezpiecznego życia w Milford. — Leży mi to na progu i nie wiem co robić. Potrzebuję rady kogoś, kto wyznaje się na takich sprawach. I nie mam pojęcia czemu nie miałbym tego zwalić na ciebie. Problemów na pewno masz po dziurki w nosie. Ale zawsze odrabiałeś za mnie algebrę.

— A ty, o ile pamiętam, zawsze przeliczałeś papiery giełdowe. Nigdy nie wyznawałem się na akcjach. I wciąż jestem twoim dłużnikiem, za to, że uratowałeś mnie od głupich inwestycji. Od dwóch głupich inwestycji.

— Dwóch?

— Od Tamary i od firmy Topeka Tin.

— To pamiętam, że odradzałem Topeka Tin, zgoda, ale nie wspólnego nie miałem z twoim zerwaniem z Tamarą.

— Jasne, że nie miałaś, jasne! Mój drogi, gdybyś mógł zobaczyć swoją minę, kiedy ci ją przedstawiłem! Nie, nie zrozumiałaś. To ta natychmiastowa grzeczność, ta cholerna angielska maska uprzejmości i dobrego wychowania, to mówiło samo za siebie. Natychmiast wyobraziłem sobie życie z Tamarą; przedstawianie jej ludziom i podziwianie ich dobrego wychowania. Wyleczyłem się w rekordowym tempie. I za to będę ci zawsze wdzięczny. Więc wyłóż sprawę: co jest grane?

Kevin wszystko zauważy, pomyślał Robert, wyciągając kopię zeznań, które Betty Kane złożyła na policji.

— To bardzo krótkie oświadczenie. Chciałbym, żebyś je przeczytał i powiedział, co o nim sądzisz.

Przyglądał się, jak zareaguje Kevin; nie miał zamiaru uprzedzać go i stępieć wrażenia.

Macdermott wziął papier, szybko przebiegł oczami pierwszy akapit i odezwał się: — Chodzi o tę protegowaną „Ack-Emmy”. Już wiem.

— Nie miałem pojęcia, że w ogóle wiesz, co to takiego „Ack-Emma” — powiedział zaskoczony Robert.

— Dobry Boże, przecież żyję z tego pisma. Jeżeli nie będzie zbrodni, to nie będzie głośnych spraw, a jeżeli nie będzie głośnych spraw, to nie będzie i Kevina Macdermotta. A w każdym razie jakiejś jego części. — Kevin zamilkł, zapadła zupełna cisza. Przez cztery minuty był do tego stopnia zaabsorbowany czytaniem, że Robert odniósł wrażenie, że jest sam w pokoju, a gospodarz wyszedł. — Hm! — mruknął w końcu Macdermott, wyłaniając się spoza stronic.

— No więc?

— Zakładam, że twoimi klientami są te dwie kobiety, a nie dziewczyna?

— Oczywiście.

— W takim razie opowiedz mi, jak to wygląda z twojej strony — rzekł Kevin.

Robert opowiedział wszystko od początku, o niechętnie

złożonej wizycie we Franchise, o rosnącym zaangażowaniu, kiedy stało się jasne, że trzeba wybierać między Betty Kane, a tymi kobietami; o stanowisku Scotland Yardu, który nie zdecydował się wkraczać, mając takie tylko dowody; wreszcie o pochopnej wizycie Leslie Wynna w redakcji „Ack-Emmy”.

— Z tego wynika — powiedział Macdermott, — że właśnie w tej chwili próbują w Yardzie poruszyć niebo i ziemię, byle tylko znaleźć decydujący dowód, który potwierdzi zeznanie dziewczyny.

— Też tak myślę — powiedział Robert, zgnębiony.

— Ale chciałbym dowiedzieć się czego innego: wierzysz, czy nie wierzysz w zeznanie?

— Nigdy nie wierzę w niczyje zeznanie — Kevin zwrócił Robertowi uwagę nie bez odrobiny złośliwości. — Chciałbyś wiedzieć co innego: czy uważam, że to zeznanie zasługuje na wiarę. Oczywiście, uważam, że zasługuje. Jak najbardziej.

— Jak najbardziej!

— Jak najbardziej. A czemu nie?

— Przecież to jest niedorzeczna historia — powiedział Robert tonem gorętszym, niżby sobie tego życzył.

— Tu nie ma nic niedorzecznego. Kobiety, które żyją samotnie, robią rzeczy obłąkane, zwłaszcza, jeżeli są to zbiedniałe panie z towarzystwa. Zaledwie parę dni temu okazało się, że pewna staruszka przykuła swoją siostrę łańcuchem do łóżka, w pomieszczeniu nie większym niż spora szafa. Trzymała ją w ten sposób od trzech lat, a karmiła okruchami suchego chleba, łupinami od ziemniaków i innymi resztkami, których sama już nie jadła. Kiedy to wyszło na jaw, powiedziała, że przecież pieniędzy ubywa szybko, a to był właśnie sposób na związanie końca z końcem. Tymczasem w banku miała całkiem przyzwoitą sumę, ale z poczucia niepewności rodzi się strach, a ze strachu pomieszało jej się w głowie. Według twoich pojęć o absurdalności, ta historia jest znacznie bardziej nieprawdopodobna, niż zeznanie dziewczyny.

— Naprawdę? Dla mnie to najzwyczajniejszy przypadek z dziedziny obłądu.

— Tylko dlatego, że się wydarzył, i że o tym wiesz. Chodzi o to, że ktoś to rzeczywiście zobaczył, na własne oczy. Ale, na odwrót, przypuśćmy, że na ten temat krążą tylko plotki; że ta obłąkana siostra coś usłyszała, i że uwolniła ofiarę, zanim zaczęło się jakiekolwiek dochodzenie; i wreszcie, że ci, którzy prowadzą dochodzenie, znajdują tylko dwie starsze panie, które żyją sobie normalnie, przy czym jedna z nich ma dość wycieńczony organizm. No i co? Uwierzyłbyś wtedy w historię o łańcuchu? Czy też, co bardziej prawdopodobne, nazwałbyś tę historię „niepodobieństwem”?

Robert stoczył się na jeszcze niższe piętro depresji.

— Mamy tutaj dwie samotne kobiety, niefortunnie odumarłe przez męża i ojca, obarczone dużym domem na wsi, przy czym jedna jest za stara, by poradzić sobie z domowymi robotami, a drugą te roboty brzydzą. Jaką formę może przybrać ich łagodny obłęd? Oczywiście formę porwania dziewczynki, po to, by została w domu służącą.

Do diabła z Kevinem i jego adwokacką wyobraźnią! Robert sądził, że potrzebuje opinii Kevina, tymczasem potrzebował czego innego, tego mianowicie, żeby Kevin wsparł jego własne zdanie.

— Tak się składa, że dziewczyna, którą porywają, ponieważ znalazła się dostatecznie daleko od domu, jest uczennicą o wzorowej opinii. Wzorową opinią dziewczyna cieszy się na ich nieszczęście; skoro nikt nigdy nie przyłapał jej na kłamstwie, to każde jej słowo obróci się przeciw nim. Gdybym był policjantem, poszedłbym na to ryzyko. Uznałbym, że prędzej czy później nie wytrzymają nerwowo.

Rzucił w stronę Roberta rozbawione spojrzenie, pograżył się w fotelu i wyciągnął długie nogi bliżej ognia. Siedział tak przez dobrą chwilę, zachwycony zdruzgotaniem przyjaciela.

— Rzecz jasna odezwał się policja może też przypomnieć sobie odpowiednik tej sprawy, kiedy to wszyscy uwierzyli w rozdzierającą serce opowieść dziewczyny i w ten sposób dali się całkowicie wyprowadzić w pole.

Odpowiednik zapytał Robert, podciągnął nogi i wyprostował się. — Kiedy to było?

— W tysiąc siedemset którymś. Już nie pamiętam dokładnie.

— O... jęknął Robert, znów załamany.

— Nie rozumiem twojego „o...” — miękko powiedział Macdermott. — Istota alibi niewiele zmieniła się w ciągu dwóch wieków.

— Alibi?

— Jeżeli odpowiednik może być jakimś kluczem do zeznań dziewczyny, to rzecz polega na albi.

— Wobec tego wierzysz, przepraszam, uważasz za całkiem możliwe, że zeznanie tej dziewczyny to nonsens?

— Absolutny wymysł, od początku do końca.

— Kevin, przez ciebie zwariuję! Przecież powiedziałeś, że uważasz to zeznanie za wiarygodne.

— Tak uważam. To kupa kłamstw, ale wiarygodna. Nie jestem zaangażowany przez żadną ze stron. Mogę z tego zrobić pierwszorzędną sprawę czy dla jednej strony, czy dla drugiej, w najkrótszym terminie. Ogółem rzecz biorąc, wolałbym być adwokatem tej młodej osoby z Aylesbury. Cudownie może wypaść jako świadek, a z tego co mi opowiedziałeś wynika, że żadna z pań Sharpe wizualnie nie zapewni adwokatowi wielkiego wsparcia.

Kevin wstał, by nalać sobie jeszcze whisky, wyciągnął też rękę po szklanekę Roberta. Robert nie był jednak w odpowiednim nastroju do biesiady. Pokręcił głową, nie odrywając oczu od ognia. Był zmęczony, a Kevin zaczynał go złościć. Niepotrzebnie tu przychodził. Kiedy ktoś tkwi w sprawach karnych tak długo jak Kevin, to w jego wyobraźni jest miejsce tylko dla punktów widzenia, ale dla przekonań już brak. Trzeba poczekać, póki Kevin nie skończy szklaneczki, a potem trzeba podnieść się do wyjścia. Byłoby dobrze przyłożyć już głowę do poduszki i zapomnieć, że człowiek odpowiada za cudze problemy. A ściślej, za ich rozwiązanie.

— Ciekaw jestem, co ona robiła przez ten cały miesiąc? — odezwał się Kevin pochłaniając łyk, prawdę mówiąc, nierozcieńczonej whisky.

Robert otworzył usta, by powiedzieć: „Przecież ty jesteś

przekonany, że ta dziewczyna to kłamczuch!”, ale powstrzymał się w porę. Zbuntował się. Tego wieczora już nie zatańczy, tak jak zagra Kevin.

— Jeżeli czerwone wino spluczesz taką ilością whisky, to kuracja zajmie ci najbliższy miesiąc, mój chłopcze — powiedział. Kevin zaś, ku jego zdumieniu zaczął pokładać się ze śmiechu, jak sztubak.

— Przepadam za tobą, Robercie — wykrztusił zachwycony. — Jesteś solą Anglii. Wszystkim, co kochamy i czego nienawidzimy. Siedzisz tutaj, taki potulny, taki grzeczny, tak długo pozwalasz ludziom znęcać się nad sobą, aż dochodzą do wniosku, że jesteś starym niedołągą, z którym mogę robić co się podoba, a kiedy zaczyna im się przewracać w głowie i posuwają się o krok za daleko — łups! przychodzi fachowo wymierzony cios, gołą pięścią!

— Kevin wstał, bez pytania wyjął Robertowi z ręki szklanekę, a Robert nie zaprotestował. Poczul się dużo lepiej.

9

W promieniach słońca droga z Londynu do Larborough wyglądała jak prosto rozpostarta, czarna wstążka, z której tryskały snopy diamentowych iskier, ilekroć światło słoneczne odbiło się od któregoś ze stłoczonych na szosie pojazdów. Już niedługo drogi i na ziemi, i na niebie będą tak przepełnione, że nikt nie będzie w stanie wygodnie podróżować i wszyscy będą musieli przesiąść się chyba znów do pociągu, jeżeli będzie im zależało na czasie. Postęp, otóż to.

Ubiegłego wieczoru Kevin przestrzegał, że wobec dzisiejszej łatwości komunikacji naprawdę nie wiadomo, czy Betty Kane nie spędziła miesiąca ferii w Sydney, w Nowej Południowej Walii, na drugim końcu świata. Zniechęcająca perspektywa; Betty Kane mogła przebywać wszędzie, od Kamczatki po Peru, i w tej sytuacji Robert, drobiazg, po prostu musi udowodnić, że dziewczyny nigdy nie było w

domu znajdującym się przy drodze z Larborough do Milford. Gdyby nie słoneczny poranek, gdyby nie żal do Scotland Yardu, gdyby nie pomoc kogoś takiego jak Kevin, i wreszcie, gdyby Robert nie robił tego z własnej, nieprzymuszonej woli, mógłby z pewnością popaść w przygnębienie.

Żal do Scotland Yardu był ostatnią rzeczą, której się spodziewał. Ale był rozżalony, to fakt. Cała energia Scotland Yardu skierowana była na udowodnienie winy pań Sharpe i prawdziwości zeznań Betty Kane; powód był prosty, wierzyli, że kobiety są winne. Ale prywatnie, w duchu, każdy w tej instytucji pragnął wepchnąć Betty Kane z powrotem w paszczę „Ack-Emmy”, a w tej mierze można było zrobić tylko jedno: udowodnić, że jej zeznania to fałsz. Tak, w wielkich, spokojnych ciałach ludzi z Yardu gnieździła się frustracja pierwszej klasy.

Grant był ujmujący; jak zawsze spokojny, rozumny

— odwiedziny u Granta przypominają wizytę u doktora, Robertowi właśnie przyszło na myśl to porównanie

— i chętnie przyznał, że Robert, owszem, powinien być informowany, jeżeli chodzi o listy, które może sprowokować publikacja „Ack-Emmy”.

— Ale niech pan sobie za wiele nie obiecuje — przestrzegł po przyjacielsku Roberta. — Na jeden list, który przychodzi do Yardu i jest coś wart, przypada pięć tysięcy listów zawierających zwykle bzdury. Ludzie niedostosowani wyżywają się pisząc listy. Wścibscy i próżniacy, zбочeńcy, śledziennicy, dziwacy, ci różni uważam-że-jest-moim-obowiązkiem...

— *Pro publico bono...*

— On, ale i jednocześnie *Civis*¹⁶ — powiedział z uśmiechem Grant. — A także ludzie po prostu źli. Wszyscy oni piszą listy. Ponieważ ten sposób wyżycia się jest bezpieczny. Na papierze mogą do woli wtrącać się, głądzić, upajać nieprzyzwoitościami, mogą być patetyczni, sfiksowani, jacy tylko chcą, i nikt nie może ich tknąć palcem. Więc piszą. Mój Boże, i to jak!

16 *Civis Romanus* (łac.) — obywatel rzymski, przenośnie: pełnoprawny członek społeczności.

— Jednak istnieje szansa...

— Oczywiście. Jednak istnieje szansa. Więc te wszystkie listy muszą być przejrane, jakie by nie były głupie. Jeżeli trafi się coś istotnego, prześlemy to panu, obiecuję. Ale przypominam, że tylko w jednym wypadku na pięć tysięcy pisze przeciętnie inteligentny obywatel. Nie lubi tego, co uważa za „wtykanie nosa w nieswoje sprawy” (dlatego milczy w przedziale kolejowym i gorszą go Amerykanie, którzy wykazują iście parafiańskie zainteresowanie bliźnimi), poza tym jest człowiekiem zajęтым, ma na głowie dość swoich spraw, wobec tego sięść i napisać do policji o czymś, co nie dotyczy go bezpośrednio, byłoby przedsięwzięciem sprzecznym z wszelkimi jego instynktami.

Tak więc Robert wyszedł z Yardu i zadowolony, i rozżalony. No cóż, przynajmniej on sam wie, co ma robić. Nie musi zerkać na boki, roztrząsać, czy byłoby lepiej tak się ustawić, a może inaczej. Co więcej, zamiary Roberta pochwalał Kevin.

— Kiedy powiedziałem wywodził Kevin, że zaryzykowałbym, gdybym był policjantem, to co miałem na myśli? Że właściwie mają sprawę dopiętą. A małe, miłe oskarżonko, uwiecznione wyrokiem w sądzie, zawsze oznacza dla kogoś krok wzwyż po drabinie awansów. Niestety (choć dla obywateli „stety”), człowiekiem, który decyduje, czy sprawa nadaje się do aresztowania i sądu, czy nie, jest facet, który stoi dużo wyżej i nie jest zainteresowany szybkimi awansami podwładnych. Zdumiewające, że mądrość może być ubocznym produktem biurokracji.

Whisky nastroiła Roberta zgodliwie; puścił mimo uszu ten popis cynizmu.

— Ale niech no tylko dorwą strzęp rozstrzygającego dowodu, pojawią się z nakazem aresztowania pod drzwiami Franchise, zanim zdążysz podnieść słuchawkę telefonu.

— Nie dorwą żadnych dowodów — odparł Robert; był już podchmielony. — Niby dlaczego? Jak? Chcemy podważyć zeznanie dziewczyny w całości, żeby nie zaciążyło nad tymi kobietami do końca życia. Jutro zobaczę jej ciotkę, wuja, i dowiemy się o dziewczynie dosyć jak na początek naszego

własnego śledztwa.

Teraz zaś Robert mknął błyszczącą, czarną drogą do Larborough, by przyjrzeć się sytuacji Betty w Mainshill, a ściślej, ludziom, do których wyjechała na czas owych sławetnych ferii. To byli państwo Tilsit. Mainshill, Cherill Street 93, Larborough. Państwo Tilsit nie mieli dzieci; on był akwizytorem wytwórni pędzli i szczotek w Larborough i nieustannie podróżował. To wszystko, co wiedział o nich Robert.

Kiedy z głównej drogi skręcił w stronę Mainshill, zatrzymał się na chwilę. Właśnie znajdował się na skrzyżowaniu, na którym Betty czekała na autobus. Lub rzekomo czekała. Nie było żadnej zatoki przy drodze, nic, prócz długiego, prostego chodnika ciągnącego się nieprzerwanie w obie strony, jak okiem sięgnąć.

Na Cherill Street składał się długi ciąg wielokątnych, wykuszowych okien, tkwiących w brudnych ścianach z czerwonej cegły; front tych okien ocierał się o niskie, ceglane murki, odgradzające domy od chodnika. Kwaśna gleba, która przed oknami pełniła obowiązki ogródka, nie miała tych zalet, co świeżo przekopany grunt przy Meadows Lane w Aylesbury; tutaj rosła tylko mizerna skalnica, zachwaszczony lak i nadgryzione przez mszyce niezapominajki. Przy Cherill Street panowała ta sama moda co w Aylesbury, i okna chlubiły się tutaj takimi samymi marszczonymi firankami; jeżeli jednak tu, przy Cherill Street, osiadły jakieś poetyczne dusze, to ujściem dla ich wyobraźni na pewno nie były ogródki.

Robert bezskutecznie dzwonił, a potem stukał do drzwi pod numerem 93 (gdyby nie numer, dom niczym nie różniłby się od sąsiednich), jednak jakaś kobieta otworzyła okno sypialni w przyległym domu, wychyliła się i zapytała:

— Szuka pani Tilsit?

Robert powiedział, że szuka.

— Poszła po zakupy. Do sklepu. Za róg.

— Jeżeli poszła tylko do sklepu, to poczekam.

— Niech nie czeka, jeżeli chce się doczekać. Trzeba po nią

iść i trzeba ją przyprowadzić.

— O, czy pani Tilsit wybiera się gdzieś jeszcze?

— Nie; tutaj to jedyny sklep. Ale ona może przez całe przedpołudnie stać przed półką z płatkami zbożowymi i nie będzie wiedziała, który gatunek wybrać, a wszystkiego, w całym sklepie, są dwa. Niech weźmie do ręki paczkę, byle tylko pewnym ruchem, i niech włoży jej do torby; będzie zachwycona.

Robert podziękował i ruszył w głąb ulicy, kiedy kobieta zawołała go jeszcze raz.

— Niech nie zostawia samochodu. Niech go zabierze ze sobą.

— Ale to blisko, prawda?

— Może blisko, ale dzisiaj sobota.

— Sobota?

— Nie ma szkoły.

— O, rozumiem. Ale tu nie ma czego... — „ukraść”, miał to już na końcu języka, ale zdążył poprawić się

— ...kolwiek ruchomego.

— Ruchomego! He, he, dobre! Kiedyś mieliśmy skrzynki na kwiaty przed oknem. Pani Laverty, po drugiej stronie, miała furtkę. A pani Biddows miała dwa solidne drewniane słupy i osiemnaście yardów sznura od bielizny. Wszystkim się wydawało, że to nie są rzeczy ruchome. Zostawi samochód na dziesięć minut, wróci i będzie szczęśliwy, jak zostanie podwozie!

Wobec tego Robert posłusznie wsiadł do auta i podjechał pod sklep. Jadąc zdał sobie sprawę z czegoś zaskakującego. Więc to tutaj Betty Kane poczuła się taka szczęśliwa. Przy tej raczej ponurej i brudnej uliczce, pierwszej lepszej w gęstej płataninie tak podobnych do siebie. Poczowała się taka szczęśliwa, że, jak napisała, postanowiła tu spędzić resztę ferii.

Co tu znalazła pociągającego?

Wciąż był tego ciekaw, wchodząc do sklepu z zamiarem rozpoznania pani Tilsit wśród porannej klienteli. Zgadywanie okazało się niepotrzebne. W sklepie nie było nikogo poza tylko jedną kobietą i rzut oka na zboląłą twarz właściciela oraz na

kartonowe pudełko w ręce kobiety starczył, by stało się jasne, że samotna klientka to pani Tilsit.

— Czym mogę panu służyć? — właściciel oderwał się na chwilę od targanej wątpliwościami kobiety (tym razem to nie były płatki zbożowe, lecz proszek do prania) i zwrócił się do Roberta.

— Dziękuję — powiedział Robert. — Niestety niczym. Po prostu czekam na tę panią.

— Na mnie? — spytała kobieta. — Jeżeli chodzi o gaz, to...

Robert pośpiesznie wyjaśnił, że nie chodzi o gaz.

— Już mam odkurzacz i świetnie się spisuje — zaryzykowała, chcąc wrócić do rozwikływania problemu.

Robert powiedział, że zostawił przed sklepem samochód, że poczeka, póki pani Tilsit nie skończy, słowem, pośpiesznie zatrąbił na odwrót, ale kobieta powiedziała:

— Samochód! Świetnie, podwiezie mnie pan z powrotem, prawda, i oszczędzi mi pan noszenia tych wszystkich rzeczy. Ile płacę, panie Carr?

Kobieta zainteresowała się Robertem, wobec czego pan Carr wziął z ręki pani Tilsit pudełko, wepchnął je klientce do torby, sam wziął pieniądze, wydał resztę, skwapliwie życzył dobrego dnia, a w stronę Roberta rzucił spojrzenie pełne współczucia, kiedy ten prowadził panią Tilsit do samochodu.

Robert zdawał sobie sprawę, że nie spotka tak łatwo jeszcze jednej kobiety o inteligencji i trzeźwości sądu pani Wynn, ale mimo to upadł na duchu, kiedy przyjrzał się pani Tilsit. Należała do kobiet, które zawsze kierują uwagę na co innego. Żywo z kimś rozmawiają, zgadzają się, zachwycają czymś strojem, doradzają, jednak ich uwaga naprawdę skupia się na tym, co zrobić z rybą, albo co też Florrie powiedziała o najstarszym dziecku Minnie, gdzie leży kwit z pralni, albo po prostu o źle zrobionej plombie w jednym z przednich zębów rozmówcy; myślą o wszystkim z wyjątkiem tego, o czym mowa.

Najwyraźniej samochód Roberta zrobił na niej wrażenie, wobec czego zaprosiła Roberta na filiżankę herbaty; sądzi się, że jak dzień długi nie ma takiej pory, w której filiżanka

herbaty mogłaby zaszkodzić. Tymczasem Robert uznał, że w towarzystwie pani Tilsit nie mógłby przełknąć nawet herbaty, zanim nie przedstawiłby jasno swojej roli, a więc roli adwokata strony przeciwnej. W tej sprawie robił co mógł, należało jednak wątpić, czy kobieta cokolwiek zrozumiała; jej umysłem bardzo wyraźnie zawładnęły wątpliwości, czy poczęstować przybysza biszkoptami Rich Tea, czy herbatnikami Mixed Fancy. Wbrew oczekiwaniom Roberta, napomknięcie o siostrzenicy nie wzburzyło pani Tilsit.

— To w najwyższym stopniu zadziwiające, prawda? — powiedziała. Zabrały ją i biły. Co one sobie myślą, że co im z tego przyjdzie? Niech pan siada, panie Blayne, proszę, niech pan wejdzie i siądzie. Zaraz...

Cały dom wypełnił gwizd, wysoki, rozpaczliwy, ścinający krew w żyłach. Trwał i trwał, bez chwili przerwy na zaczerpięcie oddechu.

Zdeprymowana pani Tilsit porwała pakunki. Pochyliła się w stronę Roberta i wrzasnęła mu niemal wprost do ucha: — To czajnik! Zaraz wracam!

Robert usiadł, przyjrzał się otoczeniu jeszcze raz i zastanowił, co nadzwyczajnego wypatrzyła tu Betty Kane? U pani Wynn pokój frontowy rzeczywiście zasługiwał na nazwę living-room, promieniowało z niego to ciepło, które wynika z obecności ludzi, z ich ruchu, przychodzenia, wychodzenia. Tymczasem tutaj to był najwyraźniej „najlepszy” pokój, zastrzeżony dla tych przybyszów, którzy nie byli na tyle życzliwi gospodarzom, by można ich było wpuścić gdzieś dalej; bo prawdziwe życie toczyło się tu w ciasnych klitkach gdzieś z tyłu. Albo w kuchni, albo w przykuchennym kącie do wszystkiego. A jednak Betty Kane wołała tu zostać. Może znalazła przyjazną duszę? Dziewczynę z sąsiedztwa? Chłopaka?

Pani Tilsit wróciła po jakichś dwóch minutach, niosąc tacę. Robert trochę zdziwił się szybkością tej akcji, póki nie zobaczył, co znajdowało się na tacy. Pani Tilsit w końcu nie podjęła decyzji i przyniosła obydwie gatunki herbatników, z tym że były to Thin Wine oraz Sweet Shortbread. Wyjaśnia się,

pomyślał patrząc jak pani Tilsit nalewa herbatę, przynajmniej jedna wątpliwość w tej całej sprawie: fakt, że kiedy Wynnowie przysłali list z prośbą, by odesłać Betty do domu, ciotka nie popędziła na pocztę, by wysłać telegram z wiadomością, że Betty już wyjechała przed dwoma tygodniami. Betty nieobecna od dwóch tygodni była dla pani Tilsit zjawiskiem znacznie mniej realnym niż galaretki, która studzi się na kuchennym parapecie.

— Nie martwiłam się o nią słowa pani Tilsit zabrzmiały jak echo myśli Roberta. Kiedy napisali do mnie z Aylesbury, wiedziałam, że się znajdzie. Kiedy pan Tilsit wrócił do domu, był bardzo zdenerwowany — pan Tilsit wyjeżdża na cały tydzień, albo nawet na dziesięć dni, wie pan, jest akwizytorem u Weeksów — zachowywał się jak szalony, ale ja mu po prostu powiedziałam, żeby poczekać, że dziewczyna się znajdzie, że wszystko dobrze się ułoży; no i znalazła się i wszystko dobrze się ułożyło. No, prawie.

— Mówiła, że ferie tutaj bardzo jej się spodobały.

— Chyba tak — powiedziała niepewnie, nie okazując zadowolenia, czego spodziewał się Robert. Zerknął na nią i zrozumiał, że jej uwaga skupiła się już na czym innym. Być może na tym, czy herbata jest dość mocna; w każdym razie patrzyła w stronę filiżanki.

— Jak spędzała czas? Szukała przyjaciół?

— Nie, przeważnie była w Larborough.

— W Larborough!

— No nie, to by było niesprawiedliwe, powiedzieć, że spędziła tam większość czasu. Co rano pomagała mi w domu, ale jaki jest ten dom, sam pan widzi, mały, a ja przywykłam, że sama się wszystkim zajmuję, więc wiele do roboty tu nie miała. Poza tym, przyjechała, biedactwo, na ferie. Prawda? Prosto ze szkoły. Co młodej dziewczynie ze ślęczenia nad książkami? Córka pani Harrop, po drugiej stronie, ledwie umie się podpisać, a wyszła za trzeciego syna lorda. Chociaż to może syn trzeciego syna — jej wzrok był pełen wątpliwości. — Właśnie zapomniałam. Ona...

— A jak spędzała czas w Larborough? To znaczy, Betty?

— Przeważnie w kinie.

— W kinie?

— Jeżeli ktoś to lubi, to w Larborough można siedzieć w kinie od rana do nocy. Te duże otwierają o wpół do jedenastej, a program zmienia się dwa razy w tygodniu; kin jest około czterdziestu, więc można chodzić od jednego do drugiego, póki nie pora wracać.

— I to właśnie robiła Betty?

— Nie. Betty to całkiem rozsądna dziewczyna. Zwykle chodziła do kina z rana, bo przed południem jest taniej, a potem wybierała się pojeździć autobusami.

— Autobusami? Gdzie?

— Gdziekolwiek. Gdzie jej przyszło do głowy. Proszę, niech pan zje jeszcze jednego herbatnika, panie Bain, są świeżutkie, prosto z puszki. Któregoś dnia pojechała obejrzeć zamek w Norton. To stolica hrabstwa, Norton, nie każdy wie. Wszystkim wydaje się, że Larborough, bo Larborough jest takie duże, ale Norton zawsze było...

— A czy wobec tego przyjeżdżała do domu na lunch?

— Co? Och, Betty! Nie, wpadała gdziekolwiek na mały lunch, kanapki i kawa. Prawdziwy posiłek zawsze jadamy późno wieczorem, wie pan, bo pan Tilsit jest przez cały dzień poza domem, więc kiedy wracała zawsze czekało na nią coś dobrego. To moja chluba, solidne wyżywienie, posiłek, do którego trzeba usiąść, żeby...

— A na którą go pani przygotowywała? Na szóstą?

— Nie, pan Tilsit zwykle wraca do domu przed wpół do ósmej.

— A Betty, jak sędzę, była w domu dużo wcześniej?

— Przeważnie tak. Była raz w kinie na popołudniowym seansie, więc przyszła później, ale pan Tilsit bardzo się z tego powodu irytował, chociaż uważam, że nie było o co. Co złego może się komu przytrafić w kinie? Potem już Betty przychodziła do domu wcześniej niż on. To znaczy wtedy, kiedy pan Tilsit tu był. Bo kiedy wyjeżdżał, to Betty już się tak nie pilnowała.

A więc dziewczyna przez dobre dwa tygodnie robiła co

chciała. Mogła przychodzić i wychodzić bez opowiadania się, a jej jedynym ograniczeniem było wakacyjne kieszonkowe. Te dwa tygodnie przedstawiały się bardzo niewinnie, i jeżeli chodzi o większość dziewcząt w jej wieku mogły naprawdę być takie. Rano kino lub wyglądanie przez okno, kanapka zjedzona byle gdzie w mieście jako lunch, po południu zwiedzanie okolic autobusami, błogie ferie w sam raz dla dorastającej dziewczyny; pierwszy posmak nieskrępowanej wolności.

Betty Kane nie była jednak zwykłym podlotkiem. Była dziewczyną, która bez zająknięcia opowiedziała policji tę długą i szczegółową historię. Dziewczyną, której cztery tygodnie życia stanowiły zagadkę. Dziewczyną, którą ktoś bez litości zbił na zakończenie znajomości. Więc w jaki sposób Betty Kane korzystała z nieskrępowanej wolności?

— Nie wie pani, czy pojechała kiedyś do Milford autobusem?

Nie wiem, oni już pytali mnie o to, naturalnie, ale nie mogłam powiedzieć ani tak, ani nie.

— Oni?

— Policja.

No tak, oczywiście; na chwilę zapomniał, że policja, na ile była w stanie, sprawdziła każde słowo Betty Kane.

— Ale pan powiedział, zdaje się, że pan nie jest z policji.

— Nie — odrzekł Robert i powtórzył jeszcze raz, — jestem prawnikiem. Reprezentuję kobiety podejrzane o uwięzienie Betty.

— No tak. Przecież pan mówił. Sądzę, że one, biedactwa, też muszą mieć prawnika, jak każdy. Żeby w ich imieniu zadawał pytania. Mam nadzieję, że opowiadam panu to, czego pan chce się dowiedzieć, panie Blayne.

Robert dopijał następną filiżankę herbaty w nadziei, że prędzej czy później kobieta rzeczywiście powie coś godnego uwagi. Ale jak na razie była to powtórka znanych wiadomości.

— Czy policja wie, że Betty bywała poza domem sama, przez cały dzień? — zapytał.

Pani Tilsit tym razem naprawdę zastanowiła się nad tym co powiedział.

— Nie mogę sobie przypomnieć — odrzekła. — Pytali mnie, jak spędzała czas i powiedziałam, że przeważnie na chodzeniu do kina albo jeżdżeniu autobusami, a oni chcieli wiedzieć czy i ja z nią wychodziłam; no cóż, przyznaję, że musiałam skłamać i powiedzieć im, że od czasu do czasu owszem, tak. Nie chciałam, żeby sobie pomyśleli, że Betty sama chodzi po mieście tu czy tam. Chociaż, rzecz jasna, nie ma w tym nic złego.

Co za okaz!

— A czy przychodziły do niej listy? — spytał Robert zbierając się do wyjścia.

— Tylko z domu. No tak, powinnam wiedzieć. Zawsze wyjmuję listy ze skrzynki. W każdym razie one chyba do niej nie pisały, prawda?

— Kto?

— Kobiety, które ją porwały.

Robert jadąc w stronę Larborough miał wrażenie, że ucieka. Ciekaw był, czy pan Tilsit, który wciąż spędzał poza domem po dziesięć dni pod rząd, wystarał się o wędrownie zajęcie tylko po to, by nie ulec pokusie ucieczki albo samobójstwa.

Blair odszukał w mieście główną zajezdnię Autobusowych Linii Okręgu Larborough. Wjazdu strzegło małe biuro. Robert zapukał i wszedł do środka. Za biurkiem siedział mężczyzna w mundurze kontrolera i przerzucał papiery. Spojrzał w stronę Roberta i nie pytając o co chodzi wrócił do swoich spraw.

Robert powiedział, że chciałby się zobaczyć z kimś, kto coś wie o linii do Milford.

— Rozkład jazdy jest na zewnątrz, na ścianie — odezwał się mężczyzna nie podnosząc głowy.

— Nie chodzi mi o rozkład. Znam go. Mieszkam w Milford. Chciałbym wiedzieć, czy na tę linię czasem wyjeżdża piętrowy autobus.

Zapadła cisza, starannie odmierzona, by trwać do chwili, w której Robert postanowi odezwać się jeszcze raz.

— Nie — odpowiedział mężczyzna.

— Nigdy?

Tym razem odpowiedzi nie było. Kontroler dawał do zrozumienia, że skończył, jeżeli chodzi o Roberta.

— Słuchaj pan powiedział Robert. To ważna sprawa. Jestem współnikiem adwokackiej firmy z Milford i...

Mężczyzna odwrócił się. — Może pan być szachem perskim, nic mnie to nie obchodzi. Na trasie do Milford nie jeżdżą piętrowe autobusy! Co jest? — w drzwiach, za plecami Roberta pojawił się niewysoki mechanik.

Robił wrażenie niezdecydowanego, jakby sprawa, z którą przyszedł przestała być pilna, ze względu na wydarzenie świeższe i dużo ciekawsze. Jednak wziął się w garść i zaczął wyluszczać problem: — Te zapasowe koła, do Nortona, wie pan. Czy mogę...

Robert wychodząc z biura niemal otarł się o niego i poczuł, że ktoś ciągnie go za płaszcz; zorientował się, że to właśnie mały mechanik, który widocznie chciał, by Robert poczekał. Robert wyszedł i pochylił się nad maską własnego wozu; mechanik zaraz potem wyrósł obok łokcia Roberta.

— Pytał pan o piętrowe autobusy? Nie mogę tak po prostu sprzeciwić mu się, w oczy, wie pan; przy tym jego humorze teraz, to by było tyle, co pożegnać się z pracą. Pan chce wynająć piętrowy autobus, czy po prostu chce pan wiedzieć, czy one tam w ogóle jeżdżą? Na tej linii nie może pan jechać piętrowym, bo na niej wszystkie autobusy...

— Wiem, wiem. Jeżdżą jednopoziomowe. Chcę się dowiedzieć, czy do Milford nigdy nie jeździły piętrowe.

— No cóż, nie powinny jeździć, rozumie pan, ale w tym roku raz czy dwa razy musieliśmy niespodziewanie wysłać piętrowa, kiedy któryś z tych starych, pojedynczych, niespodziewanie wysiadł. Pędzej czy później wszędzie pojedą piętrowy, ale na razie na Milford jest za mały ruch i te wszystkie pojedyncze stare gruchały ładują w końcu na takiej trasie, i na paru podobnych. No więc...

— Bardzo mi pan pomógł. Czy to można wyszukać, dokładnie, kiedy tą trasą jechał piętrowy wóz?

— Pewnie powiedział mechanik, nie bez śladu goryczy. —

W tej firmie zapisują nawet ile razy człowiek splunie. Ale papiery są tam — skinął głową w stronę biura — i póki on tam siedzi, nic się nie da zrobić, mowy nie ma.

Robert spytał, o której wobec tego dałoby się coś zrobić.

— On wychodzi tak jak ja, o szóstej. Ale mogę parę minut zaczekać, jeżeli to dla pana ważne, i przepatrzyć wykazy, kiedy on już pójdzie.

Robert nie miał pojęcia, co począć ze sobą przez ten czas, ale musiał czekać do szóstej, trudno.

— Dobra. Spotkamy się u Bella, to pub na końcu ulicy, kwadrans po szóstej. Pasuje?

— Tak jest — powiedział Robert. — Jak najbardziej. Wyszedł; musiał zorientować się, ile w okolicy wynosi stawka dla kogoś, kto poświęci się i zostanie po godzinach.

10

— Mam nadzieję, że wiesz co robisz, złotko — powiedziała ciotka Lin — ale zdaje mi się, nic na to nie poradzę, że jak na ciebie to bardzo dziwne: bronić osób tego rodzaju.

— Nie „bronię” ich — cierpliwie wyjaśniał Robert, — ale je reprezentuję. I nie istnieje żaden dowód, że to „osoby tego rodzaju”.

— Ale przecież ta dziewczyna zeznawała, Robercie. Nie mogła tak po prostu wymyśleć wszystkiego.

— Nie mogła?

— A co by jej z tego przyszło, że opowie furę kłamstw? — ciotka Lin stała w drzwiach i wkładała białe rękawiczki, ujmując to jedną, to drugą ręką książeczkę do nabożeństwa. — A co takiego i gdzie mogła robić, jeżeli nie było jej we Franchise?

Robert powstrzymał się od okrzyku: „Zdumiewasz mnie, ciociu!” Jeżeli chodzi o ciotkę Lin, najlepsze wyniki przynosiło stawianie możliwie najłabszego oporu.

Ciotka wygładziła rękawiczki. — Jeżeli to tylko dlatego, Robercie, że kierujesz się odruchem szlachetności, to muszę

powiedzieć, złotko, że tkwisz w błędzie. I czy to ty musisz jechać do tego domu? Przecież one z pewnością mogą przyjechać do biura, jutro. Przecież nie pali się, prawda? Nie jest tak, że ktoś przyjedzie i z miejsca je zaaresztuje?

— To ja zaproponowałem, że przyjadę do Franchise. Gdyby ktoś cię oskarżył, że ukradłaś jakieś rzeczy, prosto z lady u Woolwortha, a nie mogłabyś tego oskarżenia zbić, to czy byłoby ci przyjemnie przespacerować się środkiem Milford, przez High Street, w samo południe?

— Przyjemnie by mi nie było, ale musiałabym to zrobić, żeby panu Hensellowi powiedzieć do słuchu parę słów.

— Kto to jest pan Hensell?

— Kierownik u Woolwortha. Czy mógłbyś najpierw pójść ze mną, a potem pojechać do Franchise? Już tyle czasu upłynęło, odkąd ostatni raz byłeś w kościele.

— Jeżeli zostaniesz w domu jeszcze chwilę, to po raz pierwszy od dziesięciu lat spóźnisz się. Idź i pomódl się, żeby moje było na wierzchu.

— Na pewno pomodłę się za ciebie, złotko, przede wszystkim za ciebie. Zawsze to robię. Za siebie też zmówię paciorek. To wszystko okazuje się dla mnie bardzo trudne.

— Dla ciebie?

— Teraz, kiedy reprezentujesz te kobiety, z nikim nie będę mogła o tym rozmawiać. To okropnie denerwujące, złotko, słuchać, jak wszyscy opowiadają sobie różne rzeczy, jakby to była święta prawda, i cicho siedzieć, wiedząc, że fakty przedstawiają się inaczej. To jest tak, jakby człowiekowi zrobiło się niedobrze, a musiałby odczekać. Och, złotko, już przestały bić dzwony? Jakoś wślizgnę się do ławki Brackettów. Nic nie będą mieli przeciwko temu. Zostaniesz tam u tych osób na lunchu, prawda?

— Nie sądzę, żebym został zaproszony.

Ale we Franchise Robert został bardzo ciepło przyjęty, pomyślał więc, że mógłby mimo wszystko zostać zaproszony. Uznał, że w takim wypadku powinien odmówić; rzecz jasna, nie dlatego, że tęsknił za nim kurczak upieczony przez ciotkę Lin, lecz dlatego, że Marion Sharpe musiałaby zmywać po

lunchu. Jeżeli jadły same, prawdopodobnie nie wyciągały kompletu nakryć. Może nawet jadły w kuchni.

— Przepraszam, że wczoraj wieczorem nie odbierałyśmy telefonu — powiedziała Marion, znów za coś przepraszając. — Miałyśmy dosyć po czterech czy pięciu razach. I nie spodziewałyśmy się, że tak szybko zdobędzie pan wiadomości. W końcu wyjechał pan w piątek po południu.

— A te telefony: czy słyszała pani kobiece głosy, czy męskie?

— Jeden męski i cztery kobiece, o ile pamiętam. Kiedy dziś rano pan zadzwonił pomyślałam, że wszystko zaczyna się od nowa, ale widocznie to śpiochy. A może nie osiągają odpowiedniego poziomu złośliwości póki się nie ściemni. Zdaje się też, że zapewniłyśmy należytą rozrywkę miejscowej młodzieży w sobotni wieczór. Zgromadzili się, przed bramą uformowała się grupka, i wygwizdali nas. Później Nevil znalazł w szopie dużą kłodę...

— Nevil?

— Pański siostrzeniec... to znaczy pański kuzyn. Przyjechał tu, żeby — tak to nazwał — złożyć wyrazy współczucia. To było bardzo miłe. Więc znalazł tę kłodę, którą udało się wsunąć pod bramę i zaklinować; nie mamy klucza do bramy, nie zamykamy jej. Ale oczywiście to ich powstrzymało tylko na chwilę. Powdrapywali się na mur, jedni wciągali drugich, siedli tam rzędem i obrzucali nas wyzwiskami, póki nie nadeszła godzina, o której zwykle kładą się spać.

— Brak wykształcenia — filozoficznie zauważyła starsza pani Sharpe — to poważny niedostatek, jeżeli ktoś chce urągać. Nie ma skąd brać pomysłów.

— W tej samej sytuacji są papugi — powiedział Robert. — Mimo to potrafią dokuczyć. Trzeba się zorientować jakiej możemy się domagać ochrony od policji. Tymczasem opowiem paniom o tym murze coś przyjemniejszego. Już wiem, jak dziewczyna mogła coś zobaczyć ponad nim. — Robert opowiedział o wizycie u pani Tilsit, o odkryciu, że rozrywką dziewczyny były przejażdżki autobusami (a w każdym razie, że dziewczyna tak powiedziała), a potem o

wizycie w zajezdni Autobusowych Linii Okręgu Larborough.

W ciągu dwóch tygodni, które dziewczyna spędziła w Mainshill, dwa razy popsuły się zwykle, jednopoziomowe autobusy wyznaczone na trasę do Milford, i za każdym razem w zamian podstawiany był autobus piętrowy. W ciągu dnia są tylko trzy kursy, tam i z powrotem. I za każdym razem awaria przytrafiała się w autobusie, który miał wyjechać w południe. Tak więc w ciągu tych dwóch tygodni dziewczyna przynajmniej dwa razy miała okazję zobaczyć dom, podwórko, obie panie, samochód, po prostu wszystko.

— Ale czy ktoś jadąc na piętrze autobusu mógł dostrzec aż tyle?

— A czy któraś z pań podróżowała kiedyś przez wiejskie okolice siedząc na górze autobusu? Nawet jeżeli wóz jedzie te swoje przepisowe 35 mil na godzinę, wydaje się, że jedzie za pogrzebem. Widać dalej, a przyglądać się można znacznie dłużej. Na dole o szyby ocierają się gałęzie żywopłotów, a szybkość wydaje się spora, ponieważ przedmioty znajdują się bliżej. To raz. Dwa: dziewczyna ma fotograficzną pamięć. Tu Robert powtórzył, co opowiedziała pani Wynn.

— Czy powtórzymy to policji? — zapytała pani Sharpe.

— Nie. To o niczym nie świadczy; po prostu staje się jasne, skąd się wszystkiego dowiedziała. Kiedy zorientowała się, że potrzeba jej alibi, przypomniała sobie o paniach i zaryzykowała, że to panie nie potrafią udowodnić, że były gdzie indziej. A przy okazji, kiedy parkuje pani samochód przed domem, to zwykle którą stroną jest zwrócony do ganku?

— Czy podjeżdżam z garażu, czy z drogi przez bramę, zawsze staję prawą stroną ku wejściu, bo wtedy łatwiej wysiąść.

— No tak, i lewa strona z ciemniejszą farbą na przednim kole jest zwrócona ku bramie — rozstrzygnął Robert. — Taki obraz miała przed oczami! Trawnik, rozwidlająca się ścieżka, przed wejściem do domu samochód z ciemniejszym lakierem na przednim kole, dwie kobiety, obie o charakterystycznym wyglądzie, okrągłe okienko na poddaszu. Wystarczyło rzucić

okiem na obraz przechowany w pamięci i opisać go. Dzień, do którego musiała dopasować obraz — a więc dzień uznany za datę uprowadzenia — upłynął ponad miesiąc temu i była jedna szansa na tysiąc, że panie potrafią powiedzieć, co panie wówczas robiły, czy też gdzie były.

— Ale zdaje się — powiedziała pani Sharpe — że jeszcze mniejsze szanse mamy, jeżeli chodzi o wykazanie, co ona robiła, czy też gdzie była w ciągu miesiąca.

— Rzeczywiście, szanse wyglądają źle. Jak to niedawno powiedział mój przyjaciel Kevin Macdermott, nie można wykluczyć, że dziewczyna była na drugim końcu świata, w Sydney w Nowej Południowej Walii. Mimo wszystko jestem dzisiaj znacznie lepszej myśli, niż byłem w piątek rano. Teraz wiemy o dziewczynie znacznie więcej. — Robert opowiedział paniom Sharpe o wizytach w Aylesbury i Mainshill.

— Jeżeli jednak policja nie dokopie się tego, co dziewczyna naprawdę robiła przez miesiąc...

— Dochodzenie policyjne polega na sprawdzeniu jej zeznań. Policja, w przeciwieństwie do nas, nie zaczęła dochodzenia w przeświadczeniu, że zeznania dziewczyny są fałszywe od początku do końca. Sprawdzili je i zgadzały się. Brak było jakichś szczególnych powodów, żeby wątpić. Miała nienaganną opinię, a kiedy wypytywali ciotkę, jak dziewczyna spędziła ferie, okazało się, że polegało to na niewinnym przesiadywaniu w kinie i autobusowych przejazdach po okolicy.

— A pana zdaniem, na czym to polegało?

— Myślę, że kogoś spotkała w Larborough. Takie wyjaśnienie samo się nasuwa, to jasne. A z tego przypuszczenia wynika, jak myślę, że powinniśmy sami rozpocząć dochodzenie.

— Co ze sprawą zaangażowania agenta? — spytała pani Sharpe. — Zna pan kogoś?

— No cóż — w głosie Roberta słychać było wahanie. — Przeszło mi przez myśl, że panie może pozwoliłyby mi poprowadzić dochodzenie trochę dalej, zanim zaangażujemy zawodowca. Wiem, że...

— Proszę pana — przerwała pani Sharpe — znienacka wezwaliśmy pana do tej niemilej sprawy, decyzji z pewnością nie podjął pan chętnie; była to z pana strony wielka uprzejmość, że zrobił pan dla nas, co w pana mocy. Ale nie mamy prawa oczekiwać, że dla nas zamieni się pan w prywatnego detektywa. Nie jesteśmy bogate, na utrzymanie mamy niewiele, ale póki w ogóle mamy pieniądze wystarczy nam, by płacić za działania, jakich wymaga sytuacja. Nie byłoby właściwe gdyby pan z naszego powodu przeistoczył się w jakiegoś jak on się nazywa?

— Perry’ego Masona.

— Może nie byłoby właściwe, ale bardzo by mi odpowiadało. Proszę mi wierzyć, pani Sharpe, na pewno nie myślałem o zaoszczędzeniu paniom wydatków, nie o to rai chodzi. Wczoraj wieczorem wracałem samochodem do domu, bardzo rad, że udało mi się tyle osiągnąć; zdałem sobie wtedy sprawę, jak bardzo byłoby mi nie w smak przekazać poszukiwania w czyjekolwiek ręce. To się zamieniło w moje osobiste łowy. Więc proszę mnie nie odstręczać...

— Jeżeli pan Blair chciałby przez jakiś czas jeszcze poprowadzić tę sprawę — przerwała Marion — to wydaje mi się, że powinniśmy mu podziękować z całego serca i zgodzić się. Wyobrażam sobie, jak się czuje. Sama przyłączyłabym się do łowów.

— Z pewnością nadejdzie chwila, w której będę musiał zwrócić się do prawdziwego detektywa, czy mi się to spodoba, czy nie. Na przykład, jeżeli ślad poprowadzi daleko poza Larborough. Mam za wiele zobowiązań tutaj, na miejscu. Ale póki trzeba tropić o krok od progę, chciałbym być tym który tropi.

— A jak pan obmyślił dalszy ciąg? — spytała zaciekawiona Marion.

— Pomyślałem, żeby zacząć od lokalików, do których przychodzi się na lunch, by zjeść kanapkę i wypić kawę. W Larborough, rzecz jasna. Po pierwsze, nie ma ich wiele. Poza tym wiemy, że przynajmniej na początku jadała lunch w ten sposób.

— Dlaczego powiedział pan „przynajmniej na początku”? — spytała Marion.

— Pewnego razu spotkała domniemanego Iksa i od tej pory mogła już jadać lunch gdziekolwiek. Ale póki sama płaciła, lunch składał się z kawy i kanapek. W jej wieku dziewczyna jakoś woli taki posiłek, nawet jeżeli w kieszeni ma dosyć, by starczyło na dwa solidne dania. Skupię się więc na tych lokalikach. Kelnerkom pomacham przed nosem „Ack-Emma” i wywiem się taktownie, jak tylko potrafi prowincjonalny adwokat, czy kiedykolwiek widziały dziewczynę w swoim lokaliku. Czy to brzmi rozsądnie? Jak panie uważają?

— Bardzo rozsądnie powiedziała Marion.

Robert zwrócił się do pani Sharpe: — Jeżeli pani sądzi, że lepiej spisze się zawodowiec, a jest to więcej niż pewne, nie pozostaje mi nic innego, jak pożegnalny ukłon i...

— Jestem przekonana, że nikt nie mógłby zrobić tego lepiej niż pan — powiedziała pani Sharpe. — Staralam się wyrazić, jak bardzo jestem wdzięczna za trudy, które pan już poniosł dla nas. Jeżeli rzeczywiście chciałby pan przyłapać tę... tę...

— Lalkę... — odpowiedział uszczęśliwiony Robert.

— Kuchtę — sprostowała pani Sharpe — to możemy tylko zgodzić się i podziękować. Ale moim zdaniem tu się zanosi na długą zabawę.

— Dlaczego?

— Bo jest ogromna luka między spotkaniem tego domniemanego Iksa w Larborough, a tym, jak wróciła do domu w samych tylko butach i sukience, solidnie obita. Marion, zdaje się, że jest tam gdzieś jeszcze trochę amontillado?

Marion wyszła po sherry, a cisza, która zapadła pozwoliła wsłuchać się w spokój starego domu. Na podwórku nie rosły drzewa, więc nie docierał ani delikatny szum liści na wietrze, ani świergot ptaków. Cisza przypominała tę, w której nocą pogrążają się małe miasteczka. Robert był ciekaw, czy po zgiekliwym pensjonacie ta cisza koila? Czy przeciwnie, kazała myśleć o samotności i budziła lęk?

Ceniły prywatność, pani Sharpe mówiła o tym w piątek

rano, w biurze. Czy jednak było im dobrze w odosobnieniu, za murem, w głuchoj ciszy?

— Mnie się wydaje, powiedziała pani Sharpe że dziewczyna bardzo zaryzykowała wybierając Franchise, a nic nie wiedząc o gospodarstwie, o domu, o zwyczajach.

— Oczywiście, ryzykowała powiedział Robert.

Musiała Ale nie sądzę, żeby to było aż tak ryzykowne, jak pani sądzi.

— Nie?

— Nie. Franchise, tak jak zobaczyła je dziewczyna, to by mogło być duże gospodarstwo, zamieszkałe przez młodych ludzi, zatrudniających do pomocy troje młodych dziewcząt, to pani miała na myśli?

— Tak.

— A ja sądzę, że doskonale wiedziała, że jest inaczej.

— Jakim cudem?

— Albo w autobusie plotkowała z konduktorem, albo — co bardziej prawdopodobne — podsłuchiwała jakąś rozmowę. Coś w tym rodzaju: „O, tu mieszkają te Sharpe. Mają życie. Same w takim dużym domu, tylko one dwie, takie widzimisię. Żadna dziewczyna by się tam nie zgodziła, sama, kawał drogi do sklepów i do kina...” i tak dalej. Kurs z Larborough do Milford jest bardzo „tutejszy”, że tak powiem. Ta szosa biegnie przez odludne okolice, żadnych domostw, żadnych miejscowości, jeżeli nie liczyć Ham Green. Przez całe mile nie ma niczego ciekawego poza Franchise, jeżeli chodzi o pożywkę dla zainteresowań. A byłoby to wbrew naturze ludzkiej, przejechać obok domu budzącego zainteresowanie, obok jego właścicielek, samochodu, i powstrzymać się od jakichkolwiek uwag.

— Rozumiem. To brzmi rozsądnie.

— Mówiąc nawiasem, wołałbym, żeby dowiedziała się o paniach tego wszystkiego szczebiocąc z konduktorem. Mógłby ją zapamiętać. Dziewczyna opowiada, że nigdy nie była w Milford i nie ma pojęcia, gdzie to jest. Gdyby ją zapamiętał konduktor, wówczas moglibyśmy jej opowiadkę podważyć, przynajmniej pod tym względem.

— O ile wiem cokolwiek o tej młodej osobie, to szeroko otworzy oczęta i zapyta: „Ach, więc to było Milford? Przecież ja tylko wsiadłam do autobusu, pojechałam do końcowego przystanku i z powrotem, nic więcej”.

— Tak, pewnie to nas nie zaprowadzi za daleko. Gdybym jednak nic nie zwojował w Larborough, to spróbuję z konduktorami, pokażę im zdjęcie. Wolałbym, żeby bardziej rzucała się w oczy.

Znów zapadła cisza; za sprawą nie rzucającej się w oczy Betty Kane.

Siedzieli w salonie, twarzami zwrócenii do okna wychodzącego na zielony prostokąt podwórka i zbrudzoną, ceglaną czerwień muru. Właśnie w tym momencie ktoś pchnął bramę, która otwarła się. W bramie stało siedem czy osiem osób; wpatrywały się w obejście. Ci ludzie najwyraźniej, czuli się jak u siebie w domu, jedni drugim wskazywali szczegóły zwracające uwagę, z których największym wzięciem cieszyło się okrągłe okno na poddaszu. Jeżeli ubiegłego wieczoru Franchise zapewniło sobotnią rozrywkę miejscowej młodzieży, to teraz okazało się celem porannej niedzielnej wycieczki mieszkańców Larborough. Przed bramą czekały na nich z pewnością samochody; kobiety w tym towarzystwie ubrane były w lekkie sukienki, na nogach miały pantofelki w sam raz na parkiet.

Robert zerknął z ukosa w stronę pani Sharpe. Ani drgnęła, tyle tylko, że jej surowe usta zacisnęły się jeszcze bardziej.

— Oto nasza publiczność — powiedziała w końcu tonem, który wyrażał mordercze intencje.

— Czy mogę wyjść i wyrzucić ich? — spytał Robert. — To moja wina, bo nie wsunąłem pod bramę tej kłody, którą panie odciągnęły, kiedy przyszedłem.

— Niech pan ich zostawi — odrzekła. — Szybciej pójdą. Rodzina królewska musi to znosić dzień w dzień, więc i my zniesiemy przez jakiś czas.

Jednakże gościom ani się śniło wychodzić. Przeciwnie, mała grupka wybrała się na spacer wokół domu, oglądała budynki gospodarcze, reszta zaś tkwiła w tym samym

miejscu, kiedy w salonie pojawiła się Marion niosąc sherry. Robert jeszcze raz zaczął tłumaczyć się z powodu kłody. Czuł się mały; czuł, że nie dorasta do sytuacji. Było to coś okropnego, siedzieć i patrzeć na obcych, jak kręcą się wokół domu, jakby byli właścicielami, albo chcieli ten dom kupić. Gdyby jednak wyszedł i zażądał, by się wynieśli, a oni nie posłuchaliby go, to nie rozporządzał żadną siłą, która mogłaby ich do tego zmusić. Jak mógłby spojrzeć w oczy paniom Sharpe, gdyby musiał wycofać się, oddając pole tym ludziom?

Podróżnicy wrócili z wyprawy dookoła domu i teraz śmiejąc się głośno, gestykułując, zdawali sprawę z tego, co udało im się zobaczyć. Robert dosłyszał, że Marion coś mówi pod nosem i nie był pewien czy nie kłęła. Wyglądała na kobietę, która ma repertuar i potrafi z niego skorzystać. Tacę z sherry odstawiła i najwyraźniej zapomniała o niej; nie był to najlepszy moment na okazywanie gościnności. Robert pragnął zrobić coś rozstrzygającego, efektownego, by sprawić jej przyjemność; tak jak kiedy miał piętnaście lat i tęsknił za okazją, by damę serca wynieść na rękach z płonącego budynku. Teraz, nie da się ukryć, miał lat, niestety, czterdzieści parę i wiedział już, że mądrzej byłoby poczekać na strażaków z drabiną.

Kiedy gryzł się, wahał, wściekły na siebie i na te kreatury na podwórku, pojawiła się strażacka drabina, w osobie młodego, wysokiego mężczyzny, w ubolewania godnym tweedowym garniturze.

— Nevil — odetchnęła Marion, patrząc na scenkę.

Nevil dokonał oględzin grupy, demonstrując zrozumiałość i nieopisane poczucie wyższości; nieproszeni goście przycichli nieco, ale najwyraźniej nie mieli zamiaru ustąpić ani o piędź. Co więcej, jakiś osobnik w sportowej marynarczce i cienkoprażkowanych spodniach najwyraźniej przygotowywał się do wygłoszenia oświadczenia.

Nevil przyglądał mu się bez słowa jeszcze przez kilka sekund, potem zaś sięgnął! do wewnętrznej kieszeni. Jeden tylko ruch ręki Nevila spowodował dziwną odmianę.

Stojący dalej członkowie grupy odłączyli się i dyskretnie ulotnili za bramę, z tych zaś z przodu nagle uszło powietrze, zniknęła gdzieś brawura i stali ułagodzeni. Ostatecznie osobnik w marynarczce wykonał gest oznaczający kapitulację i wzmocnił cofające się szeregi.

Nevil zatrzasnął za nimi bramę, podparł ją drewnianą kłodą i spacerowym krokiem zbliżył się do wejścia, po drodze wycierając ręce chusteczką, rzeczywiście, szokującą. Marion podbiegła do drzwi, by go przywitać.

— Nevil! — Robert usłyszał jej głos. — Jak ty to zrobiłeś?

— Ale co? — spytał Nevil.

— Jak pozbyłeś się tego paskudztwa?

— Po prostu zażądałem, by podali nazwiska i adresy — odpowiedział Nevil. Nie masz pojęcia, jacy ludzie stają się dyskretni, kiedy sięgasz po notes i prosisz, by raczyli powiedzieć, jak się nazywają i gdzie są łaskawi mieszkać. To tyle, co okrzyk: „Uciekaj, wszystko się wydało!”, ale w nowocześniejszym wydaniu. Nawet nie próbują człowieka zapytać o uprawnienia, gdyby je przypadkiem miał. Witaj, Robercie! Dzień dobry, pani Sharpe. Jadę właśnie do Larborough, ale zobaczyłem po drodze otwartą bramę, te dwa okropne samochody przed wjazdem, więc zatrzymałem się, żeby przeprowadzić śledztwo. Nie wiedziałem, że Robert jest z paniami.

Ta całkiem niewinna sugestia, że Robert, rzecz jasna, potrafiłby się równie dobrze uporać z sytuacją, była najprzykrzejszym ciosem. Robert czuł, że mógłby Nevilowi roztrzaskać głowę.

— No tak, ale skoro pan wpadł, skoro tak umiejętnie uwolnił nas pan od tej plagi, musi pan zostać i wypić kieliszek sherry — powiedziała pani Sharpe.

— Czy mógłbym wpaść i wypić sherry wieczorem, w drodze powrotnej? spytał Nevil. — Chodzi o to, że jadę na lunch do mego przysłego teścia, a w niedzielę to jest oczywiście rodzinny rytuał. Trzeba odbyć trochę ćwiczeń w zagnieżdżaniu się.

— Oczywiście, proszę zająrzeć w drodze powrotnej —

powiedziała Marion. — Będziemy zachwycone. Ale po czym poznamy, że to pan? Chodzi oczywiście o bramę. Nalała sherry i podała Robertowi kieliszek.

— Zna pani Morse'a?

— Znam. Ale pan chyba nie zna?

— Dlaczego?

— Ostatnia z ułomności, o które można by pana podejrzewać, to znajomość Morse'a.

— Kiedy miałem czternaście lat, chciałem zostać marynarzem, a w gorączce spowodowanej przez przyływ ambicji nauczyłem się różnych idiotyzmów. Alfabet Morse'a jest jednym z nich. Kiedy przyjadę, wy trąbię pani piękne inicjały. Dwa długie klaksony i trzy krótkie. Muszę zmykać. Myśl o tym, że wieczorem porozmawiamy, podtrzyma mnie na duchu podczas lunchu na wysokościach.

— To Rosemary nie będzie dla ciebie oparciem? — zapytał Robert, którym już zawładnęły najniższe instynkty.

— Chyba nie. W niedzielę Rosemary jest po prostu córką swego ojca podczas rodzinnego zgromadzenia. Fatalnie wypada w tej roli. *Au revoir*, pani Sharpe. Proszę uważać, żeby Robert nie wypił całego sherry.

— A kiedy zdecydował się pan, że nie zostanie marynarzem? — Robert słyszał Marion odprowadzającą Nevila do drzwi.

— Kiedy miałem piętnaście lat. Zamiast tego wybrałem latanie balonem.

— Teoretycznie, prawda?

— No tak, gadałem na wiatr, zamiast latać z wiatrem.

Robert ciekaw był, dlaczego ta rozmowa brzmiała tak przyjaźnie, tak swobodnie, jakby znali się od lat. Dlaczego polubiła takiego lekkoducha jak Nevil?

— A kiedy pan miał już szesnaście lat?

Może nie byłaby taka uradowana, gdyby wiedziała, iloma rzeczami Nevil zdążył się zająć, by je potem porzucić; ona sama znalazła się właśnie na tej liście.

— Czy sherry jest pana zdaniem zbyt wytrawne, panie Blair? — zapytała pani Sharpe.

— Nie, skądże; jest wyśmienite. Czy możliwe, że widać po nim rozgoryczenie? Niech to licho porwie!

Robert ostrożnie skierował wzrok w stronę starszej pani i pomyślał, że wygląda na osobę odrobinę rozbawioną. A widok rozbawionej pani Sharpe nie dawał szczególnych podstaw do radości.

— Myślę, że będzie lepiej, jeżeli pójdę zanim panna Sharpe zablokuje bramę — powiedział. — W przeciwnym razie będzie musiała jeszcze raz blokować ją po moim wyjściu.

— A nie zostanie pan z nami na lunchu? Lunch we Franchise nie jest ceremonią.

Jednak Robert grzecznie wymówił się. Nie lubił tego Roberta Blaira, którym właśnie się stawał. Nieważnego, dzieciennego, nie dorastającego do sytuacji. Powinien wrócić i wraz z ciotką Lin usiąść do stołu, by znów stać się Blairem, ze spółki Blair, Hayward i Bennet, zrównoważonym, tolerancyjnym i żyjącym w pokoju ze swoim światem.

Zanim Robert dotarł do bramy, Nevil zdążył już odjechać wznecając hałas, którego fala zrujnowała niedzielny spokój; Marion zamykała właśnie bramę.

— Nie sądzę, żeby ten środek transportu zyskał poklask biskupa, zwłaszcza, że w ten sposób podróżuje przyszły zięć — powiedziała Marion, spoglądając na ryczący obiekt, który pędził już drogą.

— Poradził sobie z tłumem, ale nie z tłumikiem — powiedział Robert, wciąż w zgryźliwym nastroju.

Marion uśmiechnęła się do niego:

— Chyba pierwszy raz w życiu usłyszałam, jak ktoś na poczekaniu wymyślił kalambur powiedziała. Myślałam, że zostanie pan na lunchu, ale jeżeli nie, to czuję coś w rodzaju ulgi.

— Naprawdę?

— Zrobiłam galaretkę, bitą, która siadła. Jestem bardzo złą kucharką. Z pełnym zaufaniem, w dobrej wierze robię zawsze to, co wypisują w książkach, ale rzadko kiedy się sprawdza. W gruncie rzeczy zamieniłabym się w słup soli ze zdumienia, gdyby przepisy się sprawdziły. Tak więc dla pana

będzie bezpieczniej, jeżeli wyjedzie pan i zasiądzie do ciasta z jabłkami upieczonego przez ciotkę Lin.

Roberta zaś nierozumnie i nagle, ogarnęła chęć by zostać, poprosić o porcję galaretki, która „siadła” i cieszyć się życzliwymi kpinami Marion i jej kuchnią.

— Jutro wieczorem dam znać, jak poszło w Larborough — powiedział rzeczowym tonem. Skoro pozostawał z nią na takiej stopie, która nie pozwala ani rozprawiać o Maupassancie, ani o charakterze kur, musiał ograniczyć rozmowę do rzeczy konkretnych. Ponadto zatelefonuję do inspektora Hallama i zobaczę, czy nie da się przysłać tutaj kogoś z jego ludzi, żeby pokręcił się raz czy dwa razy w ciągu dnia, byleby tu pokazał się mundur, i że tak powiem, zmusił próżniaków do namysłu.

— Pan jest taki uprzejmy, panie Blair — powiedziała Marion. — Nie mam pojęcia, jakby to wszystko wyglądało, gdyby nie to, że można się na panu oprzeć.

No cóż, skoro już nie można być ani młodzieńcem, ani poetą, trzeba być oparciem, kulą. Niemiły przedmiot, wyciągany tylko w ostateczności, ale przydatny, przydatny...

11

W poniedziałek rano o wpół do jedenastej Robert siedział nad filiżanką gorącej, parującej kawy w „Karenie”. Zaczął od „Kareny” z tego powodu, że kiedy w Larborough człowiek myśli o kawie, myśli jednocześnie o „Karenie”, o aromacie ziaren kawowych palonych na dole, w sklepie, i o ich płynnej odmianie czekającej na pięterku zastawionym małymi stolikami. Gdyby zaś sprzykrzyła się kawa, równie dobrze można tu było zjeść coś przyzwoitego.

Robert trzymał w ręce egzemplarz „Ack-Emmy” tak, by zdjęcie dziewczyny mogły zauważyć kręcące się kelnerki Miał niejasną nadzieję, że zainteresowanie, z jakim on sam wpatrywał się w zdjęcie może którąś z nich sprowokować do okrzyku: „To ta dziewczyna, która tu przychodziła co rano”.

Był zdziwiony, kiedy ktoś delikatnie zabrał mu gazetę z ręki; podniósł głowę i zobaczył kelnerkę z miłym uśmiechem na twarzy.

— To „Ack-Emma” z ubiegłego piątku — powiedziała. — Proszę — i zaoferowała mu najświeższe, poranne wydanie pisma.

Podziękował i powiedział, że chociaż bardzo chciałby rzucić okiem na poranną prasę, to również chciałby zatrzymać ten stary, piątkowy egzemplarz. Czy ta dziewczyna, właśnie ta z pierwszej strony piątkowego wydania, nie przyszła tu kiedyś na kawę?

— Nie. Zapamiętałybyśmy, gdyby tak było. Rozmawialiśmy o tej sprawie przez cały piątek. Wyobraża pan sobie, zbić kogoś niemal na śmierć?

— Sądzi pani, że to one ją zbiły?

Spojrzała zaintrygowana.

— Gazeta pisze, że ją zbiły.

— Nie, gazeta pisze, że dziewczyna powiedziała, że ją zbiły.

Kelnerka najwyraźniej nie pojmowała o co chodzi. Oto demokracja, przed którą kłękamy.

— Przecież nie mogliby wydrukować takiej historii, gdyby nie była prawdziwa. Oni głowę za to dają. Może pan jest detektywem?

Po godzinach powiedział Robert.

Ile pan wyciąga, za godzinę?

— Mamie; nawet jeszcze gorzej.

— Tak myślałam. Bo nie macie związku, nie? Na tym świecie dotąd nie będziesz miał tego, co ci się należy, póki nie będziesz miał związku.

—Święta prawda odpowiedział Robert. — Można prosić o rachunek?

— Proszę.

W „Pałace”, największym i najnowocześniejszym z kin, restauracja znajdowała się na piętrze, przy wejściu na balkon; dywany były tak grube, że można było w nich ugrzecznać i przewrócić się, światła zaś tak ściemnione, że każdy ubiór wyglądał jak brudny. Znudzona hurysa o pozłoconych

włosach, w krzywo obręzionej spódniczce, z kęsem gumy do żucia upchniętym pod prawy policzek przyjęła zamówienie nawet nie spojrzawszy na Roberta, a w kwadrans później postawiła przed nim filiżankę wodnistej substancji, starając się — z powodzeniem — nie patrzeć na gościa, ani nawet w jego pobliże. W ciągu tego kwadransa Robert zdołał odkryć, że maniera „w-ogóle-nie-patrz-na-gości” powszechnie obowiązywała w tym lokalu; prawdopodobnie obsługiwały tu osoby, które już w zaprzyszłym roku miały zostać, jak sądziły, gwiazdami filmowymi, wobec czego nie należało po nich oczekiwać zainteresowania tutejszą prowincjonalną klientelą. Zapłacił natychmiast, nie biorąc wodnistej substancji do ust i wyszedł.

W „Castle”, innym wielkim kinie, restauracyjkę otwierano dopiero po południu.

W „Violet” — obicia w kolorze królewskiej purpury zestawiono tu z żółtymi firankami — nikt nigdy nie widział Betty Kane. Robert bez ceregieli wypytał o wszystko.

W kawiarni na piętrze wielkiego sklepu Griffona i Waidrona właśnie panował największy ruch, kelnerka rzuciła Robertowi „proszę nie przeszkadzać”, kierowniczką zaś, przyjrzawszy mu się podejrzliwie i nie całkiem przytomnie, powiedziała: Nigdy nie udzielamy informacji na temat klientów.

W „Old Oak” lokal był niewielki, ciemny i przyjazny — starszawa kelnerka wdała się w rozmowę na temat całej sprawy. Biedactwo — powiedziała. Cóż to dla niej za przeżycie! Do tego taka miła twarzyczka. Prawie dziecko. Biedactwo!

W „Alençon” - ściany kremowe, a pod nimi nieledwie posłania w kolorze zwiędłych róż — podkreślono z całą mocą, że w tym lokalu nikt nigdy nie słyszał o piśmie „Ack-Emma” i prawdopodobnie nie goszczono też klientki, której fotografia ukazała się w tego rodzaju wydawnictwie.

W „Heave Ho” — marynistyczne freski, kelnerki w kloszowych spodniach — goście jednomyślnie wyrazili opinię, że dziewczyna, która daje się podwieźć, powinna spodziewać

się, że do domu będzie wracać na piechotę.

W „Primrose” — stare politurowane stoły, maty z rafii, niepozbierane kelnerki w kwiecistych chałatach — odbyła się dyskusja na temat społecznych implikacji spowodowanych brakiem służby oraz na temat ludzkiej duszy, nieobliczalnej w okresie pokwitania.

W „Tea-Pot” nie było ani stolika, przy którym można by usiąść, ani kelnerki, która miałaby ochotę zainteresować się gościem, jednak ponowne spojrzenie na lokalik upstrzony przez muchy upewniło Roberta, że Betty Kane, mając do wyboru pozostałe restauracyjki, na pewno nie przychodziłaby akurat tutaj.

O wpół do pierwszej Robert na uginających się nogach dobrnął do hallu w „Midland” i tym razem poprosił o spirytualia. O ile wiedział, obszedł w centrum Larborough wszystkie lokaliki, w których można zjeść lunch, i nikt w żadnym z nich nie przypominał sobie dziewczyny. Gorzej, każdy twierdził, że gdyby ta dziewczyna odwiedziła jego lokal, wówczas z pewnością by ją zapamiętano. Kiedy Robert powątpiewał, rozmówcy zwracali mu uwagę, że większa część ich klientów to stali goście, więc goście przypadkowi wyróżniają się, i niemal odruchowo zwraca się na nich uwagę.

Kiedy Albert, mały i okrągły kelner z hotelowego hallu postawił przed Robertem szklaneczkę, Robert spytał, raczej odruchowo niż świadomie:

— Przypuszczam, że nie widziałeś tej dziewczyny, Albercie?

Albert popatrzył na pierwszą stronę „Ack-Emmy” i pokręcił głową.

— Nie, proszę pana. O ile pamiętam, to nie. Chyba jest za młoda, żeby odwiedzać hotelowe halle, przynajmniej w „Midland”.

— Nie wyglądałaby tak młodo w kapeluszu — odezwał się Robert po namyśle.

— Kapelusze... — Albert zamilkł. — Chwileczkę. Kapelusze. — Albert odłożył tacę, wziął do ręki gazetę i przyjrzał się

fotografii. — No tak, jasne, to ta dziewczyna w zielonym kapeluszu!

— To znaczy, że przychodziła na kawę?

— Nie, na herbatę.

— Na herbatę!

— No tak, jasne. To ta dziewczyna. Aż dziwne, że nie zauważyłem, przecież mieliśmy tę gazetę w ubiegły piątek w magazynku i gadaliśmy o tym tu kawałku całymi godzinami. Jasne, to było jakiś czas temu, prawda? Mniej więcej sześć tygodni, co? Chyba tak. Przychodziła wcześniej, tak koło trzeciej, kiedy zaczynaliśmy podawać herbatę.

Oto co robiła. Aż głupio, że na to nie wpadł wcześniej. Rano obchodziła kina, kiedy płaci się mniej, wychodziła koło trzeciej i przychodziła na herbatę, nie na kawę. Ale dlaczego do „Midland”, gdzie herbata była rekwizytem hotelowym, pozbawionym smaku, za to kosztownym, chociaż gdzie indziej mogłaby za te same pieniądze wytarzać się w ciastkach?

Zwróciłem na nią uwagę, bo przychodziła sama. Za pierwszym razem myślałem, że czeka na kogoś z rodziny. Wyglądała na dziecko tego rodzaju. Wie pan, ładne, czyste ubranie, żadnych fanaberii.

— A pamiętasz, co miała na sobie?

— Tak. Zawsze to samo. Zielony kapelusz, dobrana w kolorze sukienka, a na niej jasnoszary żakiet. Nigdy z nikim się nie spotykała. I wreszcie pewnego dnia poderwała faceta przy sąsiednim stoliku. Skonać można było.

— Chodzi ci o to, że poderwał ją mężczyzna?

— Nie uwierz pan! Facet nie zdążył o niej dobrze pomyśleć, a już przy niej siedział. Mówię panu, nie wyglądała na dziewczynę tego rodzaju. Powiedziałby pan, proszę pana, że czeka sobie, aż pojawi się ciotka czy matka i powie „przepraszam, że musiałaś na mnie tak długo czekać, kochanie”. Żaden mężczyzna nie mógłby się dopatrzeć okazji. O nie, miałyby do czynienia z dzieckiem. A potem wykręciła, za przeproszeniem, taki dopracowany numer, jakby nic innego nie robiła przez całe życie. Na miłość boską, pomyśleć, że nie rozpoznałem, bo jest bez kapelusza! — Albert pełen zdumienia

wpatrywał się w zdjęcie.

— A jaki był ten mężczyzna? Znałeś go?

— Nie, to nie był stały klient. Brunet, raczej młody; powiedziałbym, że gość z biznesu. Pamiętam trochę byłem zdziwiony, że ona ma taki gust, bo nie wyglądało, że facet jest w tych rzeczach za bardzo oblatany, tak to sobie przypominam.

— Teraz już nie poznałbyś go?

— Mógłbym poznać, proszę pana, mógłbym. Ale bym nie przysiągł. A czy... mm... chodzi o zeznanie pod przysięgą?

Robert znał Alberta od prawie dwudziestu lat i zawsze mógł polegać na dyskrecji kelnera.

— Znosi się na to, Albercie — powiedział. — Te kobiety są moimi klientkami. — Postukał w fotografię Franchise, Albert zaś cicho gwizdnął.

— Ciężka sprawa, panie Blair.

— Masz rację; ciężka sprawa. Ale przede wszystkim dla nich. Dla nich jest bardzo, ale to bardzo ciężka. Pewnego pięknego poranka zjawia się dziewczyna w asyście policji, której to policji opowiedziała fantastyczną bajdę. Do tej pory żadna z dwóch kobiet nie widziała jej na oczy. Ludzie z policji są bardzo dyskretni, uznają w końcu, że brak wystarczających dowodów, by wytoczyć sprawę. A potem dowiaduje się o wszystkim „Ack-Emma”, robi z tego sensację i historyjka staje się własnością całej Wielkiej Brytanii. Franchise to rzecz jasna domostwo całkowicie dostępne, otwarte. Policji brak ludzi, żeby ustanowić stałą ochronę, więc możesz sobie teraz wyobrazić życie tych dwóch kobiet. Mój młody kuzyn, który odwiedził je wczoraj wieczorem, jeszcze przed kolacją, opowiadał, że po południu zjechały z Larborough całe stada aut, ludzie stawali na dachach, wspinali się na mur, żeby gapić się, albo fotografować. Nevil dostał się do środka, ponieważ przyjechał w tej samej chwili, w której zjawił się policjant z wieczornego patrolu, żeby po prostu spojrzeć; ale jak tylko odjechali znów zaroilo się od aut. Telefon po prostu urywał się, póki te panie nie poprosiły w centrali, żeby nie łączyć żadnych rozmów.

– To policja odłożyła już sprawę na dobre?

– Nie. Ale oni niczego nie zrobią, żeby nam pomóc; nie mogą. Tym, czego szukają, jest rozstrzygający dowód, który wykaże, że zeznanie tej dziewczyny to prawda.

– Ale nie znosi się na to, nie uważa pan? Że znajdą taki dowód?

– Owszem, mało prawdopodobne. Ale, zobacz w jakiej jesteśmy pułapce. Jeżeli nie zdołamy wywieźć się, gdzie dziewczyna naprawdę spędziła tygodnie, które rzekomo spędziła we Franchise, to w jakiej sytuacji znajdą się panie Sharpe? W takiej, że przez cały czas będą uważane za winne przestępstwa, o które nawet nie zostały oskarżone przed sądem.

– No tak, jeżeli to ta dziewczyna w zielonym kapeluszu, a teraz jestem pewien, że to ona, to uważam, proszę pana, że należy do osób, które potrafią się zdrowo wypuścić. Śmiała sztuka, jak na dziewczynę w jej wieku. Z niewinną minką.

„Z niewinną minką” - tak o małej Betty Kane powiedział właściciel sklepiku tytoniowego. „Musiała się zdrowo wypuścić” to z kolei były słowa Stanley’a o twarzy ze zdjęcia; twarzy przypominającej mu „taką jedną, z którą kręcił w Egipcie”.

Oceniając dziewczynę – skromną, w „porządnych” rzeczach na sobie, która dzień w dzień przychodziła posiedzieć samotnie w hotelowym hallu – mały kelner użył tych samych zdań; a widział już i wiedział niejedno.

– Może po prostu chodziło o dziecinną chętkę grania „damy” – tę myśl podpowiedziało lepsze „ja” Roberta, ale zdrowy rozsądek natychmiast ją odrzucił. Damę mogłaby sobie grać w „Alençon”, a przy okazji zjeść coś dobrego i pogapić się na eleganckie stroje.

Poszedł na lunch. Później przez większą część popołudnia usiłował dodzwonić się do pani Wynn. Pani Tilsit nie miała telefonu, poza tym Robert nie miał ochoty znów wdawać się z nią w rozmowę, jeżeli nie musiał; kiedy starania spęłży na niczym, przypomniał sobie, że Scotland Yard niemal na pewno, i to z tą ich dokładnością, zebrał informacje o ubraniu,

które dziewczyna miała na sobie w chwili zaginięcia. I rzeczywiście, nie upłynęło siedem minut, a Robert miał opis. Zielony filcowy kapelusz, wełniana, zielona sukienka, sukienny jasnoszary żakiet z dużymi szarymi guzikami, szarobrazowe pończochy ze sztucznego jedwabiu i czarne czółenka na półślupku.

No więc doczekał się w końcu, miał to, miał oparcie, punkt, od którego można było zacząć. Przepęlniała go radość. Na odchodnym, jeszcze w hotelowej łoży napisał kilka słów do Kevina Macdermotta: zawiadamiał, że młoda kobieta z Aylesbury, Betty Kane, już nie jest taką obiecującą klientką, jaką była jeszcze w piątek, no i dawał do zrozumienia między wierszami – że spółka Blair, Hayward i Bennet, kiedy trzeba, nie zasypia gruszek w popiele.

– Czy kiedyś pokazała się jeszcze? – spytał Alberta, który odkurzał hall. To znaczy potem, jak „poderwała faceta”?

– Potem już jej nie widziałem, proszę pana. Ani razu.

Domniemany Iks przestał być domniemany. Stał się prawdziwym Iksem. On sam, Robert, mógł dziś wieczorem wrócić do Franchise w poczuciu tryumfu. To on wysunął przypuszczenie, a przypuszczenie naprowadziło na fakt, i to on, Robert, był tym, który odnalazł fakt i udowodnił trafność przypuszczenia. Szkoda, rzecz jasna, że listy, które otrzymywał Scotland Yard zawierały, jak dotychczas, tylko połajanki z powodu „łagodności” Yardu wobec „bogaczy”, a nie jakąkolwiek wiadomość, że gdzieś widziano Betty Kane. Przygnębiało, że w gruncie rzeczy każdy, z kim Robert rozmawiał tego ranka, wierzył bez zastrzeżeń w opowieść dziewczyny; i oczywiście dziwił się, a potem wpadał w zakłopotanie zetknąwszy się z innym zapatrywaniem na sprawę. „Tak pisali w gazecie”. Były to jednak drobiazgi, w porównaniu z satysfakcją, którą sprawiło znalezienie punktu zaczepienia: wydobycie na jaw Iksa. Robert nie przypuszczał, że los mógłby okazać się tak okrutny i że Betty Kane pożegnała się ze swoim znajomym na schodach hotelu „Midland”, a potem nigdy już nie widziała go na oczy. Musiał, po prostu musiał istnieć dalszy ciąg sceny, która rozegrała się

w hallu. Historia późniejszych tygodni aż prosiła się o ten dalszy ciąg.

Ale w jaki sposób dotrzeć do młodego bruneta, businessmana, który w hallu „Midland” sześć tygodni temu pił herbatę? Klientelę „Midland” stanowili młodzi bruneci, żyjący z interesów, i o ile Blair miał coś do powiedzenia na ten temat, wszyscy byli do siebie podobni jak dwie krople wody. Obawiał się, że dotarł już do sytuacji, w której należy się wycofać samemu, a sprawę oddać w ręce zawodowego łowcy głów, Robert nie miał ani zdjęcia. Iksa, ani wiedzy o charakterze Iksa, czy jego zwyczajach. Zanosilo się tym razem na dłubaninę, złożoną z cząstkowych, drobnych dochodzeń, na robotę dla fachowca. Wszystko, co Robert mógł począć w tej chwili, to, jak sądził, zaopatrzyć się w listę gości z czasu, o który chodziło.

Poszedł wobec Lego do kierownika, który okazał radość i najwyższe zrozumienie dla tej dyskretnej misji, złożył wyrazy szczerzej sympatii dla znieważonych dam z Franchise i z krzepiącym cynizmem odniósł się do młodych osób „dobrze” ubranych, o czystych twarzach i niewinnych minkach. Kierownik wysłał pomocnika, by sporządził wypis z wielkiej księgi gości, a tymczasem zadbał o umilenie czasu, sięgając po *sirup* z własnego bufetu. Robert nigdy nie wielbił francuskiej słabostki, polegającej na pijaniu w najdziwniejszych godzinach, w maleńkich porcyjkach, trunków, których tożsamości nie sposób ustalić; jednak uprzejmie sączył płyn, a potem listę, którą przyniósł pomocnik z namaszczeniem schował do kieszeni, jakby chodziło o paszport. Jej rzeczywista wartość prawdopodobnie równała się zeru, ale jej posiadanie sprawiło Robertowi przyjemność. Gdyby trzeba było oddać sprawę w ręce zawodowca, to byłoby od czego zacząć. Najpewniej Iks nigdy nie zatrzymał się w „Midland”; może któregoś dnia wpadł na herbatę i to wszystko. Z drugiej strony, jego nazwisko mogło znajdować się na kartce, którą Robert miał w kieszeni, a spis był przerażająco długi.

Jadąc do domu uznał, że nie powinien zatrzymywać się we Franchise. Byłoby to nie w porządku wobec Marion, wyciągać

ją z domu do bramy tylko po to, by przekazać nowiny, którymi równie dobrze można podzielić się przez telefon. Przecież mógł powiedzieć kim jest, że telefonuje w sprawie oficjalnej i centrala powinna go połączyć, a panie Sharpe zapewne odbiorą telefon. Być może do jutra opadnie pierwsza fala zainteresowania domem i będzie można bez obaw odblokować bramę. Chociaż wątpił. Dzisiejsza „Ack-Emma” nie miała na celu ułagodzenia gawiedzi. Fakt, tym razem nie było krzyczących nagłówków na pierwszej stronie, sprawa kobiet z Franchise przeniosła się do działu listów. Jednak listy, które redakcja wybrała do druku — a dwie trzecie dotyczyły właśnie „sprawy Franchise” — nie przypominały lania oliwy na wzburzone fale. Raczej było to dolewanie oliwy do ognia, który i tak już nieźle buzował.

Wydostając się z zatłoczonych ulic Larborough Robert mimo woli przypominał sobie te głupie zdania i jeszcze raz dziwił złości, jaką nieznanne przecież kobiety wzbudziły w autorach listów. Na papier wylewała się wściekłość i nienawiść; niepohamowana złość była osnową nieskładnych przeważnie zdań. Był to zdumiewający pokaz. A jedna z osobliwości polegała na tym, że najgorętsze życzenie ludzi zgorszonych, tak żarliwie protestujących przeciw przemocy, brzmiało: zachłostać kobiety do żywego mięsa. Ci zaś, którzy nie domagali się chłosty, domagali się zreformowania policji. Jakiś autor proponował utworzenie funduszu na rzecz młodziutkiej ofiary nieudolności i stronniczości policji. Ktoś inny sugerował, że wszyscy ludzie dobrej woli tak długo powinni pisać do swoich posłów, by życie deputowanych stało się koszmarem i by zostały wreszcie podjęte kroki przeciwko nadużywaniu sprawiedliwości. Ktoś inny dopytywał się, czy już zauważono podobieństwo Betty Kane do Św. Bernadetty.

Jeżeli dział listów „Ack-Emmy” mógł być miarodajny, to wszystko wskazywało na to, że rodzi się kult Betty Kane. Robert miał nadzieję, że bezpośrednim następstwem nie będzie samosąd na mieszkankach Franchise.

W miarę zbliżania się do pechowego domostwa rósł w nim niepokój; nie wiedział, czy nieproszeni turyści nie dopiszą

również w poniedziałek. Wieczór był przepiękny, nisko stojące słońce rzucało wielkie, złote pasy światła na wiosenne pola; był to wieczór, który kusił do porzucenia Larborough na rzecz prowincjonalnej ospałości wokół Milford; i byłyby to prawdziwy cud, gdyby kolejne publikacje „Ack-Emmy” nie uczyniły z Franchise Mekki dla wieczornego pielgrzymowania. Kiedy jednak w zasięgu wzroku znalazły się okolice Franchise, Robert przekonał się, że droga opustoszała na tym odcinku. Kiedy zaś podjechał bliżej, przekonał się dlaczego. Na tle bramy Franchise, masywnej, nieporuszonej, czysto zarysowanej w promieniach zachodzącego słońca, widniała srebrno-granatowa sylwetka policjanta.

Robert zwolnił, by wymienić pozdrowienia; był uradowany, że Hallam wykazał szczodrość i jednak sięgnął do szczupłych sił. Pozdrowienia zamarły mu jednak na ustach.

Przez całą długość ceglanego muru rozciągał się napis, złożony z liter niemal dwumetrowej wysokości. Wielkie, białe litery krzyczały: FASZYSTKI! Po drugiej stronie bramy można było przeczytać to samo: FASZYSTKI!

— Proszę przejeżdżać — stróż prawa zbliżył się, a w niespiesznie wypowiedzianych słowach zabrzmiała przestroga.

— Proszę się nie zatrzymywać.

Robert spokojnie wysiadł.

— Och, pan Blair. Przepraszam. Nie poznałem pana.

— Czy to wapno?

— Nie, proszę pana. Farba olejna, pierwszej klasy.

— Boże drogi!

— Pewni ludzie nigdy z tego nie wyrastają.

— Z czego?

— Z malowania po ścianach. Jedno jest pewne: mogli napisać jeszcze gorzej.

— Wypisali najgorszą obelgę jaką znali — powiedział kwaśno Robert. — Nie udało się złapać tych ananasów?

— Nie, proszę pana. Przyjechałem właśnie na wieczorny patrol, żeby usunąć gapiów, były ich całe tuziny, i już to zastałem, w chwili przyjazdu. Robota dwóch mężczyzn, którzy przyjechali samochodem; jeżeli wierzyć zeznaniom.

A czy panie Sharpe wiedzą?

— Tak, musiałem iść do nich, do telefonu. Teraz używamy kodu, to znaczy policja i one. Kiedy chcę z nimi rozmawiać, wiązę chusteczkę na końcu pałki i powiewam nad bramą. Chce pan wejść do środka?

— Nie. Chyba nie. Wystarczy telefon. Poproszę na poczcie o połączenie. Nie ma sensu nikogo wyciągać do bramy. Jeżeli to dłużej potrwa, trzeba będzie dorobić klucze i wtedy mógłbym mieć jeden z nich.

— Wygląda na to, że potrwa, proszę pana. Czy widział pan dzisiejszy numer „Ack-Emmy”?

— Widziałem.

— Brrr! — oświadczył przedstawiciel władzy, tracąc równowagę ducha na wspomnienie gazety. — Gdyby im wierzyć, to policja jest bandą, która do bogaczy wyciąga ręce po pieniądze. To prawdziwy cud, że tak się nie dzieje, jeżeli już mowa o pieniądzach. Lepiej by to wypadło, gdyby domagali się wyższych płac dla policji, zamiast obrzucać nas oszczerstwami ze wszystkich stron.

— Ale znalazł się pan w dobrym towarzystwie, jeżeli może to pana pocieszyć — powiedział Robert. — Nie ma rzeczy wartościowej, godnej szacunku, ustabilizowanej, na którą nie rzucono by oszczerstwa prędzej czy później. Przyślę tu kogoś jeszcze wieczorem, albo z samego rana w związku z tym... tym... z tą nieprzyzwoitością. Czy pan zostaje?

— Kiedy dzwoniłem do sierżanta, powiedział, że mam zostać do zmroku.

— A na noc nie ma nikogo?

— Nie, proszę pana. Nie ma wolnych ludzi. Poza tym, kiedy się ściemni, wszystko będzie w porządku. Ludzie rozejdą się do domów, zwłaszcza ci z Larborough. Nie lubią otwartej przestrzeni po ciemku.

Robert przypomniał sobie, jak cicho jest w tym samotnym domu i poczuł wątpliwości. Dwie samotne kobiety, w wielkim milczącym domostwie, a tuż za murem nienawiść i przemoc; nie była to szczególnie krzepiąca perspektywa. Bramę podparły kłoda, ale jeśli ludzie mogli wciągnąć się na mur po

to, by siedzieć i wykrzykiwać wyzwiska, równie dobrze mogli po ciemku przedostać się na drugą stronę.

— Proszę się nie przejmować — powiedział policjant, czytając z twarzy Roberta. -- Nic im się nie stanie. W końcu to Anglia.

— „Ack-Emma” to też jest Anglia — zauważył Robert. Jednak wsiadł do samochodu. Rzeczywiście, to była mimo wszystko Anglia, wiejska Anglia, sławna z tego, że żyje swoimi sprawami. To nie ludzie ze wsi, z angielskiej prowincji, wymalowali ten napis na murze „FASZYSCI!”. Należy wątpić, czy w ogóle słyszeli ten wyraz. Wieś, prowincja, jeżeli chciała znieważać, używała znacznie starszych, saksońskich jeszcze słów.

Policja miała rację, to fakt; kiedy tylko zapadł zmrok, wszyscy rozeszli się do domów.

12

Robert skręcił w Sin Lane, wjechał do garażu i zatrzymał wóz. Stanley stał przed drzwiami kantorka i w pocie czoła ścierał kombinezon. Popatrzył badawczo na Roberta.

— Wszystko poszło, co? — ocenił.

— To nie z powodu wyścigów — powiedział Robert. — Z powodu natury ludzkiej.

— Zaczyna pan przejmować się naturą ludzką i na nic nie ma pan czasu. Czy pan próbuje kogoś nawrócić?

— Nie. Próbuję kogoś znaleźć; kogoś, kto zmyje trochę farby z muru.

— O! Coś do roboty! — głos Stanley’ a sugerował, że w tych czasach już nawet zamiar znalezienia kogoś chętnego do pracy dowodzi optymizmu graniczącego z szaleństwem.

Próbowałem znaleźć kogoś, kto zmyje napis na murze we Franchise, ale nagle wszyscy okazali się bardzo zajęci.

Stanley na chwilę zaprzestał walki z kombinezonem.

— Napis! — powiedział. — A co za napis? — Bill, który z kantorka przysłuchiwał się tej konwersacji, wysunął teraz

głowę zza drzwi.

Robert powiedział. — I wymalowali to, jak zapewnił mnie policjant, pierwszorzędną białą farbą.

Bill gwizdnął. Stanley milczał; kombinezon zdołał zsunąć do pasa, ale ubiór pętał mu teraz nogi.

— A z kim pan rozmawiał? — spytał Bill.

Robert wyliczył i dodał: — Teraz, wieczorem nikt nie może zrobić, a jutro z samego rana na wszystkich czekają bardzo ważne zajęcia.

— Nie do wiary — powiedział Bill. — Nie powie mi pan, że wszyscy wystraszyli się? Czego, represji?

— To chyba nie tak, trzeba być sprawiedliwym. Nikt nie powie tego wprost, zwłaszcza mnie, ale oni uważają, jak myślę, że na takie potraktowanie panie z Franchise po prostu zasługują. — Na chwilę zapadła cisza.

Królewski Korpus Łączności — powiedział Stanley leniwie podciągając kombinezon i wsuwając się na nowo w jego górną część — zafundował mi darmową wycieczkę do Włoch. Trwała prawie rok. Jeżeli chodzi o malarię, makaroniarzy, Jankesów za kierownicą, omyłki partyzantów, jak i parę podobnych drobiazgów, to wyszedłem z tego cało. Nabawiłem się jednak fobii. Nabrałem wstrętu do napisów na murach.

— Czym to zmyjemy? — spytał Bill.

— A co byłby wart nasz nowoczesny warsztat, najlepiej wyposażony w całym Milford, gdybyśmy nie potrafili zmyć trochę farby? — powiedział Stanley i zaciągnął zamek błyskawiczny.

— Naprawdę, spróbujecie coś z tym zrobić? - Robert był przyjemnie zaskoczony.

Na twarzy Billa nieśpiesznie rozgościł się zaraźliwy uśmiech.

— Królewski Korpus Łączności, Służby Inżynieryjne Armii i para pędzli. Ma pan jeszcze pytania?

— Niech was Pan Bóg błogosławi — powiedział Robert. — Dzisiaj przez cały wieczór myślałem tylko o jednym: żeby ten napis do rana zniknął. Pomogę. Jadę z wami.

— Chyba nie w tym garniturze z Savile Row — powiedział

Stanley. — A my nie mamy zapasowego kombinezonu...

— Wezmę z domu jakieś stare łachy i przyjadę za wami.

— Niech pan posłucha — cierpliwie tłumaczył Stanley. — Do takiej drobnostki nie trzeba pomocy. A gdyby nawet, to wzięlibyśmy Harry'ego. — Harry był pomocnikiem. — Pan jeszcze nic nie jadł, a my już jesteśmy po; słyszałem też, że panna Bennet nie lubi, kiedy marnują się jej pierwszorzędne dania. Chyba nie ma pan nic przeciw temu, że mur, być może zostanie zapaćkany. W końcu my to my: dwaj życzliwie nastawieni faceci z garażu, żadni tam dekoratorzy.

Kiedy Robert szedł w dół High Street, w stronę domu, sklepy były już zamknięte; patrzył na miasto jak ktoś obcy podczas spaceru w niedzielny wieczór. Dzień spędzony w Larborough bardzo oddalił go od Milford. Miał wrażenie, że nie był tu od lat. Pod numerem 10 czekały na niego wolność od trosk i spokój, kojący, jakże inny od głuchej ciszy we Franchise. Z kuchni dochodził delikatny zapach pieczonych jabłek. Ścianę pokoju rozświetlały rozbłyski ognia w kominku; widział to przez półotwarte drzwi. Nad Robertem zamknęła się łagodna fala ciepła, bezpieczeństwa, wygody.

Kiedy podniósł słuchawkę, by zadzwonić do Marion ogarnęło go poczucie winy. Był szczęśliwym posiadaczem spokoju, ażyl czekał na niego każdego dnia.

Och, to pan, jak to dobrze! zawołała Marion, kiedy Robertowi udało się w końcu przekonać telefonistkę, że dzwoni do Franchise w dobrych zamiarach; ciepło jej głosu zaskoczyło go (myślał w tym momencie akurat o białej farbie), chwyciło za serce i na chwilę zapało dech. — Nie wiedziałam, jak zdołamy skontaktować się z panem, ale mogłam się przecież domyśleć, że pan poradzi sobie. Pewnie powiedział pan, że oto dzwoni Robert Blair i wysoki urząd pocztowy natychmiast pana połączył

Jakie to do niej podobne, pomyślał. Niekłamana wdzięczność tego „mogłam się przecież domyśleć, że pan sobie poradzi”, a zaraz potem ta odrobina rozbawienia, w następnym zdaniu.

— Mam nadzieję, że widział pan już ozdoby na naszym

murze?

Robert powiedział, że tak, owszem, ale był ostatnim oglądającym; tego już nikt nie zobaczy, ponieważ napis zniknie przed wschodem słońca.

— Do jutra!

— Dwaj ludzie, właściciele garażu, gdzie trzymam wóz, postanowili dziś w nocy zamalować napisy.

— Ale... Czy siedmiu krasnoludków, z siedmioma zaczarowanymi ścierkami zdoła...

— Nie wiem. Jeżeli *Stanley* i Bill podjęli się, to zmyją. Wywodzą się ze szkoły, w której frustracja jest nieznaną.

— Co to za szkoła?

— Armia brytyjska. Mam dla pani więcej dobrych nowin. Ustaliłem, że Iks naprawdę istnieje. Pewnego pięknego dnia piła z nim herbatę. Poderwała go w hotelu „Midland”, w hallu.

— Poderwała? Przecież to dziecko... No tak, ale te zeznania... więc wszystko jest możliwe, fakt. Jak pan na to wpadł?

Robert opowiedział. Streścił kawiarnianą odyseję, a na koniec zapytał: Miałycie panie trudny dzień, prawda?

Czuję się cała brudna. Jeszcze gorsze od tych gapiów, od tego muru, okazały się *listy*. Listonosz *od* dał je na policję, po prostu, żeby to mieli. Nic za często się zdarza, żeby można było zarzucić policji gromadzenie nieprzyzwoitych tekstów.

— No tak. To musiało być okropne. Można się było, niestety, spodziewać.

— Dostajemy tak niewiele listów, że postanowiłyśmy palić pocztę bez otwierania, chyba że zobaczymy znajomy charakter pisma. Wobec tego proszę nie używać maszyny, kiedy zechce pan do nas pisać.

— A czy pani zna mój charakter pisma?

— Oczywiście. Wysłał pan kiedyś wiadomość. Tę kartkę, którą przywiózł Nevil. Ma pan ładne pismo.

— A czy Nevil dziś był?

— Nie, ale jeden z listów był do niego. Zresztą, to nie list.

— Dokument?

— Nie. Wiersz.

— Zrozumiała pani coś z niego?

— Nie, ale ładnie brzmi.

— To samo można powiedzieć o dzwonku rowerowym.

Zdawało mu się, że słyszy cichy śmiech.

— To miło dostać wiersz, na cześć czyichś brwi — powiedziała. — Ale jeszcze milej mieć kogoś do zmycia muru. Bardzo za to dziękuję, panu i panom Billowi oraz Stanleyowi, nie wiem jak się nazywają. Gdyby pan chciał być jeszcze taki miły, może przywiózłby pan coś do jedzenia? Lub przysłał?

— Coś do jedzenia! — Robert przeraził się; nie pomyślał o tym wcześniej, tak to jest, kiedy ciotka Lin podsuwa człowiekowi wszystko pod nos, dobrze, że nie karmi łyżeczką, można zupełnie stracić wyobraźnię. — Ależ tak, oczywiście! Zapomniałem, że nie możecie panie wychodzić na zakupy.

— Nie tylko to. Furgon ze sklepu, który zajeżdża w poniedziałki, dzisiaj nie przyjechał. Lub może przyjeźdź!

— dodała pośpiesznie ale nie zechciał ściągnąć na siebie naszej uwagi. Tak czy owak, byłybyśmy wdzięczne za parę drobiazgów. Ma pan pod ręką ołówek?

Marion wyliczyła sprawunki, a potem zapytała:

— Nie widziałyśmy wczorajszej „Ack-Emmy”. Było coś o nas?

— Listy od czytelników, nic więcej.

— Wszystkie przeciw, mam nadzieję?

— Niestety, tak. Jutro przywiozę egzemplarz razem ze sprawunkami i sama pani zobaczy.

— Chyba zabieramy panu mnóstwo czasu.

— Jak o mnie chodzi — powiedział Robert — to zaczyna być osobista sprawa.

— Osobista? — w głosie Marion zabrzmiała niepewność.

— Zdyskredytować Betty Kane, oto moja życiowa ambicja.

— Rozumiem — w jej głosie słyhać było teraz nutę ulgi, ale jednocześnie — czy to możliwe? — rozczarowanie. — Świetnie, będziemy jutro na pana czekać.

Jednak zobaczyli się znacznie wcześniej.

Robert położył się wcześniej, lecz nie spał, obmyślał rozmowę, którą przez telefon chciał odbyć z Kevinem

Macdermottem: rozważał rozmaite sposoby rozgryzienia sprawy Iksa; zastanawiał się, czy Marion już śpi w tym starym milczącym domu, czy może czuwa i wsłuchuje się w nocną ciszę.

Okna sypialni wychodziły na ulicę i mniej więcej około północy Robert usłyszał, jak zatrzymuje się samochód, a potem przez otwarte okno dobiegło go nawoływanie Billa, ostrożne, niewiele głośniejsze od szeptu.

— Panie Blair! Panie Blair!

Robert dopadł okna, zanim Bill zawołał po raz drugi.

— Chwała Bogu szepnął Bill. — Już się bałem, że to świeci się u panny Bennet.

— Nie, jej sypialnia wychodzi na drugą stronę. Co się stało?

— Kłopoty we Franchise. Muszę zajechać na policję, bo ktoś przeciął druty. Pomyślałem, że pewnie chciałby pan, żeby dać znać, więc...

— Jakie kłopoty?

— Chuligani. Wpadnę po pana, jak będę wracał, za jakieś cztery minuty.

— Stanley został? — spytał Robert, a z wozu jeszcze raz wychyliła się zwalista postać Billa.

— Tak. Ma zabandażowaną głowę. Zaraz wracam. — Wóz pomknął przez ciemną i cichą High Street.

Zanim Robert zdążył się ubrać pod oknem coś przemknęło, dobiegł delikatny odgłos „szszszszsz”; najwyraźniej policja już ruszyła w drogę. Bez wycia syren, bez ryku silnika, nie czyniąc więcej hałasu niż letni wiatr wśród liści stróże prawa podążali czynić swą powinność. Ostrożnie, by nie budzić ciotki Lin. Robert otworzył wejściowe drzwi (nie był też bagatelą lęk przed zbudzeniem Christiny). W samochodzie przy chodniku czekał już Bill.

— Teraz opowiadaj — odezwał się Robert, kiedy ruszyli.

— No więc poświeciliśmy sobie reflektorami samochodu i zrobiliśmy swoje, może nie całkiem profesjonalnie, fakt, ale w sumie jest już dużo lepiej, no i potem pogasiliśmy te reflektory, zaczęliśmy pomału pakować graty. Tak na luzie, nie było po co się śpieszyć, przyjemna noc. Palimy papierosy i

właśnie myślimy, żeby się zbierać, kiedy usłyszeliśmy brzęk tłuczonych szyb, od strony domu. Od naszej strony nikt się nie przedostał, przynajmniej kiedy tam byliśmy, więc pewnie albo z boku, albo z tyłu. Stan sięgnął do samochodu i wyszukał latarkę, swoją, moja leżała na siedzeniu, używaliśmy jej wcześniej, i mówi tak: „ty obejdiesz z tej strony, ja z drugiej, weźmiemy ich w dwa ognie”.

— I co, udało się obejść?

— To trwało i trwało. Tam jest żywopłot, dochodzi do samego muru. Przedzierać się przez niego w normalnym ubraniu to by pewnie nie była przyjemność, ale w kombinezonie, wiadomo, byle zaprzeć się, to jakoś pójdzie. Z tym, że ze Stanem nie było problemu, jest szczupły. A jak o mnie chodzi, to kiepsko, lepiej by było naprzec na ten żywopłot i zwalić go, no nic, w każdym razie przeszliśmy, każdy po swojej stronie, potem przy narożniku muru znów przez żywopłot, i z tyłu, w pół drogi, spotkaliśmy się nie zobaczywszy żywej duszy. A potem znowu słyszymy tłuczenie szkła. Zrozumieliśmy, że ci ludzie po prostu urządzili sobie zabawę. Stan powiada: „Podsadź mnie, a potem podam ci rękę”. No, może by ręka nie wystarczyła, ale te pola, które dochodzą do muru z tyłu, leżą wyżej, tak naprawdę to przecięto je chyba tym murem, więc przeszliśmy łatwo. Stanley spytał, czy prócz latarki coś mam, czym można uderzyć. Miałem płaski klucz. Stanley na to: „Daj sobie spokój z tym cholernym kluczem, masz pięść jak bochen, będzie lepsza”.

— A on?

— Liczył na stary, dobry chwyt z rugby. Stan był niezłym bocznym. No więc poszliśmy po ciemku w stronę brzęku tych szyb. Tak to się wydawało, że zrobili sobie przerwę na rundkę naokoło domu. I nakryliśmy ich koło rogu, już znowu od frontowej strony, i zapaliliśmy latarki. Chyba ich było siedmiu. Więcej niż myśleliśmy, dużo więcej. Zaraz zgasiłem latarki, nim zdążyli zobaczyć, że jest nas dwóch i capnęliśmy najbliższego. Stan krzyczy: „Brać tamtego, sierżancie!”; wpierw pomyślałem, że ze starego nawyku, ale teraz rozumiem, że blefował, chciał, żeby nas wzięli za

policjantów. W każdym razie jacyś zwiali, bo chociaż potem przyszło do szamotania, to już nie było ich siedmiu, na pewno. A jeszcze później zrobiło się cicho, całkiem nagle — narobiliśmy przecież mnóstwo hałasu i pokapowałem, że pozwoliliśmy im uciec. Stan odezwał się skądś z dołu, z ziemi: „Bill, łap któregokolwiek, zanim przeskoczą przez mur”. Pobieglęm za nimi, poświeciłem. Wciągali na górę ostatniego. Złapałem go za nogi i uwiesiłem się, ale wierzgał jak muł, ja miałem w ręce tę latarkę, wywinął mi się i zanim zdążyłem go złapać na nowo, już był na górze. Wykończyło mnie to, bo od wewnętrznej strony mur jest chyba jeszcze wyższy niż przy bramie. Wróciłem po Stana. Siedział wciąż na ziemi. Ktoś porządnie przyłożył mu w głowę, Stan twierdzi, że to była butelka. W każdym razie bardzo marnie wyglądał. A wtedy wyszła na próg domu panna Sharpe i zapytała, czy ktoś jest poszkodowany? Czy komuś coś się stało? Widziała nas w świetle latarek. Zabraliśmy więc Stana do środka, była tam starsza pani, wszystkie światła pozapalane, podszedłem do telefonu, ale panna Sharpe powiedziała: „To na nic. Jest głuchy. Próbowaliśmy wzywać policję, kiedy się wdarli”. Więc powiedziałem, że sam pojedę i sprowadzę policjantów. Powiedziałem też, że dobrze by było i pana sprowadzić. Ale panna Sharpe powiedziała, że nie, że miał pan bardzo ciężki dzień i że nie powinienem panu przeszkadzać. Ja jednak uważałem, że powinien pan przy tym być.

— Bardzo słusznie, Bill. Tak jest.

Kiedy nadjechali, brama była szeroko otwarta. Przed wejściem stał policyjny samochód. Światło paliło się w większości pomieszczeń od frontu. W zdemolowanych oknach firanki poruszały się leniwie w rytm podmuchów nocnego, letniego wiatru. W salonie, który paniom Sharpe najwyraźniej służył za pokój dzienny, Marion opatrzyła Stanley’owi ranę nad okiem; teraz sierżant policji notował, a jego pomocnik rozkładał znalezione dowody. Składały się przeważnie z półceglówek, butelek oraz z zapisanych kawałków papieru.

— Bill, bardzo prosiłam, żeby pan tego nie robił

— powiedziała Marion na widok Roberta.

Robert zauważył, jak umiejętnie zajęła się raną Stanley'a; kobieta, która nie chciała się zniżyć do gotowania. Przywitał się z sierzantem i nachylił nad przedmiotami. Była to spora kolekcja pocisków, ale wraz z nimi znaleziono tylko cztery kartki, które Robert uważnie przeczytał: „Wynocha!”, „Wynocha, albo was załatwimy!”, „Kurwy zamorskie!” oraz „To tylko początek!”

— Chyba zebraliśmy wszystko — powiedział sierzant.

— Teraz w ogrodzie obejrzymy odciski stóp, ewentualnie jakieś inne ślady, jeżeli się znajdują. — Poprosił Billa i Stanley'a, żeby pokazali spody butów, wprawnym okiem zawodowca przyjrzał się obcasom, zelówkom, potem wyszedł do ogrodu z pomocnikiem, a z parującym dzbankiem i filiżankami wkroczyła pani Sharpe.

— O, pan Blair — powiedziała. — Przyzna pan, że wciąż dostarczamy panu mocnych wrażeń, prawda?

Była całkiem ubrana — w przeciwieństwie do Marion, która wyglądała bardziej zwyczajnie, chociaż sfatygowany szlafrok upodabniał ją do Joanny d'Arc — najwyraźniej nieporuszona ani procedurą, ani tym, co się działo; Robert zastanowił się, jakiej to trzeba by sytuacji, żeby pani Sharpe nie potrafiła się odnaleźć.

Bill przyniósł z kuchni trochę szczap i rozpałił w kominku, pani Sharpe nalewała gorący płyn — była to kawa i Robert stanowczo wymówił się od picia, jeszcze niedawno miał przed nosem tyle kawy, że na długo stracił na nią ochotę — a na twarz Stana powracały rumieńce. Zanim z ogrodu wrócili policjanci, w pokoju wytworzyła się atmosfera rodzinnego spotkania, na przekór firankom powiewającym w oknach pozbawionych szyb. Robert spostrzegł, że ani Stan, ani Bill chyba nie uważali pań Sharpe za osoby trudne, czy dziwaczne, wydawali się odprężeni, jak u siebie w domu. Może dlatego, że panie Sharpe przyjęły ich najnormalniej w świecie, traktując inwazję obcych ludzi jak codzienną okoliczność. W każdym razie Bill, pochłonięty zajęciami wchodził i wychodził, jakby mieszkał w tym domu od lat, a Stanley podsunął filiżankę po następną porcję kawy, nie czekając, aż zostanie zaproszony.

Mimo woli Robert pomyślał, że w takiej sytuacji, ciotka Lin, u nich w domu, byłaby bardzo uprzejma i bardzo rozgorączkowana, a oni dwaj siedzieliby na brzeźkach krzesel, cały czas pamiętając o swoich ubrudzonych kombinezonach.

Może właśnie Nevilowi spodobała się ich bezpretensjonalność?

Wrócił sierżant i pomocnik.

— Czy panie zamierzają tu zostać? — spytał policjant.

— Oczywiście — odpowiedziała pani Sharpe, nalewając kawę nowym gościom.

— Nie — wtrącił się Robert. — Naprawdę nie powinny panie. Znajdę paniom w Larborough spokojny hotel, w którym...

— Największy nonsens jaki słyszałam. Oczywiście, że mamy zamiar tu zostać. Co ma do tego parę zbitych szyb?

— To może się nie skończyć na wybijaniu szyb — powiedział sierżant. — A póki panie tu są, ponosimy za panie odpowiedzialność, poważną odpowiedzialność, a prawda jest taka, że brak nam sił, żeby móc tę odpowiedzialność ponosić faktycznie.

— Naprawdę, przykro mi bardzo, że sprawiamy panom kłopot. Gdyby to od nas zależało, naprawdę nie pozwoliłybyśmy, żeby cegły wpadały nam do okien, niech mi pan wierzy. To jest nasz dom, mieszkamy tu, a nie gdzie indziej. Odłożywszy na bok pytania dotyczące przyzwoitości, to jest i taka wątpliwość: co zostanie z naszego domu, jeżeli go opuścimy? Do czego będziemy mogły wrócić? Jeżeli brak panom ludzi do ochrony żywych osób, to, jak przypuszczam, tym bardziej zabraknie ich do ochrony porzuconego mienia?

Sierżant wydawał się zmieszany, co często przytrafiało się ludziom pertraktującym z panią Sharpe. No tak, w tym rzecz, proszę pani oświadczył niechętnie.

— Wobec tego mamy za sobą, jak myślę, problem wyprowadzenia się z Franchise. Cukru, sierżancie?

Robert wrócił do sprawy, kiedy już wyjechała policja, a Bill zabranymi z kuchni miotłą i łopatką zgarniał stłuczone szkło z podłogi, pokój za pokojem. Robert jeszcze raz nalegał, podsuwał trzeźwą myśl o hotelu w Larborough, ale słów nie

wspierały ani jego własne odczucia, ani zdrowy rozsądek. Na miejscu pań Sharpe też nie ruszyłby się z domu, więc trudno było czego innego spodziewać się po nich, a na dodatek podzielał pogląd pani Sharpe co do przyszłości opuszczonego budynku; po prostu miała rację.

— Paniom potrzebny jest lokator — powiedział Stanley, któremu nie zezwolono sprzątać, bowiem został uznany za rannego z prawem opuszczania łóżka. — Lokator z pistoletem. Co by panie powiedziały, gdybym tu zostawał na noc? Bez posiłków; po prostu śpiący tu nocny stróż. Nawiasem, oni wszyscy śpią, ci nocni Stróże.

Widać było, że paniom Sharpe ta otwarta deklaracja sprawiła przyjemność, zwłaszcza w sytuacji, która zakrawała już na lokalną wojnę; nie narzucały się jednak z podziękowaniami.

— Czy ma pan żonę? — spytała Marion.

— Powiedzmy; w pewnym stopniu — z całą powagą odpowiedział Stanley.

— Może pana żona, jeżeli pan ją ma, zgodzi się, żeby pan tu spał — powiedziała pani Sharpe. — Wątpię jednak, czy pogodzi się z tym pańska firma, panie... panie Peters.

— Moja firma?

— Kiedy pańscy klienci zorientują się, że został pan nocnym stróżem we Franchise, to obawiam się, że zaczną gdzie indziej lokować swoje zlecenia.

— Moi klienci? Wykluczone — beztrósco oświadczył Stanley.

— Nigdzie nie pójdą. Lynch jest przez pięć dni w tygodniu pijany, a Biggins nie potrafi porządnie założyć łańcucha do roweru. Poza tym, nie sądzę, żeby moi klienci mogli mnie pouczać, co mam robić, kiedy mam wolne.

Wrócił Bill i poparł Stanley'a. Bill był mężczyzną w większym stopniu żonatym niż Stanley, i możliwość, by sypiał poza domem nie wchodziła w rachubę. We Franchise powinien spać Stanley. Obaj uważali to za rozwiązanie oczywiste.

Robert poczuł wielką ulgę.

— W porządku — powiedziała Marion. — Jeżeli już zostaje pan naszym nocnym gościem, to może pan zacząć od zaraz.

Jestem pewna, że w pana biednej głowie kręcą się na raz trzy karuzele, i głowa chciałaby odpocząć. Pójdę i pościelę. Czy wolałby pan okna od południa?

— Dobrze — zgodził się Stanley. — Byle daleko od kuchni i radia.

— Zrobię co się da.

Uradzono, że Bill wsunie kartkę pod drzwi w mieszkaniu Stanley'a i w ten sposób zawiadomi, że Stanley przyjdzie na lunch, jak zwykle. — Nie powinna się o mnie martwić — powiedział Stanley o właścicielce domu.

— Wcześniej też mnie nie było całymi nocami — Pochwyił spojrzenie Marion i dodał: — Dostarczałem klientom samochody; nocą idzie to dwa razy prędej.

We wszystkich pokojach na parterze umocowali w oknach zasłony i firanki, żeby jakoś zabezpieczyć meble, gdyby w nocy padał deszcz, a Robert obiecał sprowadzić szklarzy najwcześniej jak się da; po cichu postanowił, że pojedzie do Larborough, żeby w Milford nie narażać się na serię uprzejmie sformułowanych afrontów.

— Mógłbym też coś zrobić z zamkiem do bramy; miałbym wtedy dodatkowy klucz — powiedział, kiedy Marion wychodziła z nimi, by podłożyć kłodę pod bramę.

— W ten sposób oszczędzę pani grania roli odźwiernej i paru innych atrakcji. Wyciągnęła rękę, najpierw do Billa.

— Nigdy nie zapomnę, co zrobiliście dla nas w trójkę. Kiedy pomyślę jeszcze o tej nocy, to nie o tych tumanach — skinęła głową w stronę domu z powybijanymi szybami — ale o was trzech.

— Tumany były miejscowe; przypuszczam, że pan wie — powiedział Bill, kiedy już jechali, w ciepłą wiosenną noc.

— Tak — odrzekł Robert. Tak sędzę. Nie mieli samochodu, to raz. A w „zamorskich kurwach” tak słyhać konserwatywną wieś, jak w „faszystkach” postępowe miasto.

Bill wypowiedział się na temat postępu.

— Nie miałem racji, kiedy wczoraj wieczorem dałem się przekonać. Ten człowiek z patrolu był taki pewny, że „ludzie rozejdą się do domów, kiedy się ściemni”; postanowiłem mu

uwierzyć. A ostrzegano mnie. Przed polowaniem na czarownicę.

Bill nie słuchał. — To zabawne, jak człowiek niepewnie czuje się w domu bez okien — powiedział. — Weźmy na przykład dom, w którym tył wyleciał w powietrze, zmieciony na amen, nawet nie ma drzwi, żeby było co zatrzaskać, ale w pokoju od frontu można sobie niezłe przycupnąć, pod warunkiem, że są całe okna. A w zupełnie nietkniętym domu, tyle że bez okien, człowiek już nie czuje się bezpiecznie.

Ta obserwacja nie wprawiła Roberta w dobry humor.

13

— Tak myślę, czy nie miałbyś nic przeciw temu, żeby postarać się o rybę, złotko — powiedziała ciotka Lin przez telefon: był wtorek, po południu. — Na kolację przyjdzie Nevil, więc robię dodatkowe danie z tego, co miało być na jutro rano. Właściwie nie wiem, dlaczego mamy przygotowywać coś więcej tylko ze względu na Nevila, ale Christina twierdzi, że to powstrzyma go, używając jej słów, od napadu na ciasto owocowe, które trzeba by jutro wieczorem piec na nowo, właśnie kiedy ona ma wychodne. No więc, złotko, gdybyś nie miał nic przeciw temu...

Robert nie bardzo tęsknił za spędzeniem nadprogramowej godziny czy dwóch w towarzystwie Nevila, ale czuł się na tyle zadowolony z siebie, że gotów był znieść Nevila w pogodniejszym nastroju niż zwykle. Dogadał się z firmą z Larborough co do wstawienia szyb we Franchise. Jakimś cudem wy dostał spod ziemi klucz, który pasował do bramy Franchise, i na jutro miały być gotowe dwa duplikaty. Wreszcie osobiście wybrał i przywiózł sprawunki, wraz z najpiękniejszym bukietem, na jaki mogło się zdobyć Milford. Przywitanie we Franchise wypadło tak, że Robertowi nawet nie doskwierał brak delikatnych żartów na temat strof Nevila. Dzięki Bogu są jeszcze na świecie inne problemy niż mówienie sobie po imieniu po pół godzinie znajomości.

W porze lunchu zadzwonił do Kevina Macderomotta i umówił się przez sekretarkę; wieczorem, kiedy Kevin będzie wolny, zadzwoni do Roberta na High Street 10. Sprawy zaczynały wymykać się z rąk i rada Kevina byłaby bardzo pomocna.

Robert odrzucił trzy zaproszenia na partię golfa. Wyjaśnienie, którym poczęstował zdumionych przyjaciół brzmiało: „nie mam czasu uganiać się wokół pola golfowego za kawałkiem gutaperki”.

Pojechał spotkać się z ważnym dla firmy klientem, który z Robertem usiłował zobaczyć się od zeszłego piątku, i którego Robert sprowokował do desperackiego pytania zadanego przez telefon: „Czy pan jeszcze pracuje dla firmy Blair, Hayward i Bennet?”

Przebrnął przez zaległości w pracy w towarzystwie pana Heseltine'a, milczącego i pełnego wyrzutu; chociaż wspólnik wspierał Roberta i był po stronie pań Sharpe, to czuł w sposób najzupełniej oczywisty, że sprawa Franchise nie należy do tych, w które powinna być zamieszana właśnie ich firma.

No i wreszcie panna Tuff przyniosła herbatę, w porcelanowej filiżance ozdobionej błękitnym wzorem, na tacy z laki, nakrytej ładną białą serwetką, wraz z dwoma albertami na osobnym talerzyku.

Stały teraz na biurku taca z laki, filiżanka, herbatniki, jak dwa tygodnie temu, kiedy zadzwonił telefon, a Robert podniósł słuchawkę i po raz pierwszy usłyszał głos Marion Sharpe. Dwa tygodnie. Wtedy siedział i wpatrywał się w płamę światła słonecznego, z uczuciem, że wygodą życia doskwiera mu; ze świadomością, że czas ucieka, przepływa obok. Dzisiaj jednak dwa alberty na spodeczku już nie stanowiły wyrzutu, ponieważ on sam, Robert, wykroczył poza rutynę, którą wyrażały. Utrzymywał na tle zawodowym kontakt ze Scotland Yardem; był pełnomocnikiem dwóch kobiet otoczonych atmosferą skandalu; po amatorsku stał się detektywem; wreszcie zobaczył motłoch i przemoc. Cały świat wyglądał inaczej. Nawet ludzie, których spotykał Na przykład ciemnowłosa, szczupła kobieta, którą czasem widywał na

High Street na zakupach, przeistoczyła się w Marion Sharpe.

No tak, jeden ze skutków wyzwolenia się od rutyny polegał na tym, że już nie można było włożyć kapelusza i o czwartej ruszyć spacerem do domu. Robert odsunął tacę i znów zajął się pracą: kiedy znów spojrzął na zegarek było wpół do siódmej, a mijała siódma, kiedy przekraczał próg pod numerem 10.

Drzwi do saloniku jak zwykle były uchylone — jak wiele drzwi w starych domach otwierały się same, jeżeli ich nie domknięto — i można było usłyszeć dobiegający z pokoju głos Nevila.

— Przeciwnie, myślę, że to ciebie cechuje skrajna głupota — mówił Nevil.

Robert natychmiast rozpoznał ten ton. Wyrażał tę samą zimną wściekłość, z którą czteroletni Nevil wypraszał kiedyś gości. „Jest mi w najwyższym stopniu przykro, że w ogóle zaprosiłem was na przyjęcie.” Nevil musiał być naprawdę zły.

Robert zamarł w na pół ściągniętym płaszczu i słuchał.

— Mieszasz się do czegoś, o czym nie wiesz dosłownie nic; nie możesz utrzymywać, że jest to postępowanie inteligentne.

Nie było słyhać innego głosu, więc Nevil najwyraźniej mówił do telefonu, prawdopodobnie młody idiota próbował powstrzymać Kevina od doprowadzenia sprawy do końca.

— Nie jestem przez nikogo zaślepiony. Nigdy nie byłem zaślepiony przez kogokolwiek. Kto tutaj jest zaślepiony to ty, przez idee. Cechuje cię skrajna głupota, jak to już powiedziałem... Stajesz po stronie niezrównoważonej smarkuli w sprawie, o której nie masz pojęcia; moim zdaniem to wystarczający dowód zaślepienia... Możesz ode mnie powiedzieć ojcu, że widać tu tylko nieproszone wtrącanie się, ale nic chrześcijańskiego. Nie wykluczam, że to podżeganie do przemocy... Tak, ostatniej nocy... Nie, wybite zostały wszystkie szyby, a na murach wymalowano różne rzeczy... Jeżeli tak interesuje się sprawiedliwością, to mógłby coś zrobić w tej sprawie. Ale twoi ludzie nigdy nie interesowali się sprawiedliwością, prawda? Tylko niesprawiedliwością... Co rozumiem przez „twoi ludzie”? Dokładnie to, co powiedziałem.

Ty i ta cała twoja banda, która tylko jedno umie, brać w opiekę nicponiów i wyklócać się o nich z całym światem. Nigdy w życiu nawet nie kiwnęłaś palcem, żeby uchronić od stoczenia się jakiegoś małego, ciężko pracującego człowieka, ale niech no tylko stary recydywista dostanie w więzieniu tańszą rację dzienną, o, wtedy twoje łkanie będzie słycać na Antarktydzie. Na myśl o tobie robi mi się niedobrze... Tak, powiedziałem, że na myśl o tobie robi mi się niedobrze..., W jakim sensie? Potocznym... W związku z żołądkiem. Ścisłej: rzygać mi się chce!

Trzask rzuconej słuchawki oznajmił, że oto wypowiedział się poeta.

Robert powiesił płaszcz i wszedł. Nevil, przez którego twarz wciąż jeszcze przelatywały błyskawice, nalewał sobie nierozcieńczonej whisky.

— Też bym się napił — powiedział Robert. — Nic na to nie poradzę: słyszałem — dodał. — Czy to przypadkiem nie była Rosemary?

— A któżby? Czy w całej Wielkiej Brytanii znajdzie się jeszcze ktoś tak niewypowiedzianie głupi?

— Mianowicie jak?

— Nie słyszałeś? Zajął się teraz sprawą prześladowanej Betty Kane! — Nevil przełknął trochę whisky i spojrzał na Roberta, jakby Robert odpowiadał za Rosemary.

— Nie sądzę, żeby z tego, że przyłączy się do „Ack- -Emmy” mogło cokolwiek wynikać, tak czy owak.

— Do „Ack-Emmy”? To nie „Ack-Emma”, to „Watchman”! Upośledzony umysłowo osobnik, którego ona nazywa ojcem, napisał do piątkowego wydania cały list na ten temat. Tak, to może człowieka zmierzić. Jakbyśmy nie mieli dosyć na karku i bez tego bombastycznego samorodka, tego okazu zwyrodniałego sentymentalizmu, wartego dokładnie właśnie sześć pensów!

Zważywszy, że „Watchman” był jedynym pismem, które kiedykolwiek zamieściło wiersze Nevila, Robert uznał, że Nevil objawia niejaką niewdzięczność. Z drugiej strony, zgadzał się co do oceny.

— Może tego nie wydrukują — powiedział nie tyle z nadzieją w głosie, ile szukając ulgi.

— Dobrze wiesz, że wydrukują wszystko, co raczy im wysłać. A wyratowały ich czyje pieniądze, kiedy bankrutowali, zresztą już trzeci raz? Oczywiście biskupa.

— Chciałeś powiedzieć, jego żony. — Biskup poślubił był jedną z dwóch wnuczek Żurawinowego Sosu Cowana.

— Tak jest, jego żony. A biskup zrobił sobie z „Watchmana” świecką kazalnicę. Dla biskupa nie ma rzeczy zbyt głupiej, by nie była warta ogłoszenia publicznie, a dla redakcji nie ma rzeczy zbyt nonsensownej, by nie była warta druku. Pamiętasz tę dziewczynę, która włóczyła się, żeby z zimną krwią, dla paru pensów strzelać do taksówkarzy? Dla niego ta dziewczyna to był sarni miód. Spłakał się do utraty przytomności. Popełni! o niej długi, krwawiący serca list do „Watchmana”, wykazał jak była dyskryminowana, jak zdobyła stypendium na naukę gimnazjalną, ale nie była w stanie go wykorzystać, ponieważ rodzina była zbyt uboga, by kupić jej książki i sprawić przyzwoite ubranie, więc trawiła wobec tego czas na niczym, popadła w złe towarzystwo, a potem, jak można było wywnioskować, zajęła się strzelaniem do taksówkarzy, chociaż o tym drobiazgu biskup akurat nie zająknął się. No cóż, czytelnicy „Watchmana” byli zachwyceni: właśnie za czymś takim przepadają. Zdaniem czytelników „Watch-mana” wszyscy kryminaliści to sfrustrowane anioły. A potem prezes rady nadzorczej szkoły — tej szkoły, w której rzekomo zdobyła stypendium — pisze do redakcji i zwraca uwagę, że osobie wiele brakowało do zdobycia czegokolwiek: jej nazwisko było na sto pięćdziesiątej dziewiątej pozycji na dwieście, i że ktoś tak pochłonięty sprawami edukacji jak biskup powinien wiedzieć, że z powodu braku pieniędzy nikt nie musi rezygnować ze stypendium, w takich sytuacjach rutynowo przydziela się i książki, i zasiłek pieniężny. Dobrze; wolno było przypuszczać, że to na nim zrobi jakieś wrażenie, prawda? A skąd! Ani trochę! List prezesa wydrukowali na ostatniej stronie najmniejszą czcionką, a zaraz potem w najświeższym

numerze nasz oldboy ronił ły z powodu innej sprawy, o której nie miał zielonego pojęcia. No, a w piątek, zlituj się, będzie rozpaczał z powodu Betty Kane!

— Zastanawiam się... gdybym tak jutro pojechał do niego...

— Jutro to idzie do druku.

— Racja. Może gdybym zatelefonował...

— Jeżeli myślisz, że ktokolwiek lub cokolwiek może powstrzymać jego ekscelencję od opublikowania dzieła, które był łaskaw ukończyć, to jesteś naiwny.

Zadzwonił telefon.

— Jeżeli to Rosemary, jestem w Chinach - powiedział Nevil.

Był to jednak Kevin Macdermott.

— Brawo, łapaczu powiedział Kevin. — Moje gratulacje. Ale na drugi raz nie marnuj popołudnia i nie wydzwaniał do Bogu ducha winnych obywateli Aylesbury, skoro te same informacje możesz dostać ze Scotland Yardu.

Robert powiedział, że czuje się Bogu ducha winnym obywatelem, który wprawdzie nie myśli jeszcze kategoriami uwzględniającymi Scotland Yard, ale uczy się, i to szybko.

Na użytek Kevina Robert streścił wydarzenia ostatniej nocy i powiedział: — Ani na chwilę nie mogę sobie pozwolić na lenistwo w tej sprawie. Trzeba coś zrobić, żeby je oczyścić, najszybciej jak się da.

— Chcesz mieć nazwisko prywatnego agenta, o to chodzi?

— Tak. Myślę, że sprawa już dojrzała. Ale zastanawiałem się...

— Nad czym? — spytał Kevin, kiedy Robert zawahał się.

— No cóż, myślałem, żeby wybrać się do Granta w Yardzie i powiedzieć mu całkiem otwarcie, że dowiedziałem się, w jaki sposób dziewczyna zorientowała się co do pań Sharpe i samego domu; że spotkała w Larborough mężczyznę i że mam świadka tego spotkania.

— A co oni z tym zrobią?

— Powinni prześledzić trasę dziewczyny w ciągu tego miesiąca, zamiast żebyśmy to my robili.

— I myślisz, że tak postąpią?

— Pewnie. A czemu nie?

— Bo im się to nie opłaci. Kiedy się okaże, że dziewczynie nie można wierzyć, wszystko co zrobią, to z uczuciem ulgi odłożą sprawę i puszczą w niepamięć. Dziewczyna nie była zaprzysiężona, więc i nie oskarżą jej o krzywoprzysięstwo.

— Mogliby oskarżyć o wprowadzenie w błąd.

— Tak, ale to im się też nie opłaci. Nie będzie łatwo dogrzebać się, co robiła przez ten miesiąc, to pewne. A rezultatem tego niekończącego dochodzenia byłoby przygotowanie i wniesienie sprawy. To wysoce nieprawdopodobne, żeby przepracowany wydział, któremu poważne zadania wlewają się przez drzwi i okna, chciał wdawać się w kłopoty, skoro spokojnie można rzecz zlikwidować od ręki.

— Tak, ale oni uchodzą za jakąś odnogę wymiaru sprawiedliwości. A w ten sposób panie Sharpe zostawia się...

— Nie, nie, oni reprezentują prawo. To sąd jest od sprawiedliwości. Jak o tym bardzo dobrze wiesz. Poza tym, Rob, nie dostarczyłeś żadnego dowodu. Nawet nie wiesz, czy ona kiedykolwiek jechała do Milford. A fakt, że poderwała faceta w hallu „Midland” i piła z nim herbatę, w niczym nie podważa zeznania, że porwały ją panie Sharpe. Prawda jest taka, że oparcie, którego ci trzeba nazywa się Alec Ramsden; 5 Spring Gardens, Fulham, South West.

— Kto to?

— Twój prywatny wywiadowca. Doskonały, ja ci to mówię. Ma pod telefonem całą gromadę dobrze wyćwiczonych pracowników, więc gdyby sam był zajęty, przyśle ci naprawdę dobrego zmiennika. Powiedz mu, że to ja ci dałem jego nazwisko, i nie bój się, że wrobi cię w jakiś pasztet. Zresztą nie wrobiłby cię tak czy owak. To sól ziemi. Zwolniony z policji z powodu rany „otrzymanej podczas pełnienia obowiązków służbowych”. Będziesz miał z niego pociechę. Muszę już kończyć. Gdybym mógł jeszcze coś dla ciebie zrobić, po prostu dzwoń. Chciałbym mieć czas, żeby przyjechać i samemu zobaczyć Franchise, razem z twoimi wiedziami. Zauroczyły mnie. Cześć.

Robert odłożył słuchawkę, by zaraz ją podnieść. Zadzwoił

do informacji i dowiedział się, jaki numer ma Alec Ramsden. Telefon detektywa jednak nie odpowiadał, wobec tego Robert nadał telegram z wiadomością, że on, Robert Blair, pilnie potrzebuje pewnej usługi, a Kevin Macdermott zapewnił go, że w tej sprawie właściwym człowiekiem będzie Ramsden.

— Robercie, — ciotka Lin weszła różowa z oburzenia — czy zdajesz sobie z tego sprawę, że na stoliku w hallu zostawiłeś ryby, że pociekło z nich aż na mahoń, i że Christina wciąż czeka?

— Ciociu, czy wnosisz skargę w obronie mahoniowego blatu, czy w obronie czekającej Christiny?

— Robercie, naprawdę nie wiem, co się z tobą dzieje. Odkąd wdałeś się w tę sprawę Franchise, zupełnie się zmieniłeś. Dwa tygodnie temu nawet nie przyśniłoby ci się, że można porcję ryb zostawić na wypolerowanym, mahoniowym blacie i zapomnieć o niej na śmierć. Gdybyś przynajmniej zmartwił się i gdybyś przeprosił...

— Ciociu, bardzo przepraszam; jest mi naprawdę przykro. Ale rzadko mam do czynienia aż z taką odpowiedzialnością, jak w tej sprawie i musisz mi wybaczyć. Jestem trochę przemęczony.

— A ja myślę, że wcale nie jesteś przemęczony. Przeciwnie. Nigdy nie widziałam, żebyś był tak zadowolony z siebie. Zdaje mi się, że bardzo przypadła ci do smaku ta brudna sprawa. Nie dalej niż dziś rano panna Truelove z „Anny Boleyn” wyrażała mi współczucie z tej racji, że jesteś w to zamieszany.

— Rzeczywiście? No cóż, serdecznie współczuję siostrze panny Truelove.

— Ale dlaczego?

— Dlatego, że ktoś taki, jak panna Truelove, jest jej siostrą. Boję się, ciociu, że czujesz się nieszczególnie. Tak?

— Nie popisuj się, złotko. Tutaj nikomu nie sprawia przyjemności poczucie, że do miasta przyłgnęła opinia tego rodzaju. To zawsze było miasteczko spokojne i szanowane.

— Już nie lubię Milford tak, jak dwa tygodnie temu, zauważył filozoficznie Robert więc darując sobie łyż.

Co najmniej cztery różne autobusy przyjechały dzisiaj z

Larborough, tak sobie, bez żadnego celu, byle tylko po drodze można było rzucić okiem na Franchise.

— A czy ktoś się o nich zatroszczył? — spytał Robert, pamiętając że turystyka autobusowa nie była mile widziana w Milford.

— Nikt. Byli po prostu wściekli.

— To ich oduczycy wścibiania tutaj nosa. Ludzie z Larborough o nic nie dbają bardziej niż o własny żołądek.

— Żona pastora nalega, żeby sprawę traktować po chrześcijańsku, ale uważam, że to niewłaściwy punkt widzenia.

— Po chrześcijańsku?

— Tak. „Nie sądźcie...” i tak dalej, wiesz o co chodzi. Tymczasem to jest tylko objaw słabości, a nie chrześcijańska postawa. Oczywiście, złotko, ja nie omawiam tej sprawy, nawet z nią. Jestem wcieleniem dyskrecji. Ale, rzecz jasna, ona wie, co ja czuję, ja wiem, co ona, więc i omawianie nie jest konieczne.

Od strony Nevila zatopionego w fotelu dobiegło coś, co najwyraźniej było parsknięciem ze śmiechu.

— Nevil, coś mówiłeś, złotko?

Opiekuńczy ton przywołał Nevila do porządku: — Nic, ciociu Lin, nic takiego — powiedział potulnie.

Ale nie zanosilo się na to, że ciotka Lin pozwoli mu wykręcić się sianem, parsknięcie było zbyt wyraźne. — Nie żebym ci żalowała, złotko, ale to już, zdaje się, twoja trzecia whisky? Do obiadu będzie wino reńskie. Boję się, że po takiej ilości whisky nawet nie poczujesz smaku. Nie wolno ci popadać w złe nawyki, jeżeli masz zamiar ożenić się z córką biskupa.

— Nie mam zamiaru żenić się z Rosemary.

Panna Bennet patrzyła na Nevila osłupiała. Nie?

— Równie dobrze mógłbym poślubić Radę Pomocy Społecznej.

— Ależ Nevil!

— Równie dobrze mógłbym ożenić się z radiodbiornikiem

— Robert przypomniał sobie uwagę Kevina, o Rosemary,

która w najlepszym razie mogłaby urodzić płytę gramofonową. Równie dobrze mógłbym ożenić się z krokodylem. Ponieważ Rosemary była ładna, Robert uznał, że „krokodyl” to jakieś nawiązanie do krokodylich łez. — Równie dobrze mógłbym się ożenić z mównicą¹⁷.

— Mównicą krzykaczy spod Marble Arch, dopowiedział w myśli Robert. — Równie dobrze mógłbym się ożenić z „Ack-Emma”. — Wyglądało, że na tym koniec.

— Ale Nevil, złotko, dlaczego?

— Jest bardzo głupim stworzeniem. Jest prawie tak głupia, jak „Watchman”.

Robert po bohatersku powstrzymał się od uwagi, że w ciągu ostatnich sześciu lat „Watchman” był dla Nevila Biblią.

— Och, złotko, daj spokój, posprzeczaliście się: wszyscy narzeczeni się sprzeczą. To bardzo dobrze, kiedy człowiek uczy się rzetelnych kompromisów jeszcze przed ślubem; te pary, które nie kłócą się podczas narzeczeństwa, po ślubie żyją zadziwiająco kłótliwie: więc nie bierz serio drobnych nieporozumień. Przed pójściem do domu możesz do niej stąd zadzwonić...

— To jest nieporozumienie zasadnicze — chłodno stwierdził Nevil. — I nie przewiduję wydzwaniania do niej.

— Ależ Nevil, złotko, co takiego...

Trzy płaskie dźwięki, wzbudzone gwałtownym uderzeniem, zagłuszyły protest i zmusiły ciotkę do przerwania. Dramat zerwanych zaręczyn musiał ustąpić miejsca sprawie codziennej i niecierpiącej zwłoki.

— To gong. Lepiej weźcie szklaneczki ze sobą. Christina lubi podawać zupę natychmiast, jak tylko wbije do niej jajko, a dzisiaj nie jest w dobrym humorze z powodu tej ryby, którą dostała za późno. Chociaż nie mam pojęcia, co to za różnica. Ryba będzie z rusztu i przyrządzanie nie wymaga czasu. Gdyby jeszcze musiała ścierać ze stolika po rybach, ale przecież to ja wszystko wytarłam.

¹⁷ W oryginale *soap-box*, skrzynia na mydło, przenośnie: podest dla ulicznych mówców, a także uliczny mówca.

Jeszcze bardziej wzburzyło ciotkę Lin to, że nazajutrz rano Robert zjadł śniadanie trzy kwadransy po siódmej, żeby zdążyć do kancelarii. Była to jeszcze jedna oznaka upadku, za który odpowiedzialność spadała na sprawę Franchise. Czym innym było wczesne śniadanie ze względu na ranny pociąg, ze względu na gdzieś daleko zaplanowane spotkanie, czy ze względu na pogrzeb któregoś z klientów. Ale jeść tak wczesne śniadanie tylko po to, żeby zdążyć do pracy w porze dobrej dla gości i sprzątaczk, to postępowanie dziwne, a dla Blaira nieodpowiednie.

Robert uśmiechał się idąc w górę High Street, spokojnej, osłonecznionej, z oknami jeszcze zasłoniętymi przez okiennice. Zawsze lubił wczesne, ranne godziny, a Milford wyglądało najlepiej właśnie o tej porze; sepie, róże, kremy były w świetle słońca tak delikatne, jak na obrazie, na którym czysty rysunek pokryty jest gamą prześwieconych kolorów. Wiosna przechodziła w lato i w chłodnym powietrzu wyczuwało się już ciepło, promieniujące z wczesnie nagrzanego przez słońce chodnika. Liście na strzyżonych lipach rozwinęły się. Oznacza to krótsze noce dla samotnych kobiet we Franchise, pomyślał Robert z wdzięcznością. Ale może jakimś cudem nim nadejdzie lato, skończy się sprawa oczyszczenia ich z zarzutów, a dom przestanie być obleganą fortecą.

Przed zamkniętymi jeszcze drzwiami kancelarii tkwił wysoki, chudy, siwy mężczyzna, który na pierwszy rzut oka składał się z samych kości, a do tego był pozbawiony żołądka.

— Dzień dobry — powiedział Robert. — Chciał pan się ze mną zobaczyć?

— Nie — odparł siwy mężczyzna. — To pan tego chciał.

— Ja?

— Przynajmniej tak wynika z pana telegramu. Przypuszczam, że pan Blair?

— Niemożliwe, pan już przyjechał! — wykrzyknął Robert.

— Drobiazg — lakonicznie oświadczył mężczyzna. — To niedaleko.

— Proszę — powiedział Robert, próbując dorównać panu Ramsdenowi zwięzłością.

U siebie, w kancelarii Robert otworzył biurko i zapytał: — Jadł pan śniadanie?

— Tak, jajka na bekonie pod „Białym Rogaczem”.

— Naprawdę, kamień spadł mi z serca; cieszę się, że mógł pan przyjechać osobiście.

— Właśnie zamknąłem sprawę. A Kevin Macdermott sporo dla mnie zrobił.

No właśnie, Kevin, przy całej zewnętrznej złośliwości, wbrew gorączkowemu trybowi życia, umiał znaleźć czas i ochotę, by pomóc tym, którzy na pomoc zasługiwali. I tu różnił się zasadniczo od biskupa Larborough, który stanowczo wołał nie zasługujących.

— Może najlepiej będzie, jeżeli przeczyta pan to oświadczenie powiedział Robert, wręczając Ramsdenowi kopię zeznań, które Betty Kane złożyła na policji a potem przejdziemy przez całą historię.

Ramsden wziął maszynopis i usiadł w fotelu dla gości — czy raczej złożył się jak scyzoryk, gdyby dbać o ścisły opis — i wyłączył się, utracił kontakt, stał się nieobecny, zupełnie jak przedtem Kevin w swoim pokoju przy St. Paul's Churchyard. Robert, odrywając się od własnej pracy, pozazdrościł im obu talentu do koncentrowania się.

— A więc, panie Blair? zapytał wreszcie Ramsden i Robert zreferował mu resztę sprawy; jak dziewczyna zidentyfikowała dom oraz jego mieszkanki; jak Robert podjął się reprezentowania pań Sharpe; jak w oparciu o dostępne dowody policja zaniechała sprawy; jak Leslie Wynn poczuł się zawiedziony i w rezultacie ściągnął dziennikarza „Ack-Emmy”; jak on sam, Robert, rozmawiał z bliskimi i krewnymi dziewczyny i czego się od nich dowiedział; jak zorientował się co do podróży autobusami, kursowania piętrowych wozów do Milford w istotnym dla sprawy czasie; wreszcie, jak natrafił na Iksa.

— Wynalezienie czegoś więcej na temat Iksa, to pańskie zadanie, panie Ramsden. Kelner z hallu hotelowego, Albert, wie jak on wyglądał, tu jest lista gości w okresie, który trzeba prześwietlić. Byłby to naprawdę uśmiech losu, gdyby ten człowiek zatrzymał się właśnie w „Midland”, ale nigdy nie wiadomo. Poza tym jest pan zdany na siebie. Proszę powiedzieć Albertowi, że to ja pana skierowałem. Znamy się od dawna.

— Bardzo dobrze. Jadę zaraz do Larborough. Jutro będę już miał fotografię dziewczyny, ale może pożycz mi pan na razie swój egzemplarz „Ack-Emmy”.

— Oczywiście. A jak pan zdobędzie jej fotografię?

— Och, są sposoby.

Robert domyślił się, że Scotland Yard dostał takie zdjęcie, kiedy zameldowano o zaginięciu dziewczyny, a teraz starzy koledzy w centrali, bez specjalnych ceregieli dadzą Ramsdenowi odbitkę; więc Robert więcej nie pytał.

— Jest pewna szansa, że zapamiętał ją konduktor któregoś z tych piętrowych autobusów - powiedział Robert, kiedy Ramsden już wychodził. To są wozy Autobusowych Linii Okręgu Larborough. Zajeżdźnia przy Victoria Street.

O wpół do dziesiątej pojawili się pracownicy, a jednym z pierwszych był Nevil; zmiana zaskoczyła Eoberta. Zazwyczaj Nevil był ostatnim, który przychodzi i ostatnim, który siada za biurkiem. Porzuciwszy papiery w swoim małym pokoiku mógł długo jeszcze wałęsać się; mógł zabłądzić do „biura”, by powiedzieć „dzień dobry”, mógł zabłądzić do „poczekalni” na tyłach, by przywitać się z panną Tuff, a na koniec mógł zawędrować do pokoju Roberta, by tam, na stojąco, rozrywając kciukiem opaskę na którymś z ezoterycznych periodyków nadsyłanych mu pocztą zwracać uwagę na niezmiennie oplakany stan spraw w Anglii. Robert wręcz żył się z tym, że czytaniu rannej poczty nieuchronnie towarzyszy Nevil. Tymczasem dzisiaj Nevil zjawił się o właściwej porze, poszedł prosto do swego pokoju, zatrzasnął za sobą drzwi i jeżeli odgłosy wysuwanych i zasuwanych szuflad mogły tu stanowić jakiś dowód, natychmiast zabrał się do pracy.

Weszła panna Tuff w olśniewającym białym kołnierzu w stylu Piotrusia Pana, z notatnikiem w ręce, i zaczął się normalny dzień Roberta. Panna Tuff nosiła na ciemnych sukienkach takie kołnierze już od ponad dwudziestu lat i teraz wyglądałyby wręcz nieprzyzwoicie, gdyby zabrakło tego kołnierza. Co rano kołnierz zadziwiał świeżością: wczorajszy trafił do prania wczoraj wieczorem i teraz czekał, aż panna Tuff założy go jutro. Jedyłą odmianą w tym rytuale były niedziele. Pewnego razu w niedzielę Robert natknął się na pannę Tuff i niemal jej nie poznał, z tego mianowicie powodu, że miała pod szyją żabot.

Robert tkwił przy pracy do wpół do jedenastej, a potem uznał, że po tak wczesnym śniadaniu należałoby posilić się czymś bardziej konkretnym niż filiżanka herbaty podana w biurze. Postanowił wyjść na kawę i parę kanapek pod „Różę i Koronę”. Najlepszą kawę w Milford podawano w „Annie Boleyn”, jednak lokalik zawsze był pełen rozgadanych kobiet, które wybrały się na zakupy („Jak to miło, że cię widzę kochanie! Tak nam ciebie brakowało na przyjęciu u Ronnie’go! Czy słyszałaś już...”); Robert nie chciałby stawiać czoła tej atmosferze, nawet w zamian za kawę całej Brazylii. Postanowił więc pójść na drugą stronę ulicy, pod „Różę i Koronę”, a potem zrobić jakieś zakupy dla pań z Franchise, po lunchu pojechać do nich i ostrożnie wyjawiać im niedobłą nowinę w związku z „Watchmanem”. Nie mógł tego zrobić przez telefon, ponieważ teraz już nie miały telefonu. Firma z Larborough przyjechała z drabinami, kitem, taflami szkła i wstawiła szyby bez hałasu czy zamieszania. Ale to była, rzecz jasna, firma prywatna. Tymczasem poczta, jako instytucja rządowa, odnotowała sprawę telefonu w księdze zgłoszeń i prawdopodobnie zajmie się sprawą w zgodzie z własnym, mamucim poczuciem czasu. Tak więc Robert spodziewał się, że część popołudnia spędzi w towarzystwie pań Sharpe, referując nowiny, którymi nie mógł podzielić się przez telefon.

Nie była to jeszcze pora popołudniowej przekąski i łoże pod „Różą i Koroną”, zrobione ze starego dębu, wyściełane

wzorzystym obiciem, świeciły pustkami z jednym tylko wyjątkiem: był nim Ben Carley, siedzący pod oknem przy stoliku z nogami wytoczonymi w piękne łuki, i zatopiony w lekturze najświeższego wydania „Ack-Emmy”. Carley nie był typem człowieka, za którym Robert przepadał — zresztą, jak Robert podejrzewał, Carley pod tym względem odpłacał mu wzajemnością — ale łączyło ich uprawianie tego samego zawodu, jedna z mocniejszych ludzkich więzi, na skutek czego w tak małym miasteczku jak Milford stali się niemal bliskimi przyjaciółmi. Było więc oczywiste, że Robert przysiadł się do Carley’a, a przysiadając przypomniał sobie, że winien jest Carley’owi wdzięczność za dyskretne ostrzeżenie dotyczące nastrojów w okolicy.

Carley odłożył „Ack-Emmę” i spojrzał na Roberta ciemnymi, aż zbyt żywymi oczami, tak osobliwymi w zestawieniu ze środkowoangielską pogodą ducha. — Wygląda na to, że sprawa cichnie — powiedział. — Dzisiaj tylko jeden list; tyle tylko, by jeszcze nie wychodzić z gry.

— Co do „Ack-Emmy” zgoda. Ale w piątek własną kampanię zaczyna „Watchman”.

— „Watchman”! O co chodzi? Chcą sobie poleżeć w tej samej pościeli co „Ack-Emma”?

— Nie pierwszy raz — zauważył Robert.

— Rzeczywiście. Nie mówię, że nie — powiedział Carley po namyśle. — Dwie strony tego samego medalu, jeżeli dobrze się zastanowić. No nic. Nie musi pan się tym martwić. Cały nakład „Watchmana” to jakieś dwadzieścia tysięcy, w najlepszym razie.

— Może. Ale z tych dwudziestu tysięcy czytelników każdy ma w tym kraju jakiegoś dalszego czy bliższego pociotka w państwowej administracji.

— I co z tego? Czy ktoś kiedy słyszał, żeby administracja kiwnęła palcem w jakiegokolwiek sprawie, która wykracza poza rutynę?

— Nie. Ale wyszuka kozła. A kozioł prędzej czy później...

— ...padnie na żyzny grunt — podsunął Carley, świadomie mieszając porównania.

— Tak jest. Prędej czy później jakiś skarżypyta albo jakaś wrażliwa duszyczka dojdzie do wniosku, że coś trzeba zrobić i zacznie ciągnąć za sznurki. A w administracji pociąganie za sznurki daje taki sam efekt, jak w teatrzyku lalkowym. Zostaje zmuszona do poruszania się cała kolekcja figurek, chcąc nie chcąc. Gerald zobowiązuje do czegoś Tony’ego, Reggie Geralda, i tak dalej, i tak dalej, aż do nieprzewidywalnego finału.

Carley milczał przez chwilę. — Szkoda — powiedział w końcu. — Akurat kiedy „Ack-Emma” zwiąja żagle. Jeszcze dwa dni, a zostawiliby tę sprawę na dobre. I tak, jak na nich, przekroczyli normę o czterdzieści osiem godzin. Jeszcze nie widziałem, żeby ciągnęli sprawę dłużej niż przez trzy dni. Musieli mieć niesamowity odzew, skoro poszło na to tyle papieru.

— Fakt ponuro przytaknął Robert.

— Oczywiście, dla nich to była okazja. Bicie porwanych dziewczynek trafia się raczej rzadko. Rzecz była bezcenna, jako zmiana jadłospisu. Jeżeli się umie upichcić tylko trzy, cztery dania, jak „Ack-Emma”, to trudno spowodować, żeby klientom ciągle ciekła ślinka. Smakołyk w rodzaju sprawy Franchise musiał sprawić, że tylko w okolicy Larborough nakład na pewno podskoczył o całe tysiące.

— Nakład siądzie; to był tylko chwilowy przypływ. Ale ja muszę dać sobie radę z tym, co przypływ wyrzucił na plażę.

— Dosyć smrodliwą — zauważył Carley. — Przypomina pan sobie tę grubą blondynkę, upudrowaną na fioletowo, ze stanikiem, który tak podciąga w górę biust, tę która prowadzi sklep sportowy obok „Anny Boleyn”? To część tego, co przypływ wyrzucił na pańską plażę.

— Dlaczego?

— Zdaje się, że mieszkała w Londynie w tym samym pensjonacie, co te obie Sharpe; i opowiada śliczną historyjkę, jak to Marion Sharpe w gniewie o mało nie zatłukła na śmierć psa. Jej klienci przepadają za tą opowiastką. Podobnie klienci „Anny Boleyn”. Ona tam chodzi co rano na kawę. — Carley krzywo popatrzył na rumieniec gniewu, który rozlał się na

twarży Roberta. — Nie muszę panu mówić, że sama ma psa. Jego zmarnowanego życia już się nie naprawi, a pies raźnie., zmierza na tamten świat, na skutek degeneracji: zwałów sadła, a te z kolei biorą się z niepohamowanego wpychania mu smakołyków, ilekroć grubą blondynę opadnie chęć na pieszczotki.

Bywają chwile, pomyślał Robert, w których chyba mógłbym przytulić do serca Bena Carley'a, wraz z prążkowanym garniturem i całą resztą.

— No cóż, to się przetoczy — powiedział Carley, wyrażając pełną giętkości filozofię tego gatunku ludzkiego, który nawykł cicho siedzieć i czekać, póki nie minie nawałnica.

Robert wyglądał na zdziwionego. W jego osobie dziwiło się czterdzieści pokoleń przodków nawykłych do protestu. — Nie przypuszczam, żeby przetoczenie się przyniosło jakąś korzyść — powiedział. — Moim klientkom wcale to nie pomoże.

— A co pan może zrobić?

— Walczyć. To jasne.

— Walczyć? O co? Sprawy o zniesławienie pan nie wygra, jeżeli o to panu chodzi.

— Nie myślałem o zniesławieniu. Chcę dowiedzieć się, co dziewczyna robiła przez ten czas.

Carley wydawał się rozbawiony. — Po prostu — powiedział, komentując oświadczenie Roberta, tyle związane co ambitne.

— Pewnie to nie będzie łatwe i może kosztować wszystko co mają, ale nie widzę alternatywy.

— Mogą wyjechać. Sprzedadzą dom, osiedlą się gdzie indziej. Za rok od dzisiaj, poza okolicami Milford, nikt niczego nie będzie pamiętał z tej sprawy.

— Nie zrobią tego, nigdy, a ja im nie doradzę, nawet gdyby zamierzały. Nie można dać sobie przywiązać puszki do ogona i w ten sposób iść przez życie, udając, że tej puszki nie ma. A poza tym, to nie do pomyślenia, żeby dziewczynie uszła na sucho ta bajka. Tu już chodzi o zasady.

— Może pan zapłacić za wysoką cenę za swoje cholerne zasady. Ale w każdym razie życzę powodzenia. Zastanawiał się pan nad wynajęciem detektywa? Jeżeli tak, to znam wcale

dobrego...

Robert powiedział, że agenta wyszukał i agent już pracuje.

Na wyrazistej twarzy Carley'a malował się podziw zmieszany z rozbawieniem: staroświecka kancelaria Blair, Hayward i Bennet rzeczywiście zdobyła się na szybką akcję.

— Yard powinien uważać na swoje wawrzyny — powiedział. Spojrzenie Carley'a skierowało się na ulicę, a rozbawienie w oczach adwokata zdradziło, że na zewnątrz, za szybami oprawionymi w ołów, coś zwróciło jego uwagę. Spojrzał raz i drugi, a potem cicho powiedział — No, ale mają tupet!

W zdaniu krył się podziw, a nie przygana, i Robert odwrócił się w stronę okna, by zobaczyć, co tak zaimponowało Carley'owi.

Po drugiej stronie ulicy stał poobijany samochód pań Sharpe, z doskonale widocznym, wyróżniającym się przednim kołem, tym samym, które uchodziło za dowód w sprawie. A z tyłu, na zwykłym miejscu, ze zwykłym wyrazem delikatnego protestu przeciw temu właśnie środkowi lokomocji, łaskawie rezydowała pani Sharpe. Wóz stał naprzeciwko sklepu spożywczego, a Marion prawdopodobnie robiła w sklepie zakupy. Może zaledwie przed chwilą weszła, a może to zaledwie przed chwilą Carley zauważył sytuację, w każdym razie już dwóch sklepowych gońców znieruchomiało; oparci o rowery, z jakąś wręcz zmysłową satysfakcją gapili się na darmowe widowisko. I nawet w tym czasie, w którym Robert patrzył, ludzie zaczęli stawać w drzwiach sąsiednich sklepów, jakby wiadomość frunęła z ust do ust.

— Nie do wiary! — powiedział gniewnie Robert. — Przecież to szaleństwo.

— Wcale nie szaleństwo — powiedział Carley ze wzrokiem utkwionym w scenkę. — Chciałbym mieć takie klientki.

Pogrzebał w kieszeni, szukając drobnych za kawę, a tymczasem Robert wybiegł z lokaliku. Dopadł samochodu właśnie w chwili, w której Marion pojawiła się na chodniku po drugiej stronie wozu. — Pani Sharpe — powiedział surowo to w najwyższym stopniu niemądre, co panie robią. Tylko rozjątrza...

— O, dzień dobry, panie Blair pani Sharpe odezwał się tonem towarzyskiej pogawędki — Czy pił pan już kawę, czy też zechce pan wybrać się z nami do „Anny Boleyn”?

— Panno Sharpe! — Robert zwrócił się do Marion, która układała na siedzeniu pakunki. — Przecież pani musi wiedzieć, że to co najmniej niemądre!

— Uczciwie panu powiem: nie wiem, czy tak, czy nie odrzekła. — Jednak wydaje się, że coś musimy zrobić.

Może dziecinniejemy, żyjąc przeważnie we własnym towarzystwie, ale doszliśmy do wniosku, że żadna z nas nie zapomni tej niegrzeczności w „Annie Boleyn”, tego skazania bez procesu.

— Cierpimy, proszę pana, na duchową niestrawność. I jedyną kurację zapewni sierść psa, który nas ugryzł. To znaczy, filiżanka wyśmienitej kawy przyrządzonej przez pannę Truelove.

— Ale to takie niepotrzebne! Takie...

— Wydaje nam się, że o wpół do jedenastej rano powinno być sporo wolnych stolików w „Annie Boleyn” — zauważyła cierpko pani Sharpe.

— Niech pan się nie przejmuj — powiedziała Marion. — Chodzi tylko o gest. — Jeżeli raz wypijemy tę symboliczną filiżankę kawy w „Annie Boleyn”, nie przekroczyliśmy już więcej tego progu. Marion akcentowała zdania, jakby parodiowała kogoś na scenie.

— Ale Milford będzie z tego miało tylko darmową...

Pani Sharpe przerwała mu, zanim wykrztusił ostatnie słowo.

— Milford musi się przyzwyczaić do nas jako do widowiska — powiedziała oschle, ponieważ uznaliśmy, że nie możemy nieustannie tkwić w czterech ścianach.

— Ale...

— Szybko tu przywykną do widoku potworów i zaczną nas uważać za zwykłą okoliczność. Jeżeli ktoś widzi żyrafę raz do roku, to żyrafa jest dziwowiskiem; jeżeli widzi ją co dzień, staje się elementem krajobrazu. Zamierzamy stać się elementem krajobrazu Milford.

— Świetnie, chce pani stać się elementem krajobrazu. Ale

proszę coś dla mnie zrobić teraz. Firanki na pierwszych piętrach już zostały odsunięte, a w oknach pojawiły się twarze. — Proszę zrezygnować z wizyty w „Annie Boleyn”, przynajmniej proszę zrezygnować dzisiaj i proszę wypić ze mną kawę pod „Różą i Koroną”.

— Proszę pana, kawa pod „Różą i Koroną”, w pańskim towarzystwie, byłaby dla mnie prawdziwą przyjemnością, jednak w niczym nie pomoże, jeżeli chodzi o duchową niestrawność, która, o ile wolno wyrazić się potocznie, „dobija mnie”.

— Panno Sharpe, apeluję do pani. Przecież powiedziała pani, że w nastawieniu pań być może jest coś dziecinnego, więc proszę, proszę zrezygnować z tego planu, proszę nie iść do „Anny Boleyn”, niech to będzie osobiste zobowiązanie wobec mnie, jako adwokata pań.

— To szantaż — zwróciła uwagę pani Sharpe.

— Na to już nic nie można powiedzieć — stwierdziła Marion, niepewnie uśmiechając się do Roberta. — Wygląda na to, że wypijemy kawę pod „Różą i Koroną”.

Westchnęła. — Akurat kiedy już napięłam mięśnie, żeby wykonać ten gest!

— No, ale mają tupet! — okrzyk dobiegł gdzieś z nad ich głów. To samo zdanie, które przed chwilą powiedział Ben Carley, teraz nie wyrażało podziwu; kipiało w nim oburzenie.

— Nie możecie panie parkować tu samochodu — powiedział Robert. — To kłóci się bez reszty z kodeksem drogowym; istny przykład numer jeden.

— Wcale nie miałyśmy zamiaru — powiedziała Marion. — Chciałyśmy podjechać naokoło do garażu, gdzie Stanley ma zrobić coś technicznego, tam pod maską, przy pomocy jakichś instrumentów, które ma na miejscu, właśnie tutaj. Stanley odnosi się do naszego wozu naprawdę bardzo pogardliwie.

— Bardzo możliwe. Dobrze, pojedę z paniami; lepiej będzie jeżeli doda pani gazu zanim staniemy się atrakcją dla gawiedzi.

— Biedny pan Blair — powiedziała Marion naciskając starter. — Musi to być dla pana coś okropnego, przestać być

jedynie fragmentem krajobrazu, po wszystkich tych latach roztopiania się w tle.

Powiedziała to bez cienia złośliwości, przeciwnie, w jej głosie wyczuwało się szczerą sympatię, ale zdanie ugodziło go i pozostawiło w świadomości maleńkie, obolałe miejsce. Tymczasem samochód objechał róg, kierując się na Sin Lane, gdzie szczęśliwie ominął pięć chabet i jednego kuca, wlokących się gdzieś ze stajni, by wreszcie zatrzymać się w półmroku garażu.

Wyszedł do nich Bill, wycierając ręce w zaoliwiony gałgan. — Ń'dobry pani Sharpe. Cieszę się, że pani przyjechała. Ń'dobry panno Sharpe. To była czyściutka robota, ta na czole Stanley'a. Brzegi zrosły się jak zeszyte. Powinna pani zostać pielęgniarką.

— Nie. To nie dla mnie. Zabrakłoby mi cierpliwości do znoszenia kaprysów. Ale mogłabym być chirurgiem. Na stole operacyjnym nie da się za wiele kapryścić.

Z głębin garażu wyłonił się Stanley i nie zwracając uwagi na kobiety, które zaliczał teraz do grona bliskich znajomych, zajął się samochodem. — Na kiedy potrzebujecie tego wraka? — odezwał się.

— Godzina wystarczy? — spytała Marion.

— Nawet rok nie wystarczy, ale zrobię to, co można zrobić w godzinę. — Spojrzał teraz na Roberta. — Jak tam z Gwineą?

— Nie wiem; słyszałem coś o Bali Boogie.

— Nonsens — wtrąciła się pani Sharpe. — Żaden koń po Hipokratesie nigdy nie był dobry, kiedy już trzeba było walczyć. Aż przykro się robiło.

Trzej mężczyźni wpatrywali się w nią zdumieni.

— Czy pani interesuje się wyścigami? — Robert nie dowierzał własnym uszom.

— Nie. Końmi Mój brat hodował konie czystej krwi — Patrząc na twarze mężczyzn pani Sharpe wydała z siebie chichot podobny do gdakania kury. Czy pan sądzi, że każdego popołudnia wyleguję się z Biblią przy łóżku, panie Blair? A może z księgą o czarnej magii? Jasne, że nie. Raczej studiuję kolumnę wyścigów w gazecie. A Stanley'owi należy dobrze

doradzić, żeby nie marnował pieniędzy na Bali Boogie; jeżeli jakieś zwierzę zasługuje na tak nieprzyzwoitą nazwę, to z pewnością właśnie ten koń.

— To, wobec tego, który? — spytał Stanley, jak zwykle oszczędzając słów.

— Podobno koński rozum polega na tym, że koń nie stawia na ludzi. Ale jeżeli pan chce zrobić coś niedorzecznego i stawiać na konia, to lepiej już postawić na Kominsky'ego.

— Kominsky! — zawołał Stanley. — Ale zakłady na niego przyjmują jeden do sześćdziesięciu!

— Może pan, rzecz jasna, pozbyć się pieniędzy według innej stawki, jeżeli pan chce — odpowiedziała sucho pani Sharpe. — Idziemy, panie Blair?

— W porządku — powiedział Stanley. — Obstawiam Kominsky'ego. A pani ma u mnie dziesięć procent.

Poszli z powrotem pod „Różę i Koronę”; kiedy wynurzyli się ze względnej prywatności, którą zapewniała Sin Lane i znaleźli się na ulicy, Robert doznał tego samego uczucia, wystawienia na niebezpieczeństwo, które poznał podczas najgorszych nalotów. Wówczas wydawało się, że cała uwaga i cała złość groźnej nocy skupiała się na jego skulonej osobie. Tak samo teraz, przechodząc przez ulicę, w słonecznym świetle wczesnego lata, czuł się podobnie, nagi i bezbronny. Wstydził się, widząc jak Marion na pozór swobodnie i obojętnie kroczy u jego boku i miał nadzieję, że jego samopoczucie nie rzuca się w oczy, Rozmawiał na tyle naturalnie, na ile potrafił, ale dobrze pamiętał, z jaką łatwością odczytywała stan jego umysłu, czuł że robienie dobrej miny do złej gry nie jest jego największą zaletą.

Samotny kelner podnosił szylinga, którego Ben Carley zostawił na stoliku, poza tym salka była pusta. Siedli przy czarnym, dębowym stole, na którym w wazonie stał bukiet wonnego laku. Marion spytała: — Czy wie pan, że już mamy znowu szyby w oknach?

— No tak; wczoraj wieczorem w drodze do domu Newsam wpadł do mnie i powiedział mi. Elegancka robota.

— Dał im pan w łapę? — zapytała pani Sharpe.

— Nie. Po prostu napomknąłem, że był to wybryk chuliganów. Jeżeli okno wybije wiatr, człowiek niewątpliwie ma do czynienia z siłami przyrody. Podmuch wiatru traktuje się jak pecha, czyli coś, z czym trzeba się umieć pogodzić. Ale chuligaństwo to co innego. Zalicza się do kategorii: Koniecznie-Trzeba-Coś-Z-Tym-Zrobić. A więc mają panie nowe okna. Cieszyłbym się, gdyby wszystko szło tak gładko, jak wstawienie szyb.

Robert nie sądził, że jego głos brzmi jakoś inaczej, mimo to Marion uważnie spojrzała mu w oczy i zapytała: — Coś nowego?

— Boję się, że tak. Wybierałem się do pań popołudniu, żeby o tym powiedzieć. Okazuje się, że akurat w chwili, w której „Ack-Emma” porzuca sprawę — dzisiaj zamieścili tylko jeden list, i to bezbarwny — więc akurat w chwili, kiedy „Ack-Emma” zaczyna mieć dość Betty Kane, postanowił zająć się sprawą „Watchman”.

— Jeszcze lepiej! — powiedziała Marion. — „Watchman”, który porywa kaganek z mdlejących dłoni „Ack- -Emmy”; czarujący obrazek, nie ma co.

„Chcą sobie poleżeć w tej samej pościeli co »Ack- -Emma«, tak to przed chwilą ujął Ben Carley; słowa były inne, ale pogład ten sam.

— Czy ma pan szpiegów w redakcji „Watchmana”? — zapytała pani Sharpe.

— Nie, to Nevil zwietrzył sprawę. Zamierzają wydrukować list przyszłego teścia Nevila, czyli biskupa Larborough.

— No proszę! powiedziała pani Sharpe. — Toby Byrne!

— Zna go pani? — spytał Robert, jednocześnie myśląc o tym, że gdyby tylko zechciała, mogłaby zdzierać politurę ze stołu posługując się własnym głosem.

— Chodził do szkoły z moim bratankiem, synem tego brata przyssanego jak pijawka do koni. No jasne, Toby Byrne. Nic się nie zmienia.

— Domyślam się, że go pani nie lubiła?

— Nie znałam go, nigdy. Był u nas w domu, razem z moim bratankiem, podczas ferii, ale potem już nikt go nie zapraszał.

— O?

— Odkrył, bo nigdy tego nie wiedział, że chłopcy stajenni wstają bladym świtem, i był tym zaszokowany. Powiedział, że to niewolnictwo i zaczął kręcić się między tymi chłopakami, podjudzając ich do walki o ich prawa. Jeżeli się zjednoczą, oświadczył, to żaden koń nie wyjdzie ze stajni przed dziewiątą rano. Chłopcy przedrzeźniali go jeszcze przez całe lata, ale już nikt go nie zapraszał.

— Rzeczywiście, nie zmienił się zgodził się Robert. — Zawsze używa tej metody, czy chodzi o Kafrów, czy chodzi o żłobki. Im mniej o czymś wie, tym mocniej czuje się związany uczuciowo, Nevil uważa, że nic już nie da się zrobić w związku z tym listem, skoro został napisany, ponieważ biskup tego co napisze, w żadnym wypadku nie traktuje jak makulatury. Ale nie mogłem siedzieć i nic nie robić, więc po obiedzie zadzwoniłem do biskupa, zwróciłem uwagę tak taktownie jak tylko mogłem, że biskup wdaje się w sprawę bardzo wątpliwą, a jednocześnie wyrządza krzywdę dwom najprawdopodobniej niewinnym osobom. Ale mogłem oszczędzić gardła. Oświadczył, że sensem „Watchmana” jest wolność wyrażania opinii, a wywnioskował właśnie, że usiłuję dopuścić się ograniczenia tej wolności. Na zakończenie spytałem, czy jest zwolennikiem linczu, bo jak na razie robi co może, żeby lincz sprowokować. To już powiedziałem, kiedy było jasne, że sprawa jest beznadziejna i dałem sobie spokój z taktem. — Pani Sharpe nalala Robertowi kawy i Robert wziął od niej filiżankę. — To degradacja diecezji, na tle jego poprzednika, który był postrachem zła w pięciu hrabstwach, na dodatek humanistą po czubki włosów.

— A w jaki sposób Toby Byrne dochrapał się infuły? — zastanawiała się pani Sharpe.

— Podejrzewam, że w jego wyniesieniu nie najmniejszą rolę odegrał Żurawinowy Sos Cowana.

— A tak, zapomniałam. Chodzi o jego żonę. Cukru, panie Blair?

— Przy okazji, tu są dwa dodatkowe klucze do bramy we Franchise. Rozumiem, że jeden mogę zatrzymać. Myślę, że

drugi byłoby najlepiej oddać policji, tak żeby mogli zajrzeć i dopilnować, gdyby byli tacy uczynni. Również muszę panie poinformować, że mają panie teraz na usługach prywatnego agenta. — Robert opowiedział o spotkaniu z Ramsdenem w drzwiach biura o wpół do dziewiątej rano.

— A nikt nie rozpoznał zdjęcia w „Ack-Emmie” i nie napisał do Scotland Yardu? — spytała Marion. — Uczepiłam się tej myśli.

— Jak dotąd nie. Ale wciąż można mieć nadzieję.

— Mija pięć dni, od kiedy wydrukowali to w „Ack-Emmie”. Jeżeli w ogóle ktoś miałby to rozpoznać, już by się zgłosił.

— Nie bierze pani poprawki na gazety wyrzucone. Prawie zawsze to się odbywa w ten sam sposób. Ktoś rozwija paczkę z frytkami i mówi: „O Boże, skąd ja znam tę twarz?”. Albo ktoś bierze gazetę ze sterty, by wyłożyć w hotelu szufladę. Albo dzieje się jeszcze co innego. Niech pani nie traci nadziei, panno Sharpe. Z pomocą bożą i Aleca Ramsdena tryumfalnie zakończymy tę sprawę.

Marion spokojnie popatrzyła mu w oczy. — Czy naprawdę pan w to wierzy”? — spytała, jak ktoś, kto przygląda się osobliwemu zjawisku.

— Tak odpowiedział.

— Wierzy pan, że dobro w końcu zatryumfuje?

— Tak.

— Dlaczego?

— Nie wiem. Ponieważ cokolwiek innego wydaje mi się nie do pomyślenia. Tylko tyle; za tym nie kryje się nic bardziej chwalebного, czy pozytywnego.

— Mocniej wierzyłabym w takiego Boga, który nie daje biskupstwa Tony’emu Byrne’owi — powiedziała pani Sharpe.

— Nawiasem mówiąc, kiedy ukaże się list Toby’ego?

— W piątek rano.

— Nie mogę się doczekać.

W piątek w południe Robert nie był już taki pewny, że ostatecznie zatryumfuje dobro.

I to nie list biskupa podkopał tę wiarę. Właśnie wydarzenia z piątku, mówiąc obrazowo, ujęły wiatru z biskupiego żagla; i gdyby jeszcze w środę ktoś przepowiedział, że Robertowi przyjdzie żałować czegokolwiek, co posłuży przyhamowaniu biskupa, Robert nie uwierzyłby.

List jego ekscelencji okazał się nieszablonowy. „Watchman”, pisał biskup, zawsze przeciwstawiał się przemocy i również teraz nie ma zamiaru jej rozgrzeszać; są jednak sytuacje, kiedy przemoc jest tylko objawem głębokiego, społecznego niepokoju, urazów i poczucia niepewności, Czego dowodem, na przykład, świeża sprawa z Nullahbadu („Społeczny niepokój, urazy i poczucie niepewności” — jeżeli chodzi o sprawę z Nullahbadu zagnieżdżyły się w sercach dwóch złodziei, którzy nie mogąc odszukać bransolety z opalami, którą przyszlizli byli skraść, tytułem odwetu zamordowali siedmiu mieszkańców pewnego bungalowu, spokojnie śpiących we własnych łóżkach.). Nastąpiły niewątpliwie czasy, w których proletariatus czuje się bezradny jeżeli chodzi o odparcie jawnego zła, i nie ma się czemu dziwić, że jakieś bardziej porywcze osobowości uciekają się czasem do indywidualnych form wyrażania sprzeciwu. (Bill czy Stanley, pomyślał Robert, z trudem by rozszyfrowali, że przez określenie „bardziej porywcze osobowości” należy rozumieć męty, napotkane we Franchise w poniedziałek w nocy, sam zaś uznał, że „indywidualna forma wyrażania sprzeciwu” to jakby trochę za mało, kiedy chodzi o całkowite wytłuczenie szyb we wszystkich parterowych oknach. Ludzie, których należy obciążyć winą za brak spokoju („Watchman” lubował się w eufemizmach: brak spokoju, upośledzenie, niepełnosprawność, upadek, podczas kiedy cały świat mówił o przemocy, nędzy, chorobach umysłowych czy prostytutce; i do cech, które łączyły „Watchmana” oraz „Ack-Emmę” zaliczało się przekonanie, zauważył właśnie Robert, że każda

prostytutka to szczerzłota duszyczka, tyle tylko, że sprowadzona na złą drogę), tak więc ludzie, których należy obciążyć winą za brak spokoju, to nie ci zdeorientowani, którzy tak niedwuznacznie uzewnętrzniili swoje urazy, lecz władze, których słabość, nedorzeczna postawa oraz brak zapału doprowadziły do powstania rażącej niesprawiedliwości, przejawiającej się w odstąpieniu od sprawy. Część angielskiego dziedzictwa polega nie tylko na tym, że sprawiedliwości musi stać się zadość, ale że trzeba też pokazać, jak to się dzieje: zaś właściwym miejscem pokazu jest sąd.

— Co on sobie myśli? Co komu z tego przyjdzie, że policja będzie trwonić czas, szykując z góry przegraną sprawę? — spytał Robert, podczas kiedy Nevil czytał mu przez ramię.

— To przecież przeważa sprawę na naszą stronę — powiedział Nevil. — O tym, zdaje się, nie pomyślał. Jeżeli stróż prawa umarza postępowanie, to trudno wyzbyć się wrażenia, że w takim razie cygani to zmaltretowane biedactwo. Czytałeś już o maltretowaniu?

— Nie.

Sprawa pobicia wyływała na końcu. „Biedne, umęczone ciało” tej młodej i niewinnej dziewczyny — zapewnił jego ekscelencja - stało się krzyżującym oskarżeniem prawa, które to prawo nie zdołało obronić dziewczyny, a teraz zawodzi, kiedy pora ująć się za nią. Całą tę sprawę prowadzi się w sposób stanowczo wymagający wnikliwego zbadania.

— Nie da się ukryć, że w Yardzie od rana będą zachwyceni.

— Od popołudnia — poprawił Nevil.

— Od popołudnia?

— Nikt w Yardzie nie czytuje tak wątpliwych pisemek jak „Watchman”. Przejrzą je, kiedy ktoś im to przyśle, popołudniową pocztą.

Przejrzeli to jednak rano, kiedy się ukazało. Grant przeczytał „Watchmana” w pociągu. Zabrał go z lady w sklepiku razem z trzema innymi pismami nie dlatego, że akurat „Watchmana” szukał, ale dlatego, że nie gustował w kolorowych magazynach, których okładkę zdobyły piękności

wychylające się z wanny.

Robert zostawił biuro i pojechał do Franchise, biorąc ze sobą egzemplarz „Watchmana” oraz poranne wydanie „Ack-Emma”, która ostatecznie przestała interesować się sprawą. Od opublikowania środowowego listu, w bardzo umiarkowanym tonie, gazeta nie poświęciła Franchise ani wzmianki. Dzień był wspaniały: trawa na dziedzińcu Franchise aż niedorzecznie zielona, blask słoneczny nadał brudnobiałej fasadzie domu pozory wdzięku, światło odbite od ceglanego muru napępiało salon, przydając mu uśmiechu i ciepła. Siedzieli tam we troje, bardzo zadowoleni, „Ack-Emma” przestała się publicznie znęcać nad mieszkankami Franchise; list biskupa, mimo wszystko, mógł być gorszy; Alec Ramsden penetrował w ich sprawie Larborough i bez wątpienia, prędzej czy później, wykopie spod ziemi fakty, które przyniosą wybawienie; dalej: nadeszło lato, a wraz z nim krótkie, jasne noce; Stanley okazał się „prawdziwym skarbem”; wczoraj pani Sharpe po raz drugi odwiedziły Milford, zgodnie z zamiarem stania się „częścią krajobrazu”, i nie przytrafiło im się nic złego, jeżeli nie liczyć krzywych spojrzeń i paru ostentacyjnie za głośno powiedzianych zdań. W sumie, Roberta i pani Sharpe łączyło to samo odczucie: sprawy mogły stać znacznie gorzej niż stały.

— Ilu ludzi da się na to złapać — pani Sharpe chudym palcem wskazującym pukała w kolumnę, na której „Watchman” zamieszczał listy.

— Chyba niewielu. Zdaje się, że biskup ostatnio jakby trafił na boczny tor; nawet w obrębie tej kliky „Watchmana”. Nie wyszło mu na zdrowie rozdzieranie szat z powodu Mahoney’a.

— Á to znów kto? spytała Marion.

— Nie pamięta pani? Irlandzki „patriota”, który w ruchliwy dzień, na ulicy, w Anglii, włożył do koszyka przy damskim rowerze bombę; rozerwała na strzępy czterech ludzi, w tym tę kobietę, którą udało się później zidentyfikować tylko dzięki obrączce na palcu. Biskup utrzymywał, że ów Mahoney był jedynie osobnikiem zbłąkanym, lecz nie mordercą; walczył w imieniu represjonowanej mniejszości — proszę wierzyć lub

nie, chodzi o Irlandczyków — i że nie wolno zrobić z niego męczennika. Tego już było za wieie, nawet jak na „Watchmana” i, jak słyszę, od tej pory prestiż biskupa już nie jest taki jak kiedyś.

— Niesamowite, jak człowiek łatwo zapomina o sprawach, które nie dotyczą go osobiście — powiedziała Marion. — Czy tego Mahoney’a powiesili?

— Miło mi przyznać, że tak, powiesili, ku bolesnemu zdumieniu owego Mahoney’a. Tylu jego poprzedników skorzystało z ulaskawień — ponieważ nie wolno było robić z nich męczenników — że przestali uważać mordowanie za ryzykowne zajęcie. Stało się ono tak bezpieczne, jak założenie konta w banku.

— Skoro mówimy o banku — odezwała się pani Sharpe — to uznałam, że najlepiej byłoby, gdyby stała się dla pana całkowicie jasna nasza sytuacja finansowa, i dlatego może zechciałby pan skontaktować się z kancelarią pana Crowle’a w Londynie, która prowadzi nasze interesy.

Napiszę do nich, prosząc, żeby przedstawili panu wszystko, ze szczegółami, tak, że będzie pan mógł wiedzieć, na jakie liczymy wpływy, jakie ponosimy koszty, i stosownie do tego może pan pokierować wydatkami na obronę naszego dobrego imienia. Szczerze mówiąc, nie jest to cel, na który zamierzałyśmy wydawać pieniądze.

— Lepiej cieszymy się, że mamy co wydać — powiedziała Marion. — Co w takiej sprawie może począć człowiek, który nie ma ani pensa?

Prawdę powiedziawszy, Robert nie miał pojęcia.

Zapisał adres kancelarii Crowle’a i pojechał do domu, do ciotki Lin na lunch, czując się najszczęśliwszy od ubiegłego piątku, od chwili, w której na stole u Billa zobaczył pierwszą stronę „Ack-Emmy”. Czuł się jak podczas groźnej burzy, kiedy już łoskot nie dobiega wprost z nad głowy; burza wciąż trwa i może nawet jest nieprzyjemna, ale można już w myśli używać czasu przyszłego, chociaż jeszcze przed chwilą nie było nic, poza straszliwym „teraz”.

Nawet ciotka Lin na chwilę zapomniała o Franchise; w

swoich ładnych wełnach, była w doskonałym nastroju, przejęta urodzinowymi prezentami, które kupiła dla bliźnięt Letycji w Saskatchewan. Na lunch przygotowała ulubione dania Roberta, szynkę na zimno, ziemniaki z wody, jabłkowy budyń ze śmietaną i Robert, chwila po chwili, z coraz większym trudem zdawał sobie sprawę, że to właśnie piątkowego poranka obawiał się tak bardzo, kiedy to miała się zacząć kampania „Watchmana”. Wychodziło na to, że do biskupa Larborough pasuje powiedzonko „niewypał”, którego chętnie używał mąż Letycji. Teraz Robert dziwił się, jak mógł się martwić z powodu kogoś takiego.

Wrócił do biura w tym samym nastroju, a nastrój nie opuścił go i wówczas, kiedy podnosił słuchawkę telefonu; dzwonił Hallam.

— Pan Blair? — spytał policjant. — Siedzę pod „Różą i Koroną”. Boję się, że mam dla pana niedobre nowiny. Jest tu ze mną inspektor Grant.

— Pod „Różą i Koroną”?

— Tak. I ma przy sobie nakaz.

Przez chwilę umysł Roberta przestał funkcjonować. Głupio spytał: — Nakaz rewizji?

— Nie. Nakaz aresztowania.

— Nie!

— Obawiam się, że tak.

— Ale to niemożliwe!

— Przypuszczam, że to dla pana wstrząs. Przyznaję, że sam się tego nie spodziewałem.

— Chodzi panu o to, że zdołał znaleźć świadka, to znaczy decydującego świadka?

— Dwoje. Sprawa jest zapięta na ostatni guzik i przewiązana wstążeczką.

— Nie wierzę.

— Czy pan przyjdzie, czy woli pan, żebyśmy wpadli do kancelarii? Pewnie będzie pan chciał pojechać z nami.

— Gdzie pojechać? No tak. Oczywiście. Chcę. Zaraz przychodzę, w tej chwili, pod „Różę i Koronę”. Gdzie jesteście panowie? Na sali?

— Nie, w pokoju Granta. Pod piątką. To ten pokój z wykuszem, który wychodzi na ulicę, wprost nad bufetem.

— W porządku. Już idę. Niesłychane!

— Słucham?

— Nakaz dla obu?

— Dla obu.

— W porządku. Dziękuję. Będę za chwilę.

Robert usiadł, próbując zaczerpnąć powietrza i jako tako połapać się w sytuacji. Nevila nie było w firmie, zresztą Nevil w żadnym wypadku nie zapewniłby duchowego wsparcia. Robert wstał, wziął do ręki kapelusz i podszedł do drzwi „biura”.

— Czy mogę prosić na chwilę, panie Heseltine? — użył uprzejmej formuły, stosowanej przy młodszych pracownikach. W ślad za Robertem stary człowiek wyszedł do hallu, a potem na rozświetloną słońcem klatkę schodową.

— Timmy — powiedział Robert — jesteśmy w opałach. Przyjechał inspektor Grant z Głównej Kwatery, z nakazem aresztowania pań z Franchise. — Nawet kiedy to powiedział głośno, nie mógł uwierzyć, że naprawdę sprawy tak wyglądają.

Również nie mógł uwierzyć pan Heseltine; było to widać jak na dłoni Spoglądał oniemiały, a jego stare, jasne oczy wyrażały osłupienie.

— Mały szok, prawda, Timmy? — Robert nie powinien był wyglądać pomocy od słabego, starego urzędnika.

Ale wstrząśnięty czy nie, stary i słaby, pan Heseltine pozostawał właśnie urzędnikiem i oto nadchodziło wsparcie. Spędziwszy życie wśród paragrafów, pan Heseltine automatycznie zareagował na prawny opis sytuacji.

— Nakaz? — zapytał. — Dlaczego nakaz?

— Ponieważ trudno kogoś aresztować bez nakazu

— trochę niecierpliwie odpowiedział Robert. Czyżby stary Timmy przestał już ogarniać sprawy?

— Nie o to mi chodzi. Są oskarżone o występki, a nie o zbrodnię. Więc z pewnością mogli wystawić nakaz stawienia się, panie Robercie? Na pewno nie zachodzi konieczność aresztowania. Nie z powodu występku.

Robert nie pomyślał o tym wcześniej. — Nakaz stawienia się przed sądem — powiedział. — Czemu nie? Rzecz jasna, nic policji nie powstrzyma, jeżeli zechce je zaaresztować.

— Po co ma chcieć? Ludzie pokroju Sharpe nie będą uciekać. Nie popełnią następnego występku, ani nie wyrządzą następnych szkód, skoro oczekują na proces. Powiedzieli, kto wystawił ten nakaz?

— Nie. Bardzo dziękuję Timmy; jesteś jak kieliszek wypity w samą porę. Teraz idę pod „Różę i Koronę”, są tam Grant i Hallam, i muszę wziąć byka za rogi. Nic ma jak zawiadomić Franchise, bo teraz nie działa tam telefon. Po prostu muszę pojechać, pod rękę z Grantem i Hallamem. A jeszcze dzisiaj zobaczyliśmy w tym tunelu światelko! Przynajmniej tak nam się wydawało. Mógłbyś opowiedzieć wszystko Nevilowi, kiedy przyjdzie? I powstrzymaj go przed zrobieniem jakichś głupstw.

— Dobrze pan wie, panie Robercie, że jeżeli Nevil chciał coś zrobić, to ja nigdy nie byłem w stanie go powstrzymać. Aczkolwiek wydaje mi się, że w tym tygodniu Nevil był zaskakująco trzeźwy. W znaczeniu metaforycznym, rzecz jasna.

— Oby tak dalej — powiedział Robert i wyszedł na ulicę tonącą w słońcu.

Pod „Różą i Koroną” było pusto, panował bezruch wczesnego popołudnia, ani w hallu, ani na szerokich, niskich schodach Robert nie spotkał nikogo; zapukał do drzwi oznaczonych numerem piątym. Wpuścił go Grant, jak zawsze spokojny i uprzejmy. Hallam, z niewyraźną i nieszczęśliwą miną opierał się o toaletkę pod oknem.

— Rozumiem, że pan się tego nie spodziewał, panie Blair powiedział Grant.

— Nie. Szczerze mówiąc, to dla mnie wielki szok.

— Niech pan siada powiedział Grant. Nie chciałbym zmuszać pana do pośpiechu.

— Inspektor Hallam powiedział, że ma pan nowy dowód.

— Tak; sądzimy, że jest to dowód rozstrzygający.

— Czy mógłbym dowiedzieć się, co to takiego?

— Oczywiście. Mamy człowieka, który widział, że ten samochód zabiera z przystanku autobusowego Betty Kane...

— Jakiś samochód powiedział Robert.

— Dobrze, jeżeli pan woli; widział jakiś samochód, którego opis pasuje do samochodu pań Sharpe.

— Jak i do dziesięciu tysięcy innych wozów w Anglii. I co dalej?

— Dziewczyna z gospodarstwa w sąsiedztwie, która przychodziła raz w tygodniu pomagać w sprzątanii, gotowa jest przysiąc, że słyszała krzyki dobiegające z poddasza.

— Przychodziła raz w tygodniu? Więc już nie przychodzi?

— Nie, od kiedy sprawa Kane stała się głośna.

— Rozumiem.

— To nie są jakieś szczególnie cenne dowody, same w sobie, ale bardzo wartościowe jako potwierdzenie tego, co zeznała dziewczyna. Na przykład, naprawdę nie udało jej się wsiąść do autobusu z Larborough do Londynu. Nasz świadek zeznaje, że ten autobus minął go jakieś pół mili wcześniej. Kiedy w chwilę potem mógł już dostrzec przystanek, dziewczyna stała tam i czekała. Ta długa, prosta szosa w stronę Londynu przez Mainshill.

— Wiem. Widziałem.

— Tak; a więc kiedy wciąż dzielił go od dziewczyny spory kawałek drogi, zobaczył, że koło dziewczyny zatrzymał się samochód, zobaczył, że dziewczyna wsiada do środka, i wreszcie, że odjeżdża tym autem.

— Ale nie widział, kto prowadzi?

— Nie. Był za daleko.

— A ta dziewczyna z gospodarstwa, sama zgłosiła się z wiadomością o krzykach?

— Nie do nas. Opowiedziała o tym przyjaciółkom, a kiedy kompletowaliśmy informacje okazało się, że to co wie, chętnie powtórzy pod przysięgą.

— Czy swoim przyjaciółkom opowiadała o tym zanim sprawa pobicia Betty Kane stała się głośna?

— Tak.

Było to nieoczekiwane i Robert zaniemówił ze zdumienia.

Jeżeli oczywiście była to prawda — że dziewczyna napomknęła o krzykach, kiedy jeszcze nikt nic nie słyszał o kłopotach pań Sharpe — dowód okaże się zabójczy. Robert wstał; chodził teraz niestrudzenie od ścian do okna i z powrotem. Z zazdrością myślał o Benie Carley'u. Ben, w przeciwieństwie do Roberta, nie uważałby sytuacji za nieznośną, czując, że jest niekompetentny, że znalazł się w kropce. Ben byłby w swoim żywiole, umysł Bena rozkoszowałby się zarówno samym problemem, jak i widokami na przechytrzenie przedstawiciela szanowanego urzędu. Robert niejasno zdawał sobie sprawę z tego, że jego własny, głęboko zakorzeniony szacunek dla władzy państwowej jest raczej przeszkodą niż ułatwieniem; przydałoby mu się coś z wrodzonego przekonania, które miał Ben, że władza jest po to, by wprowadzać ją w pole.

— Dziękuję za szczerość — powiedział w końcu do inspektora. — A teraz taka sprawa: nie mam zamiaru lekceważyć zarzutu wobec moich klientek, ale to, o co są oskarżone, to występki, a nie zbrodnie, więc dlaczego przywozi pan nakaz aresztowania? Nakaz stawienia się w sądzie wprost wzorowo odpowiada takiemu zarzutowi?

— Z pewnością, nakaz stawienia się w sądzie byłby na miejscu — gładko zgodził się Grant. — Jednak w razie dodatkowych okoliczności obciążających, a moi zwierzchnicy w ten sposób widzą tę sprawę, wydaje się nakaz aresztowania.

Robert nie mógł powstrzymać się od cichego komentarza: do jakiego stopnia natręctwo i wtrącanie się takiego paskudztwa jak „Ack-Emma” może zaciążyć na zrównoważonych zazwyczaj ocenach Yardu. Dostrzegł spojrzenie Granta i zorientował się, że Grant czyta w jego myślach.

— Dziewczyny nie było w domu przez miesiąc, bez jednego czy dwóch dni powiedział Grant, — a do tego była pobita bardzo dotkliwie i metodycznie. To nie jest sprawa, którą można zlekceważyć.

— Ale co pan zyskuje przez areszt? — spytał Robert, pamiętając o uwagach pana Heseltine'a. — Nie ma żadnych wątpliwości, czy te kobiety stawiają się przed sądem: stawiają się.

Na pewno nie popełnią tymczasem kolejnego przestępstwa tego rodzaju. Nawiasem mówiąc: kiedy chciałby je pan widzieć na wstępnej rozprawie?

— Mam zamiar doprowadzić je przed sąd w poniedziałek.

— Wobec tego proponuję panu zastosowanie wobec nich nakazu stawienia się przed sądem.

— Moi przełożeni wybrali areszt — beznamiętnie powiedział Grant.

— Ale pan ma prawo do własnej oceny. Pańscy przełożeni, na przykład, nic nie wiedzą o sytuacji na miejscu. Jeżeli we Franchise nie będzie nikogo, to po tygodniu będzie tam tylko ruina, a nie dom. Czy pana przełożeni pomyśleli o tym? A jeżeli pan dzisiaj aresztuje te kobiety, może je pan trzymać pod kluczem tylko do poniedziałku, kiedy poproszę w sądzie o zwolnienie za kaucją. Byłoby niedobrze ryzykować chuligańskie wybryki i szkody we Franchise dla gestu, jakim w tej sytuacji będzie areszt. A inspektor Hallam nie ma wolnych ludzi do pilnowania pustego domu.

Po wymianie ciosów zapadła cisza. Zdumiewające, jak głęboko w brytyjskiej duszy zakorzeniony jest szacunek dla prywatnej własności; wyraz twarzy Granta zmienił się dopiero na wzmiankę o możliwości zrujnowania domu. Robert nieoczekiwanie dedykował życzliwą myśl wiejskim osiłkom, którzy zdążyli postarać się, by argument Roberta, poparty przykładem, sporo teraz znaczył. Również Hallamowi nie mogła być miła myśl o tym, że w jego rejonie pojawia się nowa pokusa dla awanturników i być może pojawiają się kolejni winowajcy, których trzeba będzie wykryć.

Długą ciszę przerwał właśnie Hallam, jakby wystawiając myśl na próbę: — Coś w tym jest, co mówi pan Blair.

Nastroje w okolicy nie są łagodne, i nie jestem pewien, czy ludzie zostawią dom w spokoju, jeżeli nikogo tam nie będzie. Szczególnie, jeżeli rozejdzie się wiadomość o aresztowaniu.

Jednak przekonanie Granta zajęło całe pół godziny. Jeżeli chodzi o Granta, był w tej całej sprawie jakiś wątek osobisty i Robert nie miał pojęcia o co chodzi, ani skąd się to wzięło.

— Dobrze — oświadczył w końcu inspektor. — Do

wystawienia nakazu stawienia się przed sądem nie jestem potrzebny. — Zabrzmiała w tym pogarda chirurga, którego poproszono o przecięcie czyraka; Robert zauważył to z rozbawieniem, ale i z uczuciem ulgi. — Zostawiam to Hallamowi i wracam do Londynu. Jednak będę w poniedziałek w sądzie na wstępnej rozprawie. Rozumiem, że karna rozprawa przed sądem hrabstwa jest nieunikniona, więc jeżeli nasze wyniki zostaną zaakceptowane podczas rozprawy wstępnej, sprawa trafi prosto przed sąd przysięgłych hrabstwa. Jak pan sądzi, zdąży pan z przygotowaniem obrony na poniedziałek?

— Panie inspektorze, jeżeli chodzi o obronę, to moje klientki i ja możemy być gotowi przed podwieczorkiem jeszcze dzisiaj — cierpko odezwał się Robert.

Ku swemu zdumieniu dostrzegł, że Grant uśmiecha się do niego szerzej niż zwykle; i że jest to uśmiech życzliwy. — Panie Blair, powiedział inspektor spowodował pan, że odstąpiłem od aresztowania, ale nie mam panu tego za złe. Przeciwnie, uważam, że pańskie klientki mają lepszego doradcę niż na to zasługują. Będę się modlił, żeby w sądzie nie miały aż tyle szczęścia do adwokata¹⁸. W przeciwnym razie nawet nie będę wiedział, kiedy sam zaproponuję przegłosowanie świadectwa moralności dla tych pań.

Tak więc wejście do Franchise nie odbyło się „z Grantem i Hallamem pod rękę”, no i zabrakło też nakazu aresztowania. Robert jechał znanym mu już samochodem Hallama, w którym ze schowka wystawał nakaz stawienia się w sądzie, Robertowi robiło się niedobrze zarówno na myśl o sytuacji, z której się wydostał (ulga powoduje i takie skutki), jak i na myśl o tym położeniu, w którym tkwił.

— Zdawało mi się, że inspektor Grant był jakoś osobiście zaangażowany, jeżeli chodzi o aresztowanie — odezwał się Robert podczas jazdy. — Jak pan myśli, czy to dlatego, że dogryzła mu „Ack-Emma”?

— Nie, nic podobnego — odpowiedział Hallam.

— W tego rodzaju sytuacjach Grant umie zachować dystans;

18 Robert, cywilista, nie ma prawa bronić przed sądem przysięgłych.

oczywiście, jak każdy normalny człowiek.

— No to o co chodzi?

— Cóż, to tylko moje domysły i tylko między nami; nie może im darować zrobienia z siebie głupca. To znaczy paniom Sharpe. Widzi pan, Grant znany jest w Yardzie z życzliwego sądu o ludziach, poza tym, to znów między nami, nie bardzo przejmuję się tą całą Kane, czy też jej historyjkami, a podobały mu się one jeszcze mniej, na przekór wszelkim dowodom, kiedy zobaczył te panie z Franchise. A teraz uważa, że obie panie zamydliły mu oczy. Tego Grant nie puszcza płazem. I wyobrażam sobie, że sprawiłoby mu prawdziwą przyjemność położyć nakaz aresztowania na stole, w ich własnym salonie.

Kiedy zatrzymali się przed bramą Franchise i Robert wyciągnął klucz, Hallam zaproponował: Jeżeli otworzy się obydwa skrzydła, wjadę do środka, nawet tylko na chwilę. Nie ma co rozgłaszać, że tu jesteśmy. — A Robert otwierając ciężkie, stalowe skrzydła pomyślał, że kiedy odwiedzające go aktorki powiedziały swego czasu „wasi policjanci są nadzwyczajni”, nie wiedziały nawet o połowie ich zalet. Wrócił, wszedł do samochodu, a Hallam przejechał krótką, prostą dróżką, a potem kolistym podjazdem pod wejście. Robert wysiadał z auta, a Marion właśnie wychodziła zza budynku, miała na sobie bardzo już starą spódnicę i ogrodowe rękawiczki. Wiatr odgarnął jej włosy z czoła, i czoło zmieniło się, przestało być czymś ciężkim i ciemnym, a zwracało uwagę delikatną opalenizną. Cera Marion pociemniała od wczesnego letniego słońca, Marion przypominała teraz Cygankę bardziej niż kiedykolwiek. Niemal zderzyła się z Robertem; nie miała czasu by zapanował nad sobą: jej twarz wręcz pojaśniała na widok Roberta, on zaś, patrząc na to, poczuł gwałtowne bicie serca.

— Jak się cieszę! — zawołała. — Mama jeszcze odpoczywa, ale niedługo zjedzie na dół i wypijemy herbatę. Myślę... — Przeniosła wzrok na Hallama, jej głos stracił pewność i przycichł. — Dzień dobry, inspektorze.

— Dzień dobry, panno Sharpe. Przykro mi, że przerywam

odpoczynek pani matce, może jednak zechciałaby pani poprosić ją, by zeszła. Sprawa jest ważna.

Marion milczała przez chwilę, a potem poprowadziła ich do domu. — Tak, oczywiście. Czy w sprawie zaszło... czy coś się stało? Proszę, wejdźcie panowie i siadajcie. — Zaprowadziła ich do salonu, który Robert teraz już dobrze znał — śliczne lustro, okropny kominek, krzesło z astragalowym ornamentem, drobiazgi w dobrym gatunku, przetarty dywan, zapewne niegdyś różowy, teraz brudnoszary i stojąc wpatrywała się w ich twarze, wyczuwając w ich nastroju nową groźbę.

— O co chodzi? spytała Roberta.

Odpowiedział jednak Hallam: Myślę, że lepiej będzie, jeżeli pani poprosi panią Sharpe i za jednym razem przedstawię sprawę obu paniom.

— Tak, oczywiście — przyznała i odwróciła się, by wyjść. Nie było to potrzebne. Pani Sharpe sama weszła do pokoju, i to w bardzo podobny sposób, jak wówczas, kiedy Robert i Hallam byli tu razem: krótkie kosmyki białych włosów sterczały wokół głowy tak, jak przygniotła je poduszka, ptasie spojrzenie było bystre i dociekliwe.

— Dwie kategorie ludzi — powiedziała — zajeżdżają samochodem bezszmerowo: milionerzy i policjanci. Ponieważ nie utrzymujemy znajomości z tą pierwszą grupą, a znajomości z tą drugą, przeciwnie, ożywiają się, doszłam do wniosku, że oto przyjechali jacyś znajomi z naszych sfer.

— Obawiam się, że będę jeszcze gorzej widziany niż zwykle, pani Sharpe. Przyjechałem, by pani, oraz pannie Sharpe wręczyć nakaz stawienia się przed sądem.

— Nakaz?

— Tak, nakaz stawienia się na wstępnej rozprawie, w poniedziałek, gdzie odpowiedzą panie na zarzut uprowadzenia i pobicia — widać było, że Hallam nie jest uszczęśliwiony.

— Nie mogę w to uwierzyć — powoli powiedziała Marion. — Nie mogę. Rzeczywiście oskarża nas pan o coś podobnego?

— Tak, panno Sharpe.

— Ale jakim cudem? Dlaczego teraz? — zwróciła się do

Roberta.

— Policja uważa, że znalazła się w posiadaniu rozstrzygających dowodów, których jej dotychczas brakowało — powiedział Robert.

— Jakich dowodów? — spytała pani Sharpe, reagując po raz pierwszy.

— Myślę, że najlepszy plan mógłby się tak przedstawiać: inspektor Hallam wręczy paniom nakaz stawienia się przed sądem, a potem sami szerzej przedyskutujemy sytuację.

— I pan uważa, że mamy się z tym pogodzić? spytała Marion. — Stanąć publicznie przed sądem, a to dotyczy także matki, żeby odpowiedzieć... dać się oskarżyć o coś podobnego?

— Obawiam się, że nie ma innej możliwości.

Wydawało się, że jest przestraszona bezradnością

Roberta, niemal dotknięta zaniechaniem obrony, brakiem starcia do upadłego. Z kolei Hallam, wręczając dokumenty, był chyba tego świadomy i sam poczuł coś w rodzaju urazy z tego powodu.

— Sądzę, że powinienem powiedzieć paniom, w razie gdyby nie zrobił tego pan Blair, że tylko dzięki niemu są to nakazy stawienia się przed sądem, nie zaś nakaz aresztowania, tak więc tylko dzięki niemu spędzą panie tę noc we własnych łózkach, nie zaś w celi. Proszę się nie fatygować, panno Sharpe, sam trafię do wyjścia.

Robert popatrzył na wychodzącego Hallama i przypomniał sobie, jak pani Sharpe ofuknęła inspektora, kiedy znalazł się tu po raz pierwszy; pomyślał, że teraz rachunki zostały wyrównane, jest już remis.

— Czy to prawda? — spytała pani Sharpe.

— Tak było — odrzekł Robert i opowiedział jak przyjechał Grant, by je aresztować. — Ale to nie mnie należą się podziękowania. Udało się wybrnąć z sytuacji dzięki staremu panu Heseltine'owi z biura. — Robert opowiedział, jak stary prawnik zareagował na paragrafy.

— A cóż to jest, co uważają za nowy dowód?

— Dowód mają pierwszorzędny — powiedział sucho Robert.

— Nie ma dwóch zdań. — Opowiedział o dziewczynie zabieranej do auta z przystanku autobusowego przy drodze w Mainshill. — Przecież to dowodzi tylko tego, co zawsze podejrzewaliśmy: kiedy wyruszyła z Cherrill Street, jadąc rzekomo do domu, była już umówiona. Jednak inny dowód wydaje się poważniejszy. Panie opowiadały, że raz w tygodniu przychodziła tu sprzątać kobieta, czy raczej dziewczyna, z gospodarstwa w pobliżu.

— Rose Glyn, tak jest.

— O ile się orientuję, od kiedy rozeszły się te pogłoski, przestała przychodzić.

— Od kiedy rozeszły się pogłoski... ma pan na myśli historię z Betty Kane? Ależ zwolniłyśmy ją, zanim zaczęła się ta sprawa.

— Zwolniłyście ją panie? — szybko spytał Robert.

— Tak. Co pana tak dziwi? Jeżeli chodzi o nasze doświadczenia z domowymi pomocnicami, to zwalnianie ich nie jest okolicznością zadziwiającą.

— Nie; ale mogłoby w tym wypadku wiele wyjaśnić. Za co panie ją zwolniły?

— Za kradzież — powiedziała pani Sharpe.

— Zawsze podbierała szylinga czy dwa z portmonetki, jeżeli gdzieś zostawiłam portmonetkę na wierzchu — uzupełniała Marion. — Ale ponieważ był nam naprawdę potrzebny ktoś do pomocy, przymykałam oko i starałam się, żeby portmonetki nie leżały na wierzchu. Znikały też drobiazgi, łatwe do wyniesienia, na przykład pończochy. Ale potem wyniosła zegarek, który miałam od dwudziestu lat. Musiałam przeprać parę rzeczy, mydliny oblepiają rękę, wie pan, więc zdjęłam go, a kiedy wróciłam, żeby go zabrać, zniknął. Spytałam ją o zegarek, ale oczywiście „niczego nie widziała”. Tego już było za wiele. Ten zegarek był tak samo częścią mnie, jak włosy czy paznokcie. Nie było jak go odzyskać, nie miałyśmy żadnego dowodu, że go wzięła. Ale kiedy już poszła, porozmawialiśmy o tym z mamą, i na drugi dzień rano poszłyśmy na farmę i po prostu zawiadomiłyśmy, że więcej nie chcemy jej widzieć. To był wtorek; zawsze przychodziła w poniedziałki, i tego

właśnie popołudnia, w chwilę potem, jak mama położyła się, zjawił się inspektor Grant, przywożąc policyjnym autem pannę Betty Kane.

— Rozumiem. Czy ktoś był przy tym, jak panie powiedziałyście dziewczynie, na farmie, że jest zwolniona?

— Nie pamiętam. Chyba nie. Ona nie jest związana z samym gospodarstwem, myślę, o Staplesach, to nadzwyczajni ludzie; jest córką kogoś z pracowników. O ile pamiętam, spotkałyśmy ją przed jej domem, i po prostu wyłożyłyśmy sprawę w przejściu, na stojąco.

— Jak to przyjęła?

— Zarumieniła się. Zareagowała dość nerwowo.

— Była czerwona jak burak, a nadęła się jak indor — sprecyzowała pani Sharpe. — Czemu pan pyta?

— Ponieważ jest gotowa zeznać pod przysięgą, że kiedy tu pracowała, słyszała krzyki dobiegające z poddasza.

— I rzeczywiście, zezna — z olimpijskim spokojem powiedziała pani Sharpe.

— Co znacznie gorsze, mają dowód, że wspomniała o tych krzykach zanim zaczęły krążyć jakiekolwiek plotki o przygodach Betty Kane.

Zapadła absolutna cisza. Robert jeszcze raz uświadomił sobie, jak niemy był ten dom, jak martwy. Nawet zegar stojący na kominku nie wydawał żadnego odgłosu. Pod wpływem nagłego podmuchu zasłona w oknie wyduła się, a potem wróciła na miejsce tak bezszelestnie, jakby poruszyła się na filmie, nie w rzeczywistości.

— To się nazywa dostać i pójść na deski — powiedziała w końcu Marion.

— Zgadza się.

— Pan też oberwał.

— Oberwaliśmy wszyscy; fakt.

— Nie chodzi mi o bieg sprawy.

— Nie? Więc o co?

— Staje pan przed taką oto możliwością, że kłamiemy.

— Ależ Marion! — wykrzyknął zniecierpliwiony; zwrócił się do niej po raz pierwszy po imieniu i nawet tego nie zauważył.

Przed niczym nie stoję, przed niczym nie muszę stać, a jeżeli jest tu coś nieznośnego, to fakt, że doszło do sytuacji, w której w ogóle można wybierać między twoimi słowami, a słowami jakichś przyjaciółek Rose Glyn.

Marion jednak nie słuchała. — Chciałabym — powiedziała z pasją — och, chciałabym, żebyśmy mieli jakiś okruch, przynajmniej jakiś najmniejszy okruch dowodu na naszą korzyść! Jej wszystko się udaje! Tej dziewczynie uchodzi płazem wszystko, wszystko! My wciąż mówimy tylko „nieprawda”, a nie potrafimy tego pokazać. Wszystko na „nie”. Wszystko zawieszone. Nieprzekonujące zaprzeczenia, nic więcej. Sprawy nakładają się tak, by umocnić jej kłamstwa, ale nic się nie chce przytrafić, co pomoże dowieść, że to my mówimy prawdę. Nic!

— Siądź, Marion — powiedziała matka. — Wybuchy złości niczego nie poprawia.

— Mogłabym zabić tę dziewczynę; mogłabym ją zamordować. Mój Boże, mogłabym ją torturować dwa razy dziennie jak rok długi, a potem dalej, od Nowego Roku. Kiedy pomyślę, co nam zrobiła, to...

— Proszę nie myśleć — przerwał jej Robert. — Zamiast tego proszę pomyśleć o dniu, w którym zostanie zdemaskowana przed sądem. Jeżeli coś wiem o ludzkiej naturze, to właśnie to zaboli pannę Kane znacznie bardziej niż bicie.

— I wciąż ma pan nadzieję, że to możliwe? — spytała z niedowierzaniem Marion.

— Tak. Nie mam pojęcia, jak do tego doprowadzimy, ale na pewno doprowadzimy.

— Nie mając w ręce nawet najskromniejszego dowodu, śladu dowodu; podczas kiedy dowody na jej korzyść wręcz rozkwitają?

— Tak. Mimo wszystko.

— Czy to nasz rodzimy optymizm, panie Blair — spytała pani Sharpe — czy może pana wrodzona wiara w tryumf dobra, czy co takiego?

— Nie wiem. Zdaje mi się, że w prawdzie tkwi jej własna siła i gra rolę, sama przez się.

— Dreyfus nie uznałby, że gra rolę, ani Slater, ani tych paru innych, o których nam wiadomo sucho powiedziała pani Sharpe.

— W końcu uznałby.

— Dobrze, będę szczerą, nie tęsknię za spędzeniem życia w więzieniu i czekaniu, aż prawda ujawni wrodzoną siłę i w końcu zwycięży.

A ja nie wierzę, że sprawy zajdą tak daleko; myślę o więzieniu. Panie muszą stawić się na rozprawie w poniedziałek, a ponieważ nie jesteśmy w stanie zapewnić skutecznej obrony, wobec tego sprawa zostanie przekazana do sądu przysięgłych hrabstwa. Wtedy zażądamy zwolnienia za kaucją, co oznacza, że mogą panie mieszkać w domu aż do rozprawy w Norton. Mam nadzieję, że do tej pory Alec Ramsden natrafi na ślad dziewczyny. Proszę pamiętać, że nie musimy nawet wiedzieć, co ona takiego robiła przez resztę miesiąca. Musimy tylko udowodnić, że robiła co innego tego dnia, w którym rzekomo panie ją podwoziły. Wystarczy odjąć początkową scenkę, a wali się całe przedstawienie. Moją ambicją jest by to się rozegrało publicznie.

— Chodzi panu o to, żeby tak się z nią obejść publicznie, jak „Ack-Emma” obeszła się z nami? Myśli pan, że ona miałaby coś przeciw temu? — spytała Marion. — Tak jak miałyśmy my?

— Najpierw być bohaterką sensacji prasowej, nie mówiąc już o byciu oczkiem w głowie kochającej i miłej rodziny, a potem na oczach ludzi objawić się jako kłamczucha, oszustka, podrywaczka, rozpustnica? Myślę, że miałaby coś przeciw temu. A szczególnie jedno: w rezultacie tej całej eskapady zdołała odwojować zainteresowanie Leslie Wynna, które skierował gdzie indziej, od kiedy się zaręczył, jak długo może być skrzywdzoną heroiną, tak długo może być pewna jego zainteresowania; kiedy ujawnimy jaka jest. straci go na zawsze.

— Nigdy nie przypuszczałam, że to zobaczę: śmietanka płynąca w pańskich szlachetnych żyłach, pańska wrodzona

sympatia dla rodzaju ludzkiego, ścina się, kiśnie i gorzknieje — oświadczyła pani Sharpe.

— Jeżeli poniosło ją dlatego, że chłopak się zaręczył, a mogło tak być, tylko litowałbym się nad nią. Jest w przejściowym, trudnym wieku i zaręczyny musiały być dla niej wstrząsem. Ale myślę, że to ważyło niewiele. Myślę, że jest córką swojej matki, i że wybrała tę samą drogę co matka, dość wcześnie. Równie samolubna, pobłażająca sobie, zachłanna, i równie budząca zaufanie; krew z krwi, kość z kości. Teraz już muszę iść. Powiedziałem, że będę w domu tuż po piątej, gdyby miał dzwonić Ramsden i zdać sprawę z tego, co wskórał. Chcę też zadzwonić do Kevina Macdermotta i zapewnić jego pomoc, co do obrony i tego wszystkiego.

— Boję się, że my, a raczej, że to ja okazałam się dość niewdzięczna — powiedziała Marion. — Pan dla nas tyle zrobił i wciąż robi. Ale to był naprawdę wstrząs. Tak zupełnie nieoczekiwany, ni stąd ni z owąd. Musi mi pan wybaczyć, jeżeli...

— Nie ma tu czego wybaczać. Myślę, że obie panie zniosłyście to bardzo dobrze. Czy panie mają kogoś na miejsce tej nieuczciwej, a do tego gotowej do fałszywych przysięg Rose? Przecież panie nie mogą dbać o ten ogromny dom, zdane tylko na własne ręce.

— No cóż, z sąsiedztwa nie przyjdzie nikt, to jasne. Ale Stanley — co byśmy zrobiły bez Stanley'a? — otóż Stanley zna jakąś kobietę w Larborough, którą może uda się namówić, żeby tu przyjeżdżała autobusem, raz w tygodniu. Wie pan, kiedy mam już dosyć myślenia o tej dziewczynie, wtedy myślę o Stanley'u.

Tak — powiedział Robert, uśmiechając się. — To sól ziemi.

Nawet uczy mnie gotować. Teraz umiem odwracać jaja na patelni bez rozlewania żółtka. Spytał mnie: „Czy musi pani z nimi tak postępować, jakby dyrygowała pani Filharmonią Londyńską?” A kiedy ja go spytałam, jakim cudem ma taką delikatną rękę, powiedział, że to skutek gotowania na wojskowym biwaku, kiedy ma się wszystkiego dwie na dwie stopy wolnego miejsca.

— Jak pan chce wrócić do Milford? — spytała pani Sharpe.

— Wsiądę do popołudniowego autobusu z Larborough. O naprawieniu telefonu ani słowa?

Obie kobiety uznały ostatnie pytanie za retoryczne. Pani Sharpe pożegnała się z Robertem w salonie, ale Marion przespacerowała się z nim do bramy. Kiedy szli przez krąg trawnika, zamknięty z obu stron przez rozgałęziony tutaj podjazd, Robert powiedział — To dobrze, że nie ma pani dużej rodziny, bo w takim razie przez środek trawy wydeptana byłaby ścieżka.

— Jest jak jest — powiedziała wpatrując się w nieco ciemniejszą linię na nie przycinanej trawie. — Iść naokoło, jeżeli można prosto, to za wiele, jak na możliwości natury ludzkiej.

Zwykła konwersacja, pomyślał, rozmowa o niczym. Puste słowa, dla pokrycia fatalnej sytuacji. Bardzo to dziarsko brzmiało, mówienie o sile prawdy, ale na ile były to tylko słowa? Jakie były szanse na to, że Ramsden wydobędzie dowody na czas, na poniedziałek, na wstępną rozprawę? Na rozprawę przed sądem hrabstwa? Szanse były duże, owszem, przeciw temu. Lepiej przyzwyczaić się do tej myśli.

O wpół do szóstej zadzwonił Ramsden z obiecany sprawozdaniem: od początku do końca zupełny niewypał. Owszem, była taka dziewczyna; mężczyzny nie udało się zidentyfikować jako mieszkańca „Midland” i wobec tego Ramsden nie miał o nim żadnych informacji. A co do dziewczyny, to do tej pory nie udało mu się znaleźć nowych śladów, w ogóle. Ludzie Ramsdena dostali kopię fotografii, i on sam wraz z nimi wypytywał na lotniskach, w biurach podróży, na dworcach i w hotelach, w których należałoby szukać. Nikt jej nie widział; w każdym razie nikt nie przyznał się do tego. Ramsden sam przeczesał Larborough i o tyle doczekał się pociechy, że fotografia, którą wy dostał, przydała się do czegoś, w paru przynajmniej miejscach, gdzie bywała Betty Kane, osoba na zdjęciu została łatwo rozpoznana. Na przykład w dwóch głównych kinach, gdzie,

jak zapewniały kasjerki, zawsze przychodziła sama; również w damskiej toalecie na stacji autobusowej. Poza tym Ramsden przeszukał warsztaty samochodowe i garaże, ale wrócił z niczym.

— No tak — powiedział Robert. — Facet zabrał ją z przystanku autobusowego przy drodze do Londynu, w Mainshill, tego, na który powinna była pójść, gdyby chciała wsiąść w autobus do domu. — Opowiedział Ramsdenowi o nowej sytuacji. — Teraz sprawy stają się naprawdę pilne. Rozprawę wstępną wyznaczono na poniedziałek. Gdybyśmy tylko mogli wykazać, co naprawdę robiła tego pierwszego wieczoru! Całe jej zeznanie rozleciałoby się w strzępy.

— Co to był za samochód? — spytał Ramsden.

Robert powtórzył opis, a Ramsden westchnął tak głośno, że doskonale było go słycać przez telefon.

— Tak — zgodził się Robert. — Między Londynem a Carlisle krąży dobre dziesięć tysięcy takich samych wozów. Zostawiam pana z tym, trudno. Muszę jeszcze zadzwonić do Kevina Macdermotta i zreferować mu nasze nieszczęścia.

Kevina nie było w sądzie, ani też w domu przy St. Paul's Churchyard, i w końcu Robert dopadł go w domu koło Weybridge. Wydawało się, że jest rozluźniony, pogodnie usposobiony, ale natychmiast zamienił się w słuch, kiedy dowiedział się, że policja wystarała się o dowód. Słuchał bez słowa, a Robert streszczał nowiny.

— Tak więc widzisz, Kevin, wpakowaliśmy się w okropne tarapaty zakończył.

— Sztubacka definicja — odrzekł Kevin, — ale dobrze oddaje istotę sprawy. Moja rada brzmi: podaruj im rozprawę wstępną, a skoncentruj się na sądzie przysięgłych.

— Kevin, czy nie mógłbyś przyjechać do nas na weekend i pozwolić, żebym ci wszystko dokładnie opowiedział? Wczoraj ciotka Lin przypomniała, że już mija sześć lat, od kiedy zatrzymałeś się u nas ostatni raz, więc masz zaległości, jakby nie było. Nie mógłbyś wpaść?

— Obiecałem Seanowi, że w niedzielę zabiorę go do Newsbury i wybierzemy kuca.

— A gdybyś to przełożył? Jestem pewien, że Sean nie miałby nic przeciw temu, gdyby wiedział, że chodzi o dobrą sprawę.

— Sean — oświadczył kochający ojciec — nie wykazuje śladu zainteresowania żadną sprawą, która nie przynosi mu natychmiastowych korzyści. Nieodrodny syn swego taty. Jeżeli przyjadę, przedstawisz mnie swoim czarownicom?

— Oczywiście!

— A Christina upiecze ciasteczka owocowe?

— Na pewno.

— Mogę dostać ten pokój z cytatami na makatkach?

— Kevin, więc przyjedziesz?

— Cóż, Milford to cholernie nudne strony, jeżeli nie liczyć zimy. — Chodziło o polowania; Kevin umiał oceniać krajobraz tylko z siodła. — W niedzielę miałem zamiar pojechać po wydmach. Ale kombinacja czarownic, ciasteczek owocowych i pokoju z cytatami na makatkach, to w sumie nie taka słaba pokusa, co?

Kiedy już Robert miał zamiar odłożyć słuchawkę, Kevin zrobił pauzę i powiedział: Jeszcze coś, Rob, czy już pytałem?

— Co takiego? — odpowiedział Robert i zaczął.

— Czy wziąłeś pod uwagę i taką możliwość, że policja po prostu ma rację?

— Chodzi ci o to, czy ta absurdalna historia opowiedziana przez dziewczynę nie jest mimo wszystko prawdziwa?

— Właśnie. Masz chyba taką świadomość, oczywiście tylko jako pewnej możliwości, o to mi chodzi.

— Gdybym miał, to nigdy... — Robert zaczął ze złością, a potem roześmiał się. — Przyjedź i przyjrzyj im się — powiedział.

— Przyjadę, przyjadę — upewnił go Kevin i odłożył słuchawkę.

Robert zadzwonił do garażu, a kiedy telefon odebrał Bill, zapytał, czy jest jeszcze Stanley.

— Dziwię się, że nie słyszy go pan aż u siebie — powiedział Bill.

— A co się stało?

— Właśnie ratuje kuca ze stajni Matta Ellisa, który wpadł

nam w warsztacie do kanału. Chce pan rozmawiać ze Stanem?

— Niekoniecznie. Czy byłbyś taki dobry i poprosił Stana, żeby wpadł i zabrał karteczkę do pani Sharpe, kiedy będzie jechał wieczorem do Franchise?

— Oczywiście, proszę pana. Czy mógłby pan, panie Blair, powiedzieć, czy w sprawie Franchise są jakieś nowe kłopoty, czy raczej nie powinienem o to pytać?

Oto Milford! pomyślał Robert. Jak oni to robią? Jakies pyłki informacyjne, roznoszone przez wiatr?

— Masz rację. Boję się, że właśnie tak jest — powiedział głośno. Myślę, że panie Sharpe opowiedzą wszystko Stanley'owi, kiedy przyjedzie na noc. Proszę, nie pozwól, żeby zapomniał o tej kartce, dobrze?

Wszystko będzie dobrze.

Robert pisał do Franchise, by zawiadomić, że w sobotę wieczorem przyjeżdża Kevin Macdermott, zostaje na noc i — wobec tego — czy Robert mógłby go przywieźć do Franchise w niedzielne popołudnie, zanim Macdermott wyjedzie do Londynu?

16

— Czy Kevin Macdermott, kiedy wyjedzie z Londynu, musi wyglądać jak facet trudniący się podglądaniem koni przed wyścigami? — pytał Nevil następnego wieczoru, kiedy razem z Robertem czekali, aż Kevin dokończy toalety i zejdzie na kolację.

Jeżeli chodzi o strój, wybrany na okoliczność odwiedzin na prowincji, to zdaniem Roberta, Kevin raczej przypominał w nim podrzędnego trenera, i to od skoków, nie od wyścigów; specjalistę od pomniejszych imprez; Robert powstrzymał się jednak od podzielenia tą uwagą z Nevilem. Zważywszy stroje, którymi sam Nevil od paru lat gorszył okolice, Robert uznał, że nie bardzo wypada teraz Nevilowi krytykować cudzy gust. Nevil przebrał się do kolacji w bezpretensjonalny, ciemnoszary garnitur, którego ortodoksyjność mogła

wydawać się wprost niedościgniona; najwyraźniej Nevil sądził, że obecny konformizm uprawnia go do bez troskiej niepamięci o własnych, niedawnych ekstrawagancjach.

— Christina, jak zwykle, spowita w sentymentalne piany?

— Spowita w pianę z białek, o ile mogę coś o tym powiedzieć.

Christina uważała Kevina za „wcielonego diabła” i uwielbiała go. Satanicznych właściwości Kevina nie dopatrywała się w jego powierzchowności chociaż Kevin, rzeczywiście, wygląd miał trochę diabelski ale w tym, „że dla ziemskiego zarobku broni niegodnych”. Uwielbiała go zaś dlatego, że był przystojny, że był grzesznikiem, a więc i potencjalnie grzesznikiem nawróconym, no i dlatego, że wychwalał wypieki Christine.

— O, to mam nadzieję, że po prostu robi suflet, a nie tę całą wielką konstrukcję z francuskiego ciasta. Jak sądzisz, czy Macdermott da się namówić, żeby bronić w Norton?

— Myślę, że jest za bardzo zajęty, nawet gdyby go to interesowało. Ale mam nadzieję, że przyjedzie może ktoś z młodszych prawników z jego kancelarii.

— Przygotowany przez Macdermotta?

— O to chodzi.

— Naprawdę nie mam pojęcia, dlaczego Marion musi męczyć się przyrządzaniem lunchu dla Macdermotta. A czy on wie, że Marion musi przygotować, oczyścić i umyć każdy drobiazg, nie mówiąc już o taszczeniu tego przez cały dzień tam i z powrotem po tej przedpotopowej kuchni?

— To był pomysł samej Marion, że Kevin powinien przyjechać do nich na lunch. Z czego by wynikało, że dodatkowe kłopoty uważa za sensowne.

— Och, ty zawsze miałaś kręcka na punkcie Kevina; po prostu nie masz pojęcia jak powinieneś zacząć doceniać taką kobietę, jak Marion. To... to nieprzyzwoite, że będzie marnować swoją energię na domową harówkę, taka kobieta! Mogłaby wyrąbywać sobie drogę w dżungli, pokonywać przepaście, rządzić jakimiś barbarzyńcami albo mierzyć bieg

planet. Tysiące opakowanych w norki głupich blondynek siedzą z założonymi rękami i nie mają nic do roboty poza lakierowaniem od nowa pazurów; a tymczasem Marion taszczy węgiel. Węgiel! Marion! I podejrzewam, że do czasu, kiedy się ta sprawa skończy, nie będą miały nawet pensa na pomoc domową, nawet jeżeli ktoś się w końcu trafi.

— Miejmy nadzieję, że kiedy ta sprawa już się skończy, nie będą wykonywać ciężkich robót pod nadzorem.

— Robert, nie ma prawa do tego dojść! To nie do pomyślenia!

Rzeczywiście, nie do pomyślenia. To chyba zawsze tak wygląda: uważamy za niesłychane, że ktoś, kogo znamy, idzie do więzienia.

— Wystarczy, że obie znajdą się na ławie oskarżonych; to już jest coś okropnego. Marion, która nigdy w życiu nie zrobiła nic okrutnego, nic podstępnego, nic podłego! I tylko dlatego... Wiesz, ubiegłej nocy miałem wielką frajdę, znalazłem podręcznik tortur i do drugiej w nocy zastanawiałem się, jakie wybrać tortury dla tej Kane.

— Powinieneś to robić razem z Marion. Ją to też bardzo interesuje.

— A ty co byś wybrał? — W głosie Nevila krył się ledwie słyszalny przydźwięk, pogardy mianowicie, jakby rozumiało się samo przez się, że łagodny Robert nie jest zdolny do prawdziwie mocnych uczuć. — Czy w ogóle się nad tym nie zastanawiałeś?

— Nie muszę się zastanawiać — wolno powiedział Robert.

— Zamierzam ją publicznie obnażyć.

— Co takiego?

— Nie w tym sensie. Na oczach sądu, pasemko po pasemku, obedrę ją ze wszystkich pozorów, żeby każdy zobaczył kim ona jest.

Nevil przez dobrą chwilę przyglądał mu się z zainteresowaniem. W końcu łagodnie powiedział: Amen. Nie wiedziałem, że aż tak do tego podchodzisz. Chciał jeszcze coś dodać, ale otworzyły się drzwi, wszedł Macdermott i rozpoczęła się kolacja.

Kolacja ciotki Lin była wyśmienita. Roberta wypełniło poczucie sytości wraz z nadzieją, że zabranie Kevina w niedzielę na lunch do Franchise nic okaże się błędem. Pragnął gorąco, by paniom Sharpe powiodło się z Kevinem; jednak trudno zaprzeczyć, Kevin był człowiekiem humorzastym, a panie Sharpe nie każdemu musiały przypaść do gustu. Czy lunch we Franchise okaże się atutem, do tego lunch przygotowany przez Marion dla smakosza, którym był Kevin? Kiedy Robert przeczytał po raz pierwszy zaproszenie (rano przywiózł je Stanley), bardzo ucieszył się z gestu, ale potem ogarnęły go obawy. A kiedy przez mahoniowy stół ciotki Lin w niespiesznej procesji, jedna za drugą, przesuwały się doskonałości, kiedy w tle, poza świecami, majaczyła szeroka twarz Christiny, z wyrazem gorliwej życzliwości, obawy Roberta gęstniały, póki nie zawładnęły nim bez reszty. Myśli: „panie Sharpe nie dadzą sobie z tym rady” mogła w nim wzbudzić poczucie ciepła i opiekuńczości, ale trudno byłoby liczyć na ten sam efekt w odniesieniu do Kevina.

Robert pomyślał, że Kevin wygląda na zadowolonego przynajmniej tutaj, u nich, widział jak Kevin otwarcie, zalecając się do ciotki Lin, rzuca słowo czy dwa w stronę Christiny, akurat tyle, by czuła się szczęśliwa i ufna. Mój Boże, Irlandczycy! Jeżeli chodzi o zachowanie, Nevil sięgał szczytów, dyskretnie wtrącając pełne szacunku „proszę pana” na tyle często, by Kevin poczuł, jak bardzo góruje, ale i w miarę, by nie poczuł się starcem. Z gruntu angielska, bardziej subtelna forma pochlebstwa. Ciotka Lin była promienna i zaróżowiona jak młoda dziewczyna; chłonęła komplementy niczym gąbka, następnie poddawała je jakimś procesom chemicznym i następnie zwracała, pod postacią wdzięku. Słuchając, co ciotka mówi, Robert z rozbawieniem zauważył, że obraz pań Sharpe zmienia się w oczach ciotki jak morski pejzaż. Już tylko niebezpieczeństwo uwięzienia sprawiło, że panie Sharpe awansowały z poziomu „tych kobiet” do rangi „biedactw”. Nie wpłynęła na to obecność Kevina; chodziło o zwykłą kombinację wrodzonej życzliwości oraz myślenia wolnego od nadmiernych rygorów.

To dziwne, pomyślał Robert, rozglądając się wokół stołu, że okazją do tego rodzinnego zgromadzenia tak wesołego, ciepłego, promieniującego poczuciem bezpieczeństwa jest desperacka sytuacja dwóch bezradnych kobiet, tkwiących teraz w ciemnym, niemym domostwie posadowionym wśród bezkresnych pól.

Kładł się do łóżka jeszcze przesiąknięty ciepłem spotkania, ale już czując w sercu klucie i dreszcz niepokoju. Czy tam śpią, we Franchise? Ile spały ostatnio?

Długo leżał, nim zasnął, a obudził się wcześniej, wsłuchując się w spokój niedzielnego ranka, i myśląc z nadzieją o dniu, że będzie ładny — Franchise najgorzej wyglądało podczas deszczu, kiedy brudnobiałe ściany właściwie stawały się szare — i że cokolwiek Marion wymyśli na lunch, „da sobie radę”. Tuż przed ósmą pod dom podjechał samochód od strony przedmieścia i zatrzymał się pod oknem. Ktoś zagwizdał cicho wojskowy sygnał, ściślej: sygnał kompanii „B”. Najpewniej był to Stanley. Robert wstał i wychylił się przez okno.

Jak zwykle z gołą głową — Robert nigdy nie widział na głowie Stanley’ a jakiegokolwiek nakrycia — Stanley siedział w samochodzie i wpatrywał się w Roberta z pełną tolerancją pobłażliwością.

— Hej, wy śpiochy niedzielne! — odezwał się.

— Tylko po to zbudziłeś mnie, żeby kpić?

— Nie. Mam wiadomość od panny Sharpe. Mówi, żeby pan koniecznie zabrał dzisiaj ze sobą oświadczenie Betty Kane, i żeby pan o tym nie zapomniał pod żadnym pozorem, bo to sprawa pierwszorzędnej wagi. I powiem panu, że tak jest. Że to pierwszorzędna sprawa! Panna Sharpe wygląda dzisiaj tak, jakby znalazła milion!

— Uszczęśliwiona? — spytał Robert z niedowierzaniem.

— Jak panna młoda. Daję słowo, nie widziałem kobiety w takim stanie od czasu, kiedy moja kuzynka Beulah wyszła za tego swojego Polaka. Ma twarz jak bochenek, to znaczy moja kuzynka; a tego dnia, niech mi pan wierzy, wyglądała jak Wenus, Kleopatra i Helena razem wzięte.

— Wiesz, dlaczego panna Sharpe jest taka uszczęśliwiona?

— Nie. Wypuściłem parę balonów próbnych, ale udała, że nie wie o co chodzi. W każdym razie niech pan nie zapomni zabrać egzemplarza tego oświadczenia, bo nie doczeka się pan ani odpowiedzi, ani niczego. Klucz jest w oświadczeniu.

Stanley odjechał w stronę Sin Lane, Robert zaś wziął ręcznik i powędrował do łazienki, niezmiernie zaintrygowany. Czekać na śniadanie wypatrzył oświadczenie między papierami i przeczytał je dokładnie, w skupieniu, jeszcze raz. Co takiego Marion przypominała sobie, czy też odkryła, co wprowadziło ją w taki nastrój? Gdzieś Betty Kane powinęła się noga, to pewne. Marion była promienna i Marion chciała, by przywiózł zeznanie Kane. Mogło to znaczyć tylko jedno, że Kane kłamie, a dowód tkwi w jej zeznaniach.

Dobrnął do końca dokumentu nie znajdując zdania, o które mogłoby chodzić i zaczął tropienie od nowa. Co to mogło być? Powiedziała, że padało, a tymczasem, być może, nie padało? Ale to ani istotne, ani warte uwagi, jeżeli chodzi o wiarygodność. Wobec tego autobus z Milford? Ten, który jak mówiła, wyminął je, kiedy już rzekomo jechała w samochodzie pań Sharpe? Nie zgadzały się godziny? Ale przecież policja to posprawdzała i zgadzały się. Ten „świecący napis” na autobusie? Może jeszcze było za wcześnie, może nie świecił się? Ale w takim razie chodziłoby o jakieś strzępki, a nie o czynnik podważający zeznanie.

Pragnął gorąco, żeby nie okazało się, że Marion, gorączkowo chcąc znaleźć „choćby okruszek dowodu”, wyolbrzymiła błahę sprzeczności i próbowała dopatrzeć się w nich rozstrzygnięcia. Topnienie resztek nadziei bywa znacznie gorsze niż brak nadziei w ogóle.

Troska prawdziwa niemal zupełnie wyparła troski natury towarzyskiej, o lunch. Robert właściwie przestał się martwić, czy lunch we Franchise przypadnie Kevinowi do smaku czy nie. Kiedy ciotka Lin, wychodząc do kościoła, spytała go dyskretnie: „Jak myślisz, złotko, co też one wam podadzą? Jestem niemal pewna, że żywią się, biedactwa, tymi paczkowanymi, gotowymi rzeczami prosto ze sklepu”, Robert krótko odpowiedział: — Widać, że znają się na winie, kiedy

wezmą je do ust; to powinno się spodobać Kevinowi.

— Co się stało z młodym Bennetem? — spytał Kevin w drodze do Franchise.

— Nie był zaproszony — powiedział Robert.

— Nie o to mi chodzi. Co się stało z krzykliwymi garniturami, z zadzieraniem nosa, z agresywnością á la „Watchman”?

— Ścieżki Nevila i „Watchmana” rozeszły się w związku z tą sprawą.

— No proszę.

— Nevil po raz pierwszy miał okazję zobaczyć samemu, z bliska, jak wygląda sprawa, przed którą „Watchman” pada na kolana, no i to doświadczenie, jak sądzę, okazało się dla Nevila szokiem.

— Czyżby era reformacji dobiegała kresu?

— No cóż, wiesz jak to jest; wcale nie byłbym zdziwiony. Pomijam fakt, że Nevil jest w wieku, w którym człowiek wyrasta z wielu głupstw i kiedy zmienia się z natury rzeczy; Nevil chyba rewiduje właśnie to i owo, i zastanawia się, czy może inni ulubieńcy „Watchmana” nie są akurat tyle samo warci, co Betty Kane i akurat tak samo zasługują na płomienną obronę. Na przykład Kotovich.

— No właśnie! Patriota! z naciskiem powiedział Kevin.

— Otóż to. Jeszcze w zeszłym tygodniu Nevil rozwodził się na temat naszych obowiązków wobec Kotovicha, powinności chronienia go, hołubienia, a nawet, jak myślę, wyposażenia w brytyjski paszport. Wątpię, czy dzisiaj wydawałoby mu się to takie proste. W ciągu ostatnich paru dni nadzwyczajnie wydorósł. Nawet nie wiedziałem, że Nevil w ogóle ma garnitur tego rodzaju, jak ten, który włożył wczoraj wieczorem. To z pewnością ten sam, który dostał z okazji wręczania dyplomów w szkole, bo od tego czasu nie włożył na siebie niczego aż tak normalnego.

— Myślę, że tak to pójdzie dalej. Chłopak ma głowę na karku, a kiedy zrezygnuje z tych cyrkowych numerów, okaże się mocnym punktem firmy.

— Ciotka Lin martwi się, bo Nevil, na tle sprawy

Franchise, rozszedł się z Rosemary, i ciotka teraz się boi, że Nevil już nie ożeni się z córką biskupa.

— Hurra! Powodzenia! Zaczynam lubić tego chłopaka. A ty, Rob, trochę przyłożyłeś ręki do tego zerwania, przypadkowo, ale jednak; i jeszcze zobaczysz, że ożeni się z jakąś miłą, głupią angielską dziewczyną, która da mu pięcioro dzieci, a w sobotnie popołudnie okazję do wypoczynku przy sąsiedzkiej partyjce tenisa, akurat między dwoma przelotnymi deszczami. Jest to znacznie przyjemniejszy rodzaj głupoty niż włożenie na podia i zajmowanie stanowiska w sprawach, na temat których nie ma się elementarnych wiadomości. Czy to tutaj?

— Tak, to Franchise.

— Prawdziwy „straszny dwór”.

— Kiedy go budowano nie był „straszny”. Skrzydła bramy, jak widzisz, miały ornament ażurowy, wcale niezła robota, i całe obejście widać było z drogi. A potem prosta operacja podbicia bramy arkuszami blachy zmieniła dom z czegoś zupełnie banalnego w coś, co kryje jakiś sekret.

— Jakby nie było, dom w sam raz dla Betty Kane, takiego potrzebowała. Miała szczęście, że go zapamiętała.

Robert poczuł się później człowiekiem małej wiary, leżeli chodzi o Marion; gryzło go poczucie winy, i to z dwóch powodów, zarówno w związku z zeznaniem Betty Kane, jak i z lunchem. Powinien był przecież pamiętać, jak chłodny jest umysł Marion, jak analityczny; powinien też był pamiętać o talencie pań Sharpe, brania ludzi, jakimi są, i o kojącym wpływie na osoby, które znalazły się pod wpływem tego daru. Panie Sharpe nie poczyniły najmniejszych wysiłków, by dorównać poziomowi gościnności ciotki Lin, ani też najmniejszych wysiłków, by przygotować, rytualny, sztywny lunch w jadalni. W salonie, gdzie właśnie zaświeciło słońce, nakryły stolik na cztery osoby. Był to stolik z wiśniowego drewna, bardzo miły, dzięki bezpretensjonalności, chociaż wielkim głosem domagający się wypolerowania. Ale za to połysk kieliszków do wina był wręcz brylantowy. (Jakie to podobne do Marion, pomyślał Robert,

skoncentrować się na rzeczy ważnej, a zlekceważyć pozory.).

— Jadalnia jest tu miejscem niesłychanie ponurym — powiedziała pani Sharpe. — Niech pan przyjdzie i zobaczy, panie Macdermott.

To również było typowe. Żadnego siedzenia ze szklanczkami sherry i paplania o niczym. Niech pan przyjdzie i zobaczy naszą okropną jadalnię. I gość, nim się zorientował, stawał się domownikiem.

— Powiedz mi — odezwał się Robert do Marion, kiedy zostali sami — co to jest z tym...

— Nie. Nie mam zamiaru o tym mówić, póki nie skończymy lunchu. To będzie dla ciebie miód na serce. Najbardziej zdumiewający, szczęśliwy traf, że udało mi się na to wpaść ostatniej nocy, kiedy Macdermott miał do nas przyjechać na lunch. To zmienia teraz wszystko. Nie może, jak myślę, zahamować sprawy, ale z naszego punktu widzenia zmienia wszystko. To jest ten „okrucuch”, o który modliłam się, drobiazg, świadczący za nami. Mówiłeś o tym Macdermottowi?

— O wiadomości od ciebie? Nie. Nie mówiłem. Pomyślałem, że tak będzie lepiej.

— Robercie! powiedziała patrząc na niego i kpiąco i z rozbawieniem. — Nie uwierzyłeś mi. Bałeś się, że coś kręcę.

— Bałem się, że za wiele zbudujesz na za słabym fundamencie, który może, no, może nie wytrzymać... Uważam...

— Nie bój się — upewniła go. — Wytrzyma. Mógłbyś pójść ze mną do kuchni i przynieść tacę z zupą?

Nawet z podawaniem potrafiły sobie poradzić bez zamętu czy tracenia głowy. Robert wniósł tacę z czterema płytkami miseczkami z zupą, a Marion przyniosła za nim duży półmisek z platerowaną pokrywą; najwyraźniej to było wszystko. Kiedy jedli zupę, Marion postawiła wielki półmisek przed matką, a butelkę wina przed Kevinem. Daniem była *pot-au-feu* z kury, obłożonej wszelkimi warzywami z ogrodu, a winem było Montrachet.

— Montrachet! — zawołał Kevin. — Jest pani nad-

zwyczajna!

— Robert mówił, że pan jest miłośnikiem bordeaux — powiedziała Marion, — ale to, co zostało w piwnicy starego pana Crowle'a, już nie przypomina jej najlepszych dni. Tak więc mogłam wybierać między tym winem, a bardzo ciężkim czerwonym burgundem, który jest znakomity na zimowe wieczory, ale nie byłby już taki dobry w towarzystwie kury z farmy Staplesów, zamordowanej w letni dzień.

Kevin coś powiedział na temat kobiet, mianowicie, jak rzadko wyznają się na czymś, co ani pieni się, ani wybucha.

— Szczerze mówiąc — powiedziała pani Sharpe gdyby ta partia nadawała się do sprzedaży, to pewnie sprzedałybyśmy i ją, ale byłyśmy niesłychanie zadowolone, bo butelki okazały się albo zbyt poobtlukiwane, albo zbyt różniły się, jak na sprzedaż. Wychowałam się w kuliście wina. Mój ojciec miał całkiem niezłą piwnicę, chociaż to ja miałam lepsze podniebienie niż on. Ale mój brat w Lessways miał jeszcze lepsze, przy tym miał znakomite wyczucie co do kupażowania.

— Lessways? spytał Kevin przyglądając się pani Sharpe, jakby próbował sobie coś uzmysłowić. — Chyba nie jest pani siostrą Charlie'go Mereditha?

— Właśnie, że jestem. Znał pan Charles'a? Nie mógł pan. Jest pan za młody.

— Pierwszy kuc, którego dostałem na własność, był wyhodowany przez Charlie'go Mereditha powiedział Kevin. — Miałem go siedem lat i przez ten czas ani razu nic postawił źle kopyta.

Potem, rzecz jasna, obydwójce przestali interesować się Marion i Robertem, a także, chociaż w mniejszym stopniu, jedzeniem.

Robert uchwycił spojrzenie Marion, skierowane ku niemu, rozbawione i wyrażające uznanie. Powiedział: — Wyrządzasz sobie krzyżącą niesprawiedliwość, kiedy mówisz, że nie umiesz gotować.

— Gdybyś był kobietą, zauważyłbyś, że nic nie ugotowałam. Zupę wylałam prosto z puszki, podgrzałam, dodałam trochę

sherry i trochę przypraw; kurę włożyłam do garnka tak, jak przyniosłam ją z farmy, zalałam ją wrzątkiem, dodałam wszystkiego co miałam pod ręką i zostawiłam na piecu, modląc się, żeby coś z tego wyszło; śmietankowy ser też jest z farmy.

— A te fantastyczne bułeczki, do sera?

— Robota gospodyni Stanley'a.

Śmieli się przez chwilę, razem.

Jutro miała się stać ma ławie oskarżonych. Jutro miała stać się widowiskiem, rozrywką dla Milford. A dzisiaj jej życie wciąż było jej życiem, mogła dzielić się z Robertem radosnym nastrojem, cieszyć chwilą. W każdym razie tak to wyglądało, jeżeli jej błyszczące oczy miały stanowić dowód.

Sprzed nosa tamtych dwojga zabrali talerze z serem; pani Sharpe i Kevin nawet na chwilę nie przerwali rozmowy; zebrali na tacę brudne naczynia, wynieśli do kuchni i tam zrobili kawę. Było to ogromne, ponure pomieszczenie, wyłożone kamiennymi tafiarni, ze staroświeckim zlewem, którego widok wprowadził Roberta w przygnębienie.

— W piecu kuchennym palimy tylko w poniedziałki, kiedy robimy porządki — powiedziała Marion, widząc, że Roberta ogarnęło zainteresowanie. — Poza tym gotujemy na tym małym piecyku na ropę.

Pomyślał o strugach gorącej wody, które trysnęły tego ranka do lśniącej wanny, kiedy tylko przekręcił kurek; poczuł wstyd. Nie bardzo już umiał wyobrazić sobie, po tylu latach wygody, jak wygląda życie, kiedy to kąpiel przygotowuje się, grzejąc wodę na palniku olejowym.

— Twój przyjaciel jest czarodziejem, prawda? — spytała nalewając kawę do dzbanka. — Nieco mefistofeliczny, można by się go bać jako adwokata przeciwnej strony, ale jednak jest czarodziejem.

— Nie czarodziejem, ale Irlandczykiem — ponuro oświadczył Robert. — Dla nich to równie naturalne, jak oddychanie. My, nieszczęśni Anglosasi, wlecemy się, znoimy na nasz tępy sposób i dziwimy się: jak też oni to robią?

Obróciła się, by podać mu tacę, stali naprzeciw siebie, niemal dotykając się rękami. Anglosasi mają dwie cnoty, które cenią najwyżej na świecie, cnoty, które wyjaśniają, dlaczego odziedziczyli tę ziemię: uprzejmość i spolegliwość, albo inaczej: tolerancję i odpowiedzialność, to już sprawa nazwy, słów jakie wybierzesz. Dwie cnoty, których nigdy nie mieli Celtowie; i oto dlaczego Irlandczycy nie zachowali niczego, prócz kłótności. O, do diabła! Zapomniałam o śmietance. Zaczekaj chwilę. Stoi w chłodzie, w pralni — wróciła ze śmietanką i powiedziała naśladowując wiejski dialekt: — Tak, słyszałam, że teraz ludzie mają po domach takie zmyślnie rzeczy, lodówki, czy jak tam, nie wiem, ale nam to jest całkiem niepotrzebne.

Kiedy do wypełnionego słonecznym światłem salonu przyniosła kawę, Robert pomyślał o tych ogromnych pomieszczeniach kuchennych zimą, o przenikającym do kości chłodzie, kiedy zapewne, nie było słyhać huczącego pieca, jak kiedyś, za pomyślnych dni tego domu, kiedy kucharz dyrygował pół tuzinem pomocników, a węgiel sypało się całymi wozami. Zamarzył o tym, żeby zabrać stąd Marion. Gdzie miałyby ją zabrać? Nie wiedział; jego własny dom wypełniała osobowość ciotki Lin, jej aura. Musiałoby to być miejsce, gdzie niczego nie ma do polerowania, niczego do noszenia, a wszystko funkcjonowałoby za naciśnięciem guzika. Nie chciałby zobaczyć, jak Marion spędza stare lata, na usługiwaniu kilku kawałkom mahoniowego drewna.

Przy kawie delikatnie poprowadził rozmowę w stronę ewentualnej sprzedaży Franchise kiedyś, i nabycia gdzieś klasycznego domku wiejskiego.

— Nikt Franchise nie kupi — powiedziała Marion. — To biały słoń: do niczego nie pasuje; dom jest za mały jak na szkołę, zbyt odległy, jak na mieszkania do wynajęcia, a za duży, jak dla rodziny w dzisiejszych czasach. Najlepiej nadawałby się na dom wariatów — w zamyśleniu powiedziała Marion, wbijając wzrok w ceglany mur za oknem; Robert zauważył, jak Kevin przygląda jej się przez chwilę. — W każdym razie jest przynajmniej cicho, nie ma drzew, które

skrzypią, nie ma bluszczu, który ociera się o szyby, ani ptaków, które nagle zaczną się drzeć tak, że można oszaleć. W każdym razie jest to bardzo spokojne miejsce dla steranych nerwów. Może ktoś doceni przynajmniej to.

Więc lubiła ciszę; ów bezruch, który wydawał mu się martwością. Może właśnie do tego tęskniła w Londynie, żyjąc w zgiełku, wśród rozpychania się i ciągłych pretensji, dzieląc rozdrażnienie i ciasnotę już nie mieszkań nawet, lecz kwater. Potem cichy, wielki, brzydki dom mógł się wydać niebem. A teraz już niebem dłużej nie będzie.

Pewnego dnia, Boże-spraw-żeby-to-się-stało, Robert raz na zawsze odbierze Betty Kane miłość i zaufanie, z zimną krwią obedrze ją z tego.

— A teraz — powiedziała Marion — zapraszam panów na inspekcję poddasza.

— Tak — powiedział Kevin bardzo chętnie przyjrzą się temu, co dziewczyna rzekomo rozpoznała. Wszystkie jej stwierdzenia, na mój gust, wyglądają jak wynik inteligentnego zgadywania, na przykład ten twardszy rodzaj chodnika na wyższym biegu schodów. Czy drewniana komoda; coś co na pewno musi się znajdować w domu na wsi. Czy kufer.

— Wtedy to było dla mnie straszne, to trafianie w nasze rzeczy, przedmiot po przedmiocie, zabrakło mi czasu, żeby zebrać myśli, dopiero potem zorientowałam się, jak niewiele zdołała zidentyfikować naprawdę. A przy tym strzeliła potężnego byka, tyle że nikt tego nie zauważył, aż do ubiegłej nocy. Masz to zeznanie, Robercie?

— Mam — Robert wyciągnął dokument z kieszeni.

Marion, Robert i Macdermott poszli na górę, wspięli

się po ostatnim biegu schodów i Marion poprowadziła ich na poddasze. — Przyszłam tu wczoraj wieczorem, jak zwykle podczas sobotniej rundy wokół domu ze ścierką w ręce. To nasz sposób na uporanie się z porządkami, gdyby to kogoś interesowało. Raz na tydzień przejechać po każdej z podłóg dobrą, dużą ścierką porządnie zamoczoną w wodzie z proszkiem. Zabiera to pięć minut na każdy pokój, a starczy, żeby zapanować nad kurzem.

Kevin pokręcił się wokół pomieszczenia, przestudiował widok z okna. — A więc to ten widok, który opisała — powiedział.

— Tak — odrzekła Marion — to widok, który opisała. A jeżeli dokładnie zapamiętałam słowa zeznania, i były takie, jak przypomniałam je sobie ubiegłej nocy, to powiedziała coś, czego nie mogła była powiedzieć. Robertcie, możesz przeczytać fragment, gdzie ona opisuje widok z okna?

Robert wyszukał odpowiedni akapit i zaczął czytać. Kevin wychylił się, patrząc przez okrągłe okienko, a Marion stała tuż za nim, śmiejąc się jak wiedźma.

— „Z okna na poddaszu” czytał Robert — „mogłam zobaczyć wysoki ceglany mur z wielką, żelazną bramą w środku. Za murem, na zewnątrz biegła droga; mogłam zobaczyć słupy telegraficzne. Nie, nie mogłam dostrzec ruchu, mur był za wysoki. Najwyżej wierzch ciężarówki od czasu do czasu. Nie można było niczego zobaczyć przez bramę, ponieważ była wyłożona od środka stalowymi płytami. Po wewnętrznej stronie bramy podjazd najpierw biegł prosto, potem dzielił się na dwoje, tworząc pętlę podchodzącą aż pod wejście. Nie, nie było ogrodu, tylko...”

— Co takiego? — wrzasnął Kevin i gwałtownie wyprostował się.

— Jakiego? — spytał zaskoczony Robert.

— Przeczytaj jeszcze raz ten kawałek, o podjeździe.

— „Po wewnętrznej stronie bramy podjazd najpierw biegł prosto, potem dzielił się na dwoje, tworząc pętlę podchodzącą aż pod wejście...”

Przerwał mu wybuch śmiechu Kevina. Był to nagły i krótki okrzyk tryumfu i rozbawienia.

Zapadła cisza, którą przerwało pytanie Marion: — Widzi pan?

— Tak — powiedział Kevin cicho, a jego jasne, błyszczące oczy napawały się widokiem. — Tego nie wzięła pod uwagę.

Marion usunęła się, zrobiła miejsce, i Robert mógł zobaczyć o czym mowa. Krawędź dachu z niewielkim obramowaniem zasłaniała widok na dziedziniec w takim

punkcie, w którym jeszcze nie było widać, że podjazd rozgałęzia się. Nikt więziony w tym pomieszczeniu nie mógł wiedzieć o pętli podchodzącej pod wejście.

— To było tak — powiedziała Marion, — że inspektor czytał zeznanie, kiedy siedzieliśmy wszyscy w salonie. I wszyscy wiedzieliśmy, że opis był ścisły, to znaczy, że był to ścisły opis dziedzińca; tak więc nieświadomie traktowaliśmy ten drobiazg jako oczywisty. Nawet inspektor. Pamiętam, jak patrzył tu przez okno, ale to był gest najzupełniej machinalny. Nikomu z nas nie przyszło do głowy, że widok może być inny niż ten opisany. I rzeczywiście był taki, z wyjątkiem pewnego, drobnego szczegółu.

— Z wyjątkiem pewnego drobnego szczegółu — powtórzył Kevin. — Przyjechała po ciemku i uciekła po ciemku, twierdzi, że przez cały czas była zamknięta, więc nic nie mogła wiedzieć o drodze rozdzielającej się na dwoje. Jeszcze raz, co ona mówiła o swoim przyjeździe, Rob?

Robert odszukał i przeczytał:

— „W końcu samochód zatrzymał się i młodsza kobieta, ta z ciemnymi włosami, wyszła z wozu i otworzyła dużą podwójną bramę, za którą był wjazd. Potem wsiadła i zajęła samochodem pod dom. Nie, było za ciemno, żeby zobaczyć, jaki to był dom, z jednym wyjątkiem, aż do samych drzwi wejściowych podchodziły stopnie. Nie, nie pamiętam ile, cztery czy pięć. Tak, z pewnością było ich tylko kilka.” Dalej opowiada o tym, jak została zabrana do kuchni i napojona kawą.

— Dobrze — powiedział Kevin. — A teraz jej sprawozdanie z ucieczki? Jaka to była pora?

— W jakiś czas po kolacji, jeżeli dobrze pamiętam — powiedział Robert, wertując kartki. — W każdym razie po zmroku. O, mam. — Zaczął czytać:

— „Najpierw zesłam na skrzydło schodów na piętrze, nad hallem i usłyszałam, jak rozmawiają w kuchni. W hallu było ciemno. Zesłam na dół po ostatnim biegu schodów, bojąc się, że w każdej chwili któraś z nich może wyjść i złapać mnie,

a potem rzuciłam się do drzwi. Nie były zamknięte, więc wybiegłam prosto na zewnątrz, w dół po schodach, potem do bramy i na zewnątrz na drogę. Była twarda, jak jakaś główna droga; biegłam jak długo mogłam, potem upadłam na trawę i tak leżałam, póki nie nabrałam siły, żeby uciekać dalej.”

— „Była twarda, jak jakaś główna droga” — powtórzył Kevin. — Stąd wypływa wniosek, że było za ciemno, by mogła wyraźnie dostrzec powierzchnię, po której biegła.

Na chwilę zapadła cisza.

— Moja matka twierdzi, że to wystarczy, żeby podważyć zeznanie — powiedziała Marion. Spoglądała to na Roberta, to na Kevina, bez wielkiej nadziei. — Ale wy jesteście innego zdania, tak? — to nawet nie było pytanie.

— Rzeczywiście — powiedział Kevin. — Nie wystarczy; samo nie wystarczy. Z pomocą sprytnego adwokata potrafi się z tego wywinąć. Może powiedziec, że wywnioskowała to z odgłosu samochodu, że podjazd rozgałęzia się. Czego mogłaby się naprawdę domyślać, to zwykłego zawracania wozu. Nikt nie mógłby odruchowo pomyśleć o czymś tak dziwnym, jak okrężny podjazd. Ładnie wygląda i to cały pożytek; prawdopodobnie tylko dlatego go zapamiętała. Myślę, że ten smakołyk należy zachować jako dodatek do sprawy przed sądem hrabstwa.

— Tak; spodziewałem się, że tak pan powie — odrzekła Marion. — I naprawdę nie jestem rozczarowana. Cieszyłam się nie dlatego, żebym myślała, że to nas uwolni od oskarżenia, ale dlatego, że uwalnia nas od obawy, że to już musi... musi... — Nieoczekiwanie zająknęła się, unikając spojrzenia Roberta.

— ...Nieodwoalnie musi zbrukać nasze kryształowe dusze — raźnie dokończył Kevin, a w spojrzeniu, które rzucił Robertowi kryła się pełna satysfakcji złośliwość. — Jak pani na to wpadła, kiedy przyszła tu pani posprzątać wieczorem?

— Nie wiem. Stałam, patrzyłam przez okno, właśnie miałam przed oczami widok, który opisała i marzyłam o tym, żebyśmy miały jakikolwiek, najmniejszy, mikroskopijny nawet dowód przemawiający za nami. I wtedy, nie myśląc,

bezwiednie usłyszałam głos inspektora Granta, który czyta ten fragment w salonie. Większość całej historii opowiedział nam własnymi słowami, tak. Ale te fragmenty, które spowodowały, że zjawił się we Franchise, cytował z jej zeznania. Słyszałam jego głos, miły nawiasem mówiąc, słyszałam, jak opowiada o rozdzielającym się, okrężnym podjeździe, a tymczasem stąd, gdzie byłam, nie było widać żadnego okrężnego podjazdu. Może to był odzew na cichą, niewyrażoną słowami modlitwę.

— Więc wciąż uważasz, że powinniśmy podarować im jutrzejszą rozprawę, a wszystko zgromadzić na Norton?

— Tak. Dla panny Sharpe i jej matki w gruncie rzeczy to wszystko jedno. Pokazanie się w jednym sądzie jest bardzo podobne do pokazania się w drugim, z tą różnicą, że sąd przysięgłych w Norton zapewne okaże się mniej przykry, niż wstępna rozprawa we własnym miasteczku. A z punktu widzenia pań, im jutro krócej w sądzie, tym lepiej. Nie masz żadnego dowodu do przedłożenia jutro sądowi, więc będzie to sprawa krótka, właściwie formalność. Pokażą swoje karty, ty złożysz oświadczenie, że powstrzymujecie się od obrony, potem wnioski o zwolnienia za kaucją i *voilà!*

Robertowi to bardzo odpowiadało. Nie chciał przedłużać jutrzejszych przykrych przeżyć, które czekały panie Sharpe; w każdym razie pokładał znacznie więcej zaufania w osąd ukształtowany z dala od Milford. A czego już najbardziej nie chciał, skoro przyszło do sprawy, to mianowicie półśrodka, czyli umorzenia sprawy z braku dowodów winy. Jeżeli chodzi o niego, to już nie wystarczało, skoro sprawa dotyczyła Betty Kane. Chciał, żeby została powiedziana przed sądem cała prawda o tym miesiącu, i to w obecności Betty Kane. I do chwili wyznaczenia rozprawy w Norton przecież mógł — spraw to dobry Boże! — mógł mieć przed sobą całą tę historię, gotową do zreferowania.

— Kogo wytrzaśniemy, żeby ich bronił? — odezwał się do Kevina w drodze do domu.

Kevin sięgnął do kieszeni, a Robert uznał za oczywiste, że sięga po książeczkę z adresami. Tymczasem to, co Kevin

wyciągnął, okazało się terminarzem.

— Przypadkiem nie wiesz, kiedy w Norton zaczyna się sesja sądowa? — spytał Kevin.

Robert powiedział mu i wstrzymał oddech.

— To całkiem możliwe, że udałoby mi się wpaść samemu. Zaraz zobaczymy, zaraz zobaczymy...

Robert czekał z zapartym tchem. Czuł, że jedno słowo mogłoby zniszczyć magię chwili.

— Tak — powiedział w końcu Kevin. — Mógłbym, czemu nie, o ile nic nie wyskoczy. Lubię te twoje czarownice. To mi sprawi prawdziwą przyjemność, bronić ich, w tej sfabrykowanej paskudnej aferze. Czy to nie dziwne, że ona jest siostrą starego Charlie'go Mereditha? To był jeden z tych najlepszych, właśnie on. Chyba jedyny w przybliżeniu uczciwy handlarz końmi w dziejach. Nigdy nie przestanę być mu wdzięczny za tego kuca. Dla chłopca pierwszy koń to coś bardzo ważnego. Nadaje tonację jego całemu późniejszemu życiu, nie tylko w odniesieniu do koni, w tym samym stopniu do wszystkiego innego. Coś jest w zaufaniu i przyjaźni, które zawiązują się między chłopcem, a dobrym koniem, takim który...

Robert słuchał odprężony i ubawiony. Zdał sobie sprawę, z delikatną ironią, wolną jednak całkiem od goryczy, że Kevin porzucił był jakąkolwiek myśl o winie pań Sharpe na długo przedtem, zanim Marion zaprezentowała dowód w postaci widoku z okna. Po prostu było wykluczone, żeby siostra starego Charlie'go Mereditha mogła kogokolwiek uprowadzić.

— Wciąż nie mogę się nadziwić — w małej salce sądowej Ben Carley mierzył wzrokiem gęsto wypełnione ławki dla publiczności jak to jest, że w poniedziałek rano tylu akolitów ma tak mało do roboty. Chociaż muszę przyznać, że już od jakiegoś czasu zgromadzenie nie było w aż tak dobrym guście. Zauważył pan Ubiory Sportowe? W przedostatnim

rzędzie, w żółtym kapeluszu, który się gryzie z sinym pudrem. A może to włosy? Jeżeli zostawiła w sklepie małą Godfrey, to wieczorem pewnie nie doliczy się drobnych. Wyciągnąłem tę małą, kiedy miała piętnaście lat. Podbierała pieniądze odkąd tylko nauczyła się chodzić, i podbiera dalej. Żadnej kobiety nie należy zostawiać sam na sam z kasą, nich mi pan wierzy. I ta, z „Anny Boleyn”, proszę. Pierwszy raz ją widzę w sądzie. Chociaż nie mam pojęcia jakim cudem uniknęła tego do tej pory. Siostra niezmiennie wystawia dla niej czeki, kiedy trzeba pokryć debet na jej koncie. I jeszcze nikt nie wy badał, co ona robi z tymi pieniędzmi. Ktoś ją szantażuje? Ciekawe kto? Nie wykluczyłbym, że to Arthur Wallis spod „Białego Rogacza”. Tydzień w tydzień alimenty, przesyłane pod trzema różnymi adresami, to trochę za dużo, jak na gażę pomocnika w gospodzie, a jeszcze jedna sprawa w drodze.

Robert puszczał mimo uszu gadanie Carley'a. Jednak i on sam zdawał sobie sprawę, że tym razem publiczność w sądzie to nie jest zwykła poniedziałkowa zbieranina próżniaków zabijających czas, póki nie staną otworem jakieś inne drzwi. Wiadomość rozprzestrzeniła się tajemniczymi tutejszymi kanałami i ludzie zeszli się, żeby usłyszeć akt oskarżenia przeciw paniom Sharpe. Monotonię sali sądowej ożywiły kobiece sukienki, a zwykłą tutaj senność i ciszę wyparł odgłos rozmów prowadzonych szeptem.

Jedna z twarzy, dostrzeżonych przez Roberta, która powinna być wroga, a okazała się dziwnie przyjazna, była twarzą pani Wynn; ostatni raz Robert widział panią Wynn na maleńkim spłachetku ogródka przy Meadows Lane, w Aylesbury. Nie mógł myśleć o niej jak o nieprzyjacielu. Lubił ją, podziwiał i już teraz było mu przykro z jej powodu, na zapas. Chciałby podejść do niej, powiedzieć „dzień dobry”, jednak pole zostało wytyczone, gra rozpoczęta, a Robert i pani Wynn nie występowali w tych samych barwach.

Grant jak dotąd nie pokazał się, był jednak Hallam, rozmawiał z sierżantem, tym samym, który przyjechał do Franchise tej nocy, kiedy chuligani wytlukli szyby.

— Jak spisuje się pański łapacz? — spytał Carley, robiąc

przerwę w niekończącym się komentarzu.

— W porządku, tylko że ma gigantyczny problem — powiedział Robert. — Przypomina się przysłowie o igle, wie pan gdzie.

— Jedna, słownie jedna dziewczyna, a z drugiej strony cały świat — zakpił Ben. — Nie mogę się doczekać na tę naszą panienkę, w jej własnej osobie. Boję się, że po tych wszystkich listach, które otrzymała od fanów, po propozycjach małżeństwa, po dostrzeżeniu podobieństwa do świętej Bernadetty, może uznać, że wiejska salka sądu policyjnego to trochę za mało, jak na jej występ. Nawiasem, czy miała jakieś propozycje zagrania na scenie?

— Nie słyszałem.

— Zdaje się, że mama poradzi sobie ze wszystkimi. To ona, w tym brązowym kostiumie, wygląda na bardzo rozsądną osobę. Nie mam pojęcia, jak dochowała się takiej córki... A, przecież dziewczyna była adoptowana, prawda? Okropna Przestroga. Staram się zawsze pamiętać, że ludzie wiedzą chyba bardzo mało o tych, z którymi żyją pod jednym dachem. W Ham Green była kobieta; miała córkę, której, jak sądziła, nigdy nie spuszczała z oczu, jednak pewnego pięknego poranka córka wyszła i nie wróciła; oszalała matka idzie z wrzaskiem na policję, a policja odkrywa, że ta dziewczyna, która jak się wydawało nie spędziła z dala od matki nawet jednej nocy, jest mężatką, ma dziecko; po prostu odebrała dziecko i przeprowadziła się do męża. Niech pan sprawdzi w raportach policyjnych, jeżeli pan nie wierzy w to, co mówi Ben Carley. Gdyby panu przestał się podobać pański agent, to niech mi pan da znać; dam panu adres kogoś naprawdę dobrego. No i proszę, zaczyna się.

Na widok wysokiego sądu wstał z szacunkiem, nie przerywając monologu, który poświęcony był teraz cerze wysokiego sądu, jego ewentualnym nastrojom, oraz przypuszczeniom, na czym to wysokiemu sądowi upłynęła niedziela.

Wpierw wywołano trzy rutynowe sprawy; starzy grzesznicy, dobrzy znajomi wysokiego sądu, byli tak zżyci z procedurą, że nawet uprzedzali zadawane pytania, a Robert podświadomie

czekał na czyjś sprzeciw: „Chwileczkę, nie za szybko, czy nie można trochę zwolnić?”

A potem zobaczył, że cicho wchodzi Grant, że siada z tyłu za ławką prasową, najwyraźniej w roli obserwatora; Robert wiedział już, że nadeszła pora.

Weszły razem, kiedy zostały wywołane ich nazwiska i zajęły miejsca w okropnej, małej ławce, jakby nie chodziło o nic więcej niż zajęcie miejsc w kościele. Rzeczywiście, raczej tak to wyglądało, pomyślał, spokojne spojrzenia wyrażające gotowość przestrzegania reguł i wrażenie, że czeka się na początek ceremonii. Nagle Robert wyobraził sobie jednak, co czułby sam, gdyby na miejscu pani Sharpe znalazła się ciotka Lin, i chyba po raz pierwszy zdał sobie sprawę z tego, jak musi cierpieć Marion ze względu na matkę. Jeżeli sąd przysięgłych hrabstwa nawet uwolni je od winy, to co mogłoby być zadośćuczynieniem za to, czego już doznały? Jaka kara za to przestępstwo należy się Betty Kane?

Robert, po staroświecku, wierzył w odpłatę za zło. Mógł nie całkiem zgadzać się ze Starym Testamentem i Mojżeszem, nie zawsze oko za oko, jednak na pewno zgadzał się z Gilbertem: kara musi odpowiadać przestępstwu. Nie miał nic wspólnego z przekonaniem, że kilka łagodnych rozmów z kapłanem, a następnie obietnica poprawy, zamienią kryminalistę w godnego szacunku obywatela. Wasz prawdziwy przestępca - Robert przypominał sobie, co mówił Kevin pewnego wieczoru podczas długiej dyskusji na temat reformy systemu karania ma dwie niezmiennie cechy i właśnie one czynią z niego przestępcę: to monstrualna próżność i niebawale samolubstwo. Obie są tak integralną częścią charakteru, są tak nieusuwalne, jak struktura skóry. Równie dobrze moglibyście rozprawiać o „reedukacji” koloru oczu.

— Jednak — ktoś oponował — są ludzie monstrualnie próżni, samolubni, prawdziwe potwory, którzy nie zostają przestępcami.

— Ponieważ pastwią się nad swoimi żonami, więc zostawiają w spokoju banki — stwierdził Kevin. — Całe tomy zapisano próbując zdefiniować zbrodniarza, chociaż jest bardzo

prosta definicja. Przestępca to człowiek, który z chęci natychmiastowego zaspokojenia osobistych pragnień czyni główną sprężynę swoich poczynań. Człowieka z egoizmu uleczyć nie można, ale można sprawić, by dogadzanie egoizmowi nie opłacało się. Lub prawie nie opłacało.

Zdanie Kevina na temat systemu i jego reformy sprowadzało się, o ile Robert pamiętał, do deportowań do kolonii karnej; chodziło o wyspę, której społeczność musiałaby ciężko pracować. Tej reformie nie przyświecał interes więźniów. Natomiast znośniejsze stałoby się życie strażników, powiedział Kevin, poza tym na naszej zatłoczonej wyspie przybyłoby miejsca na domy i ogródki dobrych obywateli, a ponieważ większość kryminalistów bardziej niż cegokolwiek pod słońcem nienawidzi ciężkiej pracy, byłby to w sumie plan o wiele bardziej odstrasający niż obecny, który jak oceniał Kevin, nie wydaje się bardziej represyjny od porządków w trzeciorzędnej szkole publicznej.

Patrząc na dwie postaci w ławie oskarżonych Robert pomyślał, że w „dawnych, mrocznych czasach” stawiano pod pręgierzem tylko winnych. Dzisiaj pod pręgierz trafiają nieosądzeni, za to winni natychmiast nikną w bezpiecznych odmętach niepamięci. Coś gdzieś poszło nie tak jak trzeba.

Stara pani Sharpe miała na głowie czarny, jedwabny, płaski kapelusz, w którym przyszła kiedyś do kancelarii Roberta, tego pamiętnego ranka, kiedy w sprawę wdała się „Ack-Emma”; wyglądała nienagannie, szacownie, lecz i nieco dziwnie. Marion również miała na głowie kapelusz, jak sądził Robert, nie tyle przez szacunek dla sądu, co ze względu na gapiów. Kapelusz był z samodzielnego filcu, z małym rondem; ten tak bardzo tradycyjny strój w pewnym stopniu zmniejszał wrażenie towarzyszące Marion, że to ona sama jest dla siebie prawem. Kiedy schowała pod kapeluszem czarne włosy, a błyszczące oczy ocieniło rondo, nie przypominała Cyganki bardziej niż pierwsza lepsza kobieta, sporo przebywająca pod gołym niebem. Chociaż Robertowi było żal i czarnych włosów, i błyszczącego wzroku, pomyślał, że stało się bardzo dobrze; Marion powinna wyglądać tak „zwyczajnie” jak tylko możliwe. Mogło to stępić

instynktowne pragnienie, „zadziobać-ją-na-śmierć”, które przenikało wrogą zbiorowość.

Potem zobaczył Betty Kane.

Na ławie dla prasy zrobił się ruch, i właśnie z niego Robert wywnioskował, że Kane znalazła się w sądzie. Zazwyczaj ławę okupowało dwóch znudzonych adeptów szlachetnej sztuki reportażu: jeden pracował dla pisma „Milford Advertiser” (ukazuje się w piątki, raz na tydzień), drugi zaś jednocześnie poświęcał się dla pism „Norton Courier” (wtorki i piątki) oraz „Larborough Times”, a również dla każdego, które by tego zechciało. Jednak dzisiaj ława dla prasy była pełna, a twarze ani młode, ani znudzone. Twarze należały do ludzi zaproszonych na posiłek i gotowych bez zastrzeżeń go zjeść. A dwie trzecie tego, po co przyjechali, to była Betty Kane.

Robert po raz ostatni widział ją we Franchise, stojącą w salonie, w szkolnym płaszczyku, a teraz na nowo zdumiony był jej młodością, wrażeniem szczerości i niewinności. W ciągu tygodni, które minęły od kiedy ją zobaczył, Betty Kane w wyobraźni Roberta wyrodziła się w potwora; myślał o niej wyłącznie jak o przewrotnej kreaturze, która zaprowadziła na jawę oskarżonych dwie Bogu ducha winne istoty. Teraz, znów mając przed oczami prawdziwą Betty Kane, z krwi i kości, poczuł się głęboko zakłopotany. Wiedział, że ta właśnie dziewczyna i wymyślony przez niego potwór są jednym i tym samym, ale z trudem potrafił sobie to uprzytomnić. A jeżeli on sam, który sądził, że tak dobrze zna Betty Kane, reagował w ten sposób na jej obecność, to czego trzeba się będzie spodziewać w odpowiednim czasie po ławie przysięgłych; jakie wrażenie sprawi jej dziecięcy wdzięk na tych dobrych i porządnym ludziach?

Nie miała na sobie stroju szkolnego, lecz ubranie „niedzielne”. Kolor kostiumu przywodził na myśl dym płonącego drewna, niezapominajki, hiacynty, letnie zamglenie horyzontu, a ponadto musiał zamącić w głowach trzeźwym mężczyznom. Prosty kapelus, doskonale dobrany, w sam raz dla młodej osoby, zsunięty był trochę do tyłu i odsłaniał ujmujące, pięknie sklepione czoło i szeroko osadzone oczy. Robert bez namysłu

uwolnił od podejrzeń panią Wynn, że ubrała tak Betty Kane ze względu na okoliczności i chęć wywarcia wrażenia, miał jednak gorzką świadomość, że gdyby pani Wynn spędziła na rozmyślaniami bezsenne noce, nie mogłaby lepiej wybrać.

Kiedy wywołano nazwisko i kiedy Betty Kane podchodziła do barierek dla świadków, Robert ukradkiem spojrzął na twarze tych, którzy mogli ją widzieć z bliska. Z wyjątkiem Bena Carley'a, który patrzył na dziewczynę, jak na eksponat w muzeum, na twarzach mężczyzn malował się tylko jeden wyraz: tkliwego współczucia. Kobiety, jak zauważył Robert, nie poddawały się tak łatwo. Te bardziej macierzyńskie były, rzecz jasna, przejęte jej młodością i kruchością, ale młodsze opanowane były tylko uczuciem ciekawości, niczym więcej.

— Nie mogę w to uwierzyć, no nie mogę! — powiedział Ben *sotto voce*, kiedy Betty Kane składała przysięgę. — Wyobraża pan sobie to dziecko, że wypuszcza się na cały miesiąc? Nie uwierzę, że w życiu pocałowała cokolwiek poza książeczką do nabożeństwa.

— Ściągnę świadków, którzy to udowodnią — wymamrotał Robert, wściekły, że dał za wygraną nawet Carley, razem ze swoją elokwencją i cynizmem.

— Może pan sprowadzić dziesięciu niepodważalnych świadków, a ława wciąż nie będzie przekonana; a to ława przysięgłych się liczy, drogi przyjacielu.

Rzeczywiście, która ława przysięgłych uwierzy w jakikolwiek jej występki!

Przysłuchując się, jak sąd przemierza wraz z nią jej własną opowieść, Robert przypomniał sobie opinię Alberta, „przyjemna, dobrze wychowana dziewczyna”, w której nikt nie mógłby dostrzec ani kobiety, ani, tym bardziej, chłodnej znajomości rzeczy, z jaką umiała zwabić upatrzonemu mężczyznę.

Miała bardzo miły głos: młody, jasny, czysto brzmiący, bez śladu akcentu czy afektacji. Historię wyłożyła jak wzorowy świadek; nie wtrącała niczego nieproszona, mówiła jasno. Dziennikarze zmuszali się, by nie odrywać wzroku z nad swoich stenogramów. Wysoki sąd był zachwycony (Boże, ześlij do

Norton kogoś twardszego!). Policjanci w przyływie sympatii z lekka pocili się. Publiczność sądowa siedziała z zapartym tchem, jak przykuta.

Nikt nigdy nie słuchał żadnej aktorki z większą uwagą.

Na ile można było dostrzec, była całkiem spokojna i na pozór nieświadoma wrażenia, które wywołuje. Nie zrobiła najmniejszego wysiłku, by cokolwiek podkreślić, lub by posłużyć się jakimś szczegółem w dramatyczny sposób. W końcu Robert przyłapał się na zastanawianiu, czy niedopowiadanie było stosowane rozmyślnie, i czy dziewczyna naprawdę wiedziała, jak mocne wrażenie wywiera ta technika.

— I czy rzeczywiście reperowałaś bieliznę?

— Tego. wieczór u byłam zbyt opuchnięta od bicia. Ale naprawiałam później, trochę.

Jakby powiedziała po prostu: „Byłam zbyt zajęta, bo grałam w brydża”. I to właśnie nadawało cechę niebywalej prawdziwości wszystkiemu, co mówiła.

Również nie było po niej widać ani śladu tryumfu, żadnego zadatku na rzecz przyznania jej racji. To i owo powiedziała o miejscu uwięzienia, to i owo dowodziło, że właśnie było tak, a nie inaczej. Nigdy jednak nie okazała satysfakcji z tego powodu. Kiedy zapytano ją, czy poznaje dwie kobiety na ławie oskarżonych, i czy to właśnie te kobiety uwięziły ją i biły, ciężko popatrzyła w ich stronę, pomilczała przez chwilę, a potem powiedziała, że poznaje, i że to one.

— Czy chce pan zadać pytania, panie Blair?

— Nie, wysoki sędzie. Nie mam pytań.

To spowodowało coś w rodzaju małego zamieszania i rozczarowania wśród sądowej publiczności, która miała nadzieję, że zobaczy jakiś dramat, ale przez wtajemniczonych przyjęte zostało bez mrugnienia okiem; uważali za pewne, że sprawa trafi do innego sądu.

Hallam przedłożył już oświadczenie i teraz, po wystąpieniu dziewczyny, mieli pojawić się świadkowie.

Mężczyzna nazwiskiem Piper, który widział, jak wsiadała do samochodu, okazał się urzędnikiem pocztowym, jego zajęciem było sortowanie przesyłek. Pracował w wagonie pocztowym,

który kursował między Larborough a Londynem, i po kursie powrotnym wysiadł na stacji w Mainshill, ponieważ stamtąd miał bliżej do domu. Szedł właśnie tą długą, prostą drogą wybiegającą z Mainshill w stronę Londynu, kiedy zauważył, że młoda dziewczyna czeka na przystanku, przy którym zatrzymują się autobusy do Londynu. Był od niej jeszcze daleko, ale zauważył ją, ponieważ pół minuty temu autobus londyński przejechał obok Pipera, zanim jeszcze Piper zobaczył przystanek; więc zdał sobie sprawę, że dziewczyna spóźniła się. Kiedy szedł w jej stronę, wciąż jeszcze oddalony o spory kawałek drogi, wyprzedził go samochód. Nawet nie rzucił okiem w stronę wozu, ponieważ całą uwagę skupił na dziewczynie i na zastanawianiu się, czy powinien do niej podejść i powiedzieć, że autobus już odjechał. A wtedy zobaczył, że samochód zatrzymał się koło dziewczyny. Schyliła się i zamieniła parę zdań z kimś, kto był w środku, a potem wsiadła i odjechała.

Był już na tyle blisko, że mógł opisać auto, ale nie na tyle, by odczytać numery. Zresztą, jakoś nie myślał o odczytywaniu numerów. Po prostu był zadowolony, że tak szybko znalazł się ktoś, kto dziewczynę podwiózł.

Nie przysiągłby, że dziewczyna, o której mówi, to ta sama, która tu zeznawała. Miała na sobie taki jakiś płaszczyk, chyba szary i czarne pantofle.

Pantofle?

No tak, te buty, co to nie mają w poprzek paska.

Czółenka.

Niby tak, czółenka, ale on mówi na nie pantofle. (I ma szczyry zamiar nadal tak je nazywać, jak zdradzał ton głosu.).

— Czy chce pan zadać pytania, panie Blair?

— Dziękuję, nie, wysoki sędzie.

Potem pojawiła się Rose Glyn.

Na Robercie przede wszystkim zrobiła wrażenie wulgarna doskonałość jej zębów. Wydały mu się podobne do sztucznej szczęki zrobionej przez niezbyt mądrego dentystę. Z pewnością nigdy nie było i nigdy nie będzie zębów tak olśniewająco doskonałych jak te, które zademonstrowała Rose Glyn jako

prawe dziedzictwo swego mlecznego użębienia.

Jak się zdaje, zęby również nie spodobały się wysokiemu sądowi, i Rose Glyn szybko przestała się uśmiechać. Mimo to jej zeznanie okazało się dostatecznie zabójcze. Zwykle chodziła do Franchise co poniedziałek, sprzątać dom. W poniedziałek, w kwietniu, była tam jak zawsze i zbierała się już do wyjścia, wieczorem, kiedy usłyszała krzyk dobiegający gdzieś z góry. Pomyślała, że coś się stało pani albo pannie Sharpe, więc pobiegła w stronę schodów. Krzyk dobiegał z daleka, jak gdyby aż z poddasza. Chciała wbiec na schody, ale pani Sharpe wyszła z salonu i zapytała, o co chodzi. Rose powiedziała, że ktoś na górze krzyczy. Pani Sharpe powiedziała, że to nonsens, że Rose coś się przywiduje, a w ogóle czy to nie pora iść do domu. Tymczasem krzyki ustały. Kiedy pani Sharpe mówiła, ze schodów zeszła jej córka. Panna i pani Sharpe wyszły, a pani starsza coś mówiła, że „trzeba być bardziej ostrożną”. Rose wystraszyła się, nie umie powiedzieć dlaczego, wyszła do kuchni, zabrała pieniądze stamtąd, gdzie zawsze jej zostawiano, z gzymsu kuchennego, i wybiegła z domu. To było 15 kwietnia. Datę pamięta, ponieważ zdecydowała się, że następnym razem, w przyszły poniedziałek, wypowie paniom Sharpe, zgodnie z umową, tydzień naprzód; rzeczywiście tak zrobiła, i od tej pory nie pracowała we Franchise, to znaczy od poniedziałku 29 kwietnia.

Dla Roberta niewielką pociechą było złe wrażenie, jakie Rose najwyraźniej wywarła na wszystkich. Jej jawne upodobanie do dramatycznych efektów, oczywista złośliwość i straszliwy wręcz ubiór, tandeta rodem z choinki, kontrastowały wyjątkowo niefortunnie z umiarem, zdrowym rozsądkiem i poczuciem smaku jej poprzednika przy barierce. Sądząc z wyrazu twarzy, ludzie na sali uznali ją za kocmołucha i nikt nie wierzył jej nawet za pensa. Ale nic z tego nie wynikało, jeżeli chodzi o samo zeznanie, które właśnie złożyła pod przysięgą.

Robert pozwolił jej odejść, ale zastanawiał się, czy jest sposób, by — tak to powiedzmy — przyklepić do niej sprawę zegarka. Jak na dziewczynę ze wsi, nie wprawioną w

korzystanie z lombardów, wydawało się mało prawdopodobne, że ukradła zegarek, by go sprzedać; prawdopodobnie zamierzała go zatrzymać. Jeżeli tak, to może istniał sposób, by skazać ją za kradzież, i w ten sposób w jakiejś mierze podważyć zeznanie?

Na miejscu Rose pojawiła się jej przyjaciółka, Gladys Rees. Była równie drobna, blada i szczupła, jak jej przyjaciółka obfita. Wystraszona, niespokojna, składała przysięgę z wahaniem. Mówiła z akcentem, rozciągała do tego stopnia głoski, że nawet wysoki sąd z trudem szedł w trop za tą wymową, oskarżenie zaś kilka razy musiało zająć się przekładem co dzikszych porywów tej angielszczyzny na frazy bliższe mowy potocznej. Jednak sens wywodów był jasny. Wieczorem, w poniedziałek 15 kwietnia, poszła na spacer z przyjaciółką, Rose Glyn. Nie, nie z jakiegoś specjalnego powodu, zwykły spacer po kolacji. Do High Wood i z powrotem. I wtedy Rose Glyn powiedziała, że przestraszyła się we Franchise, ponieważ słyszała czyjś krzyk, gdzieś na górze domu, chociaż rzekomo nikogo tam nie było. Ona, Gladys, wie, że był to poniedziałek 15 kwietnia, pamięta, Rose jej to wyraźnie powiedziała, ponieważ Rose wtedy powiedziała, że chce za tydzień wypowiedzieć. I rzeczywiście, wypowiedziała we Franchise; nie pracowała już więcej dla pań Sharpe od 29 kwietnia.

— Ciekaw jestem, co nasza kochana Rose ma na nią — powiedział Carley, kiedy dziewczyna wyszła zza barierki.

— Dlaczego pan myśli, że coś na nią ma?

— Ludzie nie przychodzą tu, żeby krzywoprzysięgać tak sobie, po przyjaźni. Nawet wiejskie tumany w rodzaju Gladys Rees. Ten nieszczęsny, głupi szczurek był sztywny ze strachu. Nigdy nie przyszłaby tu dobrowolnie. Nie, ten oleodruk ma na nią jakiegoś haka. Może warto się zainteresować, skoro pan w tym tkwi.

— Czy pamiętasz numer swojego zegarka? — zwrócił się Robert do Marion, kiedy odwoził obie panie do Franchise. — Tego, który ukradła Rose Glyn?

— Nawet nie wiedziałam, że zegarki mają numery

powiedziała Marion.

— Te lepsze mają.

— Mój był dobry, ale nic nie wiem o żadnym numerze. Chociaż bardzo się wyróżniał. Miał bładoniebieską emaliowaną tarczę ze złotymi cyframi.

— Rzymskimi?

— Tak. Czemu pytasz? Nawet jeżeli trafi do mnie, już nie mogłabym go nosić, po tej dziewczynie.

— Nie tyle myślałem o odzyskaniu zegarka, co o skazaniu jej za kradzież.

— To by było miłe.

— Nawiasem: Ben Carley powiedział o niej „ten oleodruk”.

— Znakomite! Właśnie tak wygląda! To ten styl! Mówisz o człowieczku, do którego chciałeś nas upchnąć, wtedy, pierwszego dnia?

— O nim.

— Jak się cieszę, że nie pozwoliłam na to.

— Mam nadzieję, że tak samo będziesz się cieszyć po zakończeniu sprawy — powiedział Robert, nagle trzeźwiejąc.

— Nawet nie podziękowałyśmy panu za poręczenie naszej kaucji — odezwała się z tylnego siedzenia pani Sharpe.

— Gdybyśmy zaczęły dziękować mu za wszystko, nie byłoby temu końca — powiedziała Marion.

Gdyby nie to, pomyślał, że udało mu się przeciągnąć na ich stronę Kevina Macdermotta — a w końcu to był tylko przypadek, kwestia przyjaźni — co takiego mógł dla nich zrobić? Za dwa tygodnie i parę dni muszą stanąć przed sądem przysięgłych hrabstwa i właściwie nic nie mają na swoją obronę.

18

We wtorek gazety miały swój dzień.

Teraz, ponieważ sprawa trafiła już do sądu, sytuacja nie sprzyjała krucjatom ani „Ack-Emmy”, ani „Watchmana”, chociaż „Ack-Emma” nie omieszkła przypomnieć wdzięcznym

czytelnikom, że tego i tego dnia właśnie w „Ack-Emie” napisano to i to, słowem było to zwykłe stwierdzenie faktu, z pozoru niewinne i nie podlegające krytyce, a w gruncie rzeczy nafaszerowane wzbronionym przeciw komentarzem; Robert nie żywił też złudzeń, że w piątek „Watchman”, przyzna sobie podobne zasługi, w równie powściągliwy sposób. Natomiast inne gazety, które do tej pory nie tak bardzo interesowały się tematem policyjnej obojętności wobec zła, teraz ocknęły się z radosnym okrzykiem i zaczęły relacjonować sprawę, wartą już pierwszej kolumny. Nawet co trzeźwiejsze dzienniki tytułowały sprawozdania z pojawienia się pań Sharpe przed sądem: „Wyjątkowa sprawa”, „Niezwykłe oskarżenie” i podobnie. Mniej powściągliwe zapewniły czytelnikom pełny opis postaci, nie pomijając kapelusza pani Sharpe, błękitnego kostiumu Betty Kane, zdjęć Franchise, High Street w Milford, szkolnych przyjaciółek Betty i czegokolwiek, co miało chociażby wąty związek ze sprawą.

A Robertowi pękało serce. Zarówno „Ack-Emma”, jak i „Watchman”, każde po swojemu, potraktowały sprawę Franchise jako pole do popisu; jako coś, czego używa się ze względu na chwilową wartość, a co porzuca się na drugi dzień. Teraz jednak sprawa wzbudziła zainteresowanie w całym kraju, donosiła o niej każda gazeta od Kornwalii po Północną Szkocję; liczne znaki wskazywały, że rodzi się *cause célèbre*.

Po raz pierwszy poczuł, jak ogarnia go desperacja. Wypadki, jak psy, rzucały mu się do gardła, on zaś nie miał gdzie uciec. Cała sprawa piętrzyła się. W Norton należało oczekiwać jakiejś kolosalnej kulminacji, a on nic nie miał w ręce; nic, co mogłoby być jego udziałem w tej kulminacji; po prostu nic. Czuł się jak człowiek, który widzi, że ogromny stos ciężkich skrzyń przechyla się, ale on sam nie może ani cofnąć się, ani przeszkodzić katastrofie.

Podczas rozmów telefonicznych Ramsden stawał się coraz bardziej małowówny i coraz mniej wspierał na duchu. Ramsden był rozdrażniony. Przymiotnik „zafrasowany”, który tak często występuje w detektywistycznych opowiadaniach dla młodzieży, nie mógł, jak dotąd, nawet w najodleglejszy sposób

kojarzyć się z Alexem Ramsdenem. Wobec tego trzeba powiedzieć, że Ramsden był rozdrażniony, małomówny i ponury.

Jedyny jasny punkt w ciągu dni, które nastąpiły po wstępnej rozprawie w Milford, należało zawdzięczać Stanley'owi; w czwartek rano Stanley zapukał do drzwi Roberta, wetknął głowę do pokoju, a zobaczywszy, że Robert jest sam, wszedł do środka, jedną ręką uchylając drzwi, a drugą łowiąc coś w kieszeni roboczych spodni.

— N'dobry — powiedział. — Myślę, że powinien pan się tym zaopiekować. Te kobiety we Franchise nie mają za grosz rozsądku. Funtowe banknoty trzymają w czajniku, w książkach i w czym kto chce. Jeżeli szuka się na przykład numeru telefonu, to nie jest powiedziane, że nie znajdzie się w książce telefonicznej pół funta, bo w ten sposób zaznaczyły adres rzeźnika. — Wyłowił wreszcie plik pieniędzy i solennie odliczył dwanaście dziesięciofuntowych banknotów, a potem położył je na biurku przed nosem Roberta.

— Sto i dwadzieścia — powiedział. — Nieźle, co?

— Ale co to jest?

— Kominsky.

— Kominsky?

— Niech pan nie mówi, że pan nie stawiał! Po tym, jak starsza pani dała nam cynk? Chyba nie powie pan, że pan zapomniał?

— Stan, ostatnio w ogóle nie pamiętam o czymś takim jak gonyty, nawet o Guineas. To co, postawiłeś na niego?

Jeden do sześćdziesiąciu. A to jest dziesięć procent, które obiecałem za cynk.

— Zaraz... dziesięć procent? Stan, szastasz pieniędzmi na hazard!

— Postawiłem dwadzieścia funtów. Choć u mnie góra wynosi dziesięć. Bill też się załapał. Kupuje swojej starej futro.

— To Kominsky wygrał!

— O półtorej długości, w cuglach. To był numer, że można w książce opisać!

— No tak — powiedział Robert układając banknoty i

przewijając opaską. — Jeżeli przyjdzie co do czego, i w najgorszym razie zbankrutują, to starsza pani zawsze da sobie radę, na torze.

Stanley przyjrzał się twarzy Roberta, najwyraźniej zaniepokojony tonem słów. — Sprawy źle stoją, co? — zapytał.

— Dno — burknął Robert, sięgając po jedno z powiedzeń Stanley'a.

— Stara Billa poszła na rozprawę — po chwili powiedział Stanley. — Powiedziała, że nie uwierzyłaby tej dziewczynie nawet, gdyby ta zapewniała, że dwa i dwa jest cztery.

— Tak? — spytał zaskoczony Robert. — Dlaczego?

— Zbyt dobre, żeby było prawdziwe, tak powiedziała. Stara Billa orzekła, że żadna piętnastolatka nie ma prawa tak wypaść w sądzie.

— Ona już ma szesnaście lat.

— Dobra, szesnaście. Stara Billa powiedziała, że ona sama kiedyś miała piętnaście lat, jej przyjaciółki też miały, i że ani na moment nie da się nabrać na to cudo z szeroko rozstawionymi oczami.

— Bardzo się boję, że ława przysięgłych da się nabrać.

— Nie, jeżeli będzie pan miał na ławie same kobiety.

Zdaje się, że nie ma sposobu, żeby tak jakoś pocyganić?

— Najwyżej metodą Heroda. A właściwie, nie chcesz sam wręczyć tych pieniędzy pani Sharpe?

— Nie. Pan się tam pewnie dzisiaj wybierze, więc może pan oddać, jeżeli nie ma pan nic przeciw temu. Ale później może zabrałby pan to z powrotem i wpłacił do banku, bo w przeciwnym razie wyciągną po latach pieniądze z jakiegoś flakonu czy wazy i będą się jeszcze zastanawiać, kiedy je tam włożyły.

Robert uśmiechnął się i schował pieniądze do kieszeni w takt cichnących kroków Stanley'a. Ludzie są zaskakujący, bezgranicznie. Gotów by się założyć, że Stanley będzie miał sporą frajdę licząc te pieniądze na oczach starszej pani. Zamiast tego okazał nieśmiałość. Bo opowiadka o pieniądzach w imbryku była tylko opowiadką.

Po południu zabrał pieniądze do Franchise i po raz

pierwszy zobaczył łzy w oczach Marion. Opowiedział wszystko słowami Stanley'a — łącznie z imbrykiem i całą resztą — i dokończył: — Tak więc Stanley mianował mnie swoim przedstawicielem. — Właśnie wtedy oczy Marion po wilgotniały.

— Co mu przeszkadzało, żeby sam nam tego nie dał — powiedziała, przesuując palcami po brzegach banknotów. — Zwykle nie jest taki... taki...

— Stanley uznał chyba za możliwe, że panie potrzebują teraz pieniędzy, wobec tego sprawa z prostej i konkretnej zmieniła się w delikatną. Kiedy pani podsunęła mu typ, panie byłyście po prostu zamożnymi paniami Sharpe i wówczas mógłby paniom przekazać udział w blasku i przy brawach. Ale teraz są panie dwiema kobietami zwolnionymi za kaucją, po dwieście funtów osobiście obciążających panie, i za poręczeniem na rzecz pań w podobnej wysokości; nie mówiąc już o tym, że przyjdą wydatki na adwokata i tak dalej. Słowem, według Stana nie są panie osobami, którym można łatwo wręczać pieniądze.

— No dobrze — powiedziała pani Sharpe, żaden z moich typów nie wyróżnił się jeszcze aż o półtorej długości i to we właściwą stronę. Ale nie przeczę, że przyjemnie popatrzeć na te odsetki. To miło z jego strony.

— Czy możemy zatrzymać aż dziesięć procent?

— Marion trafiły wątpliwości.

— Taka była umowa — spokojnie powiedziała pani Sharpe. Gdyby to tutaj nie leżało, on sam byłby uboższy o pieniądze postawione na Bali Boogie. Nawiasem, na którym miejscu przyszedł Bali Boogie?

— Cieszę się, że przyjechałeś — powiedziała Marion ignorując szczere zainteresowanie matki, — ponieważ zdarzyło się coś niespodziewanego. Pojawił się mój zegarek.

— To znaczy znalazłaś go?

— Nie. Skądże. Odesłała go pocztą. Zobacz.

Pokazała małe, bardzo brudne, kartonowe pudełko kryjące zegarek z błękitną, emaliowaną tarczą i skrawek papieru owinięty wokół zegarka. Skrawek, różowa bibułka, był

kwadratowy, z okrągłym stemplem i napisem Sun Valley, Transvaal; bibułka najwyraźniej wyruszyła w świat jako opakowanie pomarańczy. Tekst na skrawku wypisany był dużymi, drukowanymi literami: „Nie chcę niczego”. Nad wersalikami „I”, zwyczajem ludzi niewykształconych, ktoś umieszczał kropki, jak nad małą literą.

— Jak myślisz, dlaczego stała się taka wrażliwa? — spytała Marion.

— Nie sądzę, żeby się stała wrażliwa, w żadnym wypadku — powiedział Robert. — Nie wyobrażam sobie, że ta dziewczyna mogłaby wyrzec się czegokolwiek, na czym zamknęła się jej ręka.

— A jednak. Odesłała ten zegarek.

— Nie. Ktoś odesłał zegarek. Ktoś, kto się przestraszył. Ktoś z resztkami sumienia, to także. Gdyby Rose Glyn chciała się go pozbyć, bez namysłu rzuciłaby go do stawu. Ale nasz Ktoś ma i wyrzuty sumienia, i boi się. A kto mógłby mieć wyrzuty sumienia właśnie teraz? Gladys Rees?

— Rzeczywiście. Co do Rose masz rację. Powinnam była o tym pomyśleć. Nigdy by go nie odesłała Prędzej rozgniotłaby go obcasem. Myślisz, że mogła go dać Gladys Rees?

— To by wiele wyjaśniało. To by wyjaśniało, w jaki sposób Rose zaciągnęła ją do sądu, dla poświadczenia tej bajki z „krzykami”. To znaczy, gdyby Gladys była wdzięcznym odbiorcą kradzionych rzeczy. Jeżeli się nad tym zastanowić, to Rose miała małe szanse, żeby nosić zegarek, który ludzie ze Staples musieli widzieć na twojej ręce, i to często. Byłoby o wiele bardziej prawdopodobne, gdyby przed przyjaciółką popisała się „wielkoduszością”. „Taki drobiazg, który wzięłam dla ciebie”. Skąd jest ta Rees?

— Nie mam pojęcia, zdaje się, że gdzieś z drugiego końca hrabstwa, była tam u kogoś. Ale teraz przyszła do pracy w samotnym gospodarstwie, za Staplesami.

— Dawno temu?

— Nie wiem. Chyba nie.

— No to mogłaby nosić nowy zegarek, bez wątpienia. Myślę, że to Gladys odesłała zegarek. Jeżeli w poniedziałek jakiś

świadek niechętnie zeznawał, to Gladys. A jeżeli Gladys jest na tyle wrażliwa, że odsyła ci swoją własność, to zaczyna świtać pewna wątpla nadzieja.

— Tak, tyle że dopuściła się krzywoprzysięstwa — powiedziała pani Sharpe. — A nawet taki tuman, jak Gladys Rees musi mieć jakiś przeblysłk świadomości, że w brytyjskim sądzie nie jest to za dobrze widziane.

— Może to tłumaczyć tak, że była szantażowana... powiedzmy, że ktoś... no... zasugeruje jej wyjaśnienie tego rodzaju.

Pani Sharpe przyjrzała się Robertowi. — A czy prawo brytyjskie niczego nie mówi o machinacjach ze świadkami?

— Nawet bardzo wiele. Ale ja przecież nie proponuję żadnych machinacji.

— To co pan proponuje?

— Muszę to przemyśleć. Sytuacja jest delikatna.

— Panie Blair, zawłóści prawa są mi obce i pewnie zawsze zostaną obce, ale pan nie może dać się odsunąć od sprawy za zlekceważenie sądu, czy jak to tam jest, rozumie pan? Nie mam pojęcia jakby wyglądała nasza obecna sytuacja, gdyby zabrakło pana pomocy.

Robert oświadczył, że w żadnym wypadku nie ma zamiaru dać się odsunąć od sprawy. Jest przecież poważnym prawnikiem, o nienagannej reputacji i wysokich wymaganiach moralnych, wobec czego pani Sharpe nie powinna się niczego obawiać, ani w związku z nią samą, ani w związku z nim.

— Jeżeli spod historyjki o „krzykach” uda się nam wyciągnąć tę podpórkę, którą jest zeznanie Gladys Rees, to w ten sposób zachwieje się cała sprawa — powiedział Robert. — Przecież to jest ich najważniejszy materiał dowodowy; to, że Rose Glyn wspomniała o krzykach, zanim jeszcze pojawiła się jakakolwiek sugestia na temat pań i całej tej historii. Przypuszczam, że panie nie widziały twarzy Granta, kiedy Rose składała zeznania? Zdaje się, że w Wydziale Kryminalnym dużą zawadą musi być wybredne usposobienie. To bardzo smutne, kiedy sprawa opiera się na kimś, kogo człowiek brzydziłby się dotknąć, nawet bosakiem. Teraz

muszę już jechać. Czy mogę zabrać to pudełeczko i ten skrawek papieru z tekstem?

— Bardzo przemyślnie na to wpadłeś, że Rose nie odesłałaby zegarka — powiedziała Marion, wkładając bibułę do pudełka i wręczając je Robertowi — Powinieneś być detektywem.

— Aha. Albo detektywem, albo wróżką. Wszystko wyczytam z plamy po jajku na kamizelce. *Au revoir*.

Robert jechał do Milford z głową pełną rozważań o nowej szansie. Oczywiście, to jeszcze nie było uwolnienie od niebezpieczeństwa, ale już mogło być czymś w rodzaju koła ratunkowego.

W kancelarii czekał na niego Alec Ramsden; długi, chudy, ponury.

— Przyjechałem zobaczyć się z panem, panie Blair, ponieważ chodzi o sprawy, o których trudno mówić przez telefon.

— Co takiego?

— Panie Blair, marnujemy pańskie pieniądze. Czy przypadkiem wie pan, ilu jest na świecie białych ludzi?

— Nie.

— Ja też nie. Tymczasem to, o co pan mnie prosi, oznacza odnalezienie tej dziewczyny wśród całej białej populacji. Pięć tysięcy ludzi pracując przez cały rok może tego nie dopiąć. Jednemu człowiekowi może się to udać nawet jutro. To sprawa czystego przypadku.

— Zawsze tak wyglądała.

— Nie. W pierwszych dniach szanse były całkiem przyzwoite. Przebadaliśmy miejsca, które trzeba przebadać. Porty, lotniska, te najlepiej znane miejscowości od „miodowych miesięcy”. Nie wydawałem pańskich pieniędzy na zbyteczne podróże. Mam ludzi we wszystkich dużych miastach, w większości małych i wysyłam po prostu zlecenie: „dowiedzieć się czy taka i taka osoba zatrzymała się w którymś z waszych hoteli” i odpowiedź przychodzi do mnie za parę godzin. To są odpowiedzi z całej Wielkiej Brytanii. Dobrze, to już mamy za sobą; co potem? Zostaje już tylko skromne

uzupełnienie: reszta świata. Więc nie chciałbym marnować pańskich pieniędzy, panie Blair. Bo to już się robi suma.

— Czy mam rozumieć, że pan się poddał?

— Ściśle rzecz biorąc, nie to miałem na myśli.

— Chodzi panu o to, że chciałby pan zrzec się sprawy, ponieważ nie dał pan sobie rady.

Najwyraźniej pan Ramsden zeszywniał, słysząc, że „nie dał sobie rady”.

— Proszę pana, tu chodzi o wydawanie dobrych pieniędzy na bardzo niepewny cel. To już przestaje być rzetelną ofertą, panie Blair. To nawet nie ma sensu jako hazard.

— Dobrze, wobec tego przedstawiam pod rozwagę coś, co już powinno panu odpowiadać. Robert wyciągnął z kieszeni pudełeczko. W poniedziałek jednym ze świadków była dziewczyna nazwiskiem Gladys Rees. Jej zadaniem było potwierdzić, że jej przyjaciółka, Rose Glyn, rozmawiała z nią o krzykach dochodzących z wnętrza domu we Franchise, zanim jeszcze policja w ogóle zainteresowała się całą sprawą. No więc potwierdziła to, owszem, ale wcale nie *con amore*, że tak powiem. Była zdenerwowana, oporna, najwyraźniej czuła niechęć do tego co robi, w przeciwieństwie do jej przyjaciółki Rose, która użyła sobie za wszystkie czasy. Jeden z moich tutejszych kolegów zasugerował, że Rees trafiła do sądu pod presją Glyn, ale wówczas to nie wydawało się bardzo prawdopodobne. Jednak dzisiaj rano zegarek, który Glyn kiedyś ukradła pani Sharpe, został odesłany pocztą, w tym pudełku, z paroma słowami, napisanymi drukowanymi literami. Co do Glyn, to nigdy nie zwracałaby sobie głowy odsyłaniem zegarka; pozbawiona jest czegoś takiego jak sumienie. Nie napisałaby też żadnej kartki, a to ze względu na brak chęci wyzbywania się czegokolwiek. Nieodparcie nasuwa się taki wniosek, że zegarek otrzymała Gladys Rees. — Rose Glyn nie mogłaby go nosić bez obawy, że kradzież się wyda — i w ten sposób Glyn miała ją w ręce, kiedy trzeba było w sądzie potwierdzić kłamstwa.

Robert przerwał, na wypadek, gdyby Ramsden chciał coś wtrącić. Pan Ramsden kiwnął głową, a z kiwnięcia można było

wyczytać zainteresowanie.

— Teraz nie możemy zbliżyć się do Gladys z jakimikolwiek namowami, czy argumentami, nie narażając się na oskarżenie o próbę zastraszenia świadka. To znaczy, gdyby chodziło o namówienie jej, żeby przed sądem w Norton wycofała się z zeznań. Kevin Macdermott pewnie by sobie z tym poradził, siłą osobowości, czy nieustępliwymi pytaniami, chociaż wątpię; w każdym razie sąd może mu odebrać głos, zanim cokolwiek wskóra. Sędziowie krzywo patrzą, kiedy zaczyna przyciskać świadka.

— Fakt.

— To czego chcę, to móc położyć przed sądem ten skrawek papieru, jako dowód. Chcę móc powiedzieć, że to jest pismo Gladys Rees. Mając już dowód, że to ona miała skradziony zegarek, możemy zasugerować, że Rose Glyn przycisnęła ją po to, by Gladys złożyła fałszywe zeznanie przed sądem. Wtedy Macdermott zapewni ją, że jeśli była szantażowana, i z tego powodu zeznawała fałszywie, to prawdopodobnie nie zostanie ukarana za krzywoprzysięstwo; dziewczyna załamuje się i zaczyna mówić.

— W takim razie szuka pan próbki drukowanego pisma Gladys Rees?

— Otóż to. Po drodze właśnie o tym myślałem. Mam wrażenie, że jej obecne zajęcie to w ogóle jej pierwsza praca, więc chyba niewiele minęło czasu, od kiedy skończyła szkołę. Może szkoła mogłaby czegoś dostarczyć. A przynajmniej wskazać jakiś punkt zaczepienia. Dla nas wypadłoby to bez porównania lepiej, gdybyśmy znaleźli próbkę bez uciekania się do jakichś prowokatorskich sposobów. Jak pan myśli, mógłby pan coś z tym zrobić?

— Dostarczę panu próbkę, jasne — powiedział Ramsden takim tonem, jakby chciał oświadczyć: proszę mi dać sensowne zlecenie, a rzecz zostanie załatwiona. — Czy ta Rees chodziła tutaj do szkoły?

— Nie, o ile wiem przyjechała z drugiego końca hrabstwa.

— W porządku. Dowiem się. Gdzie teraz pracuje?

— W takim miejscu, na uboczu, które nazywa się farmą

Bratta, za polami Staplesów; a to jest z kolei za Franchise.

— A jak z poszukiwaniami w sprawie tej Kane...?

— Czy jest jeszcze coś, co mógłby pan zrobić w Larborough? Nie mogę pana pouczać w pana sprawach zawodowych, wiem o tym, ale ona w Larborough rzeczywiście była.

— Tak, i tam gdzie była wytropiliśmy ślady. W miejscach publicznych. Ale Iks może mieszkać w Larborough, z tego co wiem. Więc mogła gdzieś tam się zaszyć. Poza tym miesiąc, czy prawie miesiąc, to bardzo dziwny okres, jak na zniknięcie tego rodzaju. Takie sprawy zwykle ciągną się, liczymy, od zwykłego weekendu do dziesięciu dni, ale nie dłużej. Mogła po prostu pójść do niego do domu. Czy pojechać.

— Myśli pan, że tak to właśnie było?

— Nie — powoli powiedział Ramsden. — Jeżeli chce pan uczciwie poznać moją opinię, panie Blair, to było tak, że gdzieś zgubiliśmy ją na którymś z wyjść.

— Na którymś z wyjść?

— Chodzi o to, że gdzieś wyjechała z kraju, ale na tyle zmieniona, że to zdjęcie z buzią niewiniątka nigdzie nas nie zaprowadzi.

— Dlaczego zmieniona?

— No bo nie przypuszczam, żeby ktoś jej wyrobił fałszywy paszport, wobec tego pewnie podróżowała w charakterze czyjejś żony.

— Oczywiście. Zawsze tak uważałem.

— A nie mogła tego zrobić, jeżeli wyglądała, jak wyglądała. A jeżeli zaczesła włosy do góry, zrobiła makijaż, mogła zmienić się nie do poznania. Nie ma pan pojęcia, jak zaczesanie włosów do góry zmienia kobietę. Kiedy po raz pierwszy zobaczyłem żonę z czymś takim, nie mogłem jej poznać. Jeżeli chce pan wiedzieć, to zmieniła się tak gruntownie, że poczułem się przy niej nieśmiały, a byliśmy małżeństwem od dwudziestu lat.

— Więc myśli pan, że to tak było. Podejrzewam, że ma pan rację. — Robert przygasł.

— I oto dlaczego nie chcę więcej trwonić pana pieniędzy, panie Blair. Szukanie dziewczyny z fotografii nie ma sensu,

ponieważ dziewczyna, której szukamy, w ogóle nie była do niej podobna. Kiedy była, ludzie rozpoznawali ją na pierwszy rzut oka. W kinach, gdzie pan chce. Nie mieliśmy większych kłopotów ze znalezieniem śladów w Larborough, kiedy jeszcze sama pętała się po mieście. Ale potem, nagle, kompletna pustka. Najwyraźniej jej fotografia nie doprowadzi do nikogo, kto widział ją po opuszczeniu Larborough.

Robert siedział i gryzmołił coś na czystej, świeżej bibule, którą położyła na biurku panna Tuff; deseń przypominał rybi szkielet, zresztą był naprawdę miły i dekoracyjny. A wie pan, co to dla nas znaczy? Nie ma nas. Jesteśmy załatwieni.

— Przecież ma pan to — zaprotestował Ramsden, wskazując skrawek zabazgrany drukowanym pismem, który nadszedł wraz z zegarkiem.

— W ten sposób możemy tylko zniszczyć dowody policji. Przecież to nie obala zeznań Betty Kane. Jeżeli panie Sharpe mają kiedykolwiek uwolnić się od tej sprawy, to trzeba publicznie dowieść, że zeznanie dziewczyny jest czystym wymysłem. I nasza jedyna szansa, to dojść do tego, co robiła podczas tych paru tygodni

— No tak. Rozumiem.

— Prywatnych właścicieli też pan sprawdził?

— Chodzi panu o samoloty? No jasne. Ale tu działa ten sam mechanizm. Fotografii mężczyzny nie mamy, więc on sam może być jednym z setek prywatnych właścicieli samolotów, którzy w tym czasie wybrali się za granicę w damskim towarzystwie.

— Tak. Po prostu nie ma nas. Jesteśmy załatwieni. Trudno się dziwić, że Ben Carley się bawił.

— Jest pan zmęczony, panie Blair. Przeżywa pan parę trudniejszych dni.

— Słusznie. Nieczęsto się zdarza, że prowincjonalnemu prawnikowi wali się na głowę coś takiego — kwaśno zauważył Robert.

Ramsden uhonorował go grymasem, który na jego twarzy pełnił obowiązki uśmiechu. — Panie Blair powiedział — jak na prowincjonalnego prawnika radzi pan sobie nieźle. Wcale

nieźle, proszę pana.

— Dziękuję powiedział Robert i szczerze uśmiechnął się. W ustach Ramsdena taka pochwała dorównywała Orderowi Zasługi.

— Nie mogę dopuścić, żeby pan wysiadł. Kiedy zdobęde dowód na piśmie, to ma pan zabezpieczenie przeciw najgorszemu obrotowi spraw, czy złej woli.

Robert odłożył pióro, którym zagryzmołił bibułę. — Nie interesuje mnie zabezpieczenie. Interesuje mnie sprawiedliwość. Teraz mam w życiu tylko jedną ambicję. Jest taka: obalić zeznania Betty Kane, publicznie, przed sądem, a to znaczy mieć pełną wiedzę o tym co robiła w ciągu tych tygodni i przedłożyć tę wiedzę w jej obecności, należycie wspartą przez niepodważalnych świadków. Jak pan myśli, jakie na to mamy szanse? I jeszcze jedno. Jak pan sądzi, co takiego pozostało, czego nie próbowaliśmy, a co może nam pomóc?

— Nie wiem — z powagą odpowiedział Ramsden. — Może modły.

19

Rzecz dziwna, ciotka Lin zareagowała podobnie.

W miarę jak sprawa Franchise poczęła tracić prowincjonalny zapaszek, w miarę jak wpływała na szersze wody i stawała się głośna w całym kraju, ciotka Lin stopniowo godziła się z udziałem w niej Roberta. W końcu to nie wstyd mieć związek z procesem, o którym pisze „The Times”, Ciotka Lin, rzecz jasna, nie czytała „Times’a”, ale czytali znajomi. Proboszcz, stary pułkownik Whittaker, dziewczyna w sklepie Bootsa i stara pani Warren z Weymouth (czy też ze Swanage); myśl o tym, że Robert będzie doradcą obrony w głośnym procesie zapewniała jakieś niejasne poczucie zadowolenia, nawet jeżeli wypadło bronić osób oskarżonych o znęcanie się nad bezbronną dziewczyną. I, rzecz jasna, ciotce nie przemknął przez myśl nawet najlżejszy cień podejrzenia, że Robert mógłby nie wygrać sprawy. Akurat to uważała za pewne. Po pierwsze, Robert był przecież taki

zdolny, a po drugie, Blair, Hayward i Bennet oczywiście nie mogli mieć nic wspólnego z niepowodzeniem. Ciotka Lin, raz czy drugi, mimochodem ubolewała w myśli, że Robert odniesie tryumf w odległym Norton, nie zaś w Milford, gdzie każdy mógłby to zobaczyć na własne oczy.

Wobec tego pierwsze objawy zwątpienia były dla niej niespodzianką. Nie wstrząsam, to nie, ponieważ ciotka wciąż nie potrafiła wyobrazić sobie niepowodzenia. W każdym razie dostrzegła nowy wątek.

— Ależ Robercie — powiedziała, jednocześnie szukając gorączkowo pod stołem podnóżka — chyba nie przypuszczasz ani na chwilę, że mógłbyś przegrać sprawę, mam rację, czy nie?

— Przeciwnie — powiedział Robert — ani przez chwilę nie przypuszczam, że moglibyśmy ją wygrać.

— Robercie!

— Jest taki zwyczaj, że przed sądem przysięgłych przedkłada się argumenty. A my nie mamy aż takich argumentów, żeby je przedłożyć. I nie sądzę, żeby to się spodobało ławie.

— Robisz się opryskliwy, złotko. Pozwalasz, żeby sprawy grały ci na nerwach. Dlaczego jutro po południu nie zrobisz sobie wolnego i nie zorganizujesz czwórki do golfa? Ostatnio bardzo rzadko grasz w golfa, na pewno szkodzi ci to na wątrobę. Nie golf, oczywiście.

— Nie mogę uwierzyć — powiedział Robert, pełen zdumienia — że kiedykolwiek mogłem się troszczyć o los „kawalka gutaperki” na polu golfowym. To musiało być w jakimś innym wcieleniu.

— Właśnie o tym mówię, złotko. Tracisz poczucie proporcji. Całkowicie niepotrzebnie pozwalasz, żeby ta sprawa wytrącała cię z równowagi. Poza tym, masz Kevina.

— W to pozwalam sobie wątpić.

— Co masz na myśli, złotko?

— Nie mogę sobie wyobrazić, że Kevin poświęca czas i podróżuje do Norton, by bronić w sprawie, w której jest skazany na przegraną. Kevinowi zdarza się być Don Kichotem,

mimo to nigdy nie traci zdrowego rozsądku.

— Ale Kevin przyrzekł.

— Kiedy Kevin przyrzekał, wciąż jeszcze było dosyć czasu, by oprzeć obronę na czymś konkretnym. Teraz możemy już liczyć dni do rozprawy, a dowodów wciąż nie mamy, ani widoków na nie.

Panna Bennet popatrzyła na niego sponad łyżki zupy.

— Boję się, złotko — powiedziała, że nie masz dość wiary.

Robert powstrzymał się od uwagi, że, prawdę mówiąc, nie ma wiary ani za pensa. W każdym razie jeżeli chodzi o możliwość boskiej interwencji w sprawę Franchise.

— Uwierz, złotko — powiedziała ciotka rozanielonym głosem, — a wszystko pójdzie dobrze. Zobaczysz.

— Trochę zmartwiła się, że odpowiedzią była głucha cisza, więc dodała: — Gdybym wiedziała, złotko, że z powodu tej sprawy będą cię gryzły wątpliwości, albo, że poczujesz się nieszczęśliwy, to już dużo wcześniej odmawiałabym w twojej intencji dodatkową modlitwę. Boję się, że uważałam za oczywistą rzecz, że ty i Kevin, obaj, doskonale dacie sobie z tym radę. — „Z tym” oznaczało: z brytyjskim wymiarem sprawiedliwości — Ale teraz, skoro wiem jak się martwisz, na pewno odmówię kilka osobnych suplikacji.

Rzeczowy, mający przynieść ulgę ton ciotki przywrócił Robertowi dobry humor.

— Dziękuję, ciociu — powiedział, już ze zwykłą dobroduszością w głosie.

Ciotka Lin odłożyła łyżkę do pustego talerza i odchyliła się w tył na krześle: na jej zaróżowioną twarz wkradł się kłujący uśmieszek. — Znam ten ton — powiedziała. Oznacza, że chcesz mnie wprowadzić w lepszy nastrój. Ale nie ma takiej potrzeby, naprawdę. To ja mam w tym wszystkim rację. I to ty się mylisz. Powiedziane jest bardzo wyraźnie, że wiara przenosi góry. Trudność zawsze polega na tym, że trzeba niebywalej wiary, żeby poruszyć jakąś górę, i tak naprawdę to wręcz niemożliwe, żeby nagromadzić w sobie aż tyle wiary; więc góry nigdy się nie poruszyły. Ale już w

mniejszych sprawach, chociażby jak ta, można zdobyć się na tyle wiary, ile wymagają okoliczności. Zamiast więc świadomie oddawać się rozpaczaniu, przyłóż się, złotko, i zdobądź na trochę ufności wobec tego, co się wydarzy. W każdym razie ja wybieram się dzisiaj wieczorem do Św. Mateusza i przez chwilę pomodłę się o to, żeby jutro z rana trafił ci do rąk jakiś kawałek porządnego dowodu. Zaraz poczujesz się szczęśliwszy.

Kiedy nazajutrz rano Alec Ramsden wkroczył do kancelarii z dowodem rzeczowym, pierwsza myśl Roberta dotyczyła ciotki Lin, że nic nie zdołało odebrać jej wiary w taki obrót rzeczy. Nie było też żadnych widoków, by wykręcić się, i nie wspomnieć jej o tym; z pewnością pierwsze pytanie, jakie ciotka zada mu przy lunchu będzie brzmiało: — No i jak, złotko, czy masz już ten dowód, o który się modliłam?

Jeżeli z zachowania Ramsdena w ogóle można było cokolwiek wyczytać i ująć w potocznej mowie, to Ramsden tym razem wydawał się jednocześnie zadowolony z siebie i rozbawiony.

— Szczerze panu się przyznam, panie Blair, że kiedy mnie pan wysłał do tej szkoły, to niewiele się spodziewałem. Pojechałem, bo to miejsce wydawało mi się na początek tak samo dobre, jak każde inne, a przez personel mogłem znaleźć jakiś sposób na zaznajomienie się z tą Rees. Nawet wymyśliłem, jak można by od niej wydostać jakąś próbkę drukowanego pisma, bez niepotrzebnego zamieszania; powiedzmy, jeden z moich chłopców mógłby z nią nawiązać kontakt. Ale pan mnie zadziwia, panie Blair. Mimo wszystko miał pan rację.

— To znaczy, że wy dostał pan to, czego szukamy!

— Dotarłem do jej wychowawczynie i całkiem otwarcie powiedziałem, czego chcemy i po co. Oczywiście, byłem na tyle szczerzy, na ile trzeba. Powiedziałem, że Gladys jest podejrzana o krzywoprzysięstwo, a to już sprawa karna; pomyśleliśmy jednak, że musiała być szantażowana, skoro to zrobiła, a żeby udowodnić szantaż, musimy mieć w ręce próbkę jej drukowanego pisma. Kiedy mnie pan tam posłał, byłem

przekonany, że dziewczyna nie napisała ani jednej drukowanej litery od chwili, kiedy wyszła z przedszkola. Ale wychowawczynie, panna Baggaly, powiedziała, że musi chwilę pomyśleć. „Oczywiście”, powiedziała w końcu, „była bardzo dobra z rysunków, i jeżeli ja bym nic nie miała, to powinna mieć nauczycielka plastyki, dochodząca. Lubimy trzymać dobre prace naszych uczniów.” Pewnie jako pociechę, za tych wszystkich nieuków, których muszą znosie; chyba o to chodzi, biedaczkom. No dobrze, w każdym razie nie musiałem już poznawać nauczycielki sztuk plastycznych, ponieważ panna Baggaly przeszukała trochę szpargałów i pokazała mi to.

Ramsden położył na biurku przed Robertem arkusz papieru. Widniała na nim ręcznie namalowana mapa Kanady, widać było prowincje, główne miasta, rzeki. Nie była dokładna, była za to miła dla oka. Na dole arkusza, pod rysunkiem, znajdował się podpis: Dominium Kanady. A w prawym rogu podpis odręczny: Gladys Rees.

— Zdaje się, że każdego lata, pod koniec roku szkolnego, mają wystawę prac i potem trzymają zwykle te prace, aż do następnej wystawy za rok. Wyrzucenie ich nazajutrz, uważaliby chyba za gruboskórność. A może trzymają je, żeby pokazywać grubym rybom i inspektorom. Tak czy owak, ledwie się to mieści w szufladach. To — wskazał na mapę — jest owocem konkursu „Narysuj z pamięci mapę dowolnego kraju w ciągu dwudziestu minut”. Dzieła trojga zwycięzców trafiły na wystawę. Ta była „trzecia równorzędna”.

— Nie mogę uwierzyć — powiedział Robert, pasąc wzrok rysunkiem Gladys Rees.

— Jeżeli chodzi o zdolności, panna Baggaly miała rację. Aż dziwne, że w końcu dziewczyna poprzestała na byle czym, jeżeli chodzi o wykształcenie. Niech pan zwróci uwagę, że poprawiano jej to kropkowane duże „I”.

Tak było. Robert napawał się tym od pierwszej chwili.

— Nie ma w głowie oleju, ale ma oczy — powiedział, studiując mapę Kanady według Gladys. — Zapamiętała kształt, ale nie nazwy. No i pisownia jest, że tak powiem, indywidualna. „Trzecią równorzędną” nagrodę dali jej chyba za miłą dla oka

robotę.

— Jeżeli chodzi o nas, to też jest miłe dla oka — powiedział Ramsden, kładąc obok skrawek papieru przesłany razem z zegarkiem. — Cieszę się, że pod mapą nie ma podpisu „Alaska”.

— Tak — przyznał Robert. — To cud. (Cud ciotki Lin, pomyślał po cichu.) Kto jest najlepszym specem od takich spraw?

Ramsden wymienił nazwisko.

— Zabieram to do Londynu jeszcze dzisiaj, do rana będzie gotowa ekspertyza, a około śniadania pokażę to panu Macdermottowi, jeżeli to panu odpowiada.

— O ile mi odpowiada? — wykrzyknął Robert. — Jak najbardziej!

— Myślę, że byłoby też dobrze sprawdzić odciski palców na rysunku i na pudełku od zegarka. Zdarzają się sędziowie uprzedzeni do grafologów, ale jedno i drugie razem powinno przekonać nawet przysięgłego.

— W porządku — powiedział Robert podając mu przedmioty. — Moje klientki przynajmniej nie powinny zostać skazane na ciężkie roboty.

— Nie ma to jak dostrzegać dobre strony — sucho skomentował Ramsden, a Robert roześmiał się.

— Myśli pan, że jestem niewdzięczny? Nic podobnego. Zdjął mi pan ciężki kamień z serca. Z tym, że jeszcze pozostał znacznie cięższy. Udowodnienie, że Rose Glyn jest złodziejką, kłamczynią, szantażystką, nie mówiąc o zamieszaniu w krzywoprzysięstwo, nie sprawi, że w czymkolwiek podważymy zeznania Betty Kane; jej historyjka pozostaje nietknięta. A właśnie zeznania Betty Kane są tym, co musimy obalić.

— Wciąż jeszcze jest czas — powiedział Ramsden, ale bez przekonania.

— Tak; na cud, z grubsza rzecz biorąc.

— Na cud? A czemu nie? Cuda się zdarzają. Czemu cud nie miałby się zdarzyć akurat nam? O której jutro mogę zadzwonić?

Ale to Kevin zadzwonił nazajutrz, nie szczędząc gratulacji i

pochwał. — Jesteś fantastyczny, Rob. Zrobię z nich miazgę.

Rzeczywiście, dla Kevina byłyby to sympatyczna partyjka gry w kota i myszy; panie Sharpe wyszłyby z sądu „wolne”. Bez przeszkód mogłyby wrócić do domu, w domu mogłyby bez przeszkód nadal bać się, znów mogłyby bez przeszkód żyć w oczekiwaniu napaści czy prześladowania; dwie na wpół zwariowane czarownice, które to pewnego razu porwały i pobiły jakąś dziewczynę.

— Rob, słyszę, że jakoś ci niewesoło. Martwisz się?

Robert powiedział, co go dręczy; panie Sharpe może nie trafią do więzienia, ale uwolnione w sądzie, nadal będą tkwić w więzieniu stworzonym przez Betty Kane.

— Kto wie, kto wie — powiedział Kevin. — Zrobię z Kane co tylko się da, jeżeli chodzi o tego byka, którego palnęła z rozgałęzieniem ścieżki. Jasne, gdyby nie oskarżał Miles Allison, pewnie bym ją na tym rozłożył, tak żeby się nie pozbierała; ale Miles będzie pewnie na tyle bystry, że jakoś wybrnie. Głowa do góry, Rob. W każdym razie jej wiarygodność zostanie podkopana, i to mocno.

Jednak to za mało: podważenie wiarygodności Betty Kane. Robert dobrze wiedział, jak nieważnym efektem okaże się to dla opinii publicznej. Zebrał ostatnio sporo doświadczeń, jeżeli chodzi o „kobiety-z-ulicy”, i naprawdę był przerażony powszechną niezdolnością do zanalizowania najprostszego oświadczenia. Gdyby nawet gazety zamieściły jakiś mały akapit o tym widoku z okna — a prawdopodobnie rzucą się na o wiele bardziej sensacyjny kasek, krzywoprzysięstwo Rose Glyn — a nawet jeśli zamieszczą ten mały akapit, nie zrobi on najmniejszego wrażenia na przeciętnym czytelniku. „Próbowali ją załatwić, ale szybko pokazano im właściwe miejsce”. Tyle z tego wyniknie.

Kevin z powodzeniem może podkopać wiarygodność Betty Kane przed sądem, wobec policjantów czy urzędników, wobec jakiegokolwiek krytycznie myślącego obserwatora rozprawy: ale z tymi dowodami, które ma, nie zwojuje niczego, jeżeli chodzi o trzymanie strony Betty Kane, o silne poczucie sympatii, które sprawa wzbudziła w całym kraju. Panie

Sharpe pozostaną winne.

A Betty Kane „ujdzie na sucho”.

To wydawało się Robertowi myślą chyba jeszcze gorszą, niż wyobrażenie pań Sharpe żyjących w lęku. Betty Kane nadal byłaby oczkiem w głowie wielbiącej ją rodziny, byłaby bezpieczna, kochana, podziwiana jako bohaterka. W Robercie, zazwyczaj tak pobłażliwym, to wyobrażenie budziło krwiożercze myśli.

Robert musiał wyznać ciotce Lin, że dowód rzeczowy pojawił się, i to w terminie wyszczególnionym w ciotki modłach, ale małodusznie wstrzymał się od wyjawienia, że dowód akurat wystarczy, by rozprawić się z argumentami policji. Ciotka mogłaby to potraktować jak wygranie sprawy, a dla Roberta „wygranie” oznaczało zupełnie co innego.

Jak się zdaje, również dla Nevila. Po raz pierwszy, od kiedy młody Bennet zainstalował się w tylnym pokoju firmy, Robert pomyślał o nim jak o sprzymierzeńcu, o bratniej duszy. Również i Nevil nie wyobrażał sobie, żeby Betty Kane mogło „ujść na sucho”. Roberta wciąż na nowo zdumiewała wściekłość, wręcz mordercza, która wstępuje u najbardziej pokojowo usposobionych ludzi, kiedy ogarnie ich oburzenie. Nevil nawet w specjalny sposób wymawiał nazwisko „Betty Kane”, jakby sylaby były czymś w rodzaju trucizny, którą przez pomyłkę wziął do ust, i którą właśnie wypłuka. „Trująca” to był również ulubiony epitet Nevila w odniesieniu do Betty Kane, „ta trująca kreatura”. W każdym razie obecność Nevila dodawała teraz Robertowi ducha.

Sytuacja była jednak mało pocieszająca. Wiadomość o prawdopodobnym uniknięciu wyroku więzienia panie Sharpe przyjęły z taką samą godnością, z jaką przyjmowały do wiadomości wszystko, poczynwszy od oskarżenia przez Betty Kane, skończywszy na doręczeniu nakazu stawienia się w sądzie i znalezieniu się na ławie oskarżonych. One również zdawały sobie sprawę, że to jest tylko wyjście, lecz nie rehabilitacja. Można obalić oskarżenie przygotowane przez policję i wydusić wyrok po swojej myśli. Ale tylko dlatego, że prawo angielskie nie zna pośrednich rozwiązań. Już w

szkockim sądzie wyrok musiałby brzmieć: winy nie udowodniono. I do tego, w gruncie rzeczy, sprowadzi się werdykt sądu przysięgłych w przyszłym tygodniu: policja nie zebrała należytych dowodów by uzasadnić oskarżenie, a nie, że oskarżenie jest niedorzeczne.

Do rozprawy pozostały zaledwie cztery dni, kiedy Robert wyznał ciotce Lin, że dowód wystarczy zaledwie do zbitcia oskarżenia. Na okrągłej, różowej twarzy sadowiło się coraz więcej troski, a tego było już za wiele. Chciał jedynie podsunąć jej ten kąsek i poprzestać na tym, a tymczasem przyłapał się na czym innym, że zwierza się ze wszystkiego, jak zwierzał się z kłopotów, kiedy był jeszcze chłopcem, a ciotka wszechwiedzącym i wszechpotężnym aniołem, a nie, po prostu, miłą i głupiotką ciotką Lin. W milczeniu wsłuchiwała się w rwący potok słów, tryskający tak niespodziewanie i tak różniący się od zwyczajnej konwersacji, do której przywykli przy stole; była zdumiona, a jej kryształowo błękitne oczy wpatrywały się w Roberta z uwagą i w skupieniu.

— Ciociu, czy nie widzisz, że to nie jest zwycięstwo; to klęska — dokończył. — Parodia sprawiedliwości. To nie ten wyrok, o który walczyliśmy: sprawiedliwość. I nie ma nadziei na wywalczenie go. Nawet cienia!

— Ale czemu nie powiedziałaś mi wszystkiego, złotko? Myślisz, że czegoś tu nie zrozumieję, albo nie zaakceptuję?

— Nie odczuwasz tego tak, jak ja...

— Po prostu dlatego, że nie przepadam za osobami, które tak wyglądają, jak te panie z Franchise — muszę ci się przyznać, złotko, nawet teraz, że nie jest to rodzaj ludzi, których po prostu biorę jakimi są — ale to, że nie za bardzo je lubię, nie znaczy przecież, że jest mi obojętne, czy sprawiedliwości stanie się zadość, prawda?

— No tak, oczywiście, ale przecież powiedziałaś całkiem otwarcie, że zeznania Betty Kane uważasz za wiarygodne, więc...

— O, to było jeszcze przed wstępną rozprawą — łagodnie powiedziała ciotka.

– Wstępną rozprawą? Przecież nie poszłaś na nią?

– Ja nie, złotko, ale poszedł pułkownik Whittaker; dziewczyna ani trochę nie przypadła mu do gustu.

– Naprawdę?

– Nie spodobała mu się. Sporo o tym mówił. Powiedział, że pewnego razu miał w pułku, czy w batalionie, w czymś takim, jak-wy-to-nazywacie, no, jakiegoś szeregowca, czy kaprała, wszystko jedno, który był kropka w kropkę jak Betty Kane. Był chodzącą niewinnością i potrafił dokumentnie skłócić cały ten batalion; sprawiał więcej kłopotu niż tuzin zabijaków. Skończył w skrzyni, powiedział pułkownik.

– W pace.

– Może w pace, wszystko jedno. A co do tej Glyn z farmy Staples'ów, pułkownik powiedział, że wystarczy rzut oka, a człowiek odruchowo zaczyna liczyć kłamstwa w każdym zdaniu. Więc Glyn też mu się nie spodobała. Widzisz, złotko, nie powinienesz myśleć, że mogłabym ci nie współczuć, zwłaszcza kiedy masz kłopoty. Bądź pewny, że sprawiedliwość obchodzi mnie tak samo, jak ciebie. I wobec tego będę się dwa razy więcej modlić za twój sukces. Miałam dzisiaj po południu iść do Gleasonów na garden party, ale przejdę się zamiast tego do Św. Mateusza i w spokoju spędzę tam godzinkę. Poza tym, zdaje się, zanoszą się na deszcz. Biedactwa, mówię o Gleasonach, u nich podczas garden party zawsze pada.

– No cóż, ciociu, nie przeczę, teraz przydadzą się nam modlitwy. Tylko cud nas może uratować.

– Dobrze. Pomodłę się o cud.

– Ułaskawienie w ostatniej minucie, kiedy bohaterowi założyli już stryczek na szyję? To się zdarza tylko w powieściach sensacyjnych, albo pod koniec westernu.

– Wcale nie. To się zdarza codziennie, gdzieś na świecie. Gdyby istniał jakiś sposób odszukania tego i dodania, ile to się razy stało, na pewno byłbyś zdumiony. Widzisz, Opatrzność wtedy podaje rękę, kiedy zawiodą inne sposoby. Nie dość mocno wierzysz, złotko, na co już zwróciłam ci uwagę.

– Jeżeli o to chodzi, czy wierzę, że jakiś anioł Pański zamierza się zgłosić do mojej kancelarii z wyszczególnieniem,

co też robiła Betty Kane przez miesiąc, to rzeczywiście, nie wierzę za mocno — powiedział Robert.

— Zmartwienie na tym polega, złotko, że ty sobie wyobrażasz anioła Pańskiego jako klienta ze skrzydłami, podczas kiedy to może być jakiś niechlujny osobnik w meloniku. Tak czy owak, bardzo mocno będę się dzisiaj modlić po południu i oczywiście wieczorem też; i może do jutra nadejdzie pomoc.

20

Anioł Pański, jak się okazało, nie przybrał postaci niechlujnego człowieczka, chociaż jego kapelusz okazał się godnym pożalowania kontynentalnym filcowym wyrobem, z rondem ciasno zwiniętym wokół główki, jak obwarzanek, Zstąpił do firmy Blair, Hayward i Bennet nazajutrz, o w pół do dwunastej w południe.

— Panie Robercie — odezwał się pan Heseltine, wsuwając głowę przez drzwi, — jest tu w biurze pan Lange, który chce się z panem zobaczyć. Pan Lange...

Robert był zajęty, nie oczekiwał aniołów Pańskich, natomiast przywykł do tego, że w kancelarii pojawiają się obcy ludzie i chcą się z nim zobaczyć — Nie mam czasu. O co mu chodzi?

— Nie mówił. Twierdzi, że chciałby zobaczyć się z panem, gdyby nie był pan zbyt zajęty.

— No cóż, właśnie jestem strasznie zajęty. Niech pan delikatnie wybada, czego chce, dobrze? Jeżeli to nic ważnego, może zająć się nim Nevil.

— Dobrze, wybadam; ale jego wymowa wiele pozostawia do życzenia, poza tym, zdaje się, nie bardzo chętnie...

— Wymowa? To znaczy, że co, sepleni?

— Nie. Chodzi mi o to, że nie najlepiej mówi po angielsku. Pan Lange...

— Czyli, że to cudzoziemiec?

— Właśnie. Przyjechał z Kopenhagi.

— Z Kopenhagi! Dlaczego nie powiedział mi pan od razu!

— Nie dał mi pan szansy, panie Robercie.

— Pokaż go tu, Timmy; daj go, zaraz! Dobrze nieba! Czy baśnie mogą mieszać się z życiem?

Pan Lange przypominał którąś ze dawnych kolumn normańskich w Notre Dame. Równie wysoki, krągły, masywny i równie budzący zaufanie. Gdzieś wysoko, na górze tej wyniosłej kolumny jaśniała twarz pana Lange, przyjazna i naznaczona prawością.

— Pan Blair? — zapytał. — Nazywam się Lange. Przepraszam, że przeszkadzam — nie wymawiał prawidłowo głosek, fakt, — ale to ważne. Ważne dla pana. Jak myślę. Przynajmniej.

— Proszę siadać.

— Dziękuję. Dziękuję. Ciepło dzisiaj, prawda? Może to ten dzień, w którym wypada u was lato? — Roześmiał się przyjaźnie. — Jest taki zwrot angielski, dowcip, o jednolitej lecie. Bardzo interesuję się angielskimi zwrotami. Jestem tutaj u pana właśnie z powodu zainteresowania angielskimi zwrotami.

Robert poczuł, jak krew spływa mu do pięt, jakby gwałtownie zassana pompą. Otóż i baśnie... Nie! Baśnie, trwajcie, proszę...

— Słucham pana — zachęcił przybysza.

— Mam hotel w Kopenhadze, panie Blair, prowadzę go. Nazywa się „Czerwone Trzewiczki”. Oczywiście, nie dlatego, że ktoś tam chodzi w czerwonych butach, ale z powodu baśni Andersena, którą może pan...

— Tak, tai — powiedział Robert — Stała się również jedną z naszych baśni.

— Ach, tak! Właśnie. Andersen! Był wielkim człowiekiem. Człowiekiem wielkim był? Był wielkim człowiekiem; dobrze. W każdym razie taki prosty człowiek, a teraz taki znany na świecie. Trzeba temu się cudować. Przepraszam, dziwić. Przepraszam: trzeba to podziwiać. Marnuję pański czas, pani Blair. O czym mówiłem?

— O angielskich zwrotach.

— A tak. Studiowanie angielskiego to moje hobby.

— Hobby — machinalnie poprawił Robert.

— Hobby, dziękuję. Więc jeżeli chodzi o chleb i masło do chleba, to prowadzę hotel, zresztą jak mój ojciec i jak ojciec ojca; dziadek, prawda? Ale jako hubby... hobby, właśnie, jako hobby studiuję angielskie zwroty. I każdego dnia te gazety, które oni zostawiają, przynosi się do mnie.

— Oni?

— Goście z Anglii

— Aha.

— Wieczorem, kiedy oni kładą się spać, paż... boy, no właśnie, boy zbiera angielskie gazety i zostawia u mnie w biurze. Jestem bardzo zajęty, nie mam czasu na przeglądanie, więc gazety zbierają się w kupę, to znaczy, zbiera się ich kupa, stos, właśnie, zbiera się cały stos, i kiedy mam wolną chwilę biorę którąś z nich i studiuję. Czy jasno tłumaczę, panie Blair?

— Pierwszorzędnie, pierwszorzędnie, panie Lange. — W sercu Roberta znów zakiełkowała nadzieja. Gazety?

— Tak to wygląda. Parę chwil odpoczynku, trochę czytania angielskich gazet, jakiś nowy idiom, może dwa, żadnej gorączki, pośpiechu. Jak się na to mówi?

— Spokój. — właśnie, spokój. I pewnego dnia biorę ze stosu taką gazetę, równie dobrze mógłbym wziąć inną, i natychmiast zapominam o wszystkich angielskich zwrotach. — Z przepastnej kieszeni pan Lange wyjął złożony na pół egzemplarz gazety i rozpostarł go przed Robertem na biurku. Był to numer „Ack-Emmy” z piątku 10 maja, ze zdjęciem Betty Kane zajmującym dwie trzecie pierwszej kolumny. — Patrzę na to zdjęcie. Potem patrzę do środka i czytam paragraf... artykuł, właśnie, czytam artykuł, a potem mówię sobie, że to jest w najwyższym Stopnia niezwykle. W najwyższym. W gazecie piszą, że to fotografia Betty Kann. Kann?

— Kane.

— No tak, Betty Kane. Ale jednocześnie to jest fotografia pani Chadwick, która zatrzymała się w moim hotelu z mężem.

— Co takiego!

Pan Lange wyglądał na zadowolonego. — To pana interesuje? Tak myślałem, że być może... Przepraszam... Myślałem, że tak może być... że będzie...?

— Dalej, niech pan mówi. Dalej.

— Mieszkali u mnie przez dwa tygodnie. I to było takie zadziwiające, panie Blair, bo kiedy ta biedna dziewczyna, Kann, przepraszam, Kane, była w Anglii bita i głodzona na poddaszu, to jednocześnie pani Chadwick jadła w moim hotelu jak młody wilk — móc zjeść tyle śmietany, ile zjadała ta dziewczyna, panie Blair, to zadziwiło nawet mnie, a jestem Duńczykiem, — pierwszorzędnie się bawiła i używała za wszystkie czasy.

— Co dalej?

— No cóż, powiedziałem sobie: w końcu to jest tylko fotografia. Chociaż, z drugiej strony, wyglądała właśnie tak, dokładnie, kiedy na balu rozpuściła włosy...

— Rozpuściła włosy!

— Tak. Bo włosy, widzi pan, nosiła zaczesane do góry. Ale mieliśmy bal, kiedy wszyscy ubierają się inaczej...

— Bal kostiumowy.

— No właśnie, bal kostiumowy. I do tej swojej fantazyjnej sukni rozpuściła włosy, właśnie tak jak tu — postukał palcem w fotografię.

— Wobec tego mówię sobie: w końcu to tylko fotografia. Często zdarzają się zdjęcia w ogóle niepodobne do osoby, tej sfotografowanej. I co by ta dziewczyna na zdjęciu miała wspólnego z młodziutką panią Chadwick, która w tym samym czasie była tu z mężem. Więc staram się być sensowny... Rozsądny, właśnie. Staram się być rozsądny. Ale gazety nie wyrzucam. Trzymam. Od czasu do czasu patrzę. Ile razy popatrzę, myślę: ale to przecież jest pani Chadwick. I wciąż mnie to męczy, idę spać i wciąż myślę o tym, zamiast o jutrzejszym opatrzeniu hotelu. Zaopatrzeniu! Sam jakoś chcę to sobie wytłumaczyć. Bliźnięta? Ale nie, bo ta Betty to jeszcze dziecko. Kuzynki? Przypadek? Sobowtóry? Myślę o tym. Patrzę wieczorem na fotografię i to wszystko przestaje mieć sens. Ale myślę: bez wątplenia to jest pani Chadwick. Rozumie pan mój dylemat?

— Pierwszorzędnie.

— Więc kiedy wybierałem się do Anglii w interesach, włożyłem do walizki gazetę z tą arabską nazwą...

— Arabską...? Przepraszam, nie chciałem przerywać.

— Włożyłem do walizki, a pewnego wieczoru, po obiedzie wyjąłem i pokazałem przyjacielowi, u którego teraz mieszkam.

Mieszkam w Londynie, w Bayswater, u mojego ziomka. I nagle przyjaciel staje się podekscytowany, bardzo, i mówi, że teraz jest właśnie sprawa policyjna, i że te kobiety twierdzą, że nigdy w życiu nie widziały dziewczyny. Że są podejrzane o to, o czym tu mowa, że zostały aresztowane, że będą sądzone. I woła żonę „Rita! Rita! gdzie jest gazeta z wtorku, z ubiegłego tygodnia?” U moich przyjaciół zawsze jest jeszcze gazeta z ubiegłego tygodnia. I przychodzi jego żona, z gazetą w ręce, pokazuje mi sprawozdanie z trybunału, nie... z...?

— Z rozprawy wstępnej.

— Właśnie. Z rozprawy wstępnej tych dwóch kobiet Czytam, że następny proces ma się odbyć w jakiejś miejscowości na prowincji, za dwa tygodnie i parę dni. Więc mój przyjaciel mówi: „Na ile jesteś pewny, Einar, że ta dziewczyna na zdjęciu i pani Chadwick to jedna i ta sama osoba?” A ja na to: „Bardzo jestem pewny.” Na to on: „Tu w gazecie jest nazwisko pełnomocnika tych kobiet. Adresu nie ma, ale Milford to małe miasteczko i nietrudno będzie go znaleźć. Jutro rano wypijemy kawę... to znaczy zjemy śniadanie... a potem pojedziesz do Milford i powiesz temu panu Blairowi, co myślisz i co wiesz” No i jestem, panie Blair. Interesuje pana, co opowiadam?

Robert odchylił się na krzesło, wyciągnął chusteczkę i przetarł spocone czoło. — Czy pan wierzy w cuda, panie Lange?

— Oczywiście. Jestem chrześcijaninem. Oczywiście. Nie jestem jeszcze taki stary, a już widziałem dwa.

— W porządku. Właśnie bierze pan udział w trzecim.

— Tak? — promiennie uśmiechnął się pan Lange. — Bardzo się z tego cieszę.

— Ocalił pan nam skórę.

— Skórę?

— To angielski zwrot. Ocalił pan nam nie tylko skórę. W gruncie rzeczy uratował pan życie.

— Więc pan myśli tak jak ja, że one są jedną osobą, obie, ta dziewczyna i moja klientka z „Czerwonych Trzewiczków”?

— Nie mam żadnych wątpliwości. Niech mi pan powie, zapisał pan datę jej pobytu w pana hotelu?

— Jasne. O, proszę. Pani Chadwick i jej mąż przybyli samolotem, w piątek 29 marca, a opuścili hotel 15 kwietnia w

poniedziałek; to był znów samolot, tak myślę, chociaż nie jestem całkiem pewien.

— Dziękuję. A jej „mąż”, jak on wyglądał?

— Młody. Ciemne włosy. Przystojny. Trochę, no właśnie, jakie to słowo, zbyt okazały. Mięsisty?

— Tęgi?

— Tak jest Otóż to, tęgi. Trochę tęgi, tak, i jak zauważyłem, nie za bardzo dobrze widziany przez innych Anglików, którzy przyjeżdżali do hotelu, i wyjeżdżali

— Wpadł po prostu na krótki urlop?

— Nie, nie. Załatwiał interesy.

— Jakiego rodzaju?

— Tego nie wiem; żałuję.

— I nawet nie mógłby pan próbować zgadnąć? Czym prawdopodobnie mógł interesować się w Kopenhadze?

— To zależy, panie Blair, czy człowiek zajmuje się kupnem, czy sprzedażą.

— Jaki podał adres w Anglii?

— Londyn.

— Ni mniej, ni więcej. Pozwoli pan, że zatelefonuję. Czy pan pali? — Robert otworzył papierośnicę i podsunął panu Lange. — Proszę Milford 195. Czy sprawi mi pan tę przyjemność i zechce ze mną zjeść lunch, panie Lange? Ciociu? Zaraz po lunchu muszę wyjechać do Londynu. ...Tak, zostanę na noc. Bądź aniołem i spakuj mi rzeczy, małą walizkę, dobrze?... Dziękuję. Czy nie będziesz miała nic przeciw temu, że przyprowadzę kogoś na lunch? Na to co jest, co już zrobiłaś, dla nas?... O, dobrze... Tak, zaraz go zapytam. — Robert zasłonił słuchawkę: — Moja ciotka chciałaby się dowiedzieć, czy jada pan słodkie ciasto?

— Panie Blair! — powiedział pan Lange z szerokim uśmiechem i szerokim gestem, na swoją miarę. — Pan pyta o to Duńczyka?

— Przepada za słodkim ciastem — powtórzył Robert do słuchawki. — No i jeszcze jedno, ciociu, czy dziś po południu masz coś ważnego w planie?... Dlatego, że powinnaś pójść do Św. Mateusza, tak uważam, i podziękować...

Właśnie zjawił się twój anioł Pański.

Nawet pan Lange musiał dosłyszeć okrzyk rozradowanej ciotki Lin: Robercie! Nie! To niemożliwe!

— Z krwi i kości.. Nie, nie, ani trochę niechlujny... Bardzo wysoki, piękny, pod każdym względem doskonale dobrany do roli... Przygotujesz mu pyszny lunch, prawda?... Tak, to właśnie on przychodzi na lunch. Anioł Pański

Odłożył słuchawkę i spojrzął na rozbawionego pana Lange.

— A teraz, panie Lange, chodźmy na piwo pod „Różę i Koronę”.

21

Kiedy w trzy dni później Robert pojechał do Franchise, by zabrać panie Sharpe do Norton (rozprawa miała rozpocząć się nazajutrz), na miejscu zastał atmosferę niemal weselną. Na szczycie schodów, przy wejściu, stały dwie balie, wyglądające wręcz abstrakcyjnie, pełne żółtych, kwitnących laków, a ciemny hall mienił się od kwiatów, jak kościół udekorowany na ślub.

— To Nevil! — powiedziała Marion, jednym gestem dłoni ogarniając wspaniałości. — Powiedział, że dom powinien być *en fête*.

— Żałuję, że o tym nie pomyślałem — powiedział Robert.

— A mnie zdumiewa, że po ostatnich paru dniach w ogóle możesz myśleć. Gdyby nie ty, nie mogłybyśmy się dzisiaj tak cieszyć.

— Raczej gdyby nie człowiek nazwiskiem Bell.

— Bell?

— Aleksander Bell. Wynalazł telefon. Gdyby nie ten wynalazek, wciąż błądzilibyśmy w ciemnościach. Upłyną miesiące, zanim przejdą mi drgawki na widok telefonu.

— Zmienialiście się?

— Nie. Każdy miał swój aparat, Kevin i jego pomocnik w kancelarii Kevina, ja w tym małym mieszkanku Kevina przy St. Paul's Churchyard, Alec Ramsden wraz z trzema ludźmi i u siebie, i Bóg wie gdzie jeszcze, byle można było bez przerwy dzwonić.

— Więc było was sześciu.

— Siedmiu, przy sześciu telefonach. I tyłu było trzeba.

— Biedny Robert!

— Najpierw to była zabawa. Byliśmy rozradowani, jak na polowaniu, kiedy wiesz, że jesteś na właściwym tropie. Sukces był w zasięgu ręki. Ale kiedy po pewnym czasie przekonaliśmy się, że żaden z Chadwicków w londyńskiej księżce telefonicznej nie ma związku z Chadwickiem, który odleciał do Kopenhagi 29 marca, a o tym Chadwicku linia lotnicza wiedziała tylko tyle, że w Larborough, 27 marca, zarezerwował dwa miejsca, wówczas przestało nam być tak wesoło. Oczywiście, mogliśmy sobie pogratulować wiadomości z Larborough, ale już potem szło jak po grudzie. Dowiedzieliśmy się, co sprzedajemy do Danii, co Dania kupuje od nas i podzieliliśmy to między siebie.

— Co, handel z Danią?

— Nie, kupujących i sprzedających. Spadło nam jak z nieba duńskie biuro turystyczne. Po prostu zalali nas informacjami. Kevin, jego pracownik i ja wzięliśmy na siebie eksporterów, a importerów Ramsden ze swoimi ludźmi. Od tego momentu zaczęła się mordęga: telefon, sekretarka, połączenie z szefem i pytanie: „Czy pracuje dla pana człowiek nazwiskiem Bernard Chadwick?”. Liczba firm, dla których nie pracuje Bernard Chadwick, przechodzi ludzkie pojęcie. Ale teraz wiem znacznie więcej o naszym eksporcie do Danii.

— Nie wątpię!

— Miałem tak serdecznie dosyć telefonu, że kiedy zadzwonił, niewiele brakowało, a nawet nie tknąłbym słuchawki. Prawie zapomniałem, że telefon działa w obie strony. Dla mnie stał się już czymś w rodzaju instrumentu do wypytywania, który można podłączyć do dowolnego biura w całym kraju. Patrzyłem na ten telefon przez dobrą chwilę, zanim zdałem sobie sprawę, że to jest mimo wszystko zabawka dwukierunkowa, i że najwyraźniej ktoś próbuje dodzwonić się do mnie.

— A to był Ramsden.

— Tak, to był Alec Ramsden. Powiedział: „Mamy go. Skupuje porcelanę i jakieś rupiecie dla firmy Brayne,

Havard i Spółka”.

— Cieszę się, że to właśnie Ramsden go znalazł. Powinno to być dla niego osłoda, po tym, -jak-wyłożył-się na tropieniu dziewczyny.

— No właśnie. Już jest w lepszym humorze. No a potem był zamęt, pośpiech, żeby rozmówić się z ludźmi, z którymi trzeba było się rozmówić, żeby załatwić wezwania sądowe i co tam jeszcze trzeba. A jutro będą na nas czekać smakowite owoce, w Norton, w sądzie. Również Kevin nie może się doczekać. Na myśl o nich ślinka cieknie mu do ust

— Gdybym była w stanie żałować tej dziewczyny — powiedziała pani Sharpe, wchodząc z neseserem i beztrzesko rzucając go na mahoniowy stolik, co ciotkę Lin przyprawiłoby o omdlenie — to tylko dlatego, że przy barierce dla świadków spotka się twarzą w twarz z wrogo nastawionym Macdermottem. — Robert zauważył, że walizeczka, niegdyś bardzo elegancka i droga (może pamiątka z czasów, kiedy pani Sharpe była młodą mężatką i żyła w zbytku), była znoszona w stopniu godnym ubolewania. Postanowił, że kiedy ożeni się z Marion, prezentem dla matki panny młodej będzie neseser; lekki, mały, elegancki i drogi.

— A ja — powiedziała Marion — nigdy nie byłabym w stanie poczuć nawet przelotnego żalu z powodu tej dziewczyny. Mogłabym ją zetrzeć ze świata, pacnąć jak mola w szafie, z tym że właśnie mola zawsze mi żal. — Co ta dziewczyna chciała osiągnąć? — zapytała pani Sharpe. — Czy ona w ogóle chciała Wrócić do domu?

— Nie sądzę — powiedział Robert — Myślę, że wciąż wypełniały ją furia i uraza, ponieważ przy Meadows Lane 39 przestała być centrum zainteresowania. To jest tak, jak Kevin powiedział dawno temu: przestępstwo zaczyna się od egoizmu i niepohamowanej próżności. Zwykła dziewczyna, nawet niedojrzała emocjonalnie, młodzieńcza, może poczuć, że pęka jej serce, ponieważ przybrany brat już nie uważa jej za pępek świata; ale może sobie z tym poradzić, szlochając, albo złoścąc się, będąc nieznośną, albo ogłaszając, że

porzuca świat i wstępuje do klasztoru, albo na dziesięć innych sposobów, do których młodzi ludzie uciekają się w procesie dostosowania. Ale kiedy ma się we krwi egoizm Betty Kane, nie ma mowy o dostosowaniu. To świat powinien się do niej dostosować, tego się spodziewa. I tego samego spodziewają się przestępcy. Nie było jeszcze przestępcy, który nie uważałby się za skrzywdzonego.

— Czarująca osoba — powiedziała pani Sharpe.

— Tak. Nawet biskup Larborough będzie miał trudności z wymyśleniem dla niej dobrej racji. Tym razem na nic się nie zda jego zwykły konik, „środowisko”. Betty Kane miała wszystko, co biskup uważa za remedium przeciw przestępczości: miłość, swobodę w rozwijaniu talentów, wykształcenie, poczucie bezpieczeństwa. Niezła łamigłówka dla jego ekscelencji, kiedy to sobie uświadomi, ponieważ ekscelencja nie wierzy w dziedziczenie. Sądzi, że przestępców wytwarza się; wobec czego można ich również zdemontować. W ocenie jego ekscelencji „zło we krwi”, to po prostu stary przesąd.

— Toby Byrne — zachnęła się pani Sharpe. — Powinien sobie posłuchać, co mówiono o nim u Charles’a w stajni.

— Słyszałem, co mówił Nevil — odezwał się Robert. — Nie sądzę, żeby ktokolwiek mógł błysnąć lepszą niż on znajomością przedmiotu.

— Zaręczyny są zerwane ostatecznie? — spytała Marion.

— Ostatecznie. Ciotka Lin pokłada teraz nadzieje w najstarszej córce Whittakera. Jest siostrzenicą Lady Mountleven i wnuczką Karra Krispsa.

Marion śmiała się wraz z nim. — A czy ta córka Whittakera jest ładna? — zapytała.

— Tak. Miła, przyjemna, dobrze wychowana, muzykalna, chociaż nie śpiewa.

— Chciałbym, żeby Nevil miał miłą żonę. Wszystko, czego mu trzeba, to odrobina zainteresowania. Coś, co by skupiało i jego energię i jego uczucia.

— Jak na razie skupiają się na Franchise. ...

— Wiem. Jest dla nas bardzo miły. Cóż, myślę, że pora wyjeżdżać. Gdyby tydzień temu ktoś mi powiedział, że będę wyjeżdżać z Franchise po to, by zatryumfować w Norton, nie uwierzyłabym Biedny Stanley, wreszcie będzie mógł się wyspać we własnym łóżku, zamiast pilnować pary czarownic w domu na odludziu.

— Stanley nie zostaje dzisiaj na noc? — spytał Robert.

— Nie. A po co?

— Nie wiem. Nie podoba mi się myśl, że dom zostanie całkiem pusty.

— Jak zwykle przyjdzie policjant, podczas obchodu. Poza tym, od kiedy wytlukli okna, nikt już nie próbował niczego więcej. To tylko jedna noc. Jutro znów będziemy w domu.

— Wiem. Ale to mi się nie podoba. Czy Stanley nie mógłby tu spać jeszcze tej nocy? Póki nie skończy się sprawa?

— Jeżeli znów zechcą wybijać szyby — powiedziała pani Sharpe, to nie przypuszczam, żeby ich odstraszyła obecność Stanley'a.

— Nie. Pewnie nie. W każdym razie przypomnę Hallamowi, że dzisiaj dom będzie pusty — powiedział Robert i wyszedł na zewnątrz.

Marion zamknęła drzwi i podeszli do bramy, za którą czekał samochód Roberta. Przy bramie Marion zatrzymała się, by spojrzeć na dom. — Ponure, stare lokum — powiedziała. — Ma jednak pewną zaletę. Tak samo wygląda przez okrągły rok. Trawa w środku lata bywa trochę spalona, jakby nieświeża, ale poza tym nic się nie zmienia. Większość domów ma jakąś „najlepszą” porę, kwitnące różaneczniki lub migdałowce, żywe kobierce, żółknące dzikie wino, czy jeszcze coś innego. A ten dom, Franchise, jest zawsze taki sam. Tu nie ma fanaberii. Z czego się śmiejesz, mamo?

— Właśnie myślę, jak ten dom, biedaczysko, wygląda z tymi monstrualnymi bukietami laku, no po prostu wyelegantowany...

Stali przez chwilę, śmiejąc się na widok odpychającego, brudnobiałego domu, udekorowanego tak niestosownie, frywolnie, i wciąż śmiejąc się zamykali bramę.

Robert nie zapomniał; zanim w Norton, „Pod Piórem”, usiadł do kolacji z Kevinem, zatelefonował do Milford na komisariat i przypomniał, że dom pań Sharpe będzie przez tę noc zupełnie pusty.

— W porządku, proszę pana — powiedział sierżant. — Polecę naszemu człowiekowi, żeby podczas patrolu otworzył bramę i rozejrzał się. Tak, wciąż mamy klucz. Wszystko będzie w porządku.

Robert nie wiedział, co w ten sposób osiągnie policja, ale też nie wiedział, jak zapewnić ochronę domu. Pani Sharpe powiedziała, że jeżeli kogoś najdzie chęćka, by wytłuc szyby, to szyby nieuchronnie polecą. Robert w końcu uznał, że robi z igły widły, i z ulgą wrócił do Kevina oraz swoich przyjaciół, prawników.

Prawnicy bywają rozmowni, więc zrobiło się późno, zanim Robert położył się do łóżka w jednym z pokoi wyłożonych ciemnym drewnem; pokoi, którym gospoda zawdzięczała sławę. „Pod Piórem” — gospoda, którą zdaniem Amerykanów „koniecznie trzeba zobaczyć” —

była nie tylko miejscem znanym, ale i nowoczesnym. Przez dębowe deski przeprowadzono rury, przez belkowe sklepienie druty, a przewody telefoniczne przez grubą, dębową podłogę. Gospoda zapewniała wygody podróżnym od 1480 roku, i nie było powodów, dla których miałyby z tym nawykiem zrywać.

Robert zasnął w tej samej chwili, w której przyłożył głowę do poduszki. Telefon przy łóżku dzwonił dobrą chwilę, zanim Robert zdał sobie z tego sprawę.

Zapytał na pół przytomnie — Tak? — Zaraz jednak otrzeźwiał.

Dzwonił Stanley. Czy Robert może przyjechać do Milford? Pali się Franchise.

— Dużo się spaliło?

— Dom solidnie oberwał, ale mówią, że może da się go uratować.

— Lecę tak szybko, jak tylko można.

Dwadzieścia mil, spod gospody w Norton do bramy

Franchise, przejechał w takim czasie, że Robert Blair sprzed miesiąca uważałby to za wysoce naganny wybryk w czymkolwiek wykonaniu, a już we własnym za wyczyn wręcz nie do pomyślenia. Kiedy śmignął koło swego domu, w dole High Street, i wydostał się na otwartą przestrzeń za miasteczkiem, zobaczył nad horyzontem łunę, przypominającą wschód księżyca w pełni. Jednak księżyc tkwił już wysoko na niebie, w jasną letnią noc, srebrny, na nowiu. Łuna płonącego Franchise przygasła i rozbłyskiwała, a gwałtowne wybuchy płomieni przypominały Robertowi grozę innych pożarów; serce podeszło mu pod gardło.

Przynajmniej nie było nikogo w środku. Zastanawiał się, czy znalazł się na czas ktoś, kto ratował to, co wartościowe. Ale kto mógłby teraz rozróżniać rzeczy cenne od nic niewartych?

Brama była szeroko otwarta, a na trawniku przed domem — jasno oświetlonym płomieniami — pełno było ludzi i sprzętu straży pożarnej. Pierwszą rzeczą, którą zobaczył, zdumiewającą na trawie, był fotel z astragalowym ornamentem,

ten z salonu; Roberta ogarnęła fala popłochu. W każdym razie ktoś to uratował.

Stanley, prawie nierozpoznawalny, podciągnął rękaw i powiedział: — Jest pan. Myślałem, że powinien pan jakoś się dowiedzieć. — Strugi potu spływały po pociemniałej twarzy, tworząc na niej jasne pasma, na skutek czego młoda twarz Stanley'a wydawała się spękana i stara. — Brakuje wody. Wyciągnęliśmy trochę rzeczy. Wszystko z salonu, to, czego używały na codzień. Pomyślałem, że gdyby mogły wybrać, chciałyby właśnie to uratować. Wyciągnęliśmy jeszcze trochę z góry, ale wszystkie cięższe rzeczy przepadły.

Materace i pościel leżały na trawniku, tak by nie trafiły strażakom pod nogi. Obok stały na trawie meble, tak jak je przyniesiono; wyglądały na zaskoczone i zagubione.

— Weźmy dalej te meble — powiedział Stanley. — Tu jest niebezpiecznie. Albo spadnie na nie jakaś żagiew, albo rozdepcze je któryś z tych sukinsynów. — „Sukinsynami” byli strażacy, którzy złani potem, robili co mogli.

Tak więc Robert, pośrodku fantastycznego widoku, zajęty był przenoszeniem mebli, z żalością rozpoznając rzeczy, które poznał był w ich właściwym otoczeniu. Fotel, który pani Sharpe uznała za zbyt delikatny, jak dla inspektora Granta; wiśniowy stolik, przy którym panie Sharpe podjęły Kevina lunchem; stolik mahoniowy, na który pani Sharpe jeszcze parę godzin temu rzuciła z rozmachem walizkę. Huk i trzaskanie płomieni, krzyki strażaków, dziwna mieszanina księżycowej poświaty, reflektorów i falującego ognia, szalona, pozbawiona sensu sceneria wyniesionych mebli, to wszystko przypominało mu stan zapadania się w narkozę.

A potem wydarzyły się jednocześnie dwie rzeczy. Podłoga pierwszego piętra zapadła się z trzaskiem. Nowy rozbłysk płomieni oświetlił twarze wokół Roberta, i wtedy Robert zobaczył dwóch młodzików, którzy szeroko otwartymi oczami pożerali to, co się działo. W tej samej chwili Robert zdał sobie sprawę, że Stanley również ich zauważył. Potem zobaczył, jak pięść Stanley'a trafia w podbródek dalszego z nich, z trzaskiem słyszalnym nawet przez huk pożaru, a

zafascynowana twarz nikt nie w ciemności, na zdeptanym trawniku.

Robert nikogo nie uderzył, od kiedy skończywszy szkołę porzucił boks; teraz też nie miał zamiaru kogokolwiek bić To, co zrobiła lewa ręka, zdawało się, że zrobiła na własny rachunek. Następna para błyszczących oczu zniknęła w ciemności.

— Nieźle — zauważył Stanley, ssąc rozbite kostki A potem krzyknął: — Niech pan patrzy!

Dach wykrzywił się jak twarz dziecka, które zaraz zacznie płakać, jak topiąca się Mona fotograficzna. Okrągłe okienko, tak znane, a cieszące się fatalną opinią, wychyliło się na zewnątrz, a potem zapadło do środka. Języki ognia strzeliły w górę, a potem cofnęły się. Potem cały dach zamienił się we wrzącą masę i z wysokości dwóch pięter zawałił się prosto w rozpaloną do czerwoności czeluść, w głąb płonącej ruiny. Ludzie odskoczyli od żaru, przypominającego już piec hutniczy. Ogień huczał, niepohamowanie tryumfował w letnią noc.

Kiedy wreszcie przygasły ostatnie płomienie, Robert w jakiejś mieszaninie zdumienia i zamroczenia zauważył, że świta, że wstaje dzień. Szary, łagodny, niosący nadzieję. Nastął też spokój. Zamiast huku płomieni i ludzkich krzyków, słychać było tylko ciche syczenie kropel wody na dymiącym pogorzeliisku. Cztery ściany, osmolone i brudne, sterczały na środku zdeptanego trawnika; cztery ściany i jeden bieg schodów z powyginaną, żelazną poręczą. Przy wejściu, po jego obu stronach, tkwiło to, co zostało z wesołego pomysłu Nevila: przemoczone i poczerniałe resztki kwiatów laku zwieszały się z krawędzi obu bali

Prostokątny otwór za nimi prowadził razem donikąd, w czerń.

— No cóż — powiedział Stanley. Już po wszystkim.

— Jak to się zaczęło? — spytał Bill, który przyjechał za późno i zobaczył tylko zgłiszczca.

— Nie wiadomo. Kiedy zgodnie z planem patrolu zjawił się policjant Newsam, już się dobrze paliło — powiedział Robert.

— Przy okazji, co się stało z tymi dwoma?

— Tymi, których naprostowaliśmy? — spytał Stanley.

— Poszli do domu.

— Szkoda, że wrażenie nie stanowi dowodu.

— Właśnie — powiedział Stanley. — Nikogo nie złapią, tak jak nie złapali za wybijanie okien. Wciąż jestem komuś dłużny walnięcie w głowę.

— W nocy o mało co me złamałeś szczęki tej kreaturze. W jakimś stopniu powinno to być rekompensatą.

— Jak zamierza pan powiedzieć im o tym? — pytanie Stanley'a najwidoczniej odnosiło się do pań Sharpe.

— Bóg raczy wiedzieć — powiedział Robert. — Nie mam pojęcia, czy powinienem im powiedzieć od razu i popsuć uczucie tryumfu w sądzie, czy raczej dać im posmakować tryumfu, a okropną wiadomość zostawić na potem?

— Niech im pan pozwoli na pełną satysfakcję — powiedział Stanley. — Niech im pan tego tryumfu nie psuje.

— Chyba masz rację. Stan. Tak mi się zdaje. Lepiej jeżeli zamówię dla nich pokoje pod „Różą i Koroną”.

— Nie będą zadowolone — powiedział Stan.

— Pewnie nie — odrzekł Robert z odrobiną zniecierpliwienia w głosie. — Nie mamy jednak wyboru. Zdaje mi się, że tak czy owak zechcą zostać tu dzień czy dwa, żeby jakoś uporać się ze wszystkim. A „Róża i Korona” to najlepsze, na co można tu liczyć.

— Już o tym myślałem — powiedział Stanley.

— Przekonany jestem, że moja gospodyni ucieszy się, gdyby mogła je przyjąć. Zawsze trzymała ich stronę, poza tym ma wolny pokój; mogłyby mieć taki dzienny pokój, od frontu, którego gospodyni właściwie nigdy nie używa; tam jest naprawdę spokojnie, to ten ostatni rząd domów komunalnych, których okna wychodzą już na Meadow. Myślę, że wołałyby raczej coś takiego, niż hotel, gdzie ludzie będą się na nie gapić.

— Oczywiście, że będą wołały, Stan. W ogóle nie pomyślałem o tym. Myślisz, że twoja gospodyni zgodzi się?

— Nie myślę. Jestem pewien. Ma głowę zaprzątniętą tylko

nimi. Więc będzie to dla niej coś takiego, jakby gościła rodzinę królewską.

— W porządku. Bądź tak dobry dowiedz się na pewno i daj mi znać do Norton, dobrze? Wiadomość zostaw „Pod Piórem”.

22

Robertowi zdawało się, że przynajmniej połowa mieszkańców Milford zdołała wcisnąć się do sali sądu w Norton. Z pewnością drzwi wejściowe szturmowało, głośno i natargiwie, mnóstwo obywateli Norton; byli wściekli, bo kiedy przed „ich” sądem miała się toczyć głośna na cały kraj rozprawa, napłynęła fala cudzoziemców z jakiegoś Milford i ograbiła ich z ich dobrego prawa do przysłuchiwania się. Dodajemy, fala cudzoziemców chytrych i podstępnych, którzy zdołali przekupić miejscową młodzież, by ta zajęła im miejsca w kolejce; obcy z Milford okazali przezorność, która w Norton nikomu dorosłemu nie przyszlaby do głowy.

Było bardzo ciepło; podczas wstępnej procedury i przez większą część czytania aktu oskarżenia ruch w przepelnionej sali wyrażał niewygodę. Miles Allison, który oskarżał, był przeciwieństwem Kevina Macdermotta; wydawało się, że jego jasna, delikatna twarz jest raczej twarzą z obrazka przedstawiającego typ ludzki, czy jakiś przykład, niż twarzą konkretnego człowieka. Wysoki, oschły głos pozbawiony był emocji, wywód cechowała rzeczowość. A ponieważ historię, którą referował wszyscy znali na pamięć, czytali o niej, dyskutowali do tego stopnia, że spowszedniała, więc zgromadzeni poświęcali prokuratorowi niewiele uwagi, raczej zabawiając się rozpoznawaniem na sali przyjaciół i znajomych.

Robert obracał w palcach podłużny kawałek tektury, który wczoraj, kiedy wyjeżdżał, wcisnęła mu w rękę Christina; w myśli wypróbowywał zdania przeznaczone na później. Jasnoniebieską tekturkę pokrywał złoty napis: „Nie zginie

nawet wróbel”, a w rogu mieścił się obrazek rudzika z czerwono upierzoną piersią, zresztą o wiele za dużą. W jaki sposób, zastanawiał się Robert, zawiadamia się kogoś, że nie ma już domu?

Nagle poruszenie setek ciał i potem cisza przywołały go do rzeczywistości: Betty Kane składała przysięgę przed przystąpieniem do zeznań. „Nie uwierzę, że w życiu pocałowała cokolwiek poza książeczką do nabożeństwa” palnął o niej Ben Carley przy podobnej okazji. Dzisiaj sprawiała to samo wrażenie. Błękitny kostiumik znów podsuwał myśl o młodości i niewinności, o zapachu dymu z ogniska, stokrotkach i dzikich hiacyntach przezierających wśród trawy. Spod zsuniętego na tył głowy kapelusza, spod jego uniesionego rąka znów wyglądało dziecinne czoło, ujmująco ograniczone piękną linią włosów. Robert wiedział już wszystko o życiu Betty Kane w ciągu tych tygodni, kiedy zaginęła; mimo to jeszcze raz odczuł zdumienie na jej widok. Dar budzenia zaufania to jeden z podstawowych talentów przestępcy, ale jak dotąd wiarygodność przestępców, z którymi Robert miał do czynienia, trochę przypominała tabliczki, jakimi obwieszają się rzekomi weterani; była to grubymi nićmi szyta amatorska robota. Zdał sobie sprawę, że teraz po raz pierwszy może zobaczyć na własne oczy jak to wygląda naprawdę.

Betty Kane jeszcze raz złożyła zeznania we wzorowy sposób; jej czysty, młody głos docierał do każdej pary uszu na sali. Jeszcze raz spowodowała, że publiczność wstrzymała oddech i zamarła. Różnica była tylko taka, że tym razem nie wydawał się zafascynowany wysoki sąd. Wnioskując z wyrazu twarzy, wysoki sąd był bardzo, ale to bardzo daleki od fascynacji Robert zaś zastanawiał się, w jakim stopniu krytyczne spojrzenie sędziego wynikało z instynktownej niechęci wobec poszkodowanej, a jak dalece wiązało się z myślą, że nie siedziałby tutaj Kevin Macdermott, gotów bronić dwóch kobiet na ławie oskarżonych, gdyby nie miał w rękę jakichś piorunujących argumentów.

Dziewczyna wyliczeniem szkód i cierpień dopięła tego,

czego nie zdołał osiągnąć jej pełnomocnik: poruszyła uczucia publiczności Zebrani nie raz wydali z piersi jednogłośnie westchnienie, nie raz rozlegał się pomruk oburzenia; nigdy na tyle otwarty, by uznać to za demonstrację, a tym samym sprowokować napomnienie sądu, ale wystarczająco słyszalny, by wykazać po czyjej stronie jest sympatia. Tak więc na sali wyczuwało się oskarżycielskie nastawienie, kiedy Kevin wstał, by zadać pierwsze pytanie.

— Panno Kane — rozpoczął, sięgając po najdelikatniejszą artykulację — twierdzi pani, że kiedy przybyła pani do Franchise było ciemno. Czy rzeczywiście było bardzo ciemno?

Dziewczyna słysząc i pytanie, i przymilny ton najwidoczniej uznała, że Kevin chciałby usłyszeć, że nie było ciemno; wobec tego zareagowała tak, jak oczekiwał Kevin.

— Tak. Całkiem ciemno — powiedziała.

— Zbyt ciemno, by zobaczyć coś na zewnątrz domu?

— Tak. O wiele za ciemno.

Kevin najwyraźniej porzucił ten wątek i zajął się innym.

— Przejdźmy do tej nocy, kiedy pani uciekła. Może wtedy nie było aż tak ciemno?

— Było. Nawet jeszcze ciemniej, jeżeli to możliwe.

— Tak więc nie miała pani możliwości zobaczenia okolic domu przy jakiejś okazji?

— Nigdy.

— Nigdy. No dobrze, przyjmując to do wiadomości zastanówmy się teraz nad tym, co pani powiedziała o widoku z okna na poddaszu, gdzie była pani więziona. W pani zeznaniu dla policji, tam gdzie opisywała pani to nie znane pani miejsce swojego uwięzienia, powiedziała pani, że podjazd, po wewnętrznej stronie bramy „biegł prosto, a potem dzielił się na dwoje, tworząc pętlę podchodzącą aż pod wejście”?

— Tak.

— Skąd pani wiedziała, że tak wygląda podjazd?

— Skąd wiedziałam? Widziałam to.

— Skąd?

— Z okna na poddaszu. Wychodzi ono na dziedziniec przed domem.

— Tak, ale z okna na poddaszu można zobaczyć tylko prostą część podjazdu. Krawędź dachu zasłania resztę. Skąd pani wiedziała, że podjazd dzieli się, tworzy pętlę, podchodzącą aż pod wejście?

— Widziałam to!

— W jaki sposób?

— Z okna. Z tego okna.

— Czyli chce pani nas przekonać, że pani widzi inaczej, na jakiejś innej zasadzie niż zwykli śmiertelnicy, a która ma coś wspólnego z tą strzelbą Irlandczyków, strzelającą zza rogu? A może patrzyła pani przy pomocy jakichś luster?

— Jest tak jak powiedziałam!

— Z pewnością jest, jednak opis dziedzińca, który pani przedstawiła, to opis z punktu widzenia kogoś, kto widzi przez ściany, a nie wygląda przez okno na poddaszu; przez okno, które jak pani nas tu zapewnia, było pani jedynym punktem obserwacji.

— Rozumiem — odezwał się wysoki sąd — że ma pan świadka w sprawie pola widzenia z okna.

— Dwóch, wysoki sędzie.

— Wystarczy jeden, byle miał zdrowe oczy — sucho oświadczył wysoki sąd.

— Tak więc nie potrafi nam pani wyjaśnić, jak to się stało, że składając zeznanie przedstawicielowi policji w Aylesbury, opisała pani okoliczności, które nie mogły być pani znane, jeżeli pani zeznanie jest prawdą. Czy była pani kiedyś za granicą, panno Kane?

— Za granicą? — była zdziwiona lnianą tematu. — Nie.

— Nigdy?

— Nie, nigdy.

— Na przykład ostatnio, czy nie odwiedziła pani Danii? powiedzmy, Kopenhagi?

— Nie. — Jeżeli chodzi o wyraz twarzy czy postaci nic się nie zmieniło, ale Robert pomyślał, że w jej głosie zabrzmiała ledwie słyszalna nuta niepewności.

— Czy pani zna człowieka nazwiskiem Bernard Chadwick?

Nagle stała się ostrożna. Robert pomyślał o tej delikatnej

zmianie, kiedy spokojne, wypoczywające zwierzę zaczyna nasłuchiwać. Sylwetka nie zmienia się, nie ma żadnej uchwytnej różnicy. Przeciwnie, pojawia się jakiś naddatek spokoju i świadomości

— Nie. — Głos nie wyrażał zainteresowania, był bezbarwny.

— Nie przyjaźni się pani z nim?

— Nie.

— Czy, na przykład, mieszkała z nim pani w hotelu, w Kopenhadze?

— Nie. Nigdy nie byłam za granicą.

— Słowem, gdybym zasugerował, że te tygodnie, kiedy pani zniknęła, spędziła pani w hotelu w Kopenhadze, nie zaś na poddaszu we Franchise, to byłbym w błędzie?

— Całkowicie.

— Dziękuję.

Miles Allison, jak zresztą przypuszczał Kevin, wstał, by opanować sytuację.

— Panno Kane — powiedział — pani przyjechała do Franchise samochodem.

— Tak.

— I samochód, jak pani oświadczyła, podjechał przed dom, pod wejście. W takim razie, jeżeli było tak ciemno jak pani mówi, musiałyby świecić przynajmniej światła postojowe, a może nawet reflektory, które musiały oświetlić nie tylko podjazd, ale i większą część dziedzińca.

— Tak — weszła w słowo, zanim zdołał dokończyć myśl. — Rzeczywiście, to wówczas musiałam zobaczyć tę pętlę. Tak, to właśnie wtedy ją zobaczyłam, właśnie wtedy, pamiętam. — Betty Kane rzuciła w stronę Kevina spojrzenie, które przypomniało Robertowi wyraz jej twarzy, i sytuację, kiedy to pierwszego dnia, we Franchise, udało jej się zgadnąć, jakie walizki znajdują się w schowku. Gdyby wiedziała, pomyślał Robert, co dzisiaj przygotował dla niej Kevin, nie poświęciłaby ani jednej zbytecznej myśli minionym sukcesom.

Przy barierce dla świadków miejsce po niej, używając słów Carley'a, zajął „oleodruk”, który na okoliczność występu w

Norton nabył nową sukienkę oraz nowy kapelusz; sukienka była koloru pomidorowego, a brązowo- purpurowy kapelusz ozdabiały kobaltowa wstążka i różowa róża, dzięki czemu „oleodruk” wyglądał jeszcze bardziej słodko i jeszcze okropniej niż zwykle. Robert z ciekawością znów zauważył, do jakiego stopnia jej zły smak podważał efekty jej słów, nawet wobec tej publiczności, która tak chciała się wzruszyć. Nie lubili jej, i na przekór ich własnej, stronnicznej postawie, ich nastawienie do Gladys zmroziła ich angielska nieufność wobec złośliwości. Kiedy Kevin, przesłuchując dziewczynę, zasugerował, że wcale nie „złożyła wypowiedzenia”, lecz, że została zwolniona, wówczas na co drugiej twarzy w sądzie pojawił się grymas mówiący: „a więc to tak było!”. Poza próbą podważenia wiarygodności, Kevin niewiele mógł z nią wskórać i wobec tego zwolnił ją. Czekał na jej pomocnicę, na nieszczęsne popychadło.

Kiedy popychadło znalazło się na sali, wyglądało jeszcze bardziej żałośnie, niż podczas rozprawy wstępnej w Milford. Togi i peruki tworzyły scenerię, która po prostu wstrząsnęła dziewczyną. Podczas wstępnej rozprawy mundury policyjne wywarły wystarczająco mocne wrażenie, ale teraz, na tej sali, we wspomnieniu, Wydawały się wręcz po domowemu przyjazne, w porównaniu z uroczystym rytuałem tego sądu. Jeżeli w Milford traciła grunt pod nogami, to tutaj najwyraźniej tonęła. Robert dostrzegł wbity w nią wzrok Kevina, spojrzenie, które analizowało, decydowało o sposobie dobrania się do ofiary. Na przekór cierpliwości i spokojowi Milesa Allisona, dziewczyna była sztywna ze strachu, sądząc najwyraźniej, że wszystko, co nakryte peruką, a owinięte togą jest wrogiem, może wydawać wyroki i jest potencjalnym szafarzem kar. Wobec tego Kevin postanowił być uwodzicielski i opiekuńczy.

Słuchając pierwszych zdań Robert pomyślał, że pieśczoćliwość, jaką nadał głosowi Kevin, jest stanowczo nieprzyzwoita. Ciche, nieśpieszne zgłoski przywróciły dziewczynie pewność siebie. Przez chwilę słuchała Kevina, a potem zaczęła się odprężać. Robert dostrzegł, jak jej małe, chude

dłonie, tak silnie zaciśnięte na barierze, rozluźniły się i powoli przybrały naturalną pozycję. Kevin wypytywał o szkołę. Strach pierchnął z twarzy dziewczyny i teraz odpowiadała całkiem spokojnie. Była już całkiem pewna, że oto znalazł się wreszcie ktoś życzliwy.

— A teraz, Gladys, pozwolę sobie przypuścić, że nie chciałaś tu dzisiaj przychodzić i składać zeznań przeciwko tym dwom paniom z Franchise.

— Nie, nie chciałam. Rzeczywiście, nie chciałam!

— Ale przyszłaś — powiedział Kevin; nie było to oskarżenie, lecz zwykłe stwierdzenie faktu.

— Tak — odpowiedziała, zawstydzona.

— Dlaczego? Czy uważałaś, że to twój obowiązek?

— Nie, skądże.

— Więc dlatego, że ktoś cię zmusił, żebyś przyszła?

Robert dostrzegł natychmiastową reakcję sędziego, ale

kątem oka dostrzegł ją również Kevin. — Ktoś, kto czymś ci zagrażał? — głośno dokończył Kevin, podczas kiedy wysoki sąd odetchnął. — Ktoś, kto powiedział: „Opowiesz to, co ja ci każę, albo ja opowiem o tobie”?

Wydawała się i bezradna i oszołomiona. — Nie wiem — powiedziała, sięgając po wybieg ludzi niewykształconych.

— Jeżeli ktokolwiek kazał ci kłamać, i groził, że ci zaszkodzi, jeżeli się sprzeciwisz, może za to zostać ukarany.

Dla dziewczyny była to nowa myśl.

— Ten sąd, wszyscy ludzie, których tu widzisz, zesłi się tutaj, by w pewnej sprawie dotrzeć do prawdy. I wysoki sąd postąpi bardzo surowo z każdym, kto posłużyłby się groźbą przeciw tobie, po to żebyś tu przyszła i mówiła coś, co nie jest prawdą. Co więcej, bardzo ciężko karane są osoby, które przysięgły mówić prawdę, a mówią nieprawdę; jeżeli jednak tak się zdarzy, że kłamały tylko dlatego, ponieważ zostały przez kogoś zastraszone, wówczas osobą karaną przede wszystkim jest ta osoba, która zastraszala. Czy wszystko zrozumiałaś?

— Tak — odpowiedziała szeptem.

— Dobrze. A teraz ja opowiem ci, jak to wszystko wyglądało

naprawdę moim zdaniem, a potem ty powiesz, czy mam rację, czy nie. — Kevin odczekał chwilę, aż dziewczyna zgodzi się, Gladys jednak nic nie powiedziała, wobec tego Kevin ciągnął dalej. — Ktoś, powiedzmy, że twoja przyjaciółka, zabrał coś z Franchise. Powiedzmy, że zegarek. Powiedzmy, że sama nie chciała go nosić i wobec tego dała tobie. Być może nie chciałaś go wziąć, ale twoja przyjaciółka jest osobą, która ma wpływ na ciebie i nie chciałaś odmówić wzięcia od niej podarunku. Więc wzięłaś ten zegarek. A teraz, jak przypuszczam, któregoś dnia przyjaciółka poprosiła cię, żebyś potwierdziła przed sądem historię, którą ona tam opowie. Ty, nie lubiąc kłamać, powiedziałaś „nie”. Wówczas ona powiedziała na to: „Jeżeli nie potwierdzisz tego, co powiem w sądzie, to ja powiem, że któregoś dnia ukradłaś zegarek z Franchise, kiedy przysłaś mnie odwiedzić tam w pracy”; groźba była taka, albo podobna.

Kevin przerwał na moment; Gladys milczała, oszołomiona.

— Sądzę, że było tak, a nie inaczej, ponieważ zgłosiłaś się do sądu na rozprawę wstępna i rzeczywiście potwierdziłaś kłamliwe zeznania przyjaciółki; ale po powrocie do domu zaczęłaś żałować i wstydzić się. Wobec tego zapakowałaś zegarek i odesłałaś do Franchise pocztą, razem ze skrawkiem papieru, na którym napisałaś „Nie chcę niczego”. — Zrobił pauzę. — Przypuszczam, że to właśnie tak wyglądało, Gladys, i mówię to do ciebie.

Dziewczyna miała jednak czas, by wziąć się w karby. — Nie — powiedziała. — Ja tego zegarka nigdy nie miałam.

Kevin gładko przeszedł nad tym ustępstwem do następnego pytania: — Czy aż tak bardzo się myłę?

— To nie ja odesłałam zegarek.

Kevin podniósł arkusz papieru i wciąż łagodnym głosem mówił dalej: — Kiedy chodziłaś jeszcze do szkoły, o czym mówiliśmy, byłaś bardzo dobra z rysunków. Taka dobra, że twoje rysunki trafiły na szkolną wystawę. Proszę, mam tutaj mapę Kanady, mapę bardzo ładną, która była jedną z twoich prac, i która została nagrodzona. W prawym dolnym rogu podpisałaś ją, i nie wątpię, że byłaś dumna z siebie,

podpisując taką ładną pracę. Mam nadzieję, że to pamiętasz.

Mapę podano Gladys, a Kevin tymczasem dodał:

— Panie i panowie przysięgli, jest to mapa Kanady, którą Gladys Rees narysowała podczas Ostatniego roku pobytu w szkole. Kiedy zapozna się z nią wysoki sąd, z pewnością przekaże ją ławie. — Zwrócił się następnie do Gladys: — Czy to ty rysowałaś tę mapę?

Ja.

— I w rogu umieściłaś swoje nazwisko?

— Tak.

— I wypisałaś pod spodem drukowanymi literami: „Dominium Kanady”?

— Tak.

— Pod spodem wypisałaś drukowanymi literami słowa: „Dominium Kanady”. Dobrze. A teraz biorę do ręki skrawek papieru, na którym drukowanymi literami ktoś napisał słowa „Nie chcę niczego”. Jest to ten sam skrawek, który został dołączony do zegarka odesłanego do Franchise; tego zegarka, który zginął, kiedy pracowała tam Rose Glyn. I oto moja sugestia: tekst „Nie chcę niczego” napisany jest tym samym charakterem pisma, drukowanymi literami, co tekst „Dominium Kanady”. Jedno i drugie napisała ta sama ręka. I to była twoja ręka.

— Nie — powiedziała, biorąc skrawek papieru, który jej podano, i pośpiesznie kładąc go na poprzeczce barierki, jakby papier mógł uządlić. — Nigdy. Nigdy nie odsyłałam żadnego zegarka.

— I to nie ty napisałaś to zdanie „Nie chcę niczego”?

— Nie.

— Ale to ty napisałaś „Dominium Kanady”?

— Tak.

— W porządku. W dalszym ciągu rozprawy przedstawię dowód, że te dwa teksty zostały napisane tą samą ręką. Tymczasem sędziowie przysięgli może zechcą w wolnej chwili przyjrzeć się tekstom i sami wyciągną wnioski. Dziękuję ci.

— Mój uczony kolega przekonywał — powiedział Miles Allison — że wywarto na ciebie nacisk, żebyś tu przyszła. Czy ta sugestia

jest chociaż trochę prawdziwa?

— Nie.

— Nie zjawiałaś się tutaj dlatego, że bałaś się, że może ci się przytrafić coś złego, jeżeli nie przyjdiesz?

Namysł nad pytaniem zabrał jej dobrą chwilę, najwyraźniej usiłowała jakoś to wszystko rozplątać. — Nie — zaryzykowała w końcu.

— To, co zeznałaś podczas rozprawy wstępnej i to, co zeznałaś dzisiaj, to wszystko jest prawda?

— Tak.

— Nie jest czymś, co ktokolwiek zasugerował, że powinnaś powiedzieć?

— Nie jest.

Jednak ława przysięgłych odniosła wrażenie, że dziewczyna jest po prostu świadkiem, który niechętnie powtarza historyjkę wymyśloną przez kogoś innego.

W ten sposób skończyły się zeznania świadków oskarżenia, i Kevin bez zwłoki poprowadził dalej sprawę Gladys Rees, w myśl zasady przestrzeganej przez żony podczas generalnych porządków: najpierw sprzątnąć pod nogami, potem zabrać się za cały dom.

Biegły grafolog oświadczył, że obydwie przedłożone sądowi próbki pisma wyszły spod ręki tej samej osoby. Nie tylko nie miał w tej mierze wątpliwości, ale rzadko zdarzało mu się otrzymywać łatwiejsze zadanie. Nie tylko w obu przykładach powtarzały się te same litery, ale w podobny sposób powtarzały się kombinacje liter, jak „Ni” w „Nie chcę” i w „Dominium”. Było też oczywiste, że przysięgli nabrali już podobnego przekonania — widząc obie próbki nikt nie mógł wątpić, że pisane były tą samą ręką — a wątpliwość Allisona, że biegły może się mylić, przedłożona została rutynowo i bez przekonania. Kevin rozniósł ją na strzępy przedstawiając daktyloskopa, który stwierdził, że na obu próbkach znajdują się te same odciski palców.

Sugestia Allisona, że odciski mogą nie być odciskami palców Gladys Rees świadczyła już tylko o, zapędzeniu oskarżenia do narożnika. Oskarżyciel nawet nie domagał się przeprowadzenia nowej próby.

Tak więc Kevin, kiedy wykazał, że Gladys Rees, składając zeznanie podczas rozprawy wstępnej była posiadaczką zegarka skradzionego we Franchise, zegarka, który zaraz potem odesłała wraz z notatką podyktowaną przez wyrzuty sumienia, mógł już spokojnie zająć się historią opowiedzianą przez Betty Kane. Rose Glyn i jej zeznania zostały na tyle zdyskredytowane, by musiała się naradzić policja. Levin mógł bezpiecznie zostawić Rose policjantom.

Kiedy na salę wezwano Bernarda Chadwicka, wyciągnęły się szyje, rozległy szepty i dopytywania. Czytelnicy gazet nie znali tego nazwiska. Co ten człowiek miał wspólnego ze sprawą? Co miał do powiedzenia?

Otóż miał do powiedzenia, że jest kupcem, skupuje porcelanę w najlepszym gatunku, a poza tym różne ozdobne przedmioty, dla pewnej hurtowni w Londynie. Jest żonaty i mieszka z żoną, we własnym domu, w Ealing.

— Podróżuje pan na zlecenie swojej firmy? — spytał Kevin.

— Tak.

— I w marcu tego roku był pan w Larborough?

— Zgadza się.

— Podczas pobytu w Larborough poznał pan Betty Kane?

— Tak jest.

— Jak pan ją poznał?

— Poderwała mnie.

Tu dał się słyszeć natychmiastowy, chóralny protest publiczności. Mogli ścierpieć kompromitację Rose Glyn i jej współpracownicy, ale Betty Kane nadal pozostawała nietykalna. Betty Kane przypominała świętą Bernadettę i nie wolno było o niej mówić z lekceważeniem.

Sędzia napomniiał publiczność, chociaż była to reakcja spontaniczna. Upomniiał również świadka. Jak stwierdził, sąd nie dość jasno rozumie, na co wskazują słowa „poderwała mnie” i byłby świadkowi wdzięczny, gdyby ten zdołał utrzymać się w granicach zwykłej, poprawnej angielszczyzny.

— Czy zechce pan wyjaśnić sądowi, w jakich okolicznościach spotkał pan pannę Betty Kane? — powiedział Kevin.

— Pewnego dnia wpadłem na herbatę do hallu w „Midland” i

ona... mm... sama zaczęła do mnie mówić. Też piła tam herbatę.

— Sama?

— Samiuteńka.

— I pan nie odezwał się do niej pierwszy?

— Skądże! Nawet jej nie zauważyłem.

— Więc jak zwróciła na siebie uwagę?

— Uśmiechała się do mnie, więc ja do niej też, potem wróciłem do swoich papierów. Byłem zajęty. Wtedy odezwała się do mnie. Zapytała, co to za papiery i tak dalej, no wie wysoki sąd.

— A więc w ten sposób postępowano zawieranie znajomości.

— Tak. Powiedziała, że właśnie wybiera się pogapić na głupoty... to znaczy, że idzie do kina... i czy ja bym też nie poszedł? Cóż, byłem wykończony po całym dniu, panienka w sumie sympatyczna, więc powiedziałem, że dobrze; jeżeli ma ochotę, to czemu nie. Skutek był taki, że spotkaliśmy się na drugi dzień, no i zabrałem ją do samochodu, powozić po okolicy.

— Przy okazji podróży w interesach, jak pan mówił.

— Tak jest. Chciała się trochę przejechać, zjedliśmy gdzieś po drodze, a zanim wróciła do ciotki, u której mieszkała, byliśmy jeszcze gdzie indziej na herbacie.

— Mówiła panu coś o swojej rodzinie?

— Tak, opowiadała jaka nieszczęśliwa była w domu, gdzie nikt nie poświęcał jej uwagi. Miała opracowaną całą litanie tych narzekań, na dom, ale jakoś nie bardzo słuchałem. Jak dla mnie to była niekiepska laleczka, no lody śmietankowe.

— Co takiego?

— Zadbana-odchowana-młoda-dziewczyna, wysoki sądzie.

— Tak? — powiedział Kevin. — A jak długo trwała ta idylla w Larborough?

— Jakoś tak wyszło, że wyjechaliśmy z Larborough jeszcze tego samego dnia. Dziewczyna wracała do domu, bo skończyły się ferie u ciotki, a dała już znać do domu, że je przedłuża, więc mogła ze mną gdzieś wyskoczyć; miałem lecieć samolotem do Kopenhagi, w interesach. Więc powiedziała, że nie ma zamiaru wracać do domu i poprosiła, żebym ją zabrał. Powiedziałem, że nic z tego. Wcale nie uważałem, że jest takim zupełnie niewinnym dzieckiem, na jakie wyglądała w hallu „Midland”, trochę ją poznałem przez ten

czas, ale wciąż myślałem, że jest niedoświadczona. W końcu to była tylko szesnastka... to znaczy, miała szesnaście lat.

— Powiedziała panu, że ma szesnaście lat?

— Szesnaste urodziny obchodziła w Larborough — powiedział Chadwick wykrzywiając kącik ust, pod małym czarnym wąsikiem.

— Kosztowały mnie szminkę w złotej oprawie.

Robert rzucił okiem na bok i zobaczył, że pani Wynn kryje twarz w dłoniach; obok siedział Leslie Wynn, pobladły i osłupiały.

— Nie miał pan wtedy pojęcia, że ona wciąż ma piętnaście lat?

— Nie. Nie; do pewnego czasu.

— Więc kiedy Betty Kane rzuciła myśl, że chciałaby z panem pojechać, pan uważał ją za niedoświadczoną, szesnastoletnie dziecko?

— Tak.

— A dlaczego pan zmienił zdanie na ten temat?

— Bo... Bo udowodniła, że nie jest.

— Że nie jest jaka?

— Że nie jest niedoświadczona.

— I potem już nie miał pan skrupułów, jeżeli chodzi o zabranie jej na wycieczkę za granicę?

— Skrupułów to miałem pod dostatkiem, ale już przekonałem się, jaka może być z nią frajda, więc nie mogłam jej zostawić, chociaż chciałem.

— I zabrał ją pan ze sobą.

— Tak.

— Jako pańską żonę?

— Tak, jako żonę.

— Nie miał pan żadnych skrupułów, jeżeli chodzi o niepokój, na który byli narażeni jej bliscy?

— Nie. Powiedziała, że ma jeszcze dwa tygodnie wolnego w szkole, a rodzina jest przekonana, że ona wciąż mieszka u ciotki w Larborough. Ciotce powiedziała, że jedzie do domu, a rodzinie dała znać, że zostaje u ciotki. Ponieważ nigdy do siebie nie pisywali, było mało prawdopodobne, że rodzice dowiedzą się, że w Larborough jej nie ma.

— Czy pamięta pan datę wyjazdu z Larborough?

— Tak; zabrałem ją do auta na przystanku autobusowym w

Mainshill, po południu, 28 marca. Czekala tam, gdzie normalnie powinna byla czekac na autobus do domu.

Kevin przerwal na chwile, tak, by pelne znaczenie tej informacji moglo dotrzec do kazdej pary uszu. Robert wsluchiwal sie w te pauze i pomyslal, ze gdyby sala sadowa byla zupełnie pusta, nie moglo by byc glębszej ciszy.

— Wiec zabral ja pan do Kopenhagi. Gdzie zatrzymaliscie sie?

— W hotelu „Czerwone Trzewiczki”.

— Na dlugo?

— Na dwa tygodnie.

Daly sie slyszec ciche komentarze, wyglaszane szeptem i wyrazajace zdumienie.

— A potem?

— Wrocilismy do Anglii razem, 15 kwietnia. Powiedziala mi, ze powinna byc w domu 16. Ale juz po drodze powiedziala, ze wlasciwie powinna byc z powrotem 11, i ze nie ma jej w domu juz od czterech dni.

— Z rozmyslem wprowadzila pana w blad?

— Tak.

— Czy powiedziala dlaczego?

— Tak. Ze powrot do domu bylby niemozliwy. Ze napisze do rodziny, ze znalazla prace, ze jest bardzo szczesliwa, zeby jej nie szukali, ani nie martwili sie o nia.

— Nie miala zadnych wyrzutow sumienia, wiedzac, ze przysporzyla cierpien rodzicom, ktorzy sa jej tak oddani?

— Nie. Powiedziala, ze jej dom tak ja nudzi, ze moglaby wyec.

Robert mimowolnie spojrzal na pania Wynn i natychmiast odwroutil wzrok. To bylo ukrzyzowanie.

— A jak pan zareagowal na nowa sytuacje?

— Przede wszystkim bylem zly. Znalazlem sie w kropce.

— Martwil sie pan o dziewczynę?

— Nie, niespecjalnie.

— Dlaczego?

— Zorientowalem sie przez ten czas, ze w razie czego potrafi swietnie zatroszcyc sie o siebie.

— Co pan przez to dokładnie rozumie?

— Myślę tak: ona nie będzie cierpiała w żadnej sytuacji, którą sama stworzy; jak o to chodzi, Betty Kane byłaby ostatnią osobą.

Użycie nazwiska przypomniało nagle publiczności, że dziewczyna, o której właśnie mowa, to przecież „ta” Betty Kane. „Ich” Betty Kane. Podobna do świętej Bernadetty, Dało się odczuć nerwowe poruszenie, zaczerpnięto tchu.

— I co dalej?

— Po dłuższym trzaskaniu dziobem...

— Po czym?

— Po wyczerpującej dyskusji, wysoki sędzie.

— Proszę mówić dalej — zachęcił wysoki sąd, — ale proszę ograniczać się do angielszczyzny standardowej, albo przynajmniej elementarnej.

— Więc po dłuższych rozmowach uznałem, że najlepiej będzie, jak zabiorę ją do bungalowu nad rzeką, blisko Bourne End. Używamy go podczas weekendów latem, i podczas letnich wakacji, ale rzadko kiedy w innych porach roku.

— Kiedy mówi pan „my”, ma pan na myśli siebie i pańską żonę?

— Tak jest. A dziewczyna zgodziła się bez oporów i zawiozłem ją tam.

— Został pan z nią na noc?

— Tak.

— A jak chodzi o następne noce?

— Następną noc spędziłem w domu.

— W Ealing?

— Tak.

— A potem?

— W następnym tygodniu większość nocy spędziłem w bungalowie.

— A czy pańska żona nie była tym zdziwiona, że sypia pan poza domem?

— Jakoś to przeżyła.

— A w jaki sposób układ w Bourne End rozpadł się?

— Pewnego wieczoru przyjechałem, i okazało się, że poszła

sobie.

— I pomyślał pan, że co się z nią stało?

— Cóż, w ostatnim dniu czy dwóch bardzo się nudziła, opieka nad domem wydawała się zabawna przez parę dni, ale nie dłużej, zresztą nie było tam wiele do roboty, więc kiedy zorientowałem się, że sobie poszła, uznałem, że już zmęczyła się mną, znalazła sobie kogoś, czy coś, bardziej podniecającego.

— Później dowiedział się pan, gdzie poszła i dlaczego?

— Tak.

— Czy słyszał pan dzisiejsze zeznanie Betty Kane przed sądem?

— Tak.

— Słyszał pan oświadczenie, że została siłą uwięziona w domu w pobliżu Milford?

— Słyszałem.

— Czy to ta sama dziewczyna, która pojechała z panem do Kopenhagi, która spędziła tam z panem dwa tygodnie, a następnie mieszkała z panem w bungalowie w pobliżu Bourne End?

— Tak, to ta dziewczyna.

— Nie ma pan wątpliwości?

— Żadnych.

— Dziękuję panu.

Kiedy Kevin usiadł, Bernard Chadwick czekał na pytania Milesa Allisona, dało się słyszeć głośnie westchnienie przepełnionej sali. Robert zastanawiał się, czy twarz Betty Kane jest zdolna wyrazić jakiegokolwiek uczucia oprócz strachu albo tryumfu. Dwukrotnie widział jak drży, tryumfując, a raz — kiedy starsza pani Sharpe podchodziła do niej przez cały salon, tego pierwszego dnia — zobaczył na jej twarzy strach. Teraz emocje, które wyrażała ta twarz, mogły równie dobrze towarzyszyć odczytywaniu giełdowych cen żywca. To wrażenie spokoju wewnętrznego, pomyślał Robert, wynika z cech fizycznych. Z szeroko osadzonych oczu, spokojnego czoła, pozbawionych wyrazu ust, zawsze po dziecinnemu nadąsanych. To cechy fizyczne składały się na maskę, pod którą prawdziwa Betty Kane ukrywała się nawet przed najbliższymi. Stanowiły pierw-

szorzędny kamuflaż. Fasadę, za którą mogła być kimś innym, kim naprawdę lubiła być. I tak było teraz; widać było maskę, dziecinną, pełną spokoju, tę samą, którą Robert po raz pierwszy zobaczył we Franchise, w salonie, wówczas zestawioną jeszcze ze szkolnym płaszczykiem, chociaż pod tą maską musiały kłębić się ciemne, nie dające się nazwać uczucia.

— Panie Chadwick — odezwał się Allison — cała ta historia jest mocno spóźniona, prawda?

— Spóźniona?

— Tak. Sprawą bardzo interesowała się prasa, i mniej więcej przez ostatnie trzy tygodnie opublikowano mnóstwo reportaży i komentarzy. Musiał pan wiedzieć, że te dwie kobiety zostały fałszywie oskarżone; o ile pańska wersja jest prawdziwa. Jeżeli, jak pan twierdzi, Betty Kane w ciągu tych tygodni była z panem, a nie, jak ona twierdzi, w domu tych dwóch kobiet, to dlaczego nie poszedł pan prosto na policję i nie powiedział o wszystkim?

— Ponieważ o niczym nie miałem pojęcia.

— To znaczy o czym?

— O oskarżeniu tych dwóch kobiet Czy też o historyjce, którą rozpowszechniła Betty Kane.

— Jak to możliwe?

— Ponieważ znowu wyjechałem za granicę, w interesach firmowych. I o całej sprawie dowiedziałem się parę dni temu.

— Rozumiem. Słyszał pan zeznanie dziewczyny, a następnie zeznanie biegłego lekarza na temat stanu, w jakim wróciła do domu. Czy pańskie zeznanie daje na to jakąś odpowiedź?

— Nie.

— I to nie pan pobił dziewczynę?

— Nie.

— Powiedział pan, że przyjechał pan któregoś wieczoru i zorientował się, że odeszła.

— Tak.

— Spakowała się i poszła sobie?

— Tak; tak to wtedy wyglądało.

— A więc wszystkie jej rzeczy, bagaże, w których je miała,

zniknęły wraz z nią.

— Tak.

— A następnie pojawiła się w domu bez jakichkolwiek rzeczy, tylko w samych butach i w sukience.

— Nie wiem, co było potem.

— Chce pan tu powiedzieć, że kiedy przyjechał pan do Bourne End, zastał pan bungalow posprzątany i pusty, bez śladów jakiegoś pośpiesznego wyjazdu.

— Tak. Zastałem bungalow w takim stanie.

Kiedy do złożenia zeznań została wezwana Mary

Frances Chadwick, wzbudziło to sensację zanim jeszcze pojawiła się na sali. Było jasne, że to „żona”; i to był kąsek, którego nie spodziewali się nawet najwięksi optymiści wśród gapiów stłoczonych przed sądem.

Frances Chadwick była wysoką, przystojną kobietą, naturalną blondynką o figurze modelki i ubraną jak modelka; trochę zaczynała tyć, ale sądząc po pogodnej twarzy, niewiele się tym przejmowała.

Powiedziała, że owszem, jest żoną poprzedniego świadka i mieszka z nim w Ealing. Nie mają dzieci. Ona sama pracuje w branży konfekcyjnej, od czasu do czasu, nie dlatego, że musi, ale żeby mieć na drobne wydatki i dlatego, że to lubi. Tak, pamięta wyjazd męża do Larborough i zaraz potem wyjazd do Kopenhagi. Wrócił z Kopenhagi dzień później niż obiecał i spędził z nią noc. W ciągu następnego tygodnia zaczęła podejrzewać, że jej mąż gdzieś się zaangażował. Podejrzenia potwierdziły się, kiedy ktoś z przyjaciół dał jej znać, że w bungalowie nad rzeką jej mąż ma gościa.

— Czy pani powiedziała o tym mężowi? — spytał Kevin.

— Nie. To by nie było żadne wyjście. One na niego lecą, jak muchy.

— Wobec tego co pani zrobiła? Czy też, co pani zamierzała zrobić?

— To, co zawsze robię z muchami.

— Co takiego?

— Tłukę je.

— Tak więc wybrała się pani do bungalowu z zamiarem

tluczenia muchy, jaka by nie była.

– Tak jest

– I co pani zastała w bungalowie?

– Przyjechałam późnym wieczorem, mając nadzieję, że przyłapię również Barney'a.

– Barney to pani mąż?

– Jeszcze jaki To znaczy, Barney to mój mąż – dodała szybko, dostrzegając spojrzenie sędziego.

– No i...?

– Drzwi nie były zamknięte, więc walę prosto do pokoju. A z sypialni słyszę kobiecy głos: „To ty, Barney? Tak się stęskniłam za tobą”. Więc weszłam i zastałam ją. Leżała na łóżku w takiej półprzeźroczystej koszuli nocnej, jakie wampy nosiły na filmach dziesięć lat temu. Wyglądała na zaskoczoną, a ja trochę zdziwiłam się, jak chodzi o Barney'a. No nic. Wyjadała czekoladki z ogromniastego pudła, które położyła sobie na łóżku, tuż pod ręką. Całość w koszmarnym stylu, no po prostu lata trzydzieste.

– Proszę ograniczyć się do spraw istotnych, pani Chadwick.

– Tak jest. Przepraszam. Więc miałyśmy zwykłą wymianę zdań...

– Zwykłą?

– Tak. Ten cały cyrk „co-pani-tu-robi” i tak dalej. Wykiwana żona i światło miłości, no wie pan. Ale z jakiegoś powodu capnęła mnie za włosy. Nie mam pojęcia czemu. Nigdy za bardzo nie przejmowałam się takimi sytuacjami To znaczy, urządziłyśmy sobie, po prostu, porządną kłótnię, jasne, nic więcej, żadnych tam krwawych myśli. Ale w tej małej szwendalskiej było coś takiego, że flaki się we mnie przewracały. Cos takiego, że...

– Bardzo proszę, pani Chadwick!

– W porządku, przepraszam. Ale prosił pan, żebym opowiedziała swoimi słowami. No tak doszliśmy do tego, że nie mogłam już spokojnie patrzeć na tę pindę... to znaczy, doszłam do stanu rozdrażnienia, że nie do wytrzymania. Wywlokłam ją z łóżka i porządnie trzepnęłam po łbie. Była

tak zdumiona, że można się było uśmieć. Wyglądało na to, że nikt nigdy w życiu jej nie przyłożył. Powiedziała: „Ty mnie uderzyłaś!”, właśnie w ten sposób, więc ja jej mówię: „Od tej pory mnóstwo ludzi jeszcze cię uderzy, laleczko” i przyłożyłam jej jeszcze raz. No i potem to już było regularne kotłowanie. Gdyby ktoś chciał się zakładać, to szczerze mówiąc trzeba było stawiać na mnie. Po pierwsze, jestem większa, pozą tym diabli mnie brali, a mam trochę ikry. Zdarłam z niej ten głupi negliż, pierze poleciało, póki me potknęła się o jeden z tych swoich butów, które leżały na podłodze i wywaliła się. Poczekalam aż wstanie, ale nic, leżała dalej, więc pomyślałam, że zemdłała. Poszłam do łazienki, zamoczyłam jakąś szmatę w zimnej wodzie, przyłożyłam jej na twarz. Potem poszłam do kuchni zrobić kawę. Ochłodziłam się, pomyślałam, że jej to też dobrze zrobi, jak się ochłodzi. Naparzyłam kawy i zostawiłam, żeby się odstała. Ale kiedy wróciłam do sypialni, okazało się, że zemdlenie to był tylko numer. Ta szczeniara... ta dziewczyna dała nogę. Miała czas, żeby się ubrać, więc byłam pewna, że coś tam założyła na siebie i zwiąła.

— A pani też wyjechała?

— Czekałam przez godzinę, myślałam, że może przy- jedzie Barney, mój mąż. Wszędzie naokoło leżały rzeczy tej dziewczyny, więc podniosłam je, włożyłam do jej walizki i wpakowałam do schowka pod schodami. No i otworzyłam wszystkie okna. Perfumy to chyba lała na siebie wiadrem. A potem, skoro Barney się nie zjawił, wyjechałam. Nie dorwałam go; tej nocy wziął sobie wolne. Ale w parę dni później powiedziałam mu, jak było.

— I jak to przyjął?

— Powiedział tak: szkoda, że jej matka nie zrobiła tego samego dziesięć lat wcześniej.

— I nie martwił się, co się z nią stało?

— Nie. Ja się trochę martwiłam, póki mi nie powiedział, że ona mieszka gdzieś koło Aylesbury, blisko. Bez trudu mogła złapać okazję.

— Więc był pewny, że pojechała do domu?

— Tak. Ja na to, żeby lepiej sprawdził, bo to w końcu dziecko.

— A co na to mąż?

— Powiedział tak: „Frankie, dziewczyno, to »dziecko« więcej wie o przetrwaniu niż kameleon”.

— Więc przestaliście się państwo przejmować tą sprawą?

— Tak.

— Ale ta historia przecież odżyła, kiedy przeczytała pani reportaże w związku ze sprawą Franchise?

— Nie.

— Jak to?

— Przede wszystkim, nie wiedziałam jak nazywa się dziewczyna. Barney mówił o niej Liz. A ja po prostu nie skojarzyłam piętnastoletniej uczennicy, którą ktoś porwał i bił, gdzieś w okolicy Midland, z tym co poderwał Barney. To znaczy z panią, która opychała się czekoladkami na moim łóżku.

— A gdyby pani zorientowała się, że to była jedna i ta sama dziewczyna, czy dałaby pani znać na policję i powiedziała, co pani o niej wie?

— Jasne.

— A nie wahałaby się pani z tego powodu, że to właśnie pani spuściła jej lanie?

— Nie. Spuściłabym jeszcze raz, nawet jutro, bylebym tylko miała okazję.

— Może oszczędzę trudu mojemu uczonemu koledze i sam o to zapytam: czy ma pani zamiar rozwieść się z mężem?

— Skąd, w żadnym wypadku.

— A pani zeznanie i jego, czy to nie jest przypadkiem zgrabna, mała zmowa wobec opinii publicznej?

— Nie. Nie wiem, co by nu przyszło ze,, znowy. Ale z Barney’em nie mam zamiaru się rozwodzić. Jest z nim wesoło i dba o dom. Czego można jeszcze chcieć od męża?

Robert dosłyszał, jak Kevin mruczy pod nosem: „Rzeczywiście, czego?”, a potem zwykłym głosem prosi Frances Chadwick, by oświadczyła, że dziewczyna, o której była mowa, to ta sama dziewczyna, która dzisiaj zeznawała przed

sądem, a teraz siedzi na sali sądowej. Potem podziękował jej i usiadł.

Miles Allison nie próbował już wypytywać. Wobec tego Kevin podniósł się, by wezwać następnego świadka. Ubiegł go jednak przewodniczący ławy przysięgłych.

Ława, oświadczył, chciałaby powiadomić wysoki sąd, że już wyrobiła sobie opinię, na podstawie zgłoszonych dowodów.

— A co to za świadek, którego chce pan teraz wezwać, panie Macdermott? — spytał sędzia.

— Właściciel hotelu w Kopenhadze, wysoki sędzie. Ma opisać pobyt tych dwojga w swoim hotelu, w okresie, którego dotyczy akt oskarżenia.

Sędzia pytająco spojrział na przewodniczącego.

Przewodniczący naradził się z ławą.

— Nie, wysoki sędzie, my nie uważamy tego za konieczne: przesłuchanie świadka pozostawiamy do uznania wysokiego sądu.

— Jeżeli ławę zadowalają dotychczasowe zeznania, jeżeli na ich podstawie może wydać sprawiedliwy werdykt — a ja sam uważam, że dalsze dowody już niewiele wniosą do sprawy — to możemy zrezygnować ze świadka. Czy ława chce wysłuchać obrony?

— Nie, wysoki sędzie. Już wyrobiliśmy sobie zdanie.

— Sądzę, że moje podsumowanie mogłoby tylko znacznie rozwlec sprawę. Czy ława chce udać się na naradę?

— Nie, wysoki sędzie. Werdykt jest jednomyślny.

23

— Lepiej poczekajmy, aż się trochę przerzedzi — powiedział Robert. — Aż jakoś pozwolą nam wyjść.

Zastanawiał się, dlaczego Marion była taka poważna, niepoczieszona. Niemal jakby przeżyła szok. Czyżby ta próba była równie przykra jak wszystko dotąd?

Marion, jakby wyczuwając jego zdziwienie, powiedziała: — To ta kobieta. Ta nieszczęsna kobieta. Nie mogę myśleć o

niczym innym.

— Kto? — głupio spytał Robert.

— Matka. Czy potrafisz sobie wyobrazić coś straszniejszego? Utrata dachu nad głową to coś złego... Właśnie, Robercie, już nie musisz nas zawiadamiać — trzymała w ręce najświeższe wydanie „Larborough Times'a” z akapitem stylizowanym na telegram: „Franchise, dom związany ze sprawą o uprowadzenie w Milford, spłonął doszczętnie ubiegłej nocy”. — Jeszcze wczoraj myślałabym, że to straszna tragedia. Ale w porównaniu z kalwarią tej kobiety, to wypadek i nic więcej. Czy coś może bardziej wstrząsnąć, niż odkrycie, że człowiek, z którym się żyje, i którego przez całe lata kocha się, nie tylko nie istnieje, ale i nigdy nie istniał? Że człowiek, którego tak bardzo się pokochało, nie tylko nie kocha cię, ale gwizdże na ciebie, i gwizdał zawsze? Co wtedy człowiekowi zostaje? Nigdy w życiu nie postawi już stopy na trawniku bez podejrzenia, że to może bagno.

— Fakt — powiedział Kevin. — Nie mogłem na nią patrzeć. To było wprost nieprzyzwoite, co musiała wycierpieć.

— Ma uroczego syna — powiedziała pani Sharpe. — Mam nadzieję, że jakoś otrze jej łzy.

— Czy nie widzisz — powiedziała Marion, że ona już nie ma syna? Już nie ma nic. Myślała, że ma Betty. Kochała ją i była jej pewna, jak kochała syna i jego była pewna. A teraz zabrano jej grunt spod nóg, podstawę, na której zbudowała życie. Jak może teraz coś sądzić, czy nie sądzić, jeżeli powierzchowność może być aż tak oszukańcza. Nie, już nie ma nic. Ma pustkę, nic więcej. Serce mi krwawi, kiedy o niej pomyślę.

Kevin wsunął jej dłoń pod ramię i powiedział: — Jeszcze niedawno miała pani dość własnych kłopotów, żeby teraz przejmować się cudzymi. Chodźmy, teraz już pozwolą nam przejść Czy sprawi pani przyjemność przyjrzenie się, jak to policja, w ten ich uprzejmy, bezosobowy sposób, dochodzi do wniosku zbieżnego z naszym; w sprawie krzywoprzysięstwa?

— Nie; nie mogłabym myśleć o niczym innym, jak o ukrzyżowaniu tej kobiety.

A więc ona nazwała to w ten sam sposób!

Kevin puścił mimo uszu, co powiedziała. — No i to nieprzyzwoite dopychanie się do telefonów, któremu prasa oddaje się od chwili, w której za peruką wysokiego sądu jeszcze dobrze nie zamknęły się drzwi Będziecie panie oczyszczone ze wszystkiego, w całej rozciągłości, w każdej brytyjskiej gazecie, zapewniam. To będzie najgłośniejsza rehabilitacja, od czasów Dreyfusa. Proszę chwilę zaczekać, zanim nie uwolnię się od nich. Zaraz wracam.

— Myślę, że najlepiej będzie, jeżeli przeniesiemy się do hotelu na dzień lub dwa? — powiedziała pani Sharpe.

— Czy my jeszcze mamy w ogóle jakieś rzeczy?

— Tak, sporo zostało; cieszę się, że mogę to powiedzieć — odezwał się Robert i opisał, co udało się uratować.

— Jest jednak inna możliwość niż hotel. — Przedstawił propozycję Stanley'a.

Tak więc Marion z matką zawitały do małego domku na obrzeżu „nowego miasta”; a frontowy pokój u panny Sim był tym miejscem, gdzie zebrali się na małą uroczystość Marion, jej matka, Robert i Stanley, spokojna, wstrzemięzliwa w zachowaniu grupka. Kevin wrócił już do Londynu. Na stole stał ogromny bukiet, który zjawił się za sprawą ciotki Lin, wraz z jednym z jej najlepszych liścików.

Ciepłe i miłe liściki ciotki zawierały akurat tyle samo treści, go jej „Czy miałaś męczący dzień, złotko”, zapewniały jednak ten sam kojący efekt. Stanley zjawił się z egzemplarzem „Larborough Times'a” gdzie na czołowym miejscu zamieszczony był pierwszy reportaż z procesu. Zamieszczono go pod wielkim nagłówkiem „Przyłapanie Ananiasza”¹⁹.

— Czy zagrasz ze mną w golfa jutro po południu? — Robert zapytał Marion. — Za długo siedziałaś jak w więzieniu. Może zaczniemy wcześniej, zanim ci, co grają dwa razy zjedzą lunch; moglibyśmy zagrać sami.

— Tak, chętnie — powiedziała. — Myślę, że od jutra życie zacznie się na nowo, i znów stanie się zwykłą mieszaniną dobra i zła. Ale dzisiaj wieczór wciąż jeszcze jest tylko okazją

19 Postać z Nowego Testamentu, synonim kłamcy.

do okropnych rzeczy.

Kiedy nazajutrz wpadł po nią, wszystko wskazywało, że życie da się jednak polubić. — Nie masz pojęcia, co to za fantastyczna rzecz — powiedziała. — Mieszkanie w tym domu. Po prostu przekręcasz kurek i płynie ciepła woda.

— Poza tym ten dom szalenie kształci — dodała starsza pani.

— Kształci?

— Słysząc każde słowo z sąsiedniego pokoju.

— Och, mammo! Wcale nie każde!

— Co trzecie — poprawiła się pani Sharpe.

Tak więc w dobrych nastrojach pojechali na pole golfowe, i Robert postanowił, że poprosi ją, by wyszła za niego, kiedy będą siedzieli przy herbacie, po partyjce, w klubowym domku. A może będzie tam za wielu ludzi, będą przeszkadzać, narzucać się z uprzejmościami po wczorajszym procesie? Więc może w powrotnej drodze?

Uznał, że najlepiej będzie zostawić stary dom ciotce Lin — był do tego stopnia „jej” miejscem, że trudno było sobie wyobrazić, by mogła do końca życia mieszkać gdzie indziej — i wynaleźć jakieś małe mieszkanko dla Marion i siebie, gdzieś w Milford. A gdyby to okazała się za trudne w tych czasach, to w najgorszym wypadku można urządzić maleńkie mieszkanie na najwyższym piętrze firmowego domu, spółki Blair, Hayward i Bennet. Mogłoby to oznaczać usunięcie dokumentacji z ostatnich dwustu lat; jednak dokumenty w zawrotnym tempie nabierały wartości już tylko muzealnej, i tak czy owak trzeba je stamtąd zabrać.

Więc poprosi ją w powrotnej drodze.

Decyzja tak długo pozostała w mocy, póki nie okazało się, że myśli o tym, co go czeka, przeszkadza Robertowi w grze. Tak więc przy dziewiątej chorągiewce przestał przymierzać kij do piłki i odezwał się: — Chciałbym, żebyś za mnie wyszła, Marion.

— Naprawdę, Robercie? — Marion wyciągnęła z torby lżejszy kij, a torbę rzuciła na trawę.

— Chcesz za mnie wyjść, prawda?

- Nie, Robercie. Nie wyjdę.
- Ależ Marion! Dlaczego? Dlaczego nie?
- Och... jak to dzieci mówią: „dlatego”.
- Dlatego, że co?

— Jest pół tuzina powodów, z których każdy by wystarczył. Po pierwsze, jeżeli mężczyzna nie żeni się do czterdziestki, to małżeństwo nie jest czymś, czego wymaga od życia; to myśl, która dopada go, jak grypa, reumatyzm, albo jak ponaglenie spłaty podatku dochodowego. Nie chcę być czymś, co dopadło cię w ten sposób.

— Ależ to jest...

— Dalej, wcale nie sędzę, że stanę się częścią aktywów firmy Blair, Hayward i Bennet. Nawet...

— Przecież nie proszę cię, żebyś wychodziła za spółkę.

— Nawet dowód sądowy, że nie pobiłam Betty Kane, już nie uwolni mnie od etykiety „tej kobiety, ze sprawy tej Kane”, a nie byłby to najlepszy rodzaj żony dla głównego wspólnika. Nie przyniosłoby ci to niczego dobrego, Robercie, uwierz mi.

— Marion, na miłość boską, przestań!

— Poza tym, ty masz ciotkę Lin, ja matkę. Nie możemy ich gdzieś tam zostawić, jak kawałków gumy do żucia. Ja nie tylko kocham matkę, ja ją też lubię. Podziwiam ją, i życie z nią sprawia mi radość. Z drugiej strony, ty przyzwyczyłaś się, że ciotka Lin cię psuje — ależ tak, przyzwyczyłaś się! — i o wiele bardziej niż myślisz będzie ci brakowało wszystkich wygod życiowych, rozpieszczania, czego nie umiałbym ci dać. Zresztą, gdybym umiała, to też bym ci nie dawała — dorzuciła z nagłym uśmiechem.

— Marion, właśnie dlatego chcę wyjść za ciebie, że nie będziesz mnie rozpieszczała. Ponieważ masz dojrzały umysł...

— Dojrzały umysł to duża frajda, raz w tygodniu przy kolacji, ale spędziwszy życie pod opieką ciotki Lin uznałbyś, że to bardzo kiepski interes, taka zamiana, kosztem pierwszorzędnego ciasta i bezkrytycznego nastawienia.

— Jest jedna rzecz, o której nawet nie wspomniałaś — powiedział Robert.

— Co takiego?

— Czy ja cię w ogóle obchodzę?

— Tak, bardzo. Bardziej niż obchodził mnie ktokolwiek i kiedykolwiek. I to jest, po części, ten powód, dla którego nie chcę za ciebie wyjść. Bo jeszcze inny powód dotyczy mnie.

— Ciebie?

— Posłuchaj, nie jestem kobietą ze skłonnościami do małżeństwa. Nie mam ochoty zajmować się szydełkowaniem, spełniać czyichś żądań, znosić czyichś katarów. Matka i ja doskonale pasujemy do siebie, żadna z nas niczego nie wymaga od drugiej. Jeżeli któraś z nas ma katar, idzie do swojego pokoju, kładzie się, nie robi zamieszania, i tak długo zмага się ze swoim godnym pożałowania „ja”, póki znów nie nadaje się do współżycia z rodzajem ludzkim. Żaden mąż tak nie postępuje. Będzie oczekiwał sympatii — nawet jeżeli nabawił się tego kataru sam, zdejmując z siebie rzeczy, kiedy się zgrzał, zamiast poczekać — sympatii, troski i karmienia: Nie, Robercie. Są na świecie setki tysięcy kobiet, które do niczego tak nie wzdychają, jak do troszczenia się o mężczyznę, który właśnie nabawił się kataru. Więc dlaczego chcesz wybrać mnie?

— Ponieważ taka kobieta, jak ty trafia się raz na sto tysięcy, i dlatego, że cię kocham.

Wyglądała na odrobinę skruszoną. — Zdaje się, że to trochę zabrzmiało jak impertynencje, to co mówiłam, tak? Ale w tym naprawdę tkwi mnóstwo zdrowego rozsądku.

— Ależ Marion, to jest samotne, puste życie...

— A jak chodzi o moje doświadczenia, to życie „pełne” zawsze było pełne cudzych żądań.

— ...a matki nie będziesz miała na zawsze.

— Znając moją matkę jestem pewna, że bez trudu mnie przeżyje. Lepiej wybij piłkę; już widzę na horyzoncie ekipę starego pułkownika Whittakera.

Robert machinalnie wbił piłkę do dołka. — No i co ty zrobisz? — zapytał.

— Jeżeli nie wyjdę za ciebie?

Zacisnął zęby. Miała rację: jej nawyk kpienia może nie byłby ułatwieniem w życiu.

— Co postanowiłyście teraz zrobić, ty i matka, po stracie Franchise?

Zwlekąca z odpowiedzią, jakby to było trudne; jednocześnie mówić, szamotać się z torbą golfową, do tego stojąc do niego tyłem.

— Jedziemy do Kanady — powiedziała w końcu.

— Wyjeżdżacie!

Wciąż stała odwrócona. — Tak.

Oślupiał. — Ale Marion! Tak nie można! I dlaczego właśnie do Kanady?

— Mam kuzyna, który jest profesorem na uniwersytecie McGill. To siostrzeniec matki, syn jej jedynej siostry. Swego czasu napisał do nas i prosił matkę, czy nie mogłybyśmy przyjechać i poprowadzić mu domu, ale właśnie wtedy odziedziczyłyśmy Franchise i byłyśmy bardzo szczęśliwe w Anglii. Więc odpowiedziałyśmy, że nie. Ale teraz sprawa jest na nowo otwarta. A my ...obie... chętnie teraz wyjedziemy.

— Rozumiem.

— Nie patrz tak ponuro. Nie masz pojęcia, mój kochany, od czego właśnie udało ci się uciec.

Dokończyli partii w milczeniu, skupieni na grze.

Jadąc na Sin Lane, po odwiezieniu Marion do panny Sim, Robert krzywo uśmiechnął się na myśl, że do wszystkich nowych doświadczeń, wynikających z poznania pań Sharpe, musi teraz dodać jeszcze jedno, rolę odrzuconego zalotnika; doświadczenie ostatnie i może najbardziej zdumiewające ze wszystkich.

Trzy dni później, po sprzedaniu miejscowym handlarzom tych mebli, które udało się uratować z pożaru, po sprzedaniu Stanley'owi auta, na które tak patrzył z góry, panie Sharpe wyjechały z Milford pociągiem. Śmiesznym, przypominającym zabawkę pociągiem z Milford do Norton, gdzie trzeba się było przesiąść. I Robert wybrał się z nimi, by odprowadzić je, aż do pociągu pośpiesznego.

— Zawsze miałam słabość do podróżowania bez ciężarów — powiedziała Marion, komentując szczupłe bagaże, — ale nigdy nawet mi się nie śniło, że do tego stopnia zaspokoję tę

słabostkę: podróżując z samym tylko neseserem do Kanady.

Robert jednak nie miał ochoty na przekomarzanie. Był nieszczęśliwy, odczuwał pustkę; uczucia jakich nie pamiętał od czasu, kiedy jego małą duszyczkę przepelniała zgryzota z powodu powrotu do szkoły po wakacjach. Wzdłuż torów pieniały się ukwiecone krzewy, na polach błyszczały jaskry, ale w oczach Roberta świat był pokryty popiołem i zmętniały.

Patrzył, jak uwozi je londyński pociąg, a potem wrócił sam do domu, zastanawiając się, jak będzie mógł znieść Milford, nie mając nadziei, że przynajmniej raz na dzień zobaczy szczupłą, smagłą twarz Marion.

Ale w sumie zniósł to nieźle. Po południu znów wybrał się na golfa; i chociaż w przyszłości piłka miała już na zawsze pozostać dla niego „kawalkiem gutaperki”, to jednak nie wyszedł z formy aż tak, jak można by się obawiać. Odzyskał uczucia pana Heseltine’a dzięki uważnemu zajęciu się firmą. Podsunął Nevilowi myśl, że — mówiąc między nimi — mogliby przebrać i skatalogować dokumenty leżące na poddaszu, z czego wzięłaby się okazja do napisania książki. Zanim dotarł pożegnalny list od Marion z Londynu, w trzy tygodnie później, miękkie fałdy życia w Milfora opłotły go, ogarnęły i zamknęły się nad nim.

Marion pisała:

*Mój bardzo drogi Robercie,
to już pośpieszna notatka pożegnalna, tyle tylko, by dać ci znać, że obie wciąż myślimy o Tobie. Pojutrze odlatujemy porannym samolotem do Montrealu. Teraz nastał już czas, kiedy odkryłyśmy, że obie pamiętamy to co dobre, co kochane, a cała reszta niknie, staje się właściwie nieistotna. Wiem tyle, że zawsze będzie szczęściem pamiętać o Tobie. I o Stanley’u, o Billu - i Anglii.*

Wspólne wyrazy naszej przyjaźni, miłości i wdzięczności

Marion Sharpe

Robert położył list na mosiężno-mahoniowym biurku. W plamie popołudniowego słońca.

Jutro o tej porze Marion już nie będzie w Anglii. Była to myśl rozpaczliwa, ale nic nie można było począć, prócz sensownego pogodzenia się z tym. No bo co można?

I wtedy wydarzyły się trzy rzeczy na raz.

W drzwiach pojawił się pan Heseltine, by zawiadomić, że pani Lomax znów chce zmienić testament, i czy Robert mógłby niezwłocznie wyjechać do niej na farmę?

Zadzwoiła ciotka Lin, pytając, czy nie mógłby po drodze do domu wpaść do sklepu po rybę?

A panna Tuff przyniosła herbatę.

Przez chwilę wpatrywał się w dwa alberty na talerzyku. Potem, delikatnie lecz stanowczo, odsunął tacę i sięgnął po telefon.

24

Letni deszcz smagał płytę lotniska z posępną zaciekłością. Co chwilę podmuch wiatru podrywał strugi wody i walił nimi po ścianach dworca. Osłonięte od deszczu przejście do samolotu do Montrealu było jednak na końcu otwarte, i pasażerowie wchodzili do wnętrza, skuleni pod naporem nawałnicy. Powoli wypełniali samolot. Robert posuwając się wraz z końcem kolejki mógł dostrzec płaski, jedwabny kapelusz pani Sharpe i powiewające spod niego kosmyki siwych włosów.

Kiedy znalazł się w samolocie, już siedziały; pani Sharpe szukała czegoś w torbie. Kiedy szedł między fotelami, Marion podniosła oczy i spostrzegła go. Jej twarz pojaśniała z radości; była zaskoczona.

— Robert! — wykrzyknęła. Przyjechałeś pożegnać się z nami?

— Nie — odrzekł Robert. — Lecę tym samolotem.

— Lecisz? — powiedziała szeroko otwierając oczy. — Tym samolotem?

— No wiesz, to publiczny środek lokomocji

— Wiem. Ale... Lecisz do Kanady?

— Tak.

— Po co?

— Odwiedzić siostrę w Saskatchewan — z powagą oznajmił Robert. — To znacznie lepszy pretekst niż kuzyn na McGill.

Zacząła się śmiać, przeciągle i cicho.

— Robert, kochany — powiedziała, — zdawałoby się, że pedant, a nawet nie masz pojęcia jakim jesteś awanturnikiem!

Znakomita, niekonwencjonalna sensacyjno-detektywistyczna powieść, wielokrotnie wznawiana (ponad dwadzieścia wydań, film) - znanej pisarki szkockiej, Elizabeth Mac Kintosh (Josephine Tey), po raz pierwszy udostępniona polskiemu czytelnikowi.

Piętnastoletnia uczennica oskarża dwie powszechnie szanowane kobiety o to, że porwały ją, a następnie więziły przez miesiąc bijąc, głodząc i zmuszając do wyczerpującej pracy. Prowincjonalny prawnik - Robert Blair - próbuje udowodnić, że dziewczyna kłamie. Wszystkie wątki prowadzą do sensacyjnego procesu...

